

ROBERT HUGH BENSON

WŁADCA ŚWIATA



Dlaczego „Władcę świata” poleca Papież Franciszek?

Dlaczego uważa powieść za prorocstwo?

Przeczytajcie, a zrozumiecie.

GRZEGORZ GÓRNY

JEŚLI PRZERAZIŁA CIĘ PROROCZA WIZJA „OBOZU ŚWIĘTYCH”,
„WŁADCA ŚWIATA” POWALI CIĘ NA KOLANA

ROBERT HUGH BENSON

WŁADCA ŚWIATA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
STEFAN BARSZCZEWSKI

FRONDA

Okładka
Fahrenheit 451

Zdjęcia na okładce
Fotolia.com

Tłumaczenie
Stefan Barszczewski

Redakcja i korekta
Andrzej Olejnik

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

ISBN 978-83-8079-126-8

Copyright © for Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2017
Wstęp Copyright © by Paweł Milcarek
O Autorze i Post scriptum Copyright © by Wincenty Łaszewski

Wydawca
FronDA PL , Sp. z o.o.
Ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FronDAWydawnictwo
www.twitter.com/Wyd_FronDA

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

O Autorze

Wstęp

Prolog

Księga I. Nadejście

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Księga II. Spotkanie

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Księga III. Zwycięstwo

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Post scriptum

Od Wydawcy

O Autorze

WINCENTY ŁASZEWSKI

Robert Hugh Benson (1871–1914) był konwertytą z anglikanizmu. Jego przejście do Kościoła katolickiego w 1903 roku stało się szeroko komentowanym wydarzeniem. Benson był wybitnym człowiekiem pochodzącej z wybitnej późnowiktoriańskiej angielskiej rodziny. Jego rodowód jako anglikanina i Anglika nie mógł być „czystszy”. Ojciec, Edward White Benson, był arcybiskupem Canterbury, a został podniesiony do tego najwyższego urzędu anglikańskiego staraniem swego dobrego przyjaciela, premiera Williama Gladstone’a. Dwaj bracia Edwarda wpisali się na stałe w ówczesny angielski krajobraz kulturowy: pierwszy, Arthur Christopher, był wykładowcą w Eton i w Cambridge, znanym pisarzem i eseistą, autorem tekstu angielskiej pieśni patriotycznej „Land of Hope and Glory”. Drugi, Edward Frederic, był jeszcze bardziej niż brat znanym i cenionym autorem powieści i opowiadań. Ich matka była siostrą słynnego utylitarnego filozofa Henry’ego Sidgwicka. W sprawach politycznych czy kościelnych, w nauce i literaturze Bensonowie byli nie tylko wybitnie utalentowani, ale i bardzo wpływowi w Anglii czasów jej dominacji w świecie polityki i kultury.

Robert Hugh, czy „Hugo”, był równie utalentowany jak reszta rodziny. Po studiach w Cambridge przyjął święcenia anglikańskie i zaczął zdobywać nazwisko jako doskonały pisarz i kaznodzieja. Było oczywiste, że to „człowiek z przyszłością”. Niebawem jednak przyszły autor *Władcy świata* zaczął zadawać sobie pytania dotyczące podstaw swojej wiary. Gdy udał się do Ziemi Świętej i ujrzał, „jaki powszechny jest Kościół katolicki, a Kościół anglikański przypomina małą parafię”, przyjął wiarę katolicką. Miał wówczas 32 lata.

Konwersja na katolicyzm nie była w owych czasach rzeczą, którą „robi” angielski dżentelmen. Sprawy nie wyglądały aż tak źle, jak było sześćdziesiąt lat wcześniej, kiedy John Henry Newman zaszokował swym nawróceniem całą Anglię i stał się przedmiotem powszechnego gniewu i oburzenia. Ale wciąż w przejściu na katolicyzm było coś z obyczajowego skandalu, tym bardziej, że Benson był synem arcybiskupa Canterbury i pochodził z bardzo znanej i wpływowej rodziny. Decyzja nawrócenia oznaczała dla Bensaona, że straci przyjaciół, że opuści bogaty krąg społeczny, że straci wiele sympatii ze strony rodziny, a także niemal pewne biskupstwo wraz z miejscem w Parlamencie. A wszystko za co? Za przyłączenie się do tego, co w jego dotychczasowych kręgach było postrzegane jako gorsze intelektualnie i społecznie.

W 1904 roku Benson został wyświęcony na katolickiego kapłana. Żył jeszcze tylko

kolejne dziesięć lat; ale były owocne lata. Pełnił funkcję katolickiego kapelana w Cambridge; w tym okresie miał wpływ na nawrócenie innego syna słynnego anglikańskiego biskupa, Ronalda Knoxa. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że nie jest dobrym duszpasterzem i odkrył swe powołanie w pisarstwie. Był płodnym autorem, posługiwał się wieloma gatunkami literackimi: od powieści historycznych do opowieści o duchach i futurystycznej dystopii, od apologetyki po poezję i autobiografię. W swoim czasie był uważany za jednego z najlepszych pisarzy w Anglii. Jego najbardziej znane dzieło, *Władca świata*, to futurystyczny thriller apokaliptyczny.

Wstęp

PAWEŁ MILCAREK

Powieść *Władca świata* i jej autor, Robert Hugh Benson są obecnie niemal nieznani w Polsce. Jest to po części skutek skrupulatnego działania cenzury w okresie rządów komunistycznych: utwór, wydawany w polskim przekładzie Stefana Barszczewskiego przed drugą wojną światową, został zakazany w 1951 roku, czyli od razu w pierwszej fali sowietyzacji. Obecne w bibliotekach egzemplarze miały być zgodnie z zarządzeniem władz natychmiast usunięte. W przypadku wielu autorów ten zabieg oznaczał trwałe wyeliminowanie ich z obiegu czytelniczego. Wydawano *Władcę świata* na emigracji, ale nie miało to wpływu na sytuację w kraju.

Sprawa przedstawia się inaczej w Anglii i w zasięgu anglofonii: tutaj mimo upływu czasu, zmiany gustów literackich i związanej z tym utraty pewnych docenianych walorów, *Władca świata*, napisany w 1907 roku, zachowuje pozycję dzieła godnego uwagi, stojącego na początku szeregu z utworami docenianymi także u nas: *My Jewgienija Zamiatina* (1921), *Nowym wspaniałym światem* Aldousa Huxley'a (1932) czy *1984* George'a Orwella (1948). W powieści Bensaona widzi się bowiem jedną z pierwszych dystopii, czyli utworów będących odwrotnością utopii, opowiadających o świecie pogrążonym w koszmarze. Zarówno utopia, jak i jej przeciwieństwo to z zasady literatura fikcji, jednak dystopią nazywają specjaliści jedynie taką wizję, w której opisywany stan świata jest przewidywany na podstawie procesów obserwowanych we współczesności autora.

Autor *Władcy świata* urodził się w 1871 roku, jako najmłodszy syn anglikańskiego arcybiskupa Canterbury. Miał braci, którzy podobnie jak on sam pozostawili swój ślad jako literaci angielskiej epoki Edwardiańskiej. Robert szedł początkowo drogą kariery duchownego anglikańskiego, lecz w roku 1903 nawrócił się do Kościoła katolickiego, a rok później otrzymał ważne święcenia kapłańskie w Rzymie.

Dorobek literacki księdza Bensaona jest bogaty, także gatunkowo. Dość wspomnieć, że mamy tu i charakterystyczne dla literatury angielskiej opowieści niesamowite (w tomiku *Światło niewidzialne*), i eseje apologetyczne, i autobiograficzne *Wyznania konwertyty*.

Robert H. Benson zmarł w 1914 roku, kilka tygodni po wybuchu pierwszej wojny światowej. Świat, który był jego współczesnością – polityczną, kulturową, społeczną – miał się wtedy zacząć rozpadać z coraz większą szybkością; jednak Benson nie miał już okazji tego widzieć, umarł na ostatnim skraju czasowym *belle époque*. W odróżnieniu

od wspomnianych wyżej słynnych dystopii Zamiatina czy Huxley'a lub Orwella, wizja Bensona kreślona była przed wszystkimi potężnymi krachami Europy: przed Wielką Wojną i rewolucją bolszewicką, przed końcem wielkich monarchii, ich realnej władzy i imperialnego zasięgu, przed prawdziwym zaistnieniem Stanów Zjednoczonych na forum świata, przed pokazem siły wielkich ideologii totalitarnych i przed jakimikolwiek ruchami zjednoczenia Europy.

Świat przyszłości, przedstawiony we *Władcy świata*, posiada oczywiście pewne rysy epoki, w której powstał – jednak przeważa w nim coś w rodzaju proroczego widzenia, nawet jeśli nie są to dokładnie rysy naszej współczesności.

W świecie przedstawionym we *Władcy świata* liczą się tylko trzy siły duchowe: katolicyzm, humanitaryzm i religie Wschodu. O tych ostatnich dowiemy się najmniej, natomiast dramatyczna akcja książki wynika z apokaliptycznej konfrontacji Kościoła i świeckiego humanitaryzmu.

Humanitaryzm jest ideologią panującą w krajach Zachodu, w „zjednoczonej Europie”. Jest równocześnie wrogi chrześcijaństwu i jednak powstały jakby skutek pewnej operacji przeprowadzonej na chrześcijaństwie: stworzyli go ludzie należący do społeczeństw niegdyś chrześcijańskich, usuwając z kultury chrześcijańskiej pierwiastek nadprzyrodzoności i w ogóle więź z Bogiem różnym od świata. W to miejsce humanitaryzm wprowadził mglistą duchowość typu panteistycznego (jako żywo przypominającą New Age znany nam z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku). Jednak panteistyczne medytacje są przedmiotem zainteresowania nielicznych, natomiast masy – kierowane przez emocjonalną pożywkę z gazet – pasjonują się raczej wielkimi ruchami społecznymi: dążenie do zjednoczenia świata i wyeliminowania z niego niepokojów jest najważniejszym tematem społecznych przeżyć.

Humanitaryzm, jako ideologia dominująca, tworzy parę z demokracją, jako ustrojem państwowym, z partią socjalistyczną w roli głównej. Istotną i już w ogóle nieskrywaną rolę odgrywa masoneria, organizacja niejako zastępująca Kościół w życiu społeczeństwa. Potrzebne temu nowemu społeczeństwu rytuały i święta są kopiami rytuałów masońskich, przyrządzanymi fachowo przez księży odstępców, wciąż świetnie czujących się w masowych celebrach.

Na ten nowoczesny laicki świat patrzymy z perspektywy Londynu, przez pryzmat życia przedstawicieli jego elity: polityka europejskiego Olivera Branda i jego żony Mabel. W tle przesuwają się tłumy – wyciszone i szare na co dzień, zaś dziko rozemocjonowane gdy trzeba świętować kolejne etapy zjednoczenia świata lub ścigać katolików rozpoznanych jako podejrzanych o zamachy na przywódców ludzkości. Codzienność jest racjonalnie zorganizowana, masy ludzi przenoszą się bezszelestnie kanałami komunikacyjnymi do pracy i z niej. Jest jakoś szaro i bezwonne, dba się o wyciszenie wszelkich hałasów. Jeśli zdarzy się jakiś wypadek, natychmiast na miejscu zjawia się „służba eutanazji”, by oszczędzić cierpień poranionym; zresztą eutanazja jest

wyjściem do wyboru dla każdego kto chce „odejść z godnością”.

Jedyną duchową alternatywą dla tej mieszanki humanitaryzmu i liberalnego socjalizmu jest Kościół i stworzona kiedyś pod jego wpływem cywilizacja chrześcijańska. Katolicy są już jednak mniejszością w morzu bezreligijnych społeczeństw Zachodu. Mniejszością, w której wzrastające ciśnienie okoliczności przyspiesza ekstatyczną świętość jednych, ale i apostazję drugich.

Władca świata nie jest opowieścią o życiu wewnętrznym, lecz wątek zmagania duchowych jest obecny: towarzyszymy głównemu bohaterowi, księdzu Percy'emu Franklinowi – w Londynie, Rzymie i Ziemi Świętej – w jego kolejnych etapach wewnętrznej kontemplacji Chrystusa cierpiącego w Jego ciele mistycznym. Z drugiej strony – obserwujemy też duchowe poszukiwania Mabel, żony polityka republiki europejskiej.

W powieści Bensona widzimy dwóch papieży: najpierw Jana XXV, panującego przez kilka dziesięcioleci obrońcę wiary świadomie upodobnionego do świętego Piusa X (w którego czasach powstawał utwór!); następnie – wybranego w trybie nadzwyczajnym Sylwestra II, pasterza czasów dosłownie ostatecznych. Dwóch papieży – ale przedstawiony nam styl papiestwa składa się z trzech warstw.

Pierwsza to Rzym papieski odmalowany jako barwna enklawa tradycji, przyciągająca do siebie wszystkie osobistości starej cywilizacji chrześcijańskiej, na czele z monarchami wypędzonymi ze swoich królestw, teraz służącymi papieżowi do uroczystej mszy. Ta enklawa „dawnego życia” jest jakby kompletnym przeciwieństwem szarości i funkcjonalności nowoczesnych miast. W Rzymie żyje się z manifestacyjną staroświeckością (dość powiedzieć, że kardynałowie jeżdżą karocami, a papież – na mule...).

Jednak w środku tej wydzielonej przestrzeni konserwatywnego buntu przeciw unifikacji i ubóstwionej nowoczesności znajduje się nagle winda i maszyna do pisania, które uprzedzają, że Kościołem zarządza się – w sumie – bardzo nowocześnie. W reakcji na zmiany w świecie rządy w Kościele zostały maksymalnie scentralizowane, papież rządzi regionami przy pomocy wyznaczonych dla nich kardynałów protektorów czuwających w Rzymie, a kontaktujących się codziennie z siatką księży sprawozdawców. Pozycja ordynariuszy jest niezauważalna, zaś wszystkie zakony zostały decyzją papieża sprowadzone do trzech.

I jest jeszcze warstwa trzecia: papiestwo Kościoła apokaliptycznego, posługujące się przede wszystkim specjalnie stworzonym superzакonem, „podobnym do jezuitów, lecz wolnym od ich złej renomy”. Papież pozostaje tu centralą, lecz – pozbawiony możliwości działania z Rzymu i wszystkich swoich urzędów rzymskich – patronuje już jedynie garstce wiernych, gotowych na męczeństwo w warunkach zaciskającej się pętli krwawych i administracyjnych prześladowań.

Nie odkrywając tutaj wszystkich sekretów opowieści, powiedzmy jeszcze tylko, że

momentem napędzającym akcję i wywołującym kolejne fazy w zderzeniu humanitaryzmu i katolicyzmu jest pojawienie się na horyzoncie, a potem w centrum akcji genialnego polityka Juliana Felsenburgha. Spełniając marzenia o pokoju i dalszej unifikacji, ten „prezydent Europy” jest dosłownie ubóstwiany, przydając dotychczasowej bezosobowości systemu socjalizmu element spersonalizowanego absolutyzmu. Tutaj jednak dotykamy już tajemnicy kryjącej się w tytule: *Władca świata*.

W narracji Bensona jest oczywiście także wiele elementów, które brzmią dziś archaicznie i przeszkadzają w odbiorze książki jako proroczej, sięgającej istoty naszych obecnych zmagania. Jednak gdy w styczniu 2015 roku Franciszek został zapytany przez dziennikarza, co ma na myśli, kiedy mówi o „kolonizacji ideologicznej”, papież przywołał właśnie ten utwór. Radzę wam to przeczytać – mówił papież – mimo że na początku jest trochę ciężka. „Jest to książka, której autor zobaczył w tamtym czasie dramat kolonizacji ideologicznej... Czytając tę książkę, zrozumiecie dobrze, co rozumiem przez kolonizację ideologiczną”.

Franciszek mówił o tej samej książce przynajmniej jeszcze jeden raz wcześniej. Gdy w homilii z 18 listopada 2013 roku dzielił się uwagą, że „także dzisiaj duch światowości prowadzi nas do progresywizmu, do uniformizmu myślenia”, zaraz wymienił utwór Bensona, mówiąc, że pokazuje on jak duch świata prowadzi do apostazji, „niemal jakby to było proroctwo, jakby przewidywał co się stanie”.

Dodajmy, że już w lutym 1992 roku na utwór Bensona zwracał uwagę publicznie kardynał Joseph Ratzinger – wtedy gdy reagował krytycznie na pojawiające się wówczas hasło budowania „nowego porządku świata”, *New World Order*. Kardynał porównał to hasło do opowieści Bensona o „podobnie zunifikowanej cywilizacji i jej mocy niszczenia ducha”.

Zapewne więc jeśli ktoś sięgnie dziś do *Władcy świata* jako do „antyutopii”, nie będzie rozczarowany. Oby się tylko nie przeraził...

Prolog

– Niech pomyślę chwilkę – rzekł starzec, przechylając się w fotelu.

Percy skrzywił się na krześle i czekał, oparłszy podbródek na dłoni.

Pokój, w którym znajdowali się trzej mężczyźni, był bardzo cichy iumeblowany niezmiernie praktycznie, stosownie do wymagań czasu. Nie posiadał okien ani drzwi, gdyż od sześćdziesięciu już lat świat, doszedłszy do przeświadczenia, że można mieszkać nie koniecznie tylko na powierzchni ziemi, zaczął na serio żyć w jej głębinach. Toteż dom pana Templetona znajdował się o jakieś czterdzieści stóp pod powierzchnią brzegów Tamizy, w dość wygodnym, jak uważano, położeniu, bo zaledwie sto jardów od drugiej linii centralnej superautostrady i o ćwierć mili od stacji szybowców przy moście Braci Czarnych.

Zgodnie z wymaganiami urzędu zdrowia wszystkie ściany pokoju okrywała zielonkawa emalia, przypominająca barwę lasów na wiosnę, opromieniało zaś go sztuczne światło słoneczne, wynalezione przez wielkiego Reutera przed czterdziestu laty, a przyrządy automatyczne odświeżały powietrze i utrzymywały temperaturę dokładnie plus osiemnastu stopni Celsjusza.

Pan Templeton był człowiekiem skromnych wymagań, zadowolonym ze sposobu życia, jaki wiedli jego przodkowie. I meble przypominały więc też kształtem dawne czasy, jakkolwiek, zgodnie z obyczajem panującym obecnie, pokrywała je miękka emalia azbestowa, naciągnięta na żelazo, niezniszczalna, przyjemna w dotyku i podobna z wyglądu do mahoni. Kilka dobrze zapełnionych szafek bibliotecznych stało z obu stron piedestału z elektrycznym kominkiem, przed którym siedzieli właśnie trzej mężczyźni, w dalszych zaś kątach pokoju widniały dwie windy hydrauliczne: jedna do pokoju sypialnego, druga zaś do korytarza prostopadłego, kończącego się na brzegu rzeki.

Ojciec Percy Franklin, starszy z dwóch księży, rozmawiających z panem Templetonem, posiadał postać uderzającą. Pomimo bowiem, że liczył nie więcej, jak trzydzieści pięć lat, włosy jego były całkiem siwe. Spod brwi gęstych i czarnych wyglądały oczy szare, niezwykle połyskujące i prawie namiętne, ale nos wydatny, podbródek i usta zarysowane twardo zwiastowały siłę woli. Ludzie obcy, rzuciwszy na niego okiem, zwykle przyglądali mu się powtórnie.

Drugi natomiast z księży, ojciec Francis, siedzący na fotelu z drugiej strony kominka, nie wybiegał poza pospolitość. Miał wzrok przyjemny, czuły, ale rysy twarzy nie oznaczały mocy charakteru. Kąciki warg i ciężko opadające powieki zwiastowały raczej usposobienie podobne do kobiecej melancholii.

Co się zaś tyczy pana Templetona, był to człowiek bardzo stary, o twarzy czerstwej, aczkolwiek pokrytej zmarszczkami, wygolony gładko, jak reszta ówczesnych ludzi. Obecnie leżał przechylony na fotelu, z plecami opartymi o poduszki i nogami przykrytymi derką.

Percy przyglądał się przez czas dłuższy mapom, rozłożonym na kolanach.

– Tak, wszystko to przedstawia się bez wątpienia daleko prościej – szepnął wreszcie, porównując liczne plamy barwne na mapach wieku dwudziestego z trzema wielkimi plamami map wieku dwudziestego pierwszego.

Posunął palcem wzdłuż Azji. Wyrazy: „Cesarstwo Wschodnie” bieły w poprzek plamy blado-żółtej, rozciągającej się od Uralu do cieśniny Beringa, skracającej ogromnymi głoskami ku Indiom. Spojrzał następnie na plamę czerwoną. Była o wiele mniejszą, choć wcale znaczną, jeżeli zważymy, że obejmowała całą Europę od Uralu po Afrykę. Wreszcie plama niebieska z napisem: „Rzeczpospolita Amerykańska” obejmowała cały ląd amerykański, rozpraszając się na lewej stronie półkuli zachodniej w tysiącu plamek niebieskich wśród Oceanu Spokojnego.

– Tak, istotnie, przedstawia się to prościej – potwierdził sucho starzec.

Percy zamknął księgę i oparł ją o swoje krzesło.

– Ale cóż dalej, panie? – spytał. – Co będzie?

Stary mąż stanu, przedstawiciel stronnictwa torysów uśmiechnął się.

– Bóg wie – odparł. – Jeżeli Cesarstwu Wschodniemu spodoba się ruszyć przeciw nam, to jesteśmy bezsilni. Nie wiem nawet doprawdy, dlaczego dotychczas nie ruszyło. Przypuszczam, że chyba z powodu sporów religijnych.

– A Europa nie podzieli się? – spytał kapłan.

– Nie, nie! Znamy teraz nasze niebezpieczeństwo. I Ameryka poprze nas z pewnością. Niemniej powiem: niech Bóg ma w swej opiece nas, a raczej was, jeżeli Cesarstwo Wschodnie ruszy. Jest ono nareszcie świadome swoich sił.

Przez chwilę panowała cisza w pokoju, który zadrgał lekko pod wpływem jakiejś ciężkiej maszyny, sunącej gładko po szerokim bulwarze na powierzchni ziemi.

– A niech pan powie – odezwał się nagle Percy – jak pan sądzi, jak ułożą się w przyszłości sprawy religijne?

Pan Templeton odetchnął zawartością przyrządu trzymanego w ręce, po czym mówił:

– Krótko mówiąc, istnieją obecnie trzy siły: katolicyzm, humanitaryzm i religie Wschodu. O tych ostatnich nic powiedzieć nie mogę, jakkolwiek sądzę, że sufisi zwyciężą. Wszystko zdarzyć się może...

Nie ulega natomiast wątpliwości, że w Europie i Ameryce walka rozegra się między katolicyzmem i humanitaryzmem. Wszystko inne możemy pominąć. I sądzę, jeżeli chcecie wiedzieć, co sądzę, zapatrując się na te sprawy po ludzku, że katolicyzm będzie teraz szybko tracił na sile. Prawdą jest zupełną, że protestantyzm zakończył życie.

Ludzie bowiem zrozumieli nareszcie, że religia nadprzyrodzona pociąga za sobą konieczność istnienia autorytetu absolutnego, i że zdania osobiste w sprawach Wiary nie są niczym innym, jak tylko początkiem rozkładu. Prawdą jest także, że ponieważ Kościół katolicki stanowi instytucję jedyną, która przyznaje sobie autorytet nadprzyrodzony z całą jego nieubłaganą logiką, przyłączyli się przeto do niego niemal wszyscy chrześcijanie, którzy nie utracili jeszcze wierzeń nadprzyrodzonych. Bardzo to dobrze. Z drugiej wszelako strony musicie pamiętać, że wbrew wszelkim przewidywaniom, humanitaryzm zaczyna sam zamieniać się powoli w religię istotną, acz nie nadprzyrodzoną. Jest to panteizm rozwijający pod wpływem masonerii własny rytuał. Credo jego stanowi: „Bóg to człowiek”. Idealizuje, a pomimo to nie stawia żadnych żądań władzom duchowym człowieka. Poza tym ma do rozporządzenia wszystkie kościoły, prócz naszych i wszystkie katedry. Wreszcie wolno mu ujawniać swoje symbole, a nam nie wolno. Toteż sędzę, że najpóźniej za lat dziesięć panteizm będzie legalnie uznany za Kościół panujący.

Tymczasem, nie zapominajcie, że my, katolicy, ponosimy tylko straty. Tracimy stale od lat przeszło pięćdziesięciu. Obecnie jedna czterdziesta Ameryki należy nominalnie do nas i to dzięki jeszcze ruchowi katolickiemu na początku wieku dwudziestego. We Francji i Hiszpanii jakbyśmy nie istnieli. W Niemczech liczba katolików zmniejszyła się znacznie. Nie straciliśmy bez wątpienia stanowiska naszego na Wschodzie, ale i tam, jak opiewają dane statystyczne, jeden tylko katolik przypada na dwustu ludzi, przy tym katolicy są tam rozproszeni. We Włoszech? Hm, Rzym... należy wprowadzić znów do nas, lecz poza tym nic nie posiadamy. Tutaj mamy za sobą Irlandię, tudzież jedną sześćdziesiątą Anglii, Walii i Szkocji. Nie należy wszelako zapominać, że siedemdziesiąt lat temu jedna czterdziesta ludności wyznawała naszą wiarę.

Poza tym podkreślić należy ogromny rozwój psychologii, co najmniej od stu lat wymierzony w nas. Z początku, widzicie, istniał po prostu tylko materializm. Podupadł potem nieco, gdyż był zanadto surowy, aż psychologia pospieszyła mu na ratunek. Obecnie psychologia rości sobie pretensję do całej reszty pola działania... Tak, ojcze, tracimy grunt i tracić go będziemy coraz bardziej. Sędzę nawet, że powinniśmy być przygotowani na to, że lada chwila nastąpi katastrofa.

– Ależ... – zaczął Percy.

– Sędzisz, ojcze – przerwał pan Templeton – że to słabość ze strony człowieka, stojącego nad grobem. Trudno, tak jest, jak mówię, i nie widzę wyjścia. Zdaje mi się nawet, że rychło coś na nas spadnie. Nie, ojcze, sytuacja jest beznadziejna, chyba, że...

Percy spojrział bystro na mówiącego.

– Chyba – powtórzył stary mąż stanu – że Pan nasz powróci...

Ksiądz Francis westchnął i zapanowało milczenie.

Po chwili Percy zmienił nagle temat rozmowy.

– Cóż słyhać – spytał – o owym projekcie parlamentu europejskiego?

– Och, sądzę, że przejdzie, jeżeli znajdzie się człowiek, który by go poparł. Cały wiek ubiegły, jak wiecie, dążył ku temu. Szowinizm narodowościowy wymierał szybko. I powinien był zniknąć jak niewolnictwo i temu podobne pod wpływem Kościoła katolickiego. Dokonano jednak tego poza Kościołem, skutkiem czego świat zaczyna zwierać szeregi przeciwko nam. Jest to niejako antagonizm zorganizowany, coś w rodzaju katolickiego przeciwkościoła... Jeżeli projekt owego parlamentu przejdzie, to my, katolicy, możemy spodziewać się czegoś w rodzaju prześladowania... Z drugiej wszelako strony zbawić nas może najście Wschodu, jeżeli dojdzie do tego... Nie wiem...

Percy siedział cicho przez krótką chwilę, po czym zerwał się z krzesła.

– Trzeba iść! – zawołał w esperanto. – Już po dziewiętnastej. Dziękuję panu bardzo. Czy idziesz także, ojczy?

Ksiądz Francis powstał również, poprawiając ciemnoszary strój, który mogli nosić tylko księża i wziął w dłonie kapelusz.

– Zajrzyjcie – mówił starzec – znów kiedyś do mnie. Sądzę, że nie byłem zanadto gadatliwy. Zapewne musisz jeszcze wysłać swój list.

– Tak – odparł Percy, skinąwszy głową. – Połowę napisałem już dzisiaj rano, czułem jednak, że potrzebny mi jest jeszcze przegląd retrospektywny zdarzeń, zanim wyrobię sobie właściwe zdanie. Toteż dziękuję panu bardzo. Wielka to, istotnie, praca ten list codzienny do kardynała protektora. Myślę nawet o zrezygnowaniu z tego stanowiska, jeżeli otrzymam pozwolenie.

– Nie czyn tego, kochany ojczy. Niech mi będzie wolno powiedzieć ci w oczy, że posiadasz umysł bardzo bystry. Rzym zaś nic nie zdoła uczynić bez zrównoważonych informacji. A nie sądzę, aby wśród twoich konfratrów znalazł się człowiek tak skrupulatny pod tym względem.

Percy uśmiechnął się, podnosząc czarne brwi protestująco.

– Chodź, ojczy – rzekł do towarzysza.

Wyszedłszy z korytarza, księża rozeszli się i Percy stanął, spoglądając przez kilka minut na znany dobrze krajobraz jesienny, jakby usiłując zrozumieć go lepiej. Bo to, co słyszał tam na dole z ust starca, zdawało się przedstawiać w dziwnym świetle tę wizję wspaniałego dobrobytu, jaką miał przed oczyma.

Powietrze jaśniało, jak we dnie, sztuczne bowiem światło słoneczne obejmowało wszystko i Londyn nie znał już prawie różnicy pomiędzy dniem a nocą. Kapłan stał w pewnego rodzaju zaułku o ścianach wypolerowanych i wyłożonych grubo masą gumową, głuszącą kroki. Poniżej, u stóp schodów, przelewały się dwa strumienie przechodniów, przedzielone przegródką i dążące w przeciwne strony w niemal absolutnej ciszy. Słyszał tylko szept esperanta, którym mówili idący. Przez czyste szyby przejścia dla przechodniów, zrobionego ze szkła hartowanego, widać było szeroką, lśniącą czarną drogę, prążkowaną od końca do końca i pomarszczoną

w środku. Droga ta była w chwili obecnej dziwnie pusta, z daleka jednak, od starego Westminsteru, dolatywał szum, jak z olbrzymiego ula, rosnąc coraz bardziej, aż nagle mignęło na drodze coś przezroczyściego, buchając światłem z każdego kąta i oto szum zaczął przycichać, aż wreszcie umilkł zupełnie, w miarę, jak się oddalał wielki rządowy samochód, wiozący z południa na wschód pocztę. Bo droga, o której mowa, stanowiła uprzywilejowaną drogę rządową, dostępną tylko dla pojazdów państwowych, pędzących z szybkością nie przekraczającą 100 mil na godzinę.

W tym gumowym mieście inne hałasy wyciszono niemal zupełnie. Tory osobowe oddalone były o 100 jardów jeden od drugiego. Koleje zaś podziemne leżały zbyt głęboko, aby można było odczuć coś innego, jak tylko lekką wibrację. Ale i nad usunięciem tej nawet lekkiej wibracji, oraz szumu pojazdów rzeczoznawcy rządowi pracowali usilnie już od lat dwudziestu.

Zanim jeszcze Percy ruszył z miejsca, uszu jego doleciał z góry przeciągły krzyk, niezwykle harmonijny i donośny, a gdy oderwał wzrok od rzeki wielkiej, statecznej, która jedyna nie pozwoliła się opanować, ujrzał wysoko nad sobą, na tle ciężkich chmur długi przedmiot, połyskujący łagodnym światłem i sunący z majestatycznym spokojem w kierunku północnym. Był to jeden z szybowców linii europejskiej, zwiastujący śpiewnym krzykiem swoje przybycie do stolicy Anglii.

„Chyba że Pan nasz powróci” powtórzył Percy w myśli słowa wypowiedziane przez starca i przez chwilę nurtowało mu w sercu wspomnienie dawnego, pełnego nędzy bytu ludzkości. Jakże trudno utrzymać wzrok utkwiony w daleki widnokrąg, gdy tu, na pierwszym planie, widnieje świat tak pociągający wspaniałością i siłą! Och! Przed godziną zaledwie tłumaczył ojcu Francisowi, że ogrom to coś innego niż wielkość i że narzucająca się powierzchowność nie może wyłączyć subtelności wewnętrznej. I wierzył w to, co mówił wówczas, niemniej zwątpienie jeszcze istniało. Aż wreszcie stłumił je potężnym wysiłkiem, wzywając w sercu Mistrza z Nazaretu, aby nie opuszczał jego serca, jak serca dziecka.

Po czym zaciął wargi, zastanawiając się, jak długo ojciec Francis wytrzyma nacisk i zeszedł ze schodów.

KSIĘGA I NADEJŚCIE

Rozdział 1

Oliver Brand, nowy poseł z Croydonu, siedział w swej pracowni, spoglądając w okno ponad stojącą przed nim maszyną do pisania.

Jego dom położony był na północy na samym krańcu wzgórz Surrey, obecnie zmienionych nie do poznania z powodu licznie wywierconych w nich tunelach. Widok, rozpościerający się za oknem, mógł być ponętny tylko dla komunisty. Tuż pod szerokimi oknami ścięty grunt opadał zboczem, stromym na głębokość jakichś stu stóp, kończąc się wysokim wałem, za którym świat i prace ludzkie triumfowały jak daleko sięgnąć było okiem. Dwie olbrzymie drogi, podobne do wyciągniętych prosto torów wyścigowych, mierzące nie mniej niż ćwierć mili szerokości i zagłębione na dwadzieścia stóp pod powierzchnią ziemi, ciągnęły się ponad milę aż do połączenia na wielkiej stacji centralnej. Jedna z nich, na lewo, tworzyła główną drogę do Brighton, zapisaną w przewodniku dla podróżnych wielkimi głoskami, druga zaś, na prawo, wiodła do okręgów Tombridge i Hastings. Każda przedzielona była wzdłuż cementowym murem. Z jednej jego strony biegły na stalowych szynach tramwaje elektryczne, z drugiej zaś biegła gigantyczna superautostrada, podzielona na trzy części: pierwszą przeznaczono dla samochodów rządowych jeżdżących z prędkością 150 mil na godzinę, drugą dla prywatnych, które mogły jeździć nie szybciej niż 60 mil na godzinę, trzecią zaś dla tanich i produkowanych masowo w ramach rządowego programu samochodów, rozwijających maksymalnie 30 mil na godzinę i zatrzymujących się co 5 mil.

Dalej rozpościerała się ogromna równina dachów z wznoszącymi się tu i ówdzie wieżyczkami, oznaczającymi gmachy publiczne, odcinającymi się wesoło i wyraźnie w bezdymnym powietrzu; jeszcze zaś dalej na jasnym kwietniowym niebie widniały zarysy podmiejskich wzgórz.

Zważywszy na ogromny ruch ludności w powietrzu panowała zadziwiająca cisza. Poza dudnieniem stalowych szyn, gdy pociąg biegł po nich na północ lub na południe i śpiewnym krzykiem samochodów, gdy podjeżdżały do stacji, w pracowni rozlegał się łagodny i uspokajający szum podobny do brzęku pszczoł w ogrodzie.

Olivera cieszyła każda oznaka życia ludzkiego, każdy odgłos i każdy ożywiony widok. Toteż uśmiechnął się obecnie, łowiąc uchem tętno życia i spoglądając przez okno w czysty przestwór. Wreszcie ściągnął wargi, położył palce na klawiszach maszyny i w dalszym ciągu układał mowę, którą miał wygłosić.

Położenie domu, w którym mieszkał, było bardzo szczęśliwe, stał bowiem w jednym z końców potężnej pajęczej sieci dróg, pokrywającej cały kraj. Dość bliski Londynu,

aby być tanim – wszystkie bowiem osoby bogate przeniosły się przynajmniej na odległość 100 mil od pulsującego serca Anglii – pomimo to był zupełnie spokojny. Do Westminsteru z jednej strony dotrzeć można było w przeciągu dziesięciu minut, do morza zaś z drugiej – w przeciągu dwudziestu. Dalej, ponieważ i wielkie stacje centralne Londynu znajdowały się w odległości dziesięciu minut, Oliver miał w każdej chwili do dyspozycji wszystkie linie komunikacyjne, co wiele znaczyło dla polityka średnio zamożnego, zmuszonego dziś przemawiać w Edynburgu, a jutro w Marsylii.

Człowiek młody o wyglądzie przyjemnym, liczący niewiele ponad lat trzydzieści, czarnowłosa, gładko wygolony, niebieskooki i białolicy, o postawie wysmukłej, męskiej i pociągającej, zdawał się być dziś niezmiernie zadowolony z siebie i ze świata. Wargi jego poruszały się z lekka, a oczy rozszerzały lub zmrużały, stosownie do wrażeń przenoszonych na papier. Od czasu do czasu zatrzymywał się uśmiechnięty i czerwienił.

Otworzyły się drzwi pracowni, wszedł człowiek w średnim wieku, o ruchach nerwowych i położywszy bez słowa na stole przyniesioną paczkę papierów zabierał się do wyjścia. Oliver jednak zatrzymał go ruchem ręki, trzasnął lewarkiem w maszynie i spytał:

– No co, panie Phillips?

– Nie ma wiadomości ze Wschodu – odparł zagadnięty sekretarz pośła.

Oliver rzucił okiem na papiery i położył na nich rękę.

– Nie ma – spytał – depeszy w całości?

– Nie. Znów jest przerwana. Wymieniono w niej Felsenburgha.

Oliver zdawał się nie słyszeć. Podniósł nagłym ruchem słabo zadrukowane arkusze i zaczął je przeglądać.

– Czwartý arkusz u góry, panie Brand – odezwał się sekretarz.

Oliver ruszył głową niecierpliwie, a na ten znak sekretarz wysunął się z pokoju.

Czwarty arkusz od góry, zadrukowany farbą czerwoną na tle zielonym, zajął uwagę Olivera całkowicie. Przeczytał go bowiem dwa czy trzy razy, oparłszy się bez ruchu o poręcz krzesła, wreszcie westchnął i wyjrzał znów przez okno.

W tej chwili drzwi otworzyły się ponownie i stanęła w nich młoda, wysoka kobieta.

– No i cóż, mój kochany? – spytała.

Oliver potrząsnął głową, zacinając wargi.

– Nic stanowczego – odparł. – Nawet mniej, niż zwykle. Słuchaj...

Wziął do ręki zielony arkusz i zaczął czytać, a towarzyszka jego usiadła przy oknie z lewej strony.

Była to postać zachwycająca. Wysoka i wiotka, o poważnych, gorących, szarych oczach, mocno zarysowanych czerwonych wargach i prześlicznym rysunku ramion oraz głowy. Gdy Oliver wziął papier do ręki, przeszła wolno w poprzek pokoju, obecnie zaś siedziała trochę przechylona w brunatnej sukni, przyjąwszy pozę wdzięczną i poważną.

Na pozór słuchała czytania z pewną rozmyślną uwagą, lecz oczy jej połyskiwały ciekawością.

Oliver czytał:

„Irkuck – czternastego kwietnia. – Wczoraj – jak zwykle – ale – mówią – zawód – ze – strony – sufistów – wojsko – wciąż – napływa – Felsenburgh – przemawiał – do tłumu – buddystów – piątku – ubiegłego – dokonano – zamachu – na – lamę – czyn – anarchistów – Felsenburgh – odjeżdża – do – Moskwy – jak postanowiono – zamierza...”.

– Oto wszystko – rzekł Oliver, niezadowolony, przerwawszy czytanie. – Jak zwykle, depesza nie dokończona.

Kobieta zakołysała nogą.

– Wprost nie pojmuję – zauważyła – kim jest w końcu ten Felsenburgh?

– Kochane dziecko, o to właśnie cały świat pyta. Nie wiadomo nic, poza tym, że w ostatniej chwili zaliczono go do deputacji amerykańskiej. Co prawda, „Herald” podał jego życiorys w ubiegłym tygodniu, ale już mu zaprzeczono. Pewne jest tylko, że to człowiek młody i że dotychczas niczym się nie odznaczył.

– Obecnie jednak – zauważyła kobieta – nie jest już nieznany.

– Oczywiście. Jak się nawet zdaje, kieruje całą sprawą. Bo ani słowa nie słyhać o innych.

– A cóż ty o tym myślisz?

Oliver skierował wzrok błędny na okno.

– Sądzę, że to chwila decydująca. Dziwnym jest tylko to, że mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Ha, może być, że to sprawa zbyt potężna dla wyobraźni. Nie ulega wątpliwości, że w przeciągu ostatnich pięciu lat Wschód przygotowywał najście na Europę. Najście to powstrzymała jedynie Ameryka. Jesteśmy obecnie świadkami usiłowania ostatecznego. Dlaczego jednak przy tym Felsenburgh wysunął się na czoło? – Tu Oliver zatrzymał się na chwilę. – Hm, w każdym razie musi być dobrym lingwistą. Przemawia już co najmniej w piątym języku. A może tylko jest tłumaczem deputacji amerykańskiej. Bardzo ciekaw jestem, co to za osobistość.

– Jak mu na imię?

– Podobno Julian. Tak przynajmniej nazwano go w jednej depeszy.

– A jakżeś otrzymał ostatnią?

– Drogą prywatną. Agencje europejskie przestały pracować. Wszystkie stacje telegraficzne strzeżone są dniem i nocą. Szeregi szybowców pilnują każdej granicy. Cesarstwo Wschodnie pragnie załatwić bez nas tę sprawę.

– A jeżeli źle pójdzie?

– Kochana Mabel, jeżeli piekło runie na nas... – tu przerwał i rozłożył ręce rozpaczliwym ruchem.

– A cóż robi nasz rząd?

– Pracuje dzień i noc, jak reszta Europy. Gdyby jednak doszło do wojny, będzie to straszliwa walka.

– Czyż nie ma szansy uniknięcia tej walki?

– Zdaniem moim – odparł Oliver wolno – istnieją dwie szanse: albo Wschód złęknie się Ameryki i nie ruszy się po prostu ze strachu, albo też zniewolony będzie dążył do jej zaniechania przez współczucie, jeżeli tylko pojmie, że jedyną nadzieję świata stanowi współdziałanie. Gdyby tylko nie te przeklęte ich religie!

Mabel westchnęła i spojrzała na rozległą równinę dachów, rozpościerającą się za oknem.

Sytuacja była istotnie jak najpoważniejsza. Olbrzymie Cesarstwo Wschodnie, utworzone przez sfederowanie państw pod wodzą syna nieba (umożliwione wskutek zlania się dynastii chińskiej z japońską i upadek Rosji) konsolidowało siły i poznawało potęgę swą w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat, mianowicie od czasu zagarnięcia chudymi rękoma Indii. Gdy reszta świata uznała już całe szaleństwo wojny od czasu upadku rzeczypospolitej rosyjskiej pod naciskiem rasy żółtej – rasa żółta właśnie poznała, co wojna dać może. Zdawało się więc, że cywilizacja ostatniego wieku zmieciona będzie i zamieni się raz jeszcze w chaos. Myśl o tym doprowadzała Olivera wprost do szału. Gdy spoglądał przez okno i widział rozłożony przed sobą w spokoju ten olbrzymi obszar Londynu, gdy unosił się wyobraźnią nad Europą i dostrzegał wszędzie stały triumf zdrowego rozsądku i faktów nad dzikimi bajkami chrześcijaństwa – zdawała mu się wprost nie do zniesienia myśl, że wszystko to powrócić mogłoby jeszcze do zamętu barbarzyńskiego sekt i dogmatów, bo to jedynie mogłoby być wynikiem zwycięstwa Wschodu nad Europą. Odżyłby nawet – mówił do siebie – katolicyzm, ta wiara dziwna, wybuchająca tylokrotnie płomieniem, gdy usiłowano stłumić ją przez prześladowania, ta wiara najdziwaczniejsza i najbardziej z wszystkich wiar zaprzęgająca człowieka w niewolę.

Perspektywa takiego biegu spraw niepokoiła Olivera szczerze, niepokoiła daleko bardziej, niż widoki katastrofy fizycznej i rozlewu krwi w Europie w razie najścia Wschodu. W sprawie religii – jak to już nie raz słyszała Mabel z ust jego – nadzieją jedyną było to, że panteizm kwietystyczny, który uczynił już w ciągu ubiegłego wieku postępy tak olbrzymie na wschodzie i zachodzie, wśród mahometan, buddystów, hindusów, czy wyznawców Konfucjusza, dopomoże w zniweczeniu szału nadprzyrodzonego.

Panteizm odzwierciedlał jego wiarę. Dla niego „Bóg” to rozwijająca się suma życia nadprzyrodzonego; bezosobista Jedność tworzyła treść istoty tego Boga; współzawodnictwo więc stanowiło wielką herezję, przeciwstawiającą człowieka człowiekowi i powstrzymującą wszelki postęp, bo dla umysłu Olivera postęp oznaczał wsiąknięcie jednostki w rodzinę, rodziny w społeczeństwo, społeczeństwa w część świata, a części świata w jego całość. W końcu zaś sam świat nie był niczym innym, jak

tylko wyrazem życia nieosobistego. Była to w istocie idea katolicyzmu, z której usunięto nadprzyrodzoność: wyrzeczenie się indywidualizmu z jednej, a nadprzyrodzoności z drugiej strony. Zdradą nazywało się apelowanie do Boga transcendentalnego; Bóg taki nie istniał, Bogiem takim, o ile mógł On być poznany, było człowieczeństwo.

Niemniej małżonkowie – bo Oliver i Mabel tworzyli pewnego rodzaju małżeństwo, zawarłszy z sobą kontrakt terminowy, uznawany przez państwo – byli dalecy od podzielania zwykłej tępości wierutnych materialistów. Świat dla nich pulsował życiem gorącym, rozkwitającym w kwiatach, zwierzętach i ludziach; rozlewał się potokiem mocy wspaniałej, wyłaniającym się ze źródła głębokiego i zraszającym wszystko, co żyło lub czuło. Romantyczność tego cudnego świata dawała się ocenić tym bardziej, że była zrozumiała dla umysłów, które z niego wypływały. Istniały w nim, co prawda, tajemnice, lecz tajemnice, pociągające raczej, niż zawodzące, ujawniały bowiem nowe wspaniałości z każdym odkryciem uczynionym przez człowieka. Nawet przedmioty nieożywione, nawet wykopaliska, prąd elektryczny, gwiazdy dalekie, były pyłem, otrząśniętym przez Ducha Świata, woniejącym Jego obecnością, świadczącym wymownie o Jego Naturze. Jak dalece, na przykład, zmieniło poglądy ludzi na samych siebie oświadczenie astronoma Kleina przed laty dwudziestu, że zaludnienie pewnych planet stało się faktem! Jednym wszelako z warunków postępu na planecie zamieszkaney przez człowieka był pokój, a nie miecz przyniesiony przez Chrystusa; pokój wyrastający ze zrozumienia a nie przerastający go; pokój pochodzący ze świadomości, że człowiek był wszystkim i mógł rozwinąć się tylko współczując z bliźnimi swymi.

Toteż dla Olivera i małżonki jego świat obecny wydawał się czymś zupełnie nowym. Dawne przesady zamarły stopniowo, a nowe światło rozszerzało się coraz bardziej. Duch Świata powstał, słońce wzeszło, ze strachem więc i wstrętem widzieli obecnie chmury, wyłaniające się z miejsca urodzenia wszelkich przesądów.

Mabel powstała z krzesła i podeszła ku mężowi.

– Mój kochany – rzekła – nie trzeba tracić odwagi. Wszystko to przejść jeszcze może tak, jak przechodziło dotychczas. Już to świadczy dobrze, iż w ogóle słuchają głosu Ameryki. I ten Felsenburgh zdaje się stać po stronie słuszności.

Oliver ujął jej rękę i pocałował.

Przy śniadaniu jednak, w pół godziny później, zdawał się mocno przygnębiony. Matka jego, staruszka blisko osiemdziesięcioletnia, nie pojawiająca się nigdy przed południem, spostrzegła to od razu: spojrzawszy bowiem i przemówiwszy parę słów do niego, zamilkła, schylając się nad talerzem.

Siedzieli w milutkim pokoju, tuż za gabinetem Olivera. Stosownie do powszechnie przyjętego obyczaju, pokój ten umeblowany był meblami barwy jasnozielonej. Okna jego wychodziły na ogródek, rozpościerający się z tyłu domu i na mur, obrośnięty

pnącymi roślinami, a oddzielający go od sąsiedniej posesji.

W środku pokoju stał okrągły stół, a przy nim trzy wysokie fotele z wygodnymi poręczami i oparciami. Pośrodku stołu wznosiło się okrągłe podwyższenie, na nim zaś stały półmiski. Od lat już trzydziestu stało się zwyczajem powszechnym w domach zamożnych umieszczanie jadalni nad kuchnią i przesyłanie potraw z kuchni do jadalni za pomocą wind hydraulicznych w taki sposób, że półmiski pojawiały się same na środku stołu. Podłogę pokrywała masa z azbestu i korka, wynaleziona w Ameryce, tłumiąca kroki, czysta i przyjemna tak dla stóp, jak dla oka.

Mabel przerwała milczenie.

– A twoja jutrzejsza mowa? – spytała, sięgając po widelec.

Oliver rozchmurzył się trochę i stał się rozmowniejszy.

Okazało się z rozmowy, że Birmingham zaczyna znów się burzyć. Znów odezwały się tam głosy żądające wolnego handlu z Ameryką. Ułatwienia handlu z kontynentem europejskim nie wystarczały. Oliverowi zatem powierzono uspokojenie umysłów. Miał im powiedzieć, że nie ma celu żadna agitacja, dopóki sprawa wschodnia nie będzie załatwiona. Ludność nie powinna właśnie w takiej chwili, jak obecna, naprzykrzać się rządowi sprawami podrzędnymi. Miał także powiedzieć im, że rząd uznaje słuszność żądań i że bez wątpienia wkrótce je uwzględni.

– Ograniczeni są i samolubni – dodał gwałtownie. – Przypominają dzieci napychające się słodyczami na dziesięć minut przed obiadem. Otrzymaliby wszystko, gdyby poczekali trochę.

– I powiesz im to?

– Że są ograniczeni? Bezwarunkowo.

Mabel spojrzała na męża z przebłyskiem uznania w oczach. Wiedziała doskonale, że popularność, jaką cieszył się Oliver, polegała na jego otwartości. Tłum lubi, gdy chłoszcze go słowem i urąga mu człowiek genialny i odważny, rzucający się i gestykułujący w uniesieniu magnetycznym. I ona sama lubiła to również.

– Jak się tam dostaniesz?

– Szybowcem. Zdążę na statek odlatujący ze stacji przy moście Braci Czarnych o osiemnastej. Wiec odbyć się ma o dziewiętnastej, powrócę więc zapewne o dwudziestej pierwszej.

Zabrał się energicznie do śniadania, a matka spoglądała na niego z cierpliwym, dobrym uśmiechem staruszki.

Mabel zaczęła bębnić palcami po obrusie.

– Mój kochany – rzekła wreszcie – pospiesz się, bo muszę być w Brighton o piętnastej.

Oliver połknął ostatni kęs, postawił talerz na okrągłym wzniesieniu pośrodku stołu, spojrzał czy i inne talerze tam już stoją, po czym sięgnął ręką pod stół.

W tejże chwili, bez najmniejszego szmeru, wzniesienie opadło i znikło, wkrótce

jednak odezwało się z dołu szcęknięcie i szmer czegoś posuwanego i oto wzniesienie ukazało się znów na środku stołu, na nim zaś półmisek z doskonałym pieczonym kurczakiem.

Spędziwszy po śniadaniu minutę czy dwie z mężem, Mabel wyszła z domu, aby zdążyć na pociąg pomocniczy czwartego stopnia, odchodzący o godzinie czternastej minut trzydzieści do stacji głównej.

– Czy zauważyłaś – spytał Oliver żony, gdy znaleźli się sami – że matka jest jakaś milcząca?

– Ach – odparła Mabel – to znów kwestia nowych potraw. Nie może się do nich przyzwyczaić. Stale powiada, że nie idą jej na zdrowie.

– I nic innego?

– Zapewniam cię, że nic. Ani słowem nie narzekała ostatnimi czasy.

Uspokojony, śledził przez chwilę wzrokiem żonę, idącą chodnikiem. Bo w ostatnich czasach zaniepokoiło go trochę kilka słów, rzuconych przez matkę. W latach młodości wychowywana była po chrześcijańsku i zdawało mu się czasem, że wspomnienie tych czasów pozostawiło na niej piętno. Wśród swoich książek posiadała jeszcze jakiś *Ogród duszy*, z którym nie chciała się rozstać, jakkolwiek zapytywana w tej sprawie odpowiadała zawsze z rozdrażnieniem w głosie, że to książka bez znaczenia. Niemniej Oliver wolałby, aby ją spaliła. Przesąd bowiem to rzecz strasznie trudna do wykorzenia i bardzo łatwo opanowuje człowieka w miarę słabnięcia mózgu. Chrześcijaństwo, mówił sobie, jest równie dzikie jak głupie. Dzikie ze względu na jawną śmieszność i niemożliwość, głupie zaś, ponieważ trzymało się z dala od rozweselającego strumienia życia. Wiedział, że czołga się jeszcze jak pył tu i ówdzie w mrocznych kościołach i odzywa się krzykiem histerycznej sentymentalności w katedrze westminsterskiej, do której wszedł raz i spoglądał na nabożeństwo z uczuciem wstrętu i gniewu. Bełkotało ono dziwne, fałszywe słowa ludziom ciemnym, starym i niespełna rozumu. Doprawdy, byłoby straszne, gdyby matka miała znów powrócić do tych zabobonów.

Co do niego samego, to o ile tylko mógł sobie przypomnieć, zawsze sprzeciwiał się ustępstwom na rzecz Rzymu i Irlandii. Nie mógł pogodzić się z myślą, aby te dwa miejsca miały być raz na zawsze oddane na pastwę głupiemu i zdradzieckiemu zabobonowi. Stały się one bowiem ogniskami rokoszu, plamami zarazy na ciele ludzkości. Nigdy nie zgadzał się z twierdzącymi, że lepiej, aby cała trucizna Wschodu zebrała się w tych dwóch miejscach, zamiast rozpościerać się wszędzie, gdyż bądź co bądź istniała. Rzym oddano całkowicie starcowi w białej szacie w zamian za wszystkie kościoły parafialne we Włoszech i, jak słyhać, ciemności średniowieczne zapanowały tam niepodzielnie. Co do Irlandii, to, otrzymawszy autonomię, opowiedziała się za katolicyzmem i otworzyła na oścież wrota indywidualizmowi pod postacią najbardziej niebezpieczną. Anglia zgodziła się na takie życzenie ze śmiechem, gdyż uwolniło ją to

od agitacyjnego wrzenia wskutek natychmiastowego wyjazdu znacznej części katolików angielskich na tę wyspę, a przy tym, działając w duchu komunistycznej polityki kolonialnej, zgodziła się też na wszelkie ułatwienia dla indywidualizmu w Irlandii, aby przez to sprowadzić go *ad absurdum*. I oto zaczęły się tam dziać rzeczy zabawne: Oliver czytał z gorzkim uśmiechem o nowym zjawieniu się na wyspie Kobiety w szacie niebieskiej i o kaplicach, wznoszonych na miejscach, przez Jej stopy dotkniętych. Nie bawiła go natomiast myśl o Rzymie, albowiem przeniesienie stolicy rządu włoskiego z Rzymu do Turynu pozbawiło Rzeczpospolitą Włoską w znacznej mierze wpływu moralnego, zdobytego w przeszłości, z drugiej zaś strony otaczało stary nonsens religijny złudną aureolą wspomnień historycznych.

Oliver stał jeszcze przez kilka chwil po odejściu żony na progu drzwi, pijąc uspokojenie ze wspaniałego obrazu mocy i rozumu, rozpościerającego się przed jego oczyma: wszędzie widniały bez końca wysokie szklane sklepienia publicznych basenów i zakładów gimnastycznych, kopuły szkół, gdzie uczono co rano praw i obowiązków obywatelskich, wznoszące się tu i ówdzie, podobne do pajaków, windy i rusztowania. Już nawet i kilka strzelających ku niebiosom wież kościelnych nie przejmowało go niepokojem, ponieważ daleko, wśród szarej mgły Londynu, roił się prawdziwie piękny, olbrzymi tłum ludzi, którzy pojęli wreszcie elementarną zasadę nowej ewangelii, że nie ma Boga prócz człowieka, kapłana prócz męża stanu, proroka prócz nauczyciela.

Następnie wrócił raz jeszcze do opracowania mowy, którą miał wygłosić.

Mabel także zagłębiła się w myślach, siedząc w pociągu pędzącym do Brighton z dziennikiem rozłożonym na kolanach. Wiadomości nadchodzące ze Wschodu niepokoiły ją bardziej, niż to mężowi okazywała, choć zdawało się niemożliwym, aby istniało istotne niebezpieczeństwo inwazji Azjatów. Życie Zachodu było tak rozumne i spokojne! Ludzie postawili nareszcie stopy na skale i nawet myśleć nie można było o tym, aby zechcieli wleźć znów w grzaskie, wirowate piaski. Sprzeciwiało się to całemu prawu postępu. A jednak nie mogła się pozbyć myśli, że katastrofy należały także do metod stosowanych przez przyrodę...

Siedziała bardzo cicho, rzucając czasem okiem na skąpe wiadomości ze Wschodu, po czym przeczytała oparty na nich wstępniak. I w artykule tym zdawało się przebijać przerażenie. Kilku mężczyzn, znajdujących się w sąsiednim przedziale, rozmawiało o tej samej sprawie. Jeden z nich opisywał fortyfikacje, wznoszone przez rząd, które zwiedził, oraz pośpiech, jaki tam panował. Inni pytali i wtrącali swoje zdania. Nie brzmiały one pocieszająco. Wagon nie posiadał okien, szybkość bowiem pociągów na liniach głównych była tak wielka, że stawała się szkodliwą dla wzroku. Toteż tylko wewnątrz długiego wagonu, opromienionego łagodnym światłem, rozpościerało się przed jej oczyma. Przez pewien czas spoglądała to na białe rzeźbione sklepienie, to na śliczne obrazy w dębowych ramach, to na głębokie fotele sprężynowe, to na globy mleczne nad głową, rzucające potoki światła, to wreszcie na siedzącą naprzeciwko matkę

z dzieckiem.

Wtem odezwał się dźwięk śpiewny i donośny, ledwie że odczuwana wibracja wagonu zwiększyła się nieznacznie, a po chwili odsunęły się automatyczne drzwi i Mabel stanęła na platformie stacji w Brighton.

Zstępując ze schodów, wiodących do stacji, ujrzała księdza idącego przed nią. Musiał być starcem dzielnym i rześkim, bo choć włosy miał całkiem siwe, stapał śmiało i pewnie. U stóp schodów zatrzymał się i obrócił trochę. Wówczas spostrzegła zdziwiona, że posiada twarz młodą, piękną i energiczną, o brwiach czarnych i bardzo jasnych szarych oczach. Wkrótce minęła go i skierowała się w poprzek placu ku domowi ciotki.

Nagle, bez jakiegokolwiek zapowiedzi, prócz ostrego huku gdzieś w górze, zaszedł cały szereg szybko po sobie następujących faktów.

Wielki cień zakręcił się u jej stóp, podobny do rozdarcia czegoś, wstrząsnął powietrzem, po czym rozległ się szum, jak olbrzymie westchnienie. Gdy stanęła przerażona, potężny przedmiot runął przed nią na gumowy bruk z chrzęstem i legł, zapełniając połowę placu, wyciągając ku górze skrzydła, kręcące się jeszcze i uderzające powietrze, jak płetwy okropnego prehistorycznego potwora; rozbrzmiewając krzykiem i jękami ludzkimi; wijąc się życiem dogasającym...

Mabel nie była prawie w stanie zdać sobie sprawy z tego, co zaszło. Popchnięta gwałtownie z tyłu, runęła naprzód, zatrzymując się, drżąc od stóp do głowy, tuż przed poszarpanym ciałem mężczyzny, jęczącego i rozpostartego u jej nóg. Z ust jego dobywały się dźwięki artykułowane, wśród których dosłyszała wyraźnie imiona: Jezus i Maryja. W tejże chwili ktoś szepnął jej do ucha:

– Proszę mnie przepuścić. Jestem kapłanem.

Usunęła się na wezwanie i oszołomiona nagłością zdarzenia, patrzyła niemal bezmyślnie na siwego księdza o twarzy młodej, jak klęknął, rozpiął szatę i dobył spod niej krucyfiks; jak następnie schylił się nad ranionym, uczynił szybki ruch ręką i szepnął coś w niezrozumiałym języku. A potem jak powstał i szedł po zboczonym krwią bruku, rozglądając się jakby w oczekiwaniu wezwania.

W tejże chwili po schodach wielkiego szpitala, stojącego na prawo od niej, zbiegły spieszenie postacie z głowami obnażonymi, trzymając w rękach przyrządy, przypominające dawne aparaty fotograficzne. Wiedziała, kim są ci ludzie i serce jej zabiło uczuciem ulgi. Byli to bowiem śludzy eutanazji.

Jednocześnie uczuła się ujętą za ręce, cofniętą w tył i znalazła się w pierwszym rzędzie kołyszącego się i krzyczącego tłumu, poza plecami policjantów oraz osób cywilnych, tworzących kordon, aby utrzymać publiczność z dala od miejsca katastrofy.

Oliver przeraził się i zaniepokoił strasznie, gdy w pół godziny potem do jego pokoju wbiegła matka z wiadomością, że jeden z szybowców rządowych spadł na plac przy stacji w Brighton właśnie w chwili, gdy opuszczali ją podróżni, którzy tam przybyli

pociągiem o godzinie czternastej minut trzydzieści. Wiedział dobrze, co to znaczy, pamiętał bowiem podobną katastrofę sprzed dziesięciu laty, wkrótce po uchwaleniu prawa zabraniającego osobom prywatnym utrzymywania szybowców. Wiadomość ta zwiastowała śmierć wszystkich znajdujących się w statku powietrznym i prawdopodobnie wielu osób przechodzących wówczas placem, a przygniecionych spadającym statkiem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że żona jego znajdowała się w tej strasznej chwili na placu.

Natychmiast wysłał rozpaczliwą depezę do ciotki, prosząc o nowiny i rzucił się na krzesło, drżąc cały w oczekiwaniu odpowiedzi.

Matka siedziała przy nim.

– Oby... Bóg był łaskaw... – zawołała łkając i zamilkła, gdy syn na nią spojrział.

Lecz los był litościwy, skoro na trzy minuty przed utorowaniem sobie drogi przez Phillipsa, podążającego do domu z odpowiedzią, na progu pokoju Olivera stanęła Mabel we własnej osobie, trochę blada, lecz uśmiechnięta.

– Jest! – krzyknął Oliver i skoczył, załkawszy mocno.

Niewiele miała mu do opowiadania. Dotychczas nie ogłoszono jeszcze przyczyn katastrofy. Przypuszczano wszelako, że szybowiec spadł wskutek nagłego zatrzymania się skrzydeł bocznych z jednej strony.

Opisała mu, jak cień szybowca pokazał się przed nią, jak usłyszała szum, a następnie trzask spadającego statku – i stanęła.

– Cóż dalej? – pytał Oliver, jeszcze blady, siedząc tuż przy niej i pieszcząc jej rękę.

– Był tam także ksiądz – rzekła. – Widziałam go już przedtem, na stacji.

Oliver parsknął z lekka histerycznym śmiechem.

– Uklęknął natychmiast – mówiła dalej – trzymając krucyfik w ręce, zanim jeszcze nadbiegli lekarze. Czyż to możliwe, mój kochany, aby ludzie wierzyli w takie rzeczy?

– Cóż robić, tak im się zdaje.

– Katastrofa zdarzyła się niespodziewanie, a jednak on znalazł się tam tak, jakby jej oczekiwał. A powiedz mi, Oliverze, jakże można jeszcze wierzyć w takie rzeczy?

– Widzisz, ludzie gotowi są wierzyć we wszystko, jeżeli tylko wmawia się to im zawczasu.

– A ten człowiek, chcę powiedzieć: ofiara katastrofy, ten człowiek umierający zdawał się też pełen wiary. Widziałam jego oczy.

Mabel nagle się zamyśliła.

– No i cóż, kochana?

– Słuchaj, Oliverze, co ty byś powiedział umierającemu człowiekowi?

– Co? Nic! Bo i cóż mógłbym mu powiedzieć? Doprawdy, nawet nie pamiętam, czy widziałem kiedykolwiek umierającego człowieka.

– I ja nie widziałam do dnia dzisiejszego – przy tych słowach lekko drżała – wnet jednak znaleźli się na miejscu ludzie eutanazji.

Oliver uścisnął delikatnie jej rękę.

– Jakżeż to musiało być okropne, droga moja. Dotychczas wzdrygasz się jeszcze.

– Nie. Ale słuchaj. Wiesz, że gdybym miała coś do powiedzenia tam, tym konającym, to bym bardzo pragnęła im to wypowiedzieć... Znajdowali się tuż, u mych stóp. Namyślałam się i spostrzegłam, że nie mam im nic do powiedzenia, bo o humanitaryzmie przecież nie mogłabym mówić im w żaden sposób.

– Dziecko moje, prawda, że to bardzo smutne, ale co na to poradzić? Stało się!

– I... na tym wszystko się kończy?

– Ma się rozumieć!

Mabel zacięła z lekka wargi, po czym westchnęła. Podczas jazdy pociągiem mózg jej przebiegały skłębione myśli. Wiedziała doskonale, że wywołało je tylko wstrząśnienie nerwowe, nie mogła wszelako ich się pozbyć. Jak zaznaczyła sama, po raz pierwszy stanęła oko w oko ze śmiercią.

– A ten ksiądz? – odezwała się po chwili. – Ten ksiądz nie wierzy, aby się na tym wszystko skończyło?

– Moje dziecko, powiem ci, w co on wierzy. Oto wierzy, że człowiek, któremu pokazał swój krucyfiks i powiedział słowa dosłyszane przez ciebie, żyje gdzieś, jakkolwiek mózg jego przestał pracować. Gdzie właściwie, tego nie wie: albo w rodzaju pieca hutniczego, w którym skazany jest na pieczenie się powolne, albo też, jeżeli jest bardzo szczęśliwy i ów kawał drzewa, zwany krucyfiksem, zdziałał swoje, znajduje się gdzieś za chmurami, w obliczu Trzech Osób, tworzących Jedną, aczkolwiek są Trzy; pełno tam innych osób, a wśród nich Kobieta w niebieskiej szacie, tudzież istoty w białych szatach z głowami schylnymi na bok.

– Wszystkie te istoty posiadają harfy, grając na nich i śpiewając bez końca. Wierzy dalej, że wszystkie owe piękne osoby przechadzają się po chmurach i znajdują w tym wielką przyjemność; spoglądają wiecznie w dół na wspomniany już piec hutniczy i wychwalają Trzy Wielkie Osoby za to, że dały im życie. Oto, w co ów ksiądz wierzy. Pojmujesz, że to brednie, że może to być bardzo... piękne, ale prawdą nie jest.

Mabel uśmiechnęła się zadowolona, gdyż nikt jeszcze nie wytłumaczył jej tego tak zrozumiale.

– Istotnie, mój drogi. To nie może być prawdą. Lecz dlaczego on wierzy w takie rzeczy? Wyglądał na człowieka naprawdę inteligentnego.

– Moje dziecko, gdybym ja, na przykład, wmawiał w ciebie od kolebki, że księżyc to krąg zielonego sera, i gdybym wbijał ci to w głowę dzień po dniu aż do dnia dzisiejszego, jestem prawie pewien, że uwierzyłabyś w końcu w moje słowa. Prawdziwymi kapłanami, moja kochana, są słudzy eutanazji. W głębi serca czujesz to jak ja.

Mabel westchnęła z uczuciem ulgi i powstała.

– Nikt tak nie potrafi – rzekła – dodać otuchy, jak ty, Oliverze. Kocham cię za to.

Muszę iść do swego pokoju. Cała jeszcze jestem pod wrażeniem katastrofy.

Idąc przez pokój, zatrzymała się nagle, pokazując trzewik.

– Co to? – spytała słabym głosem.

Na trzewiku widniała krwawa plama. Oliver spostrzegł, że Mabel, patrząc na nią, znów blednie. Powstał więc szybko.

– Proszę cię – zawołał – nie bądź dzieckiem!

Mabel spojrzała na niego, uśmiechnęła się odważnie i wyszła.

Gdy odeszła, stał jeszcze przez pewien czas w miejscu, w którym go pozostawiła. Jakże czuł się szczęśliwy! Nie chciał nawet myśleć, czym byłoby dla niego życie bez niej. Znał ją od siedmiu lat – miała wówczas lat dwanaście. Wreszcie roku zeszłego udali się razem do urzędnika okręgowego, aby podpisać kontrakt ślubny. I od tego czasu stała się dla niego istotną potrzebą. Bez wątpienia świat mógłby obyć się bez niej. Przypuszczał również, że i on przyzwyczaiłby się do straty, jaką by wywołała jej śmierć, lecz nie pragnąłby tego spróbować. Wiedział doskonale, bo tak pojmował miłość ludzką, że istnieje pomiędzy nimi przywiązanie podwójne: umysłu i ciała. Poza tym nic absolutnie. Lubił jednak przenikliwy umysł żony i odbijające się w nim tak dokładnie echo jego własnych myśli. Było to jakby połączenie dwóch płomieni dla utworzenia nowego, większego niż każdy z poprzednich. Ma się rozumieć, że każdy z tych płomieni mógłby palić się oddzielnie – i do tego musi dojść w końcu – tymczasem jednak światło i ciepło obu połączonych w jeden, były ożywcze. Tak, czuł się szczęśliwy, że Mabel uniknęła spadającego szybowca.

O swym wykładzie chrześcijaństwa nie myślał więcej. Wszak wiadomo powszechnie, że katolicy wierzą w takie rzeczy, opisywać je zaś w ten sposób, jak on to uczynił przed chwilą, nie wydawałoby mu się bardziej świętokradzkim, niż wyśmiewanie się z bożka mieszkańców wysp Fidzi, posiadającego oczy z perłowej masy i perukę z włosia. Wprost nie można było traktować takich rzeczy poważnie. I on także dziwował się raz czy dwa razy w życiu, jak istoty ludzkie mogą wierzyć w podobne głupstwa, przyszła mu jednak z pomocą psychologia i wytłumaczyła, że za pośrednictwem sugestii można osiągnąć niemal wszystko. I pomyśleć, iż tak obmierzłe brednie powstrzymywały przez wiele lat ruch w sprawie ułatwienia śmierci, w sprawie eutanazji z całym jej wspaniałym miłosierdziem!

Brwi jego ściągnęły się trochę, skoro przypomniał sobie okrzyk matki: „Oby Bóg był łaskaw!” – ale wnet uśmiechnął się na myśl o patetycznej dziecinności biednej staruszki i zasiadł znów do pracy.

W godzinę później zjawił się Phillips w pokoju, niosąc świeży zwój papierów.

– Ze Wschodu – oznajmił – nie ma więcej wiadomości.

Rozdział 2

Korespondencja Percego Franklina z kardynałem protektorem Anglii zajmowała mu codziennie co najmniej dwie godziny, zebranie zaś materiałów i krytyczne ich rozłożenie z osiem godzin dziennie.

W ciągu ośmiu lat metody, stosowane przez Stolicę Apostolską, uległy raz jeszcze rewizji, w celu przystosowania ich do potrzeb nowoczesnych, obecnie więc każda z ważniejszych dzielnic świata posiadała nie tylko zarządzającego metropolitę, lecz także przedstawiciela w Rzymie, będącego w bezpośredniej łączności z Papieżem z jednej strony, z ludnością zaś, którą przedstawiał, z drugiej. Innymi słowy, centralizacja posunęła się szybko naprzód zgodnie z prawami życia, a z centralizacją także wolność metod i ekspansji władzy. Kardynałem protektorem Anglii był opat zakonu benedyktynów, Martin, na Percego zaś, jak na tuzin jeszcze biskupów, księży i osób świeckich, z którymi nie wolno mu było urządzić jakichkolwiek narad formalnych, nałożono obowiązek wysyłania codziennie do kardynała długiego listu o sprawach zauważonych przez każdego z nich.

Percy wiódł wobec tego życie ciekawe. Wyznaczono mu dwa pokoje w pałacu arcybiskupim w Westminsterze i zaliczono do sztabu katedralnego, jakkolwiek związany był z nim bardzo luźno i posiadał w znacznej mierze wolność osobistą. Wstawał bardzo wcześnie i po godzinnej medytacji odprawiał mszę świętą. Wkrótce potem spożywał śniadanie, odprawiał krótkie modły i zasiadał do szkicowania listu. O godzinie dziesiątej był gotów do przyjmowania osób, przybywających z własnej woli, jako też sztabu swego, złożonego z pół tuzina sprawozdawców obowiązanych przynosić mu wycinki z dzienników lub własne spostrzeżenia. Po załatwieniu tego zasiadał z jednym z księży do drugiego śniadania, po czym udawał się w odwiedziny do osób, których zdania potrzebował, powracając z owych wycieczek po godzinie szesnastej dla wypicia filiżanki herbaty. Wówczas dopiero, po modlitwie i odwiedzeniu Przenajświętszego Sakramentu, zabierał się do ostatecznego opracowania listu, wymagającego wielkiej staranności i przesiewania zdobytych danych. Po obiedzie robił notatki do listu na dzień następny, przyjmował znów odwiedzających i udawał się na spoczynek wkrótce po godzinie dwudziestej drugiej. Poza tym dwa razy w tygodniu asystował przy niesporach i zwykle odprawiał w sobotę mszę śpiewaną.

Jak widać z powyższego wiódł życie niespokojne, narażające go na osobliwe niebezpieczeństwa.

Pewnego dnia, w tydzień, czy dwa po katastrofie w Brighton, gdy kończył właśnie list do kardynała, na progu pokoju zjawił się służący, zawiadamiając, że ojciec Francis

czeka na dole.

– Będę za dziesięć minut – odparł Percy, nie podnosząc głowy.

Skreśliwszy wiersze ostatniego listu, wygładził arkusz i zabrał się do odczytania go, przekładając bezwiednie treść z języka łacińskiego na angielski:

Westminster, dnia 14 maja

Eminencjo!

Od wczoraj zdobyłem trochę więcej informacji. Zdaje się być pewnym, że projekt prawa, uznającego esperanto za język państwowy, przedstawiony będzie w czerwcu. Dowiedziałem się o tym od Johnsona. Jest to, jak już zaznaczyłem poprzednio, ostatnia cegła w moście łączącym nas z kontynentem europejskim, czego należałoby żałować. Spodziewany jest wielki napływ Żydów do masonerii. Dotychczas trzymali się jeszcze do pewnego stopnia na uboczu, lecz „zniesienie idei Boga” dąży do przyciągnięcia tych Żydów, obecnie rosnących w liczbę, którzy odrzucają pojęcie Mesjasza osobistego. Tu także działa „humanizm”. Dzisiaj słyszałem rabina Symema przemawiającego w śródmieściu o tej sprawie i, zaiste, sprawiły na mnie wrażenie oklaski, jakimi go darzono. Między innymi – wzrasta również nadzieja, że wkrótce znajdzie się człowiek, który pokieruje ruchem komunistycznym i zespoli bardziej jego siły. Załączam wycinek z „New People” omawiający kwestię powyższą i zaznaczam, że echo tego artykułu odezwało się wszędzie. Powiadają, że sprawa ta musi wydać człowieka odpowiedniego, że miała swoich proroków i zwiastunów w ciągu ubiegłego wieku, ostatnimi zaś czasy brak ich zupełny.

Aż dziw jak zgadza się to pozornie z pojęciami chrześcijańskimi. Wasza Eminencja zauważy, że porównanie do „dziewiętej fali” użyte jest wymownie... Dowiaduję się dzisiaj o odstępstwie starej rodziny katolickiej Wargravów z Norfolk razem z ich kapłanem Micklemem, który, jak się zdaje, pracował przez pewien czas w tym kierunku. Dziennik „Epoch” zaznacza to odstępstwo z zadowoleniem właśnie z powodu towarzyszących mu okoliczności. Niestety, zdarzenia takie przestały być niezwykłymi... Wśród laików wzrasta niedowierzanie. Siedmiu kapłanów z diecezji westminsterskiej opuściło nas w przeciągu ostatnich trzech miesięcy. Z drugiej strony przyjemnie mi donieść Waszej Eminencji, że Jego Ekscelencja przyjął dziś na łono Kościoła katolickiego byłego biskupa anglikańskiego z Carlisle z pół tuzinem jego duchownych. Spodziewano się tego już od kilku tygodni.

Załączam też wycinki z dzienników: „Tribune”, „London Trumpet” i „Observer” z moimi komentarzami. Wasza Eminencja przekona się, jak wielkie istnieje podniecenie z powodu zdarzenia ostatniego”.

Percy położył arkusz, zebrał papiery zawierające wycinki z komentarzami, podpisał je, złożył wszystko i wsunął do przygotowanej koperty z drukowanym adresem.

Załatwiwszy to, wziął biret i poszedł do windy.

Wchodząc po chwili do pokoju przyjęć, dostrzegł przez oszklone drzwi, że przesilenie nastąpiło, jeżeli już nie przeszło. Ksiądz Francis wyglądał bardzo nieszczęśliwie, niemniej w wyrazie jego ust i oczu widniało zacięcie, gdy stał, czekając na Percego.

– Przyszedłem tu – rzekł, wstrząsnąwszy nagle głową na widok wchodzącego – aby pożegnać się z wami, ojcze, bo nie mogę wytrzymać już dłużej.

Percy wysiłkiem woli zataił wzruszenie i wskazawszy krótkim ruchem ręki gościowi krzesło, sam usiadł także.

– Oto koniec wszystkiego – odezwał się ksiądz Francis głosem najzupełniej stanowczym. – Przestałem wierzyć. Już od roku w nic nie wierzę.

– Chcecie chyba powiedzieć, że nic nie czujecie – poprawił Percy.

– Nie, ojcze, nie tak. Powiadam wam, że nie pozostało we mnie nic a nic Wiary. Nie mogę już nawet dyskutować o tym. Oto wszystko!

Percy nie miał na to nic do powiedzenia. Przemawiał do duszy tego człowieka tyle razy w przeciągu ostatnich ośmiu miesięcy, od chwili, gdy wyznał mu, że traci wiarę. Rozumiał doskonale, jak ta biedna istota walczyła z sobą i czuł głęboką litość dla niej, że dała pochwycić się tak czy owak zawrotnemu, triumfującemu wirowi „nowej ludzkości”. Fakty zewnętrzne przemawiały istotnie z okropną siłą za tą ludzkością, a Wiara wobec nich jako niemowlę, czołgające się wśród olbrzymich maszyn, chyba że ten, kto ją posiadał, zdawał sobie sprawę, iż wola i łaska boska są wszystkim, a wzruszenia umysłowe niczym. Związek psychologii i materializmu, rozpatrywany pod pewnym kątem, zdawał się istotnie tłumaczyć wszystko, trzeba więc było mocnej wiedzy nadprzyrodzonej, aby pojąć ich niedostateczność praktyczną. A co się tyczy odpowiedzialności osobistej księdza Francisa, to Percy nie mógł powstrzymać się od uczucia, że przyjaciel jego przypisywał zbyt wiele wagi w religii ceremoniałowi, a zbyt mało modlitwie. Wartość zewnętrzna pochłonęła w nim wartość wewnętrzną.

Percy więc nie pozwolił litości ujawnić się w swych jasnych oczach.

– Ma się rozumieć – rzekł Francis ostro – że uznajecie mnie winnym.

– Kochany ojcze – odparł Percy, siedząc nieruchomo na krześle – nie ulega wątpliwości, że jesteście winni, posłuchajcie bowiem... Powiadacie, że chrześcijaństwo to absurd niemożliwy, gdy tymczasem wiecie, że tak nie jest. Może być nieprawdą, nie wchodzę w to teraz, choć jestem najzupełniej przekonany, że jest prawdą bezwzględną, ale nie może być absurdem, dopóki uznają je ludzie wykształceni i cnotliwi. Nazywać je absurdem to po prostu pycha, to uznawanie tych wszystkich, którzy je uznają, nie tylko za będących w błędzie, lecz za nierozsądnych i...

– A więc dobrze – przerwał Francis – przypuśćmy, że cofam, co powiedziałem i oświadczam po prostu, że nie wierzę, aby było prawdą.

– Nie cofacie tego, coście rzekli – mówił dalej Percy spokojnie – bo wierzycie

istotnie, że chrześcijaństwo jest absurdem. Powtarzaliście mi to z tuzin razy, a ja powtarzam, że to pycha, najzupełniej wystarczająca do uzasadnienia waszego postępowania. W danej chwili chodzi tylko o przyczynę moralną, być jednak może, iż istnieją jeszcze przyczyny inne...

Francis spojrział bystro.

– Och, stara historia – zawołał drwiąco.

– Jeżeli tedy dacie mi słowo honoru, że w tej sprawie nie ma kobiety, ani też specjalnego programu grzechu, który zamierzacie doprowadzić do urzeczywistnienia, to uwierzę waszemu słowu. Ale, jak sami powiadacie, to stara przypowieść!

– Otóż – zawołał Francis – przysięgam, że nie ma w postępowaniu moim tego, co podejrzewacie.

– W takim razie dzięki Bogu – zauważył Percy – o tyle bowiem będzie łatwiejszy powrót do Wiary.

Przez chwilę panowała cisza. Percy nie miał już istotnie nic do powiedzenia, przecież tyle już razy mówił mu o życiu wewnętrznym, tyle razy wzywał go do modlitwy i pokuty i usłyszał na to odpowiedź, że radzi po prostu hipnotyzowanie samego siebie. I zwątpił już, aby był w stanie wytłumaczyć temu, który nie chciał widzieć, że jeśli z jednej strony miłość i wiara mogą być nazwane hipnotyzowaniem samego siebie, to z drugiej są sprawami tak realnymi, jak na przykład zdolności artystyczne, i wymagają takiego samego uprawiania. Niestety, wszelkie dowodzenia odbijały się od tego człowieka jak groch o ścianę.

Toteż Percy nic już nie mówił i życzył sobie w duszy, aby gość pożegnał się i odszedł. Na nic zdałaby się wszelka perswazja.

Francis siedzący dotychczas w postawie skurczonej, najwyraźniej odgadł te myśli, wyprostował się bowiem nagle i rzekł:

– Zmęczyłem was. Odchodzę.

– Nie zmęczyliście mnie, kochany ojcze – odparł Percy – ale żał mi was szczerze, bo, widzicie, ja tak bardzo jestem pewien prawdy tego, co wy odrzucacie.

Francis spojrział na niego smutno.

– A ja – rzekł – jestem pewien, że to nieprawda. Przyznaję, że to bardzo piękne i pragnąłbym, abym mógł w to wierzyć. Zdaje mi się też, że już nigdy nie będę szczęśliwy, ale... cóż robić!

Percy westchnął. Wszak tyle razy powtarzał mu, że serce jest tak samo boskim darem, jak umysł, i że zaniedbywać je w poszukiwaniu Boga, to pragnąć ruiny, ale kapłan ten nie brał tego do siebie. Odpowiadał bowiem starymi argumentami psychologicznymi, że sugestia w wychowaniu tłumaczy wszystko.

– Bez wątpienia – odezwał się znów Francis – odwróćcie się teraz ode mnie.

– Nie, to wy opuszczacie mnie – odparł Percy – a ja za wami iść nie mogę.

– Ale, czyż nie moglibyśmy pozostać przyjaciółmi?

Percy uczuł nagle gorąco w sercu.

– Przyjaciółmi? – zawołał. – Więc przyjaźń zasadza się według was na sentymentalizmie? Jacy byliby z nas przyjaciele?

Twarz Francisza zasępiła się mocno.

– Wiedziałem – rzekł – że tak będzie!

– Janie! – odparł na to Percy – nie rozumiesz więc, że nie może być między nami nic wspólnego, skoro nie wierzysz w Boga? Bo czynię ci ten zaszczyt, że przypuszczam, iż istotnie nie wierzysz.

Francis zerwał się z krzesła.

– Trudno! – odciął się. – Wierzyć nie mogłem. Żegnaj.

Przy tych słowach zwrócił się ku drzwiom.

– Janie! – zawołał raz jeszcze Percy – odchodzisz więc tak, nie podawsz mi nawet ręki?

– Jak to? – spytał odchodzący, zwracając się nagle, a twarz pałała mu posępnym gniewem. – Wszak powiedziałeś, że nie możemy być przyjaciółmi?

Percy otworzył usta, ale zrozumiał i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– A więc na tym tylko zasadza się u ciebie przyjaźń? Przepraszam. W każdym razie możemy zachować, jeżeli chcesz, formy przyzwoitości.

Mówiąc to, trzymał rękę wyciągniętą. Francis rzucił na nią okiem – zadrżały mu wargi, odwrócił się jednak i wyszedł, nie przemówiwszy ani słowa.

* * *

Percy stał bez ruchu, dopóki automatyczny dzwonek przy drzwiach zewnętrznych nie zwiastował mu, że Francis wyszedł zupełnie. Wówczas dopiero zawrócił ku długiemu korytarzowi, wiodącemu do katedry. Mijając zakrystię, usłyszał nagle dalekie dźwięki organów, skrzył więc do kaplicy, służącej za kościół parafialny i ujrzał, że nieszpory nie skończyły się jeszcze. Wówczas ruszył prosto wzdłuż nawy bocznej, skrzył na prawo, przeszedł w poprzek nawę środkową i uklęknął.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, olbrzymią więc i mroczną świątynię oświetlały rude promienie, kładące się plamami na wspaniałych marmurach i złoceniach, dokończonych nareszcie kosztem jednego z nowonawróconych bogaczy. Przed klęczącym kapłanem rozpościerało się prezbiterium, w którym widniał z każdej strony szereg zakonników w komżach i ozdobionych futrem pelerynach, po środku wielki baldachim, pod nim zaś sześć świec płonących tak, jak płonęły tam codziennie od przeszło wieku. W głębi strzelały ku górze linie absydy z niewyraźnie zarysowującym się sklepieniem, gdzie przebito okno, powyżej zaś Chrystus panował w majestacie.

Przed rozpoczęciem modłów Percy pozwolił oczom swoim błędzić dokoła,

napawając się pięknnością miejsca oraz słuchał grzmiącego chóru, dźwięku organów, cienkiego i melodyjnego głosu kapłana przy ołtarzu. Tam, na lewo, połyskiwało, odbijając się, światelko lamp, płonących przed Panem ukrytym w Najświętszym Sakramencie, na prawo zaś chwiały się tu i ówdzie płomyki tuzina gromnic u stóp starych obrazów, a wysoko ponad głowami wisiał olbrzymi krzyż z rozpiętą na nim chudą, wynędzniałą postacią, powołując wszystkich, którzy ku niej oczy zwracali, w objęcia Boga.

Wreszcie Percy ukrył twarz w dłoniach, westchnął głęboko i zatopił się w modlitwie.

Jak zwykle przy cichej modlitwie, rozpoczął od wyłączenia się ze świata zmysłów. Podobny do człowieka znikającego pod powierzchnią ziemi, zniewolił się do zstąpienia w głąb i wewnątrz siebie, tak że dźwięk organów, łoskot kroków, twardość ławki, na której opierał złożone ręce – słowem wszystko zdawało mu się dalekim i zewnętrznym, on zaś istotą samotną o sercu bijącym i umyśle nasuwającym obraz za obrazem, wzruszenie za wzruszeniem. Następnie zstąpił jeszcze głębiej, wyrzekając się wszystkiego, co posiadał i czym był i przejęła go świadomość, że nawet ciało pozostało za nim, umysł zaś i serce, olśnione Obecnością, wobec której stanęły, poddawały się posłusznie woli będącej ich panem i opiekunem. I znów westchnął, czując tę Obecność, wyłaniającą się przed nim, szepnął kilka słów mechanicznie i pogрузzył się w głębokim spokoju, następującym po zawieszeniu myśli.

Tak trwał przez chwilę. Wysoko nad nim brzmiała muzyka ekstazy: krzyk trąb i ostre nuty fletów, ale znaczyły one dla niego tyle, co wrzawa uliczna dla człowieka śpiącego. Znajdował się obecnie poza zasłoną rzeczy, poza granicami czucia i refleksji, w tym miejscu tajemniczym, do którego poznał drogę przez wysiłki bez końca; w tej dziwnej sferze, gdzie rzeczywistość przedstawia się w świetle prawdziwym; gdzie pojęcia przesuwają się z szybkością światła; gdzie chwiejąca się wola podchwytuje ten lub ów czyn, kształtuje go i wyprawia spieszenie; gdzie spotykają się wszelkie rzeczy; gdzie poznaje się prawdę, obrabia ją i próbuje; gdzie znaczenie światła zewnętrznego staje się jasnym z wewnętrznej strony, a Kościół i jego tajemnice widziane są spoza aureoli chwały.

Tak trwał chwil kilka, wchłaniając i wypoczywając. Po czym obudziła się w nim świadomość i zaczął mówić:

„Panie, jestem tutaj i Ty tu jesteś. Znam Cię. Nie ma tu nic innego, prócz Ciebie i mnie... Wszystko oddaję w ręce Twoje: Twego kapłana apostatę, Twój lud, świat i siebie. Składał to u stóp Twoich... u stóp Twoich”.

Zatrzymał się i skupił myśli tak, że wszystko, co w nich było, rozpostarło się przed nim, jak równina u podnóża góry.

„Ja sam, Panie, znajdowałem się w ciemnościach i nieszczęściu bez łaski Twojej. Ty podtrzymujesz mnie, Panie. Utrzymaj i skończ pracę Swoją w duszy mojej. Nie pozwól mi zachwiać się ani na chwilę. Jeżeli bowiem cofniesz rękę swą zapadnę w nicość

zupełną”.

Zamilkł, wyciągnawszy błagająco ręce, opuszczony, a jednak pełen pewności. Wola jego zamigotała nagle świadomością, powtórzył więc w duszy akty wiary, nadziei i miłości. I westchnął głęboko, czuł bowiem w każdym drgnięciu Obecność najwyższą i zaczął znów mówić:

„O, Panie! Wejrzyj na lud Swój! Wielu odpada od Ciebie... *Ne in aeternum irasaris nobis. Ne in aeternum irasaris nobis...* Łączę modły swe z modłami wszystkich Świętych Aniołów i Maryi, Królowej Niebios. Rzuć okiem na nich i na mnie i wysłuchaj nas. *Emitte lucem Tuam et veritatem Tuam.* Twe światło, Twą prawdę! Nie zakładaj na barki nasze ciężarów większych, niż znieść możemy. Panie, o Panie, dlaczegóż nie przemówisz?”

Całą postać swą przechylił naprzód ruchem tak natężonym napiętnego oczekiwania, że uczuł, jak muskuły trzeszczą w nim z wysiłku. Lecz wkrótce znów opuścił się na klęcznik, w umyśle jego przesuwwały się szybko akty błagalne bez słów, ten najwyższy stopień modlitwy, oczy zaś duszy przenosiły się to z Kalwarii ku niebiosom, to znów na wstrząsaną troskami ziemię. Widział Chrystusa umierającego w opuszczeniu, gdy ziemia trzęsała się i jęczała; Chrystusa panującego, jako kapłana, na tronie Swym w szatach świetlanych; Chrystusa cierpliwego i milczącego nieubłaganie w Sakramencie, i każdego z nich kolejno stawiał przed oczy Ojca Wiecznego...

I czekał na objawienie, aż przyszło tak nieuchwytnie i lekkie, tak cieniom podobne, że wola jego spływała krwią i łzami w wysiłku uchwycenia go, utrwalenia i zastosowania się do niego...

Ujrzał ciało mistyczne w agonii, rozpostarte nad światem, jak na krzyżu, i milczące boleścią; ujrzał nerwy poszarpane i skręcone tak strasznie, że ból ich odczuwał pod postacią błysków barwnych; widział krew żywą toczącą się kropla za kroplą z głowy Jego, rąk i stóp. A świat zebrał się w dole wesoły i drwiący:

„Zbawiał innych, a Siebie zbawić nie może! Niech zejdzie z krzyża, a uwierzemy!”

Daleko spoza krzaków i zagłębień gruntu przyjaciele Chrystusa wyglądali łkając, Maryja również milczała, przebita siedmiu mieczami, a i uczeń Jego ukochany nie miał słów pociechy...

Ujrzał też, jak niebiososa milczą, jak Aniołom przykazano schować miecze do pochew i nie przerywać wiecznej cierpliwości Boga, bo agonია rozpoczęła się za ledwie; tysiące jeszcze okropności trzeba było przeżyć, zanim mógł nadejść koniec, ta suma ostateczna ukrzyżowania... Musi czekać i patrzeć, ograniczyć się do stania bezczynnego, a zmartwychwstanie uważać tylko za nadzieję senną. Bo miał jeszcze nadejść *sabbath*, podczas którego Ciało mistyczne musi spocząć w grobie odcięte od świata, musi zaniknąć dostojeństwo Krzyża, a nawet świadomość, że Jezus był na świecie...

Ten to świat wewnętrzny, do którego drogę Percy poznał przez długie usiłowania, płonął teraz cierpieniem i był gorzki jak łyż, i połykiwał światłem bladym,

stanowiącym najwyższy owoc bólu, i brzmiał w uszach brzękiem rosnącym do potęgi krzyku i przytłaczał go, i przenikał, i rozciągał, jak na łożu męczarni...

A wobec tego wola jego słabła i traciła odwagę.

– Boże, Boże, to nad siły moje! – zawołał.

I oto ocknął się natychmiast, wzdychając ciężko. Spieczone wargi zwilżył językiem, otworzył oczy i ujrzał przed sobą ciemniejszą absydę. Organy już milczały, kapłani odeszli, światła zgaszono. Krwawy odbłask zachodu zniknął również, a natomiast ponure, zimne twarze spoglądały na niego ze ścian i sklepienia. Znów znalazł się na powierzchni życia; rozpląnęła się wizja; zaledwie zdawał sobie sprawę z tego, co widział.

Musiał jednak zebrać nici rozproszone i powiązać je wysiłkiem potężnym. Musi spełnić obowiązek względem Pana, który udzielił się zmysłom jego, jak również duchowi wewnętrznemu. Powstał więc zeszywniały i ruszył ku kaplicy Przenajświętszego Sakramentu.

Gdy wyszedł spomiędzy ławek, wyprostowany i smukły, włożywszy biret na siwą głowę, ujrzał wpatrującą się w niego uporczywie staruszkę. Zatrzymał się wahająco, przypuszczając w niej penitentkę, z czego skorzystała i podeszła do niego.

– Przepraszam pana – rzekła.

A zatem nie jest katoliczką.

– Co mogę dla pani uczynić? – spytał, unosząc biretu.

– Przepraszam, że się pytam – odparła – czy to pan był w Brighton podczas katastrofy dwa miesiące temu?

– Tak, to ja.

– Ach, więc przypuszczenie moje było słuszne, więc pana to widziała tam moja synowa.

Percy uczynił niecierpliwy ruch, ubodło go bowiem, że wzbudzał zainteresowanie za sprzeczność pomiędzy siwym jego włosem a młodą twarzą.

Niemniej spytał uprzejmie:

– Czy i pani tam była?

Kobieta tymczasem przypatrywała mu się z wyrazem powątpiewania i ciekawości na twarzy, mierząc go od stóp do głowy oczyma. Po chwili wszakże opamiętała się i odparła:

– Nie, lecz moja synowa tam była. Przepraszam pana, ale...

– Więc? – spytał znów Percy, starając się ukryć niecierpliwość w głosie.

– Czy pan jest arcybiskupem?

Kapłan uśmiechnął się szeroko, ukazując szereg białych, pięknych zębów.

– Nie, pani. Jestem tylko biednym księdzem. Arcybiskupem jest dr Cholmondeley. Nazywam się Percy Franklin.

Nic już nie rzekła na to, patrząc mu w oczy, skłoniła się po staroświecku, Percy zaś

przeszedł do mrocznej, wspaniałej kaplicy dla odmówienia modłów.

* * *

Wiele mówiono tego wieczora przy obiedzie wśród księży o nadzwyczajnym wzroście masonerii.

Ruch ten przybrał charakter niezwykle w ubiegłym stuleciu. Najpierw rozpoczęto atak zorganizowany na Kościół katolicki, po czym to, co katolicy zawsze podejrzewali, stało się faktem, gdy ojciec Hieronim, dominikanin i były mason, ujawnił sprawki wybitnych masonów i dowiódł słuszności katolików, twierdząc, iż to masoni, przynajmniej stopni wyższych, wywołali na całym świecie ów dziwny ruch, skierowany przeciwko religii. Wkrótce potem ojciec Hieronim zachorował i umarł, co wywarło głębokie wrażenie na wielu ludziach na całym świecie.

Podejrzenia wszelako rozproszyły się raz jeszcze, skoro usłyszano o wspaniałych ofiarach masonów francuskich i włoskich na szpitale, przytułki oraz podobne instytucje.

Ale obecnie znów wzrosły podejrzania.

– Słyszę – zauważył monsinior Maimtosh, administrator katedry – że Felsenburgh to mason. Podobno jest nawet wielkim mistrzem masonerii, czy coś w tym rodzaju.

– Czy nie mógłbym jednak dowiedzieć się – spytał jeden z młodszych kapłanów – kto to właściwie jest ten Felsenburgh?

Monsinior ściągnął wargi i pokiwał głową. Należał on do tych pokornych osób, które szczyłą się nieświadomością, jak inni wiedzą. Miał sobie za zaletę to, że nigdy nie czytał dzienników, a nawet książek, prócz takich, które otrzymały *imprimatur*. Obowiązkiem kapłana – mawiał często – jest zachowanie wiary, nie zaś nabywanie wiedzy świeckiej, a Percy zazdrościł mu czasem takiego zapatrywania.

– Człowiek ten – odezwał się ksiądz Blackmore – to tajemnica i dlatego zapewne wywołuje zaciekawienie ogólne. Dzisiaj sprzedawano jego życiorysy na nadbrzeżnych bulwarach.

– Trzy dni temu – wtrącił Percy – widziałem się z pewnym senatorem amerykańskim. Opowiadał mi, że nawet w Ameryce nic nie wiedzą o nim poza tym, iż odznacza się niezwykle krasomówstwem. Pojawił się dopiero w ubiegłym roku, a już potrafi pociągnąć za sobą wszystkich nadzwyczajnymi sposobami. Jest przy tym wielkim językoznawcą. Dlatego wzięto go do Irkucka.

– Wracając do masonów – ciągnął dalej monsinior – trzeba przyznać, że to ruch bardzo groźny. W ciągu ubiegłego miesiąca straciłem z tego powodu czterech penitentów.

– Dopuszczenie kobiet do stowarzyszenia – mruknął ksiądz Blackmore, popijając czerwone wino – to z ich strony posunięcie mistrzowskie.

– Należy się dziwić – zauważył Percy – że uczynili to teraz.

Z uwag innych księży okazało się, że im także ubyło owieczek skutkiem ruchu masonskiego. Ktoś wspomniał o przygotowanym przez arcybiskupa liście pasterskim w tej sprawie.

Monsinior kiwnął smutnie głową.

– Potrzeba tu – rzekł – czegoś więcej.

Percy odparł, że Kościół powiedział ostateczne słowo w takich sprawach już przed wiekami. Oto nałożył ekskomunikę na członków wszelkich tajnych stowarzyszeń. Więcej, zaprawdę, uczynić nie może.

– Oprócz – zawołał monsinior – przypominania tego wciąż swoim owieczkom. Będzie to tematem mego kazania w przyszłą niedzielę.

Percy zanotował tę sprawę, wróciwszy do swego pokoju z postanowieniem napisania o niej jeszcze kilku słów do kardynała protektora. Już przed tym wspominał często w swych listach o masonerii, sądził jednak, że nadeszła pora, aby znów o niej wspomnieć. Następnie zabrał się do otwierania listów, poczynając od listu kardynała, który poznał po adresie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wśród pytań, zawartych w tym liście, jedno tyczyło się właśnie tej kwestii i brzmiało, jak następuje:

„Co słyhać o masonerii? Felsenburgh jest podobno masonem. Proszę zebrać wszystkie pogłoski tyczące się jego osoby i przysłać wszystkie życiorysy, czy to angielskie, czy też amerykańskie. Czy tracie jeszcze katolików przez masonerię?”.

Percy przebiegł oczyma inne pytania. Tyczyły się przeważnie jego własnych uwag, ale i w nich nawet nazwisko Felsenburgha powtórzono było dwukrotnie.

Położył list na stole i zamyślił się głęboko.

„Czy to nie dziwne – myślał – że ten człowiek jest na ustach wszystkich, pomimo że tak mało o nim wiadomo?”.

By zaspokoić własną ciekawość, zdążył już kupić na ulicach trzy fotografie mające przedstawiać, rzekomo, Felsenburgha. Być może jedna przedstawia go istotnie. Lecz która? Bo każda przedstawia inną twarz.

Otworzył szufladę w biurku, dobył z niej fotografie i położył przed sobą.

Na jednej widniała dzika twarz, obrośnięta, coś w rodzaju kozackiej, z okrągłymi, wytrzeszczonymi oczyma. Nie... – przekonanie wewnętrzne przemawiało przeciwko niej. Tylko nieokrzesana wyobraźnia mogła wytworzyć sobie takie pojęcie o człowieku, posiadającym podobno wielki wpływ na Wschodzie.

Druga przedstawiała twarz otyłą o małych oczkach i podwójnym podbródku. Może ta jest prawdziwa? Odwrócił ją i ujrzał firmę nowojorską.

Wziął wreszcie do ręki trzecią. Ujrzał na niej twarz długą, starannie wygoloną, z binoklami na nosie, ale bez energii, Felsenburgh zaś musi być oczywiście charakterem mocnym.

Zapewne więc druga fotografia jest najprawdopodobniejsza. Wszystkie jednak razem wzięte nie przemawiały bynajmniej do przekonania, toteż zebrał je niedbale i rzucił do szuflady.

Dokonawszy tego, oparł łokcie na biurku i pogrążył się znów w zadumie, usiłując przypomnieć sobie, co opowiadał mu o Felsenburghu Varhaus, ów wspomniany przy obiedzie senator amerykański.

Z opowiadania tego wynikało, że Felsenburgh nie posługiwał się żadnym ze sposobów używanych w nowoczesnej polityce. Nie miał wpływu w żadnym dzienniku, nie rzucał oszczerstw na kogokolwiek, nie posiadał dobranego sztabu podkomendnych, nie posługiwał się przekupstwem, nie zarzucano mu potwornych zbrodni. Zdawało się, że oryginalność jego polega na czystych rękach, przeszłości bez skazy i charakterze, wywierającym wpływ iście magnetyczny. Był osobistością, należącą raczej do czasów rycerskich, osobistością czystą, szlachetną, pociągającą, jak dziecię promieniste. Ogarnął świat niespodzianie, wyłaniając się jak widmo z brudnych wód socjalizmu amerykańskiego, tak dziwny, tak romantyczny, tak niepodobny do kogokolwiek przedtem...

Oto jak przedstawiał Felsenburgha ów senator, a obraz ten był zbyt jeszcze niezrozumiały dla Percego, aby mógł zastanawiać się nad nim dłużej, zwrócił więc myśli ku sprawom domowym.

Otaczał go świat znużony. Wszystko wydawało się tak beznadziejne i tak bezskuteczne! Usiłował nie zastanawiać się nad swymi konfratrami. Nic mógł wszelako nie stwierdzić po raz chyba pięćdziesiąty, że nie byli ludźmi, jakich wymagało obecne położenie.

I nie wydawał sądu takiego, aby wywyższyć siebie, czuł bowiem doskonale, że sam nie dorastał również zadaniu. Czyż nie miał dowodu tego w sprawie biednego Francisa i tylu innych, którzy czepiali się go w cierpieniu w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Nawet arcybiskup, pomimo całej świętości swej wiary dziecięcej – czyż był człowiekiem odpowiednim dla poprowadzenia katolików angielskich i zawstydzienia nieprzyjaciół? Tak. Zbrakło olbrzymów na ziemi w owych dniach. Cóż więc, na Boga, należało czynić?

Myśląc o tym ukrył twarz w dłoniach.

Tak! Jeżeli czegoś trzeba, to nowego zakonu w Kościele. Wszystkie dawne krępować reguła nie z ich własnej winy. Należy stworzyć zakon bez habitów i tonsur, bez tradycji i zwyczajów; zakon mający na celu jedynie poświęcenie się zupełne, z całego serca; zakon bez dumy z najwznieślejszych nawet przywilejów; zakon bez przeszłości, w której mógłby szukać milej ucieczki; zakon, którego członkowie byliby wolnymi strzelcami armii Chrystusowej, podobni jezuitom, lecz bez fatalnej ich reputacji, która także nie pochodziła z ich winy. Trzeba jednak, aby ktoś założył taki zakon. Lecz kto, na Boga? Kto będzie tym założycielem, *nudus sequens Christum*

nudum?...

Tak! Wolni strzelcy... księża, biskupi, laicy, kobiety... Tak! Zakon o ślubach potrójnych i z klauzulą specjalną zabraniającą stanowczo i na zawsze posiadania jakiegokolwiek własności wspólnej. Każdy dar dla tego zakonu musi być oddany do rąk biskupa diecezji, z której pochodzi, biskupa zaś obowiązkiem ma być zapewnienie zakonnikom środków do życia i podróży. Och, czego by nie mógł dokonać taki zakon!...

I Percy tworzył już w myśli na ten temat prawdziwą rapsodię.

Po chwili wszakże ocknął się z marzeń i nazwał się głupcem... Bo czyż projekt nie był stary jak świat i niemożliwy do wykonania w praktyce? Wszak o potrzebie takiego zakonu marzyli wszyscy zeloci od pierwszego roku zbawienia naszego!... Tak, jest głupcem!... Niemniej zaczął przetrawiać ów projekt w myśli od początku.

Jedyna to istotnie broń przeciwko masonom! I kobiety należy wciągnąć do niego! Bo czyż nie upada projekt za projektem jedynie dlatego, że mężczyźni zapomnieli o potędze kobiet? Ten błąd właśnie zgubił Napoleona. Cesarz zawierzył Józefinie, a ponieważ go zawiodła, przestał dowierzać wszystkim kobietom.

W Kościele katolickim także nie wciągnięto kobiet do czynnego działania. Pozostawiono im tylko pracę ręczną lub wychowawczą. A czyż nie ma dla nich miejsca w innych zakresach działalności? Lecz po cóż o tym myśleć? Nie jego to sprawa. Jeżeli *Papa Angelicus*, panujący obecnie w Rzymie, nie pomyślał o tym, to z jakiej racji on, szalony i zarozumiały kapłan z diecezji westminsterskiej, ma zabierać się do tej sprawy?

Uderzył się więc jeszcze raz z przekonaniem w piersi i wziął w ręce modlitewnik.

W pół godziny skończył pacierze i popadł znów w zadumę, tym razem jednak nad losem biednego Francisa.

– Cóż on teraz porabia? Czy zdjął już rzymski kołnierzyk poufnych niewolników Chrystusowych? Nieszczęśliwy! I o ile był winien temu on, Percy Franklin?

W tej chwili zapukano do drzwi i ujrzał księdza Blackmore'a, pragnącego pogawędzić przed udaniem się na spoczynek.

Percy opowiadał mu, co zaszło z Francisem.

Blackmore wyjął fajkę z ust i westchnął głęboko.

– Czuję – rzekł – że to nadchodzi... No, no!

– Był jednak o tyle uczciwy – objaśnił Percy – że przed ośmiu miesiącami zwierzył się ze swoich wątpliwości.

Blackmore pociągnął zamyślony z fajki, po czym rzekł:

– Bądź co bądź, ojczyźnie Franklinie, wszystko to jest bardzo poważne. Zewsząd słyszymy tę samą historię. I jak to sobie wytłumaczyć?

Percy milczał przez chwilę.

– Sądzę – odparł wreszcie – że zdarzenia takie nadchodzą falami.

– Falami, powiadacie?

– Tak sędę. Bo jakże wytłumaczyć to inaczej?

Blackmore popatrzył na niego uporczywie.

– A mnie się zdaje – mówił – że jest to raczej cisza. Byliście kiedyś na morzu podczas tajfunu?

Percy zaprzeczył ruchem głowy.

– Otóż najbardziej złowieszczą jest cisza morska. Ocean zdaje się w takich chwilach jak z oliwy. Człowiek ledwie oddycha i czuje się bezsilny. Wtem nadciąga huragan...

Percy spoglądał na gościa z zajęciem, nigdy bowiem przedtem nie zauważył w nim takiej fantazji.

– Przed każdym wielkim przewrotem – ciągnął Blackmore – nastaje także taka cisza. Widzimy to zawsze w dziejach. Tak było przed wojną wschodnią. Tak było przed rewolucją francuską. Tak było przed reformacją. Czuć wówczas ociężałość jakąś oliwną i wszystko staje się leniwym. Tak też było w Ameryce, w ciągu przeszło lat osiemdziesięciu... Wiecie, ojcie Franklinie, ja sędę, że coś się zdarzy.

– I cóż takiego? – spytał Percy, przechylając się naprzód.

– Otóż widziałem Templetona na tydzień przed jego zgonem i on natchnął mnie taką myślą. Słuchajcie, ojcie. Być może, iż cała ta sprawa wschodnia zwali się na nas, choć, nie wiem dlaczego, sędę, że nie stamtąd wyłącznie grozi niebezpieczeństwo. Zdaje mi się raczej, że nastąpi coś na tle religijnym. Na miłość boską, ojcie, co to za istota ten Felsenburgh?

Percego tak poruszyło nagle to wspomnienie tajemniczego nazwiska, że przez chwilę patrzył szeroko rozwartymi oczyma na pytającego.

Na dworze panowała cicha letnia noc. Od czasu do czasu czuć się dawały lekkie wstrząśnienia, pochodzące z kolei podziemnej, biegnącej o dwadzieścia zaledwie jardów od domu, w którym siedzieli, dokoła wszakże katedry ulice były puste i spokojne. Raz odezwało się gdzieś w powietrzu donośne huknięcie, jakby złowieszczy jakiś ptak leciał między Londynem a gwiazdami; raz znów odezwał się od strony rzeki krzyk kobiecy cienki i ostry. Poza tym słyhać było ów przytłumiony, solenny szum wielkiego miasta, nie milknący nigdy, ani w dzień, ani w nocy.

– Tak, kto to jest ten Felsenburgh? – powtórzył Blackmore. – Nie mogę wybić sobie tego z głowy. A nic nie wiem o nim. Cóż o nim wiadomo?

Percy przygryzł wargi i odetchnął głęboko dla uciszenia mocno bijącego serca. Wprost nie rozumiał, dlaczego czuje się tak wzruszony. Bo kimże jest stary ksiądz Blackmore, aby mógł go przestraszyć? Ale „stary Blackmore” nie czekał już na odpowiedź i mówił dalej:

– Pomyśleć tylko, jak ludzie opuszczają Kościół! Wargravowie, Hendersonowie, sir Jakub Bartlet, lady Magnier i wszyscy ci księża! A nie wszyscy oni są głupcami, choć chciałbym aby byli, o tyle bowiem lżej można by o tym mówić. Oto na przykład sir Jakub Bartlet ubiegłego miesiąca! Człowiek, który poświęcił połowę swego majątku

i teraz nawet powiada, że nie żałuje tego. Człowiek, który twierdzi, że lepsza jest jakakolwiek religia, niż żadna, ale co się tyczy jego osobiście, to utracił już wiarę zupełnie! Na Boga, cóż to ma znaczyć... Powiadam wam, ojcze, że coś zbliża się. Ale co, to Bóg tylko raczy wiedzieć... A przy tym nie mogę wybić sobie tego Felsenburgha z głowy!... Ojcze Franklinie?

– Co takiego?

– Czyście zauważyli, jak brak nam wielkich ludzi? Nie tak było przed laty pięćdziesięciu, a nawet trzydziestu. Mieliśmy wówczas Masona, Selboma, Sherbrooka i pół tuzina innych. I Brightman był arcybiskupem. A dzisiaj? Nawet ze strony komunistów brak ten jest dotkliwy. Braithwaite umarł przed piętnastu laty. Trzeba przyznać, że był to człowiek wybitny. A dzisiaj kogóż mają? I oto zjawia się człowiek nowy, o którym nikt nic nie wie, wyłania się z Ameryki przed kilku zaledwie miesiącami, a już nazwisko jego powtarzają wszystkie usta. Cóż to ma znaczyć?

Percy zmarszczył czoło.

– Doprawdy – szepnął – nie rozumiem.

Ksiądz Blackmore wytrząsnął popiół z fajki i powstał z krzesła, zanim dopowiedział swoją myśl:

– Oto nie mogę pozbyć się wrażenia, że ten Felsenburgh coś robi. Co, tego nie wiem. Może w naszym interesie, a może przeciwko nam. Nie należy wszelako zapominać, że podobno jest masonem. No, no! Zobaczymy... A może to tylko rojenia starego głupca? Dobranoc!

– Wstrzymajcie się chwilę, ojcze, – przemówił Percy wolno. – Co przez to rozumiecie, ojcze?... Na miły Bóg, co przez to rozumiecie?

Po tym pytaniu umilkł, spoglądając pytająco na gościa.

Ale stary kapłan milczał, patrząc na niego spod gęstych brwi i Percemu zdawało się, że w oczach tych pomimo lekkiego tonu mowy przed chwilą, widnieje także nieokreślona obawa.

Gdy drzwi zamknęły się za księdzem Blackmore'em, Percy stał jeszcze nieruchomo na miejscu, wreszcie ocknął się i ruszył ku klęcznikowi.

Rozdział 3

Stara pani Brand i Mabel siedziały w oknie nowego gmachu admiralicji na placu Trafalgarskim, aby widzieć Olivera, jak będzie przemawiać z powodu uroczystości pięćdziesięciolecia uchwalenia reformy prawa o ubogich.

Wrażenie prawdziwie wzniosłe sprawiał tego pięknego poranka czerwcowego widok tłumów, zbierających się u stóp posągu Braithwaita. Ten wielki polityk, zmarły przed piętnastu laty, był tu przedstawiony w ulubionej pozie: z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, drugą opuszczoną wzdłuż ciała, głową bardzo podniesioną i jedną nogą wysuniętą cokolwiek naprzód. Z powodu zaś uroczystości, przybrano go dzisiaj – co zdarzało się coraz częściej przy okazjach tego rodzaju – w insygnia masonskie. Temu bowiem mężowi zawdzięczała masoneria olbrzymi rozwój; on to wygłosił w parlamencie pamiętne słowa, że klucz przyszłego rozwoju i braterstwa narodów spoczywa w ręku masonerii; że jedynie tylko ona przeciwdziałać może fałszywej jedności Kościoła z jego fanatycznym braterstwem duchowym; że święty Paweł miał słuszość, pragnąc zwalić mury wzniesione pomiędzy narodami, a błędził tylko wywyższając Jezusa Chrystusa. On to dalej wskazał na istniejącą wśród masonów prawdziwą dobroczynność, niemającą nic wspólnego z motywami religijnymi i przeprowadziwszy reformę prawa o biednych, zwiększył ogromnie szeregi masonerii.

Stara pani Brand wyglądała tego dnia doskonale i wzruszona bardzo, śledziła okiem nadciągające tłumy, aby usłyszeć jej syna.

Dokoła brązowego posągu Braithwaita wzniesiono i przybrano różami tak wysoką platformę dla mówców, że słynny mąż stanu wydał się jednym z nich, choć stał nieco wyżej.

Cały plac dokoła zdawał się wybrukowany głowami ludzkimi i rozbrzmiewał szmerem tysięcy głosów, zagłuszanych od czasu do czasu gromem orkiestr i warczeniem bębnow, gdy z północy, z południa, ze wschodu lub zachodu nadciągały towarzystwa dobroczynne, tudzież związki demokratyczne, każdy z orkiestrą na czele i stawały w obszernym, zarezerwowanym dla nich pustym miejscu w pobliżu platformy. Ze wszystkich okien okolicznych domów wyglądały twarze, około zaś Galerii Narodowej i kościoła świętego Marcina wzniesiono wysokie trybuny. Nawet na szczytach dachów widniały szeregi ludzkich głów, odcinając się ostro na niebieskim tle nieba.

Według obliczeń wieczornych dzienników nie mniej jak sto tysięcy osób zebrało się do południa w promieniu doniosłości głosu, dokoła platformy.

Gdy zegary zaczęły wybijać południe, dwóch ludzi wyłoniło się spoza posągu na

platformie i w jednej chwili szmer tłumu przeszedł w radosne okrzyki.

Pierwszy szedł stary lord Pemberton, człowiek siwy, lecz trzymający się dzielnie. Ojciec jego przyczynił się do potępienia i obalenia Izby Lordów, której był sam członkiem, a syn poszedł godnie śladami ojca. Posłował obecnie z Manchesteru, należał do członków rządu i miał przewodniczyć na radosnej uroczystości. Za nim kroczył Oliver Brand, ubrany wykwintnie, lecz z głową obnażoną i nawet z tej wielkiej odległości, jaka dzieliła mówcę od matki i żony, można było widzieć jego żywe ruchy, uśmiechy i skinienia głowy, gdy tłum wzruszony i krzyczący dokoła platformy wywoływał nazwisko ulubieńca.

Lord Pemberton podszedł do brzegu platformy i dał znak podniesieniem ręki. W jednej chwili krzyki ucichły, a u stóp platformy ozwało się warczenie bębnow, jako przygrywka do hymnu masonskiego.

Nie ulegało wątpliwości, że londyńczycy umieją śpiewać, dźwięki bowiem hymnu strzeliły ku niebiosom tak zgodnie, jakby wychodziły z gardła jednego olbrzyma, rosły coraz bardziej i wybuchły w końcu entuzjastycznym okrzykiem, stłumionym dopiero przez potężny grom orkiestr, które zagrały wszystkie razem. Hymn ten ułożono przed dziesięciu laty i cała Anglia znała go na pamięć.

Stara pani Brand zbliżyła mechanicznie drukowany program do oczu i czytała na nim dobrze znane wyrazy hymnu: „Panie, który mieszkasz na ziemi i morzu...”.

Przebiegła też oczyma dalsze wersy, ułożone z punktu widzenia humanitarystycznego równie zręcznie jak gorąco. Posiadały formę religijną, toteż inteligentny chrześcijanin mógł je śpiewać bez skrupułów, choć w istocie sens ich, dosyć wyraźny, zawierał mianowicie, dawne wierzenie ludzkie, że człowiek – jest wszystkim. Cytowano w nim nawet słowa Jezusa Chrystusa.

„Królestwo Boże – brzmiał jeden z ustępów – leży w granicach serca ludzkiego, a łaską jest największa dobroczynność”.

Pani Brand spojrzała na Mabel i dostrzegła, że synowa śpiewa z całej duszy, utkwivszy wzrok w ciemnej sylwetce męża, oddalonej o sto jardów. Sama więc zaczęła także poruszać ustami w takt olbrzymiego głosu tłumów. Gdy hymn umilkł i zanim jeszcze wznowiono okrzyki, lord Pemberton podszedł znów do brzegu platformy i powiedział kilka zdań, przygłuszając głosem ciekim i metalicznym plusk wodotrysków stojących za nim na placu, po czym cofnął się, a Oliver zajął jego miejsce.

Za daleko było, aby matka i żona mogły usłyszeć mowę, niemniej Mabel wychyliła się z okna, nasłuchując słów mężowskich, wsunąwszy poprzednio z uśmiechem na ustach ćwiartkę papieru do rąk teściowej.

Stara pani Brand rozłożyła ćwiartkę i ujrzała, że zawiera ona streszczenie mowy syna, zaczęła więc czytać, wiedząc, że nie dosłyszysz mówcy.

Mowa rozpoczynała się powinszowaniami dla tych, którzy zebrali się tak licznie, aby uczcić pamięć wielkiego męża, przewodniczącego swą spiżową postacią

z piedestału tej pamiętnej rocznicy, po czym następowało porównanie dawnego stanu rzeczy w Anglii ze stanem jej obecnym.

– Przed pięćdziesięciu laty – wskazał mówca – ubóstwo jeszcze było hańbą, lecz nie jest nią obecnie. W przyczynach, wiodących do ubóstwa, spoczywać może tak dobrze hańba, jak i zasługa. Któż nie uczi człowieka wynędzniałego w służbie krajowi, albo przytłoczonego okolicznościami, których nie mógł przewyciężyć pomimo wysiłków?...

Mowa wyliczała następnie reformy uchwalone przed pół wiekiem i stanowiące dowód, że naród uznał raz na zawsze chwałę ubóstwa i współczucia dla nieszczęścia.

Druga część mowy tworzyła panegiryk na cześć Braithwaita i nazywała go zwiastunem ruchu właśnie rozpoczętego.

Stara pani Brand przechyliła się w tył na fotelu i spojrzała dokoła. Okno, w którym siedziały, przeznaczone było dla nich i całą jego szerokość zajmowały dwa fotele. Poza nimi jednak stała grupa osób, przechylonych naprzód i usiłujących dosłyszeć mowę. Takie powszechne natężenie uwagi zawstydziło trochę staruszkę, zwróciła tedy szybko wzrok ku placowi.

Syn jej wygłaszał właśnie ów panegiryk na cześć Braithwaita. Cofnąwszy się o krok ku posagowi, odwrócił się i wskazał na niego ręką, a szmer oklasków zagłuszył na chwilę dźwięczne słowa. Następnie znów znalazł się na brzegu platformy i niemal przykucnąwszy – posiadał bowiem wrodzony talent aktorski – powiedział widocznie coś bardzo wesołego, gdyż grom śmiechu rozległ się dokoła.

W tej chwili stara pani Brand usłyszała za sobą powstrzymane syknięcie, a tuż potem okrzyk synowej.

Co się stało?

Rozległ się ostry huk, a gestykulująca postać jej syna zachwiała się i cofnęła o krok na platformie. Siedzący w głębi za stołem prezydialnym lord Pemberton zerwał się na równe nogi, a równocześnie tuż za ogrodzeniem, w którym stały orkiestry, tłum zakotłował się gwałtownie, podobny do fali, rozbijającej się o skałę.

Staruszka, przerażona i oszołomiona, uczepliła się konwulsyjnie podstawy okna, synowa zaś przytuliła się do niej, wykrzykując niezrozumiałe słowa. Na placu tymczasem powstała ogromna wrzawa, a głowy kołysały się to w tę, to w ową stronę, jak kłos pszenicy targanej wiatrem. Oto jednak Oliver podchodzi ku brzegowi platformy, wskazując ręką i woła. Staruszka widzi ruchy, lecz nie rozumie słów, pada więc w tył na fotel, wzruszona, czując krew huczącą w żyłach i serce bijące gwałtownie.

– Dziecko, dziecko moje, co się stało? – woła szlochając.

* * *

Wieczorem Oliver, leżąc na fotelu z ręką obandażowaną i na temblaku, wyjaśnił im wszystko.

Za dnia nie mogły dostać się do niego, na placu bowiem panował ścisk i dzikie zamieszanie. Posłaniec tylko dotarł do Mabel z wiadomością, że mąż jej odniósł lekką ranę i że znajduje się już pod opieką lekarzy.

– Był katolikiem – opowiadał Oliver, zmarszczywszy czoło – i musiał działać z premedytacją, znaleziono przy nim magazynek do pistoletu samopowtarzalnego, pełen nabojów... Tym razem jednak nie znalazła się okazja dla księdza.

Mabel skinęła głową potwierdzająco. Czytała już na plakatach, rozpowszechnionych po mieście, o losie przestępcy.

– Bo – ciągnął dalej Oliver – zabito, uduszono, wprost rozdeptano tego człowieka w jednej chwili. Z mojej strony zrobiłem, co mogłem. Widzieliście mnie. Zresztą, kto wie czy nie lepiej, że zginął na miejscu.

– W każdym razie zrobiłeś co mogłeś? – zapytała niespokojnie matka staruszka ze swego kącika.

– Wołałem na nich matko, ale nie chcieli słuchać.

Mabel przechyliła się naprzód.

– Wiesz, Oliverze – rzekła – może to głupio z mojej strony, ale... ale... wołałabym, aby go nie zabito.

Oliver uśmiechnął się do niej. Znał jej szlachetne serce.

– Tak – mówiła dalej – byłoby to istotnie daleko piękniej z ich strony, gdyby go nie zabili.

Po tych słowach wyprostowała się znów na krześle i spytała nagle:

– A dlaczego człowiek ten strzelił właśnie wówczas, a nie przedtem?

Oliver rzucił okiem w stronę matki, lecz staruszka robiła spokojnie na drutach, po czym odparł z prawdziwą rozmyślnością:

– Powiedziałem, że Braithwaite zrobił więcej dla świata jedną swoją mową, niż Chrystus razem ze wszystkimi Świętymi.

Gdy to mówił, druty staruszki zatrzymały się raptownie, po chwili jednak znów zaczęły migotać.

– Niemniej sędzę, że byłby to uczynił prędzej czy później.

– A jakże dowiedzieli się – spytała znów Mabel – że był katolikiem?

– Posiadał różaniec, a przy tym miał jeszcze czas wymówić imię swego Boga.

– I nic więcej nie wiadomo?

– Nic więcej... Chyba jeszcze, że był starannie ubrany.

Skończywszy mówić, Oliver przechylił się trochę zmęczony na fotelu i zamknął oczy. Zraniona ręka pulsowała mu jeszcze nieznośnie. Pomimo to czuł wielką błogość w sercu. Prawda, zranił go fanatyk, lecz z drugiej strony, co za przyjemność cierpieć dla sprawy, a przy tym, oczywiście, współczucie całej Anglii skłaniało się ku niemu. Oto

w tej chwili nawet jego sekretarz Philips zajęty jest w sąsiednim pokoju odpowiadaniem na depesze, napływające ze wszystkich stron. Sprawiało mu również przyjemność poczucie, że zrobił uczciwie wszystko, co tylko zależało od niego, aby ocalić przestępcę, bo przecież bez względu na ból tak nagły i ostry, wołał do ludu, aby wymierzenie kary pozostawiono sądowi. Niestety wezwania jego okazały się bezowocnymi. Widział jeszcze przed sobą wytrzeszczone oczy, obracające się na wszystkie strony, okrwawioną twarz i straszny jej wyraz, gdy setki rąk chwyciły go za gardło i szarpały tego człowieka. Wreszcie twarz zniknęła, a w miejscu, gdzie pograżyła się w tłum, zaczęło się gromadne deptanie... Och, tak! Nie zamarły jeszcze w Anglii serca gorące a wierne!

Matka staruszka powstała z krzesła i wyszła z pokoju cichutko, nie przemówiwszy ani słowa. Mabel zaś zwróciła się ku Oliverowi i położywszy rękę na jego kolanie, spytała:

– Czy czujesz się zmęczony, mój drogi, że milczysz?

Otworzył oczy.

– Ależ nie, ukochana. Czym mogę ci służyć?

– Jak sądzisz, co z tego wyniknie?

Uniósł się nieznacznie, i, jak zwykle, spojrzął przez ciemniejące okna na rozciągający się za nimi podziwu godny widok. Wszędzie jarzyły się teraz światła; morze słońc łagodnych tuż nad domami w tajemniczym błękitie letniego zmierzchu.

– Co z tego wyniknie? – powtórzył. – Tylko dobre. Była już, doprawdy, pora, aby coś się stało. Czasami, jak wiesz, czułem dziwne przygnębienie. Zdawało mi się, że tracimy ducha i że torysi mieli słuszość częściowo, przepowiadając to komunizmowi. Po dzisiejszym jednak zdarzeniu jestem spokojny.

– Jak to rozumiesz?

– Oto pokazaliśmy, że potrafimy przelewać krew za naszą sprawę. I pokazaliśmy to we właściwym czasie, właśnie w chwili przesilenia. Nie chcę przesądzać. Rana moja jest tylko zadrażnieniem, ale zadany rozmyślnie i – tak dramatycznie. Ten biedny szaleniec nie mógł wybrać gorszej chwili dla swojej sprawy. Lud tego nie zapomni.

Oczy Mabel połyskiwały zadowoleniem.

– Drogi mój biedaku – rzekła – czy bardzo dokucza ci rana?

– Nie, nie bardzo. A zresztą nie dbam o nią. Oby tylko raz się skończyła ta przekłeta sprawa wschodnia!

Czuł, że ogarnia go gorączka i rozdrażnienie, lecz stłumił je wysiłkiem woli.

– Och, droga moja – zaczął znów po chwili, lekko zaczerwieniony – gdybyż byli rozsądni, gdyby to chcieli zrozumieć! Lecz nie, nie rozumieją!

– Co takiego, Oliverze?

– Tak, nie rozumieją jak wspaniała jest ludzkość, życie, prawda wreszcie! Czyż jednak nie przedkładałem im tego już po setki razy!

Mabel spoglądała na niego iskrzącymi oczami. Jakże podobał się jej w tej chwili z twarzą pewną siebie, zarumienioną, z entuzjazmem w oczach! Świadomość zaś jego bólu nadała jej uczuciom namiętnego wyrazu. Oto schyliła się nagle i pocałowała męża.

– Och, mój drogi – szepnęła – jakże jestem z ciebie dumna!

Nic nie odrzekł, lecz w oczach jego wyczytała miłą odpowiedź na ten okrzyk serca. I siedzieli tak w ciszy, gdy tymczasem niebo ciemniało coraz bardziej, a stukanie klawiszy maszyny do pisania w sąsiednim pokoju zwiastowało im, że świat żyje i że oni mają też udział w jego sprawach.

Po chwili Oliver ruszył się na fotelu.

– Czy zauważyłaś, ukochana – spytał – że gdy wspomniałem o Jezusie, to...

– ...Przestała na chwilę robić drutami – dokończyła Mabel.

– A więc i ty to zauważyłaś? Jak ci się zdaje, Mabel, czyżby powracała do dawnej wiary?

– Ot, starzeje się i tyle! – zawołała Mabel niedbale.

– Ale nie przypuszczasz chyba, że... bo, doprawdy, to byłoby okropne!

– Nie, nie! – odparła, potrząsając głową. – Jesteś, mój drogi, zmęczony i zdenerwowany, przywiązujesz więc znaczenie do takich odruchów uczucia... Chociaż, prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy należałoby wspominać o takich rzeczach w jej obecności.

– Ale przecież słyszy o tym wszędzie.

– Nie, mój drogi. Nie wychodzi obecnie prawie zupełnie. A zresztą ona tego nie lubi, gdyż, bądź co bądź, wychowana była w wierze katolickiej.

Oliver skinął głową, znów przechylił się w tył na fotelu i spoglądał zamyślony w niebiosy.

– Czy to nie dziwne – zauważył – jak uporczywym jest działanie sugestii? Nawet po pięćdziesięciu latach nie może wybić go sobie z głowy. Proszę cię, czuwaj nad nią... Ale, ale!

– Cóż takiego?

– Otrzymaliśmy znów trochę nowin ze Wschodu. Powiadają, że Felsenburgh kieruje teraz całą sprawą. Cesarstwo posyła go wszędzie: do Tobolska, Benaresu, Jakucka, słowem wszędzie. Był nawet w Australii.

– Czyż nie jest to doskonałą zapowiedzią na przyszłość? – zawołała Mabel, wyprostowawszy się na krześle nagłym ruchem.

– Zapewne. Nie ulega już wątpliwości, że sufisi zwyciężają lecz na jak długo to inna kwestia. Przy tym nie rozpuszczają wojska.

– A Europa?

– Europa zbroi się z całym pośpiechem. Słyszę, że w przyszłym tygodniu odbędzie się w Paryżu zjazd przedstawicieli mocarstw. Ale muszę wyjść.

– A twoja ręka?

– Musi sprawować się dobrze. Nie mogę przecież pozostawić jej w domu.
– Powiedz mi jeszcze coś z nowin wschodnich.
– Nic więcej nie wiem. Pewnym jest tylko, o ile pewnym być może, że znajdujemy się w chwili przełomowej. Jeżeli bowiem uda się teraz namówić Wschód do zachowania pokoju, to bez wątpienia nie naruszy go już nigdy. A znaczy to wolny handel dla całego świata oraz, sądzę, inne jeszcze korzyści... Gdyby jednak...

– Co?

– Gdyby jednak do zażegnania tego przesilenia nie doszło, to nastanie katastrofa o jakiej świat nie miał jeszcze pojęcia. Cała ludzkość chwyci za broń i albo Wschód, albo też Zachód zmieciony będzie po prostu z powierzchni ziemi. Nowy materiał wybuchowy Benninscheina dokona dzieła zniszczenia.

– Czy pewnym jest tylko, że Wschód posiada go także?

– Najzupełniej. Benninschein sprzedał go jednocześnie Wschodowi i Zachodowi, po czym umarł, na szczęście dla siebie.

Mabel słyszała już poprzednio podobne zapowiedzi, lecz wyobraźnia jej nie mogła wprost tego ogarnąć. Pojedynek Wschodu z Zachodem wśród takich okoliczności był nie do pojęcia. Europa nie znała już wojny od dziesiątków lat, wojny zaś wschodnie w ciągu ubiegłego stulecia prowadzone były metodami dawnymi. Obecnie, jeżeli mówiono prawdę, jeden jedyny pocisk wystarczał dla zniszczenia jednego miasta, a przy tym Wschód posiadał wszelkie nowoczesne urządzenia wojenne i ludność męską tak liczną jak połowa reszty świata razem wziętej. Toteż wnioski, wypływające z tych przesłanek, nie były wcale pocieszające dla Anglii.

Mabel pamiętała o prośbie męża co do czuwania nad matką i w ciągu kilku dni istotnie zwracała na nią uwagę. Nic jednak nie zaszło takiego, co by mogło ją niepokoić. Staruszka stała się może trochę więcej milcząca niż zwykle, poza tym wszelako zajmowała się drobnymi sprawami z gorliwością. Czasami prosiła synową o przeczytanie czegoś i przyjmowała bez wzdrygnięcia wszystko, czym ją przy tej lekturze raczono. Do kuchni zaglądała codziennie, przyrządzała rozmaite potrawy i zdawała się interesować każdą rzeczą tyczącą się syna. Własnoręcznie ułożyła mu ubranie w walizce i przygotowała futro, potrzebne przy szybkiej jeździe napowietrznej do Paryża, wreszcie żegnała go skinieniem ręki, wychylona przez okno, gdy szedł wąskim chodnikiem ku stacji. Odjeżdżał, jak mówił, tylko na trzy dni.

Na drugi dzień po wyjeździe syna zachorowała. Dowiedziawszy się o tym od służącej, Mabel pobiegła zaniepokojona na górę i zastała staruszkę w fotelu, zarumienioną i niespokojną.

– To nic, to nic, moja droga! – powtarzała głosem drżącym, opisawszy synowej objawy choroby.

Mabel położyła ją do łóżka, posłała po lekarza i zasiadła w pokoju chorej.

Martwiła ją ta chorobą szczerze, bowiem przywiązała się do teściowej, której cicha

obecność w domu mężowskim sprawiała jej prawdziwą przyjemność, stała się dla umysłu tym, czym na przykład wygodny fotel dla ciała. Staruszka była tak spokojna i ludzka, tak zajęta sprawami domowymi, tak miła wspominając czasem lata dawne, tak wolna od zrzędności i gniewu. Dziwnie patetycznym wydawało się Mabel śledzenie, jak ten duch cichy i obarczony wiekiem kroczył ku zaniknięciu, albo, jak sądziła, ku utracie osobowości, aby zostać wchłoniętym ponownie przez Ducha życia, oświecającego świat.

Mniej złożonym zdawał się jej koniec ducha silnego, wyobrażała sobie bowiem w takim razie energiczny pęd siły, dążącej z powrotem ku przyczynie wszechrzeczy; ta natomiast staruszka posiadała bardzo mało energii. Cała jej siła mieściła się w delikatnej, drobnej tkance osobowości, tworzącej z kruchych cząstek całokształt daleko więcej znaczący, niż suma jej cząstek składowych. Śmierć kwiatka – zastanawiała się Mabel – jest smutniejsza niż śmierć lwa, zbitie porcelanowe filiżanki trudniejsze do naprawienia, niż zniszczenie pałacu.

– Omdlenie i upadek sił – zawyrokował lekarz, obejrzawszy chorą. – Stan taki może trwać albo całe lata, albo zakończyć się nagłym zgonem.

– Czy mam – spytała Mabel – zatelefonować po syna?

Lekarz zaprzeczył.

– Więc nie ma pewności – ciągnęła dalej Mabel – że zgon nastąpi rychło?

– Nie, nie! Wszak powiedziałem pani, że może żyć w takim stanie całe lata.

Objaśnwszy następnie, jak używać przyrządów do oddychania tlenem, lekarz wyszedł.

Gdy Mabel wróciła do chorej, leżała ona spokojnie na łóżku i skinęła pomarszczoną ręką na synową.

– Co powiedział lekarz? – spytała.

– Że to osłabienie, mateczko. Trzeba leżeć spokojnie i niczym się nie zajmować. Czy mam ci trochę poczytać?

– Nie – odparła pani Brand – muszę zebrać nieco myśli.

Mabel nie miała pojęcia o obowiązku przygotowania chorej do tego, że znajduje się w niebezpieczeństwie, dla niej bowiem nie istniała potrzeba zdania rachunku z życia, nie istniał też Sąd Ostateczny. Nauczono ją, że śmierć to koniec, nie zaś początek.

– Co to za dziwne i wspaniałe zjawisko ta śmierć – mówiła do siebie – ten powrót struny, zawieszonyj i dźwięczącej w ciągu lat trzydziestu, pięćdziesięciu lub siedemdziesięciu, do ciszy olbrzymiego instrumentu, będącego wszystkim w samym sobie! Te same nuty struny zadźwięczą ponownie, ba, dźwięczą już nawet może po świecie, jakkolwiek z pewną nieskończenie delikatną odmianą w dotknięciu. Ale dawne, odrębne poruszenie zanika. Głupstwem jest wiara, jakoby trwało ono i dźwięczało wiecznie gdzie indziej, tego gdzie indziej nie ma bowiem wcale. I ona sama także przestanie kiedyś dźwięczeć, niechże więc ton struny jej życia będzie czysty

i miły.

Pan Philips przybył dnia następnego o zwykłej godzinie właśnie w chwili, gdy Mabel opuszczała pokój chorej, spytał więc o zdrowie staruszki.

– Zdaje mi się – odparła Mabel – że jest trochę lepiej. W każdym jednak razie musi leżeć spokojnie przez cały dzień.

Sekretarz uklonił się i wszedł do pokoju Olivera, gdzie cały stos listów czekał na odpowiedzi.

W kilka godzin później, idąc znów na górę, do pokoju staruszki, Mabel spotkała sekretarza, schodzącego ze schodów.

– Pani Brand – rzekł lekko zarumieniony, choć zwykle miał cerę bladą – przysłała po mnie, gdyż chciała wiedzieć, czy pan Oliver powróci dzisiejszego wieczora.

– I cóż? Przyjedzie, czy nie przyjedzie? Słyszał pan co o tym?

– Pan Oliver zawiadamia, że przybędzie późno na obiad, stanie bowiem w Londynie o dziewiętnastej.

– A czy są jeszcze jakieś nowiny?

Sekretarz ściągnął usta.

– Krążą – odparł – pogłoski. Przed godziną otrzymałem depezę od pana Branda.

Wymawiając te słowa wydał się tak wzruszony, że Mabel spojrzała na niego zdziwiona.

– O sprawie wschodniej? – spytała.

– Wybaczy pani – rzekł – ale nie wolno mi nic powiedzieć.

Nie obraziła jej ta odpowiedź, zanadto bowiem ufała małżonkowi, idąc jednak do pokoju chorej, czuła silne bicie serca.

I staruszka zdawała się być podnieconą. Na białych jej policzkach widniały rumieńce i nie uśmiechnęła się nawet, jak zwykle, widząc wchodzącą.

– Widziałas więc, mateczko, pana Philipsa – rzekła Mabel.

Chora rzuciła bystre spojrzenie na mówiącą, ale nic nie odpowiedziała.

– Nie trzeba wzruszać się, mateczko, Oliver powraca dziś wieczorem.

Staruszka westchnęła głęboko.

– Nie kłopotuj się – szepnęła – o mnie, kochanie, czuję, że siły mi powracają. Czy przyjedzie na obiad?

– Jeżeli nie spóźni się szybowiec. Czy podać ci, mateczko, śniadanie?

Po południu ogarnął Mabel dziwny niepokój. Sekretarz, który zasiadł z nią do śniadania w salonie, wychodzącym na ogród, zdawał się bardzo podniecony. Powiedział jej, że będzie nieobecny przez resztę dnia, gdyż otrzymał pewne zlecenia od jej małżonka. Powstrzymywał się od wszelkich rozpraw na temat kwestii wschodniej i nie udzielił jej żadnych wiadomości o paryskich naradach. Powtórzył tylko, że Oliver wróci tego wieczora i w pół godziny wszedł pospiesznie.

Nadeszła wreszcie zapowiedziana godzina, a Oliver nie przybywał. Szybowiec

paryski powinien był już przylecieć, lecz Mabel, wyglądając niecierpliwie przez okno, ujrzała tylko gwiazdy występujące jedna po drugiej na ciemniejszym niebie jak drogocenne kamyczki, upragniony jednak statek napowietrzny, podobny do zgrabnej skrzydlatej ryby, nie zjawiał się na widnokręgu.

Być może, nie dostrzegła go, gdyż nie zawsze nadlatywał o oznaczonej godzinie; widziała go przecież setki razy przedtem, dlatego więc tym razem właśnie – pytała się nierozsądnie – miałyby go nie spostrzec? I gdy obiad już był gotów, nie chciała zasiąść do stołu, przechadzając się w białej domowej sukni po pokojach, wyglądając od czasu do czasu oknem lub nasłuchując łagodnego szumu pociągów, słabych huków na pobliskiej superautostradzie i śpiewnych odgłosów sygnałów na stacji centralnej.

Zapalono już wszędzie światła i dzielnice miejskie stały się podobne do zaczarowanego kraju pod ciemnym sklepieniem niebios.

Zajrzała też, coraz bardziej zaniepokojona, do pokoju staruszki na górze. Staruszka drzemała.

– Oliver nie przybył jeszcze – rzekła Mabel – zapewne zatrzymano go w Paryżu.

Głowa staruszki poruszyła się na poduszkach i usta szepnęły coś niewyraźnie. Mabel zeszła więc znów na dół. Minęła już godzina od chwili, gdy podano do stołu.

„Och – myślała – tysiączne sprawy mogły go zatrzymać. Wszak nieraz wracał jeszcze później. Wszak mógł nie zdążyć na szybowiec, którym zamierzał odlecieć z Paryża. Wszak narady mogły się przedłużyć. Wszak mógł czuć się tak zmęczony, że wolał pozostać na noc w Paryżu. A może nawet telegrafował już o tym do Philippsa, sekretarz jednak zapomniał zawiadomić ją o depeszy?”

Zrozpaczona podeszła wreszcie do telefonu i spojrzała na czarny, okrągły otwór i szeregi guzików z napisami. Postanowiła już prawie przyciskać jeden po drugim i pytać wszędzie, czy nie słyszano czegoś o jej małżonku. Oto klub jego, biuro w Whitehall, mieszkanie sekretarza, parlament... Zawahała się jednak, doradzając sobie cierpliwość, Oliver bowiem tak nie lubił, gdy go odrywano od zajęcia i bez wątpienia wkrótce sam przypomni sobie o niej i ukoji niepokój. I oto, w chwili właśnie, gdy odchodziła od telefonu, dzwonek zadźwięczał ostro, a na białej tabliczce pojawił się napis: Whitehall.

Mabel przycisnęła odpowiedni guzik i nasłuchiwała, zaledwie mogąc ze wzruszenia utrzymać słuchawkę w drżącej ręce.

– Słucham...

Serce zabiło jej gwałtownie, gdy rozpoznała w telefonie głos męża, zdrobniały i osłabiony przez odległość.

– Ach, Mabel! Doskonale! Powróciłem! Wszystko dobrze. A teraz słuchaj. Czy słyszysz?

– Tak, tak!

– A zatem zdarzyło się, co tylko mogło być najlepsze. Na Wschodzie wszystko

załatwione. Dokonał tego Felsenburgh. Słuchaj. Nie mogę jeszcze przybyć do domu, bo za dwie godziny nowina obwieszczona będzie miastu w Pauls' House. Obecnie naradzamy się z prasą. Przybądź tu natychmiast. Musisz być obecna. Czy słyszysz?

– Doskonale!

–A więc przybądź natychmiast. Będzie to najważniejsze zdarzenie w dziejach świata. Lecz nie mów o nim nikomu. Przyjeżdżaj zanim rozpocznie się ścisk. Za pół godziny wszystkie drogi będą zawałone ludem.

– Oliver!

– Co takiego? Mów prędko.

– Matka zachorowała. Czy mam ją zostawić samą?

– Czy bardzo chora?

– Och, chwilowo nie ma niebezpieczeństwa. Lekarz ją zbadał.

Przez chwilę panowała cisza w telefonie.

– Ano, w takim razie przyjeźdź. Wrócimy za kilka godzin. Uprzedź tylko matkę, że przybędziemy późno.

– Dobrze.

– ... bo, widzisz, musisz tu być. Zobaczysz Felsenburgha.

Rozdział 4

Tego samego popołudnia Percy miał gościa.

Nie było w nim nic osobliwego, toteż Percy, schodząc ze schodów ubrany do wyjścia, nie mógł domyśleć się, spojrzawszy przez wysokie szyby w drzwiach pokoju przyjąć, kim jest ów gość i z czym przychodzi. Poznał tylko, że to nie katolik.

– Pragnął pan widzieć się ze mną? – spytał nieznajomego, wskazując mu krzesło – wybaczy pan jednak, że uprzedzę, że nie mam teraz wiele czasu.

– Och, nie zatrzymam pana długo – odparł przybysz prędko. – Interes, który mnie tu sprowadza, załatwię w pięć minut.

Percy czekał, spuściwszy oczy.

– Pewna osoba – mówił gość dalej – przysłała mnie tutaj. Była niegdyś katoliczką i pragnęłaby powrócić na łono Kościoła.

Percy podniósł głowę. Nie często zdarzało mu się w tych czasach słuchać takich posłannictw.

– A zatem, czy pan przyjdzie? Czy może mi pan to obiecać?

Mówiący zdawał się być mocno wzruszony. Błada jego twarz połyskiwała od potu, a oczy miały wyraz zaprawdę nieszczęśliwy.

– Naturalnie – odparł Percy z uśmiechem – przyjdę.

– Dobrze. Ale pan nie wie kim ona jest? Gdyby to się stało głośne, powstałaby wrzawa... wielka wrzawa! Należy więc zachować tajemnicę. Czy zgadza się pan na to?

– Nie mogę obiecać – odparł kapłan łagodnie – wszak nie znam jeszcze okoliczności...

Nieznajomy przygryzł wargi nerwowo.

– Niechże mi pan przynajmniej obieca, że nie rozgłosi tego, póki się z nią nie zobaczy.

– Na to mogę się zgodzić.

– Lepiej będzie – mówił dalej przybysz – gdy nazwisko moje pozostanie nieznanne. Lepiej będzie dla pana, i dla mnie, a przy tym... ta pani leży chora. Pan musi przyjść dzisiaj, ale nie przed wieczorem. Czy mógłby pan przyjść o dwudziestej drugiej?

– Gdzie to jest? – spytał nagle Percy.

– Blisko... blisko stacji centralnej Croydon. Napiszę panu adres. I niech pan nie przychodzi przed dwudziestą drugą...

– Dlaczego nie zaraz?

– Bo... bo jest tam jeszcze rodzina. O dwudziestej drugiej nie będzie nikogo. Wiem na pewno.

Perceму wydało się to podejrzanym. Zamachy tego rodzaju były już znane. Nie mógł jednak odmówić wprost.

– Dlaczego nie posłała po swego proboszcza? – spytał.

– Bo nie wie, panie, kto nim jest. Widziała pana raz w katedrze i spytała o nazwisko. Czy pan to pamięta? To była taka stara kobieta...

Percy przypomniał sobie jak przez mgłę takie zdarzenie, ulotny cień spotkania sprzed dwóch miesięcy. Nie był jednak pewny, czy to o tej kobiecie mowa, co też oświadczył nieznanemu.

– A więc przyjdzie pan, czy nie?

– Muszę – odparł Percy – porozumieć się z ojcem Dolanem. Jeżeli mi pozwoli...

– Tylko, proszę pana, proszę... ojca, aby nie wyjawiał ojcu Dolanowi jej nazwiska...

– Sam jeszcze go nie znam – zauważył Percy, uśmiechając się lekko.

Na te słowa przybysz wyprostował się a na twarzy jego ujawniła się walka wewnętrzna.

– A więc – odezwał się wreszcie – muszę wyjawić je przede wszystkim. Otóż syn tej staruszki jest moim pracodawcą i bardzo wybitnym komunistą. Mieszka ona z nim i jego żoną. Lecz oboje wyjdą dziś wieczorem. Oto dlaczego proszę, żeby pan przyszedł tak późno. A teraz, chciałbym się zapytać, czy zdecyduje się pan odwiedzić chorą?

Percy przyglądał się przez chwilę uporczywie przybyszowi. Zaiste – pomyślał – jeśli to ma być zamach, to spiskowcy biorą się do niego niezręcznie.

– Tak – odparł głosem stanowczym – obiecuję. Przyjdę, a nazwisko?

Nieznajomy poruszył się nerwowo na krześle i rozejrzał dokoła, po czym, jakby pod wpływem nagłego postanowienia, przechylił się naprzód i szepnął prędko:

– Pani ta nazywa się Brand! Jest to, panie, matka posła, Olivera Branda.

Słowa te oszołomiły na chwilę Percego, gdyż były zbyt nadzwyczajne, aby można dać im wiarę. Wszak znał Olivera Branda aż nadto dobrze. Wszak on to działał, z dopuszczenia bożego, w chwili obecnej, więcej przeciwko sprawie katolickiej, niż ktokolwiek inny na ziemi angielskiej. Wszakże to jemu właśnie przysporzyło niezwykłej popularności zajście na placu Trafalgarskim... A oto w tej samej prawie chwili matka jego...

Gwałtownym ruchem zwrócił się ku przybyszowi.

– Nie wiem – zawołał – kim pan jesteś. Nie wiem, czy wierzysz, czy też nie wierzysz w Boga. Uwierzę jednak słowom twoim, jeżeli przysięgniesz mi na religię swoją lub cześć, że mówisz prawdę!

Łagodnie oczy gościa spotkały się ze wzrokiem kapłana. Jeszcze się wahał. Nie było to jednak wahanie zdrady, lecz słabość charakteru.

– Przysięgam – odparł – przysięgam... na Boga wszechmogącego, panie!

– Więc jesteś katolikiem?

Przybysz zaprzeczył ruchem głowy.

– Ale – dodał niepewnie – wierzę w Boga, a przynajmniej tak mi się zdaje.

Percy przechylił się w tył i oparł o poręcz krzesła, usiłując zdać sobie sprawę z tego, co słyszał. Nie czuł bynajmniej triumfu, tego bowiem rodzaju wzruszenia nie należały do jego słabostek. Odczuwał raczej pewien rodzaj strachu, oszołomienia, a przede wszystkim zadowolenie, że łaska boska jest tak nieograniczona. Jeżeli bowiem mogła osiągnąć tej kobiety, to któż śmiałby uważać się za tak odgradzonego od niej, że nie miałyby do niego przystępu? Rzuciwszy wreszcie okiem na przybysza, spostrzegł, że spogląda on na niego niespokojnie.

– Pan się obawia – spytał gość. – Czyżby pan pragnął cofnąć obietnicę?

Słowa te otrzeźwiły nieco Percego.

– Och, bynajmniej – odparł uśmiechnięty. – Przyjdę o dwudziestej drugiej... Czy należy prędko spodziewać się zgonu?

– Nie, panie. Miała atak omdlenia, dziś jednak z rana jej stan polepszył się trochę.

Kapłan przesunął ręką po oczach i powstał.

– Dobrze więc – odparł – przyjdę. Czy zastanę tam pana?

Gość potrząsnął głową i powstał także.

– Muszę – rzekł – być z panem Brandem. Dzisiejszego bowiem wieczora odbędzie się zebranie... lecz nie wolno mi mówić o tym. Nie, panie. Proszę spytać o panią Brand i powiedzieć, że oczekuje pana. Zaprowadzą pana natychmiast na górę.

– I zapewne nie należy pod żadnym pozorem ujawniać służbie, że jestem kapłanem.

– Tak, panie. Proszę tego nie mówić.

Przy tych słowach dobył notatnik z kieszeni, wydarł kartkę, napisał na niej słów kilka i doręczył księdzu.

– Oto adres. Proszę bardzo zniszczyć po skopiowaniu. Bo... bo nie radbym stracić posadę, gdyby się to wydało.

Percy miał przez chwilę w ręku podany papier.

– Dlaczego – spytał wreszcie – nie jesteś pan także katolikiem?

Gość wstrząsnął, milcząc, głową, po czym wziął kapelusz i ruszył ku drzwiom.

Percy spędził popołudnie pełne wzruszeń.

W ciągu ostatnich paru miesięcy niewiele zdarzyło się rzeczy takich, które mogłyby dodać mu otuchy. Zniewolony był donieść kardynałowi protektorowi jeszcze o kilku wybitnych odstępstwach od Kościoła, a bodaj, czy o jednym choćby nawróceniu.

Nie ulegało już wątpliwości, że prąd czasu zwraca się przeciw Kościołowi. Czyn szalony na placu Trafalgarskim wyrządził także ubiegłego tygodnia nieobliczalne szkody sprawie katolickiej. Ludzie powtarzali częściej niżeli kiedykolwiek, a dzienniki wprost piorunowały, że nadprzyrodzonemu charakterowi Kościoła zadaje kłam każdy z jego czynów publicznych. *Zadrąpcie katolików, a znajdziecie mordercę* – opiewał tytuł jednego z artykułów wstępnych dziennika „New People”, parafrazującego znane słowa Napoleona I, a i Percy sam był przerażony zamachem.

Co prawda, arcybiskup potępił formalnie z kazalnicy katedralnej tak zamach, jako też jego motywy, ale i to potępienie posłużyło tylko za pretekst, podchwycony w lot przez główne dzienniki do przypomnienia ciągłej polityki Kościoła, posługującej się rzekomo gwałtem, a potępiającej jego wykonawców. Straszna śmierć przestępcy nie uspokoiła bynajmniej oburzenia publiczności. Nie brakło nawet insynuacji, że widziano przestępcę, jak na godzinę przed zamachem wychodził z domu arcybiskupa.

A oto teraz nadchodzi wiadomość, że własna matka bohatera pragnie pojednać się z Kościołem, który usiłował jakoby zamordować jej syna!

Raz za razem tego popołudnia – gdy dążył na północ do Worcester dla widzenia się z pewnym księdzem i wieczorem, gdy wracał znów na południe i gdy światła zaczęły już połyskiwać – Percy zadawał sobie pytanie: czy w gruncie rzeczy nie jest to spisek, coś w rodzaju odwetu, usiłowanie wciągnięcia go w zasadzkę? Ale trudno, obiecał, więc pójdzie.

Po obiedzie skończył jak zwykle list do kardynała protektora z dziwnym uczuciem fatum ciężącego nad jego głową, zapieczętował kopertę, wypisał na niej adres i ubrawszy się do wyjścia, zszedł na dół, do pokoju ojca Blackmore.

– Czy chcesz, ojcze – rzekł porywczo – wysłuchać mej spowiedzi?

* * *

Gdy w pół godziny potem wkroczył na stację Wiktorii, noszącej jeszcze nazwę wielkiej królowej dziewiętnastego wieku, panował na niej ruch ani większy, ani też mniejszy, niż zwykle. Po obszernym peronie, znajdującym się obecnie o dwieście prawie stóp pod powierzchnią ulicy, przewijały się dwa prądy podróżnych. Prąd odjeżdżających, z którymi Percy łączył się właśnie, zjeżdżając w odkrytej, oszklonej windzie, był tak liczny, że trzeba było posuwać się naprzód bardzo wolno.

Nareszcie stanął, idąc krok za krokiem po cichej, gumowej powierzchni, u drzwi długiego wagonu, mającego podążyć wprost do stacji centralnej. Był to ostatni wagon z serii dwudziestu albo i więcej, opuszczających stację co minutę. Wszedłszy do niego usiadł, spoglądając na ustawiczny ruch wind, podnoszących się i opadających u górnego końca stacji.

Gdy ruszono z miejsca, poczuł się uspokojony. Wypowiadał się raczej dla zdania sobie sprawy ze stanu swojej duszy, niż w przeczuciu istotnego niebezpieczeństwa, a teraz siedział, zapatrzony przed siebie, w szarym garniturze i słomkowym kapeluszu na głowie, nie różniąc się niczym od innych podróżnych, władze bowiem duchowne wydały wszystkim księżom pozwolenie noszenia stroju cywilnego, gdyby tego wymagała potrzeba. Ze względu na to, że choroba staruszki nie zagrażała bezpośrednio jej życiu, nie wiozł ze sobą Komunii Świętej, a tylko w kieszeni miał fioletową stułę,

jakiej używa się zwykle przy odwiedzaniu chorych.

Zapatrzył się na przeciwległe puste siedzenia, usiłując nie rozpraszać myśli, gdy nagle wagon stanął. Wyrżał zdumiony i poznał po biało emaliowanych chodnikach o dwadzieścia stóp od okna, że znajduje się w tunelu. Zatrzymanie się pociągu mogło nastąpić z najrozmaitszych przyczyn, nie wywołało więc w nim zbytniego wzruszenia. Inne osoby, obecne w wagonie, musiały również nie przywiązywać zbyt wiele wagi do przerwy w podróży, w sąsiednich bowiem przedziałach wznowiono rozmowy.

Ale oto z bardzo daleka, zbliżając się coraz wyraźniej i odbijając głośnym echem o mury, nadleciał odgłos krzyków, pomieszanych z gwizdem i śpiewami. Wrzawa stawała się coraz głośniejsza. Rozmowa w wagonie ucichła. Ktoś otworzył okno i prawie w tej samej chwili przemknął przed oknami wagon, pędzący z powrotem na stację, aczkolwiek sąsiedni tor przeznaczony był także dla pociągów opuszczających stację.

– Trzeba się temu przyjrzeć – pomyślał Percy – widocznie coś się zdarzyło.

Wstał więc i ruszył przez pusty przedział ku dalszemu oknu. I znów rozległy się okrzyki oraz dźwięk sygnałów i znów mignął przed oknami wagon, a tuż za nim drugi.

Nagle Percy uczuł wstrząs i padł, straciwszy równowagę, na ławkę, wagon bowiem posunął się do tyłu.

W sąsiednim przedziale rozległy się okrzyki, Percy więc podążył tam, by się przekonać, co się stało i zastał z pół tuzina osób wychylających głowy przez okna i nie zwracających najmniejszej uwagi na jego pytania. Stał tedy bezradny na środku wagonu, oczekując na jakiegokolwiek wyjaśnienie i głęboko niezadowolony, że tajemnicze zajście zdeorganizowało ruch pociągów.

Wagon przystawał jeszcze dwukrotnie, po czym znów ruszał, gwizdnąwszy, zanim wreszcie stanął na stacji Wiktorja, tym razem jednak o jakieś sto jardów od poprzedniego miejsca.

Nie uległo już wątpliwości, że coś zaszło.

W chwili, gdy Percy otwierał drzwi, dobiegła jego uszu ogromna wrzawa, wyskoczył więc co prędzej i spojrzawszy ku końcowi stacji, pojął, co zaszło.

Od lewej ku prawej stronie olbrzymiego wnętrza stacji, w poprzek peronów, rosnąc co chwila, przesuwawa się wielka ciżba ludzi, kołysząca się i wrzeszcząca. Każdy podjeżdżający wagon kolejowy wyrzucał coraz to nowe zastępy mężczyzn i kobiet, biegnące jak mrówki ku zebranemu już tłumowi.

Nie sposób było opisać wrzawę, wytworzoną przez okrzyki mężczyzn, piski kobiet, szcęk i szum wielkich maszyn oraz od czasu do czasu przez przenikliwy dźwięk trąb, gdy otwierały się u góry zapasowe drzwi i drobny ułamek tłumy wysypywał się przez nie z windy na ulicę. Rzuciwszy jednak okiem na tłum Percy nie spojrzął więcej w tę stronę, gdyż uwagę jego zwróciły na siebie widniejące pod zegarem stacyjnym, na rządowej tablicy ogłoszeń, olbrzymie zgłoski, zwiastujące w języku esperanto

i angielskim nowinę, której Anglia oczekiwała już do znudzenia. Percy odczytał tę wiadomość z tuzin razy zanim ruszył z miejsca, zapatrzony w nią jak w nadnaturalne zjawisko, zapowiadające triumf nieba lub piekła.

Na tablicy widniał napis:

KONIEC KONFERENCJI WSCHODNIEJ.
POKÓJ ZAMIAST WOJNY.
USTANOWIENIE BRATERSTWA POWSZECHNEGO.
FELSENBURGH W LONDYNIE DZISIAJ WIECZOREM.

* * *

Dopiero w dwie godziny potem Percy stanął przed domem na stacji centralnej.

Na próżno tłumaczył, błagał, groził – urzędnicy kolejowi wprost poszaleli. Połowa ich znikła w tłumie, pchającym się do śródmieścia, pomimo bowiem środków ostrożności, zastosowanych przez rząd, do uszu mieszkańców przeniknęła wiadomość, że przyjęcie Felsenburgha odbędzie się w Paul's House, znanym niegdyś jako katedra świętego Pawła. Reszta urzędników straciła głowy. Jakiś człowiek padł trupem z wyczerpania nerwowego, lecz nikt nie zwracał na to uwagi, toteż zwłoki leżały, wciśnięte pod ławkę.

Raz po raz tłum porywał ze sobą Percego, który przeciskał się od peronu do peronu w poszukiwaniu wagonu, który by go zawiózł do Croydon. Ale wagonu takiego nie było. Opustoszałe wagony skupiły się na torach pomiędzy peronami, jak drewna naniesione prądem w rzece, inne zaś nadjeżdżały z okolic, wysypując dalej tłumy szalejących i rozgorączkowanych ludzi, którzy znikali jak dym na białych, gumowych chodnikach. Perony to zapełniały się to opróżniały bez końca i dopiero na pół godziny przed północą zaczął się ruch w przeciwnym kierunku.

I oto nareszcie, wyczerpany, bez kapelusza i z potarganym włosiem, stanął Percy przed wskazanym domem, spoglądając na jego ciemne okna.

Przycisnął guzik dzwonka raz, drugi i trzeci, zanim światło ukazało się w jednym z górnych okien.

– Przysłano po mnie – tłumaczył wystraszonej służącej. – Miałem być tutaj o godzinie dwudziestej drugiej, ale wstrzymano ruch pociągów w tę stronę.

Służąca wybełkotała pytanie, dotyczące się przyjazdu Felsenburgha.

– Tak – odparł Percy – to prawda. Będziemy mieli, jak sądzę, pokój zamiast wojny. Proszę zaprowadzić mnie na górę.

Przeszedł przez sień z dziwnym uczuciem winy. A więc to jest dom Branda, tego mówcy tak strasznie wymownego przeciw Bogu i oto on, kapłan, wciska się do tego

domu pod osłoną nocy.

Ha! Trudno, posłano po niego właśnie stąd.

Przy drzwiach jednego z pokoiów na piętrze służąca zwróciła się do niego z pytaniem:

– Czy pan jest lekarzem?

– To już moja sprawa – odparł Percy krótko i otworzył drzwi.

Cichy, jękliwy okrzyk rozległ się z rogu pokoju, zanim jeszcze Percy zdołał zamknąć drzwi.

– Och, dzięki Bogu! Myślałam, że pan już o mnie zapomniał. Czy jesteś kapłanem, ojcze?

– Tak, jestem kapłanem. Czy nie przypomina sobie pani naszej rozmowy w katedrze?

– Tak, tak. Widziałam was, księżę, jakieście się modlili. Och, dzięki, dzięki Bogu!

Percy stał, spoglądając przez chwilę na chorą, na jej twarz zarumienioną, w nocnym czepku, na połyskujące, zapadnięte oczy i drżące ręce. Nie, tu nie było podstępu.

– Czego żadasz – spytał – moje dziecko ode mnie?

– Chciałabym wyspowiadać się, ojcze.

Percy dobył z kieszeni stułę, zarzucił ją na ramiona i siadł przy łóżku.

Chora kurczowo trzymała go za rękę.

– Powiedz mi, ojcze – mówiła – kiedy przyniesiesz mi Komunię świętą?

Zawahał się.

– Podobno – odparł – pan Brand i jego żona nie wiedzą nic o moim przyjściu?

– Istotnie, ojcze.

– Czy pani czuje się bardzo chorą?

– Nie wiem, ojcze. Nie chcą mi tego powiedzieć. Ale ubiegłej nocy zdawało mi się, że umieram.

– Kiedy mam przynieść Komunię świętą? Zastosuję się do życzenia pani.

– Czy mogłabym posłać po ojca jutro lub pojutrze? Proszę mi jednak powiedzieć, ojcze, czy mam zawiadomić ich o tym?

– Nie musi pani tego robić.

– A jednak chciałabym zawiadomić ich, gdyby to było konieczne.

– Ha, proszę więc pomyśleć i zawiadomić mnie o tym. Czy słyszała pani co się zdarzyło?

Skinęła głową prawie obojętnie, a Percy uczuł lekki wyrzut w sercu. Czyż bowiem pogodzenie duszy z Bogiem nie było, zaprawdę, zdarzeniem większym, niż pogodzenie Wschodu z Zachodem?

– Zdarzenia te – rzekł – są bardzo ważne dla pana Branda.

– Tak. Stanie się teraz wielkim człowiekiem.

Po tych słowach spoglądała na niego w milczeniu, uśmiechając się lekko. Percego

zdumiewała wprost młodzieńczość tej starej twarzy. Nagle jednak wyraz ten uległ zmianie.

– Ojczy – rzekła chora – nie powinnam cię zatrzymywać dłużej, ale powiedz mi, co to za człowiek?

– Felsenburgh?

– Tak.

– Nikt nie wie. Dowiemy się jutro. Przybył bowiem dzisiejszego wieczoru do Londynu.

– Bo, ojczy – odparła wzruszona – czuję nieco strachu, gdy myślę o tym człowieku. Czasem zdaje mi się, że mógłby mi zaszkodzić... Ale teraz to chyba niemożliwe... Wszak jestem już katoliczką.

– Ma się rozumieć, że niemożliwe. Jakże mógłby ten człowiek zaszkodzić tobie, moje dziecko...

Mimo tego zapewnienia w oczach chorej widniała wciąż obawa, Percy więc zbliżył się do łóżka.

– Nie trzeba – rzekł, przemawiając dobrotliwie jak do dziecka – poddawać się takim myślom. Oddaj się pod opiekę Pana naszego, a człowiek ten nie będzie mógł ci zaszkodzić.

Chora, jakby nie słysząc słów kapłana, ściągnęła usta i wpatrywała się osłupiałym wzrokiem w przestrzeń.

– Co ci się stało, dziecko? – spytał Percy. – Czyżbyś wiedziała coś o Felsenburghu? A może przyśnił ci się ten człowiek?

Staruszka skinęła w odpowiedzi głową nagle i tak stanowczo, że Percy uczuł po raz pierwszy niepokój w sercu. Czyżby chora postradała zmysły? A jeżeli nie, to dlaczego wspomnienie przez nią tego człowieka wydało mu się tak złowieszczy? I oto przypomniało mu się, że raz ksiądz Blackmore przemawiał do niego w ten sam sposób. Wysiłkiem woli więc zasiadł ponownie przy łóżku.

– Powiadasz – rzekł – żeś śniła? Powiedź mi, co ci się śniło?

Chora uniosła się cokolwiek na łóżku i rozejrzała się po pokoju. Następnie wyciągnęła chudą, pomarszczoną rękę, szukając jego dłoni, podał ją zatem zdziwiony.

– Czy drzwi są zamknięte, ojczy? Czy na pewno nie ma nikogo w pokoju?

– Nie, nie ma nikogo. Czemu drżysz, dziecko? Nie należy być zabobonna.

– Powiem, ojczy, co mi się śniło. Choć sny to niedorzeczność, prawda? Oto, co mi się śniło: znajdowałam się w jakimś wielkim domu. Co to był za dom, nie wiem. Nigdy go przedtem nie widziałam. Wiem tylko, że był stary i bardzo ciemny... ja byłam dzieckiem i... bardzo, bardzo obawiałam się czegoś, toteż płakałam, błądząc po ciemnych korytarzach i szukając światła, ale ani wyjścia ani też światła znaleźć nie mogłam. Wtem uszu mych doleciał z bardzo daleka jakiś głos, ojczy...

Palce jej ścisnęły mocniej dłoń kapłana, a oczy rozejrzały się znów po pokoju.

– Otóż usłyszałam głos i pobiegłam korytarzem w jego stronę, aż ujrzałam światło, przeciskające się przez szparę pod drzwiami. Wówczas stanęłam. Zbliź się, ojciec...

Mimo woli strach chorej udzielił się Percemu.

Głos jej zniżył się do ledwie dosłyszalnego szeptu, a oczy zdawały się przykuwać go dziwnie do miejsca.

– Stanęłam – ciągnęła dalej po chwili – lecz nie śmiałam wejść do pokoju, choć słyszałam rozmowę i widziałam światło... Nie śmiałam, ojciec, bo tam był... Felsenburgh.

Wtem z dołu, od ulicy, rozległo się głośno, wśród nocnej ciszy, trzaśnięcie drzwiami, po czym ktoś zaczął wolno wchodzić po schodach.

Percy odwrócił nagle głowę i w tejże chwili usłyszał szybkie westchnienie staruszki.

– Cyt! – zawołał. – Co to takiego?

Na schodach rozmawiano, usłyszawszy zaś te głosy, staruszka puściła jego rękę.

– Zdawało mi się – szepnęła – że to on.

Percy powstał.

– Słyszę – rzekł – dwa głosy. Kto to może być?

– Mój syn i jego żona – odparła staruszka, przy czym wyraz jej twarzy znów uległ zmianie. – Ojciec, mój ojciec...

Nie dokończyła. Głos uwiązał jej w gardle, kroki bowiem zatrzymały się przed drzwiami. Przez chwilę panowała głęboka cisza, po czym dał się słyszeć za drzwiami zupełnie wyraźnie szept kobiety:

– Widzę światło w jej pokoju. Wejdźmy, Oliverze, tylko cichutko.

I ktoś chwycił za klamkę.

Rozdział 5

Rozległ się okrzyk, a następnie nastąpiła cisza i wysoka, piękna kobieta, o twarzy zarumienionej i połyskujących, szarych oczach, weszła do pokoju w towarzystwie mężczyzny, którego Percy poznał natychmiast z widzianych tak często portretów.

Z łóżka chorej dolatywał cichy jęk, kapłan więc podniósł instynktownie rękę ruchem nakazującym milczenie.

Oliver otworzył usta, ale zamknął je nagle. I na jego twarzy malowało się dziwne wzruszenie. W końcu jednak przemówił.

– Kto to jest? – spytał wolno.

– Oliverze – odparła Mabel, zwracając się ku niemu szybkim ruchem – to ten ksiądz, którego widziałam...

– Ksiądz! – zawołał Oliver i postąpił krok naprzód. – Myślałem...

Percy głęboko westchnął, aby powstrzymać szalony skurcz krtani.

– Tak – rzekł – jestem księdzem.

Znów odezwał się z łóżka jęk chorej. Percy więc zwrócił się tam, aby staruszkę uspokoić i spostrzegł, że Mabel rozpina machinalnie płaszcz od kurzu, okrywając ją nim.

– Posłałaś po niego, matko? – warknął niemal drżącym głosem Oliver, rzucając się naprzód całym ciałem, lecz jego żona wyciągnęła rękę.

– Proszę cię – rzekła – tylko spokojnie... A teraz, panie...

– Tak, jestem księdzem – powtórzył Percy, zmuszony do rozpaczliwej obrony, nie wiedząc prawie, co mówi.

Mabel, podszedłszy ku mężowi, położyła mu delikatnie rękę na ramieniu.

– I pan śmie wchodzić do mego domu! – zawołał Oliver, podchodząc do Percego. Cofnął się jednak nagle.

– Powiadasz więc – rzekł – że jesteś księdzem? Jak długo tu przebywasz?

– Od północy.

– I nie jesteś zło...

Nie skończył, bo Mabel stanęła pomiędzy nim a Percym.

– Oliverze – szepnęła głosem, w którym znać było powściągnięte wzruszenie – nie wolno robić tu sceny. Wszak widzisz, jak matka jest chora... Niech pan zejdzie z nami – dodała, zwracając się do Percego.

Percy ruszył ku drzwiom, a Oliver zszedł mu z drogi.

W połowie jednak drogi kapłan stanął i podniósł rękę.

– Niech cię Bóg błogosławi – przemówił spokojnie do staruszki, szepczącej coś

niezrozumiale w łóżku. Przeżegnał ją i wyszedł z pokoju.

Stanąwszy w sieni, usłyszał stłumiony głos męski a następnie błagalny szept kobiecy. Po chwili Oliver, drżący od stóp do głowy i biały jak płótno, stanął w sieni, milczącym ruchem wskazał drogę Percemu przechodząc obok niego, po czym ruszył po schodach na dół.

Wszystko co zaszło zdawało się Percemu snem nie do uwierzenia, stało się bowiem tak niespodzianie i tak było niezgodne z życiem.

Oliver otworzył drzwi, nacisnął guzik i wszedł do oświetlonego nagle pokoju, po czym wskazał bez słowa krzesło idącemu za nim kapłanowi.

Percy usiadł a Brand stanął przed kominkiem, pogrążywszy głęboko ręce w kieszeniach kurtki.

Niebawem zjawiała się Mabel i podszedłszy ku mężowi położyła mu rękę na ramieniu.

– Usiądź – rzekła – musimy porozmawiać. I pan niech siada – dodała — zwracając się ku Percemu, który wstał, gdy weszła.

Wszyscy troje usiedli. Percy z jednej strony na krześle, małżonkowie zaś z drugiej, naprzeciwko niego, na kanapie o prostym oparciu.

– Musimy to załatwić – zaczęła Mabel – ale bez tragedii. Rozumiesz, Oliverze? Proszę więc bez scen. Zostaw mnie całą sprawę.

Słowa te wymówiła z dziwną wesołością i Percy spostrzegł zdumiony, że mówi szczerze i bez odrobiny cynizmu.

– Kochany Oliverze – ciągnęła – proszę się nie zżymać. Wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz.

Brand rzucił na Percego zjadliwe spojrzenie. Spostrzegła je Mabel, zwracając piękne, uśmiechnięte oczy to na jednego, to znów na drugiego, położyła więc dłoń na kolanie małżonka.

– Słuchaj, Oliverze. Proszę, żebyś nie patrzył tak groźnie na księdza, wszak nie uczynił nic złego.

– Nic złego! – syknął zagadnięty.

– Nie, nic złego. Cóż to kogo obchodzi, co myśli ta nasza biedna staruszka na górze? A teraz, czy nie weźmie mi pan za złe, skoro spytam: po co tu przyszedł?

Percy znów odetchnął głęboko. Nie spodziewał się takiego zwrotu.

– Przyszedłem – odparł – aby przyjąć z powrotem panią Brand na łono Kościoła.

– Dopiął pan tego?

– Dopiąłem.

– Czy nie zechciałby pan wyjawić swego nazwiska? Ułatwiłoby nam to rozmowę.

Percy zawahał się. Wreszcie postanowił walczyć jej własną bronią.

– Nazywam się Franklin.

– Ojciec Franklin? – spytała Mabel z ledwie odczuwalnym naciskiem szyderstwa na

pierwszym słowie.

– Tak. Ojciec Percy Franklin z pałacu arcybiskupiego w Westminsterze.

– A zatem, czy ojciec Percy Franklin może nam powiedzieć, dlaczego tu przyszedł?

A raczej: kto posłał po niego?

– Pani Brand posłała po mnie.

– Dobrze, ale kogo?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Ach tak?... Czy nie moglibyśmy w takim razie dowiedzieć się, co komu przyjdzie z przyjęcia go na łono Kościoła?

– Przez przyjęcie na łono Kościoła dusza godzi się z Bogiem.

– Ach! Oliverze, proszę siedzieć spokojnie. A jak to się robi, ojczy Franklinie?

Percy zerwał się z krzesła.

– Proszę pani! – zawołał. – Nie godzi się tak drwić. Po co te pytania?

Mabel spojrzała na niego oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia, wciąż trzymając dłoń na kolanie mężowskim.

– Po co?... Po co o to pytacie, ojczy Franklinie? Ot, po prostu, aby wiedzieć. Czyżby prawo kościelne zabraniało wam o tym mówić?

Percy znów się zawahał. Zupełnie nie rozumiał, do czego zmierza Mabel. Ale poczuł, że zdobędą nad nim przewagę, jeśli straci głowę. Usiadł więc z powrotem.

– Bynajmniej. Jeżeli chcecie państwo wiedzieć, to wam powiem: wyspowiadałem panią Brand i dałem jej rozgrzeszenie.

– Tak? I to wystarcza? A potem?

– Powinna komunikować się i otrzymać ostatnie sakramenty, jeżeli znajdzie się w niebezpieczeństwie utraty życia.

Oliver drgnął nagle.

– Panie! – syknął.

– Oliverze! – zawołała Mabel błagalnym głosem. – Proszę cię, zostaw to mnie. Ręczę ci, że tak będzie lepiej. A zatem, ojczy Franklinie, pragnęlibyście zapewne udzielić matce naszej także tych... innych rzeczy?

– Nie są one absolutnie konieczne – odparł ksiądz, czując, choć sam nie wiedział dlaczego, że gra partię przegraną.

– Ach tak? Więc nie są konieczne. W każdym jednak razie pragnęlibyście ich udzielić?

– Tak, jeżeli okaże się to możliwe. Uczyniłem już jednak to, co jest konieczne.

Odpowiadając na powyższe pytania, dobywał całego wysiłku woli, aby zachować spokój, lecz znajdował się w położeniu człowieka, który uzbroił się w miecz, a przekonał się, że ma do czynienia z wrogiem nieuchwytnym jak mgła. Po prostu nie wiedział, co dalej nastąpi. Oddałby wszystko, aby mężczyzna, siedzący przy tej kobiecie, rzucił się na niego i chwycił go za gardło, bo młoda Mabel pokonywała ich

obu.

– Trudno się spodziewać – rzekła spokojnym głosem – aby mój mąż zgodził się na powtórne odwiedziny ojca w tym domu. Szczęśliwa jednak jestem, żeście, ojcze, spełnili to, co uważacie za potrzebne, gdyż bez wątpienia sprawiło to radość tak wam, ojcze Franklinie, jako też tej biedaczce tam, na górze. Co do nas – tu przycisnęła mocniej kolano męża – to nic nie mamy przeciwko temu. Ale jeszcze jedno...

– Proszę – odparł Percy, czekając niespokojnie, co dalej nastąpi.

– Wy, chrześcijanie... proszę mi wybaczyć, jeżeli powiem coś przykrego, lecz wy chrześcijanie macie reputację liczenia wciąż zdobytych głosów i chwaleń się z dokonanych nawróceń. Otóż bylibyśmy wam bardzo wdzięczni, ojcze Franklinie, gdybyście dali nam słowo, że nie rozgłosicie tego... tego zdarzenia. Rozgłoszenie go bowiem sprawiłoby przykrość memu mężowi i naraziłoby go na wielkie nieprzyjemności.

– Pani Brand... – zaczął Percy.

– Jeszcze chwilę... Nie obeszlśmy się źle z wami, ojcze. Nie użyliśmy gwałtu. Obiecujemy również, że nie będziemy robili jakichkolwiek wymówek naszej matce. Czy wobec tego możecie dać nam słowo?

Percy miał już dość czasu do namysłu, odparł więc natychmiast:

– Naturalnie, że daję słowo.

Mabel westchnęła z uczuciem ulgi.

– Doskonale. Jesteśmy ojcu wdzięczni i... i sądzę, że mąż mój, zastanowiwszy się, znajdzie sposób, abyście, ojcze, mogli przyjść tu z komunią i z tymi innymi... rzeczami...

Oliver zadrżał znów przy tych słowach.

– W każdym razie – mówiła dalej – pomyślimy o tym. Znamy adres ojca i możemy go zawiadomić... A teraz, ojcze Franklinie, pozwólcie się spytać, czy wracacie stąd do Westminsteru?

Percy skłonił głowę.

– Być może, że uda się wam tam dostać, ale znajdziecie Londyn bardzo podniecony. Może słyszeliście już...

– Felsenburgh? – przerwał Percy.

– Tak, Julian Felsenburgh – odparła Mabel miękkim głosem a oczy jej zapłonęły dziwnym wzruszeniem. – Julian Felsenburgh – powtórzyła – jest tutaj i pozostanie w Anglii przez pewien czas.

Na wspomnienie tego nazwiska Percy uczuł ponownie jakby lekki strach.

– Słyszałem – rzekł – że ma być pokój?

W odpowiedzi Mabel powstała z kanapy, a za nią powstał także Oliver.

– Tak – rzekła prawie namiętnie – będzie pokój. Pokój na koniec. – Tu podsunęła się o krok ku księdzu, twarz zaś jej zapałała jak ognista róża. – Wracajcie – mówiła,

podniósłszy nieco rękę – ojczyźnie Franklinie, do Londynu i patrzcie dobrze. Spodziewam się, że go ujrzycie i ujrzycie poza nim jeszcze więcej – w tym miejscu głos jej zadrżał – i zrozumiecie może, dlaczego obeszliliśmy się tak z wami, dlaczego nie obawiamy się was więcej, dlaczego zgadzamy się, aby matka nasza robiła, co się jej podoba. Och tak, ojczyźnie Franklinie, zrozumiecie to jeżeli nie dziś, to jutro, a jeżeli nie jutro, to w każdym razie bardzo prędko.

– Mabel! – zawołał Oliver.

Mabel odwróciła się, zarzuciła mężowi rękę na szyję i pocałowała go w usta.

– Och, nie wstydę się tego, mój kochany. Niech idzie i niech się sam przekona. Dobranoc, ojczyźnie Franklinie.

Percy skierował się ku drzwiom, usłyszawszy jednak za sobą dźwięk dzwonka, odwrócił się i zatrzymał oszołomiony, małżonkowie stali w łagodnym świetle, jak zamienieni w posągi. Mabel obejmowała ręką szyję Olivera, stojąc wyprostowana, rozpromieniona, jak słup ognisty, na twarzy zaś Olivera nie było ani śladu gniewu. Na obu natomiast uśmiechniętych twarzach malowała się nadludzka niemal pycha i pewność...

Percy pogrążył się w cichą noc letnią.

Siedząc w zatłoczonym wagonie, pędzącym do śródmieścia, Percy nie czuł nic prócz strachu, nie pojmował nic prócz tego, że działy się rzeczy dziwne, że podobno Londyn nagle oszalał, że Felsenburgh przemawiał tego wieczora w Paul's House.

Przerażał go sposób, w jaki go potraktowano i w gnębionym umyśle zadawał sobie raz za razem pytanie: co wywołało taki sposób podejścia? Chwilami zaś wydawało mu się, że istotnie stoi wobec czegoś nadludzkiego.

Wagon przystawał trzy razy i za każdym razem Percy widział wszędzie oznaki zamieszania, postacie biegnące w mroku wśród torów, potraskane wagony, poskręcane stopy nieprzemakalnych płócien; przysłuchiwał się machinalnie huczeniu i krzykom, rozlegającym się dokoła.

Gdy znalazł się wreszcie na peronie stacji, którą opuścił przed kilku godzinami, panował tam, jak wówczas, ścisk tłumów, wyładowywanych przez nadjeżdżające pociągi. Te same zwłoki ludzkie leżały pod ławką, a nad tym wszystkim – gdy biegł razem z tłumem, nie wiedząc prawie dokąd i po co – połykiwał pod zegarem ten sam jeszcze napis, głoszący zdumiewającą wieść. Popchnięty w końcu przez tłum, Percy znalazł się w windzie, a po chwili stanął na powierzchni ulicy.

I tu oczom Percego przedstawił się czarujący widok. Uliczne lampy płonęły jeszcze, ale poza nimi rozpościerały się już na niebiosach pierwsze brzaski świtu. Ulica biegnąca teraz prosto do dawnego pałacu królewskiego i łącząca się tam, jak w środku olbrzymiej sieci, z ulicami wiodącymi z Westminsteru, Mail i Hyde Parku, zdawała się być wybrukowana ciasno głowami ludzkimi. Po obu jej stronach wznosiły się hotele i „Domy radości”, a z okien ich buchały snopy triumfalnych i odświętnych świateł,

jakby na powitanie króla, gdy tymczasem na wprost patrzącego rysowały się w oddali ognistymi liniami na ciemnym tle nieba potworne zarysy pałacu Pauls' House, tak samo oświetlonego wewnątrz rzesiście, jak wszystkie domy okoliczne.

Na ulicach panowała ogłuszająca wrzawa. Nie sposób było odróżnić oddzielnych dźwięków. Krzyki, odgłosy trąb, warczenie bębnow, szum tysięcy nóg grzmocących po gumowych chodnikach, głuchy turkot pociągów na stacji w dole – łączyły się w jeden przeciągły grzmot, przerywany czasami przez ostre tony.

Nie sposób było poruszyć się z miejsca.

Percy znalazł się w miejscu nadzwyczaj sprzyjającym obserwacji, bo u szczytu szerokich schodów wiodących do dawnej stacji kolejowej, tworzącej obecnie obszerny plac. Przesunął się więc machinalnie o parę stóp na lewo, objął ręką stojący tam filar i czekał, usiłując nie analizować wzruszeń, jakie przeżywał, lecz pochłaniać je i pojąć.

Stopniowo stało się dla niego jasne, że tłum ten nie jest podobny do tłumów widywanych poprzednio. Zmysłom jego wydawał się tak jednolity, jak żaden inny. Powietrze przesyciłały wartkie nurty namacalnej wręcz ekstazy. Panowało uczucie jakby procesu tworzenia się czegoś nowego, procesu, przez który tysiące komórek indywidualnych zlewa się z każdą chwilą coraz lepiej w jedną olbrzymią istotę czującą, posiadającą jedną myśl, jedno wzruszenie, jedną wolę.

Wrzawa głosów wydawała się ruchem, przez który wyraża się ta siła twórcza. I tak oto leżało przed nim to mrowie ludzkie, rozpościerając żywe członki na wszystkie strony jak tylko okiem mógł sięgnąć i wyczekiwało, wyczekiwało, aby się coś spełniło.

Świt rozpościerał się już coraz bardziej stałym, łagodnym światłem, które jednak, pomimo swojej wszechwładności, zdawało się niczym wobec wspaniałości oświetlenia ulic.

– Nie potrzebujemy słońca – szepnął Percy, uśmiechając się boleśnie – nie potrzebujemy słońca lub światła świecy, bo posiadamy własne światło na ziemi, światło, które oświeca każdego człowieka...

I nagle zwrócił uwagę na wrzawę, zdawało mu się bowiem, że gdzieś daleko, ku wschodowi, zamiera ona stopniowo. Zachnął się przy tym niecierpliwie, bo właśnie jeden z ludzi stojących za nim zaczął coś mówić szybko i bez związku. Dlaczego ten człowiek nie milczy, nie pozwala usłyszeć tej ciszy? Lecz w końcu i on zamilkł, a z daleka podniósł się krzyk tak słałby, jak plusk przyływu fal morskich w cichy dzień letni. Ale oto idzie ku niemu z prawej strony, już jest blisko, już dzwoni mu w uszach. Już nie jest to krzyk indywidualny, jeno potężny oddech olbrzyma, który właśnie został poczęty.

I Percego porwał także ten prąd nieprzeparty, i on krzyczał, nie wiedząc, co krzyczy. Po prostu nie mógł milczeć. I jego nerwy i żyły zdawały się upojone, a gdy wyteżył wzrok wzdłuż ulicy, słysząc olbrzymi krzyk, odpływający od niego w stronę placu, pojął wreszcie, dlaczego krzyczy, dlaczego nie milczy.

Wysmukły przedmiot w kształcie ryby, biały jak mleko, powiewny jak widmo, a piękny jak jutrzienka, pojawił się w powietrzu o jakieś pół mili, skręcił i sunął się ku niemu, szybując, jak się zdawało, tuż nad falą ciszy, wywołanej przez siebie, wzdłuż ulicy, na rozpiętych skrzydłach, zaledwie o kilkanaście stóp ponad głowami tłumu.

I oto rozległo się jedno olbrzymie westchnienie, a po nim nastąpiła cisza.

Gdy Percy zdołał wreszcie zebrać myśli – bo wola jego była teraz o tyle tylko zdolna do wysiłków, o ile zegar jest zdolny do uderzeń – dziwny, biały przedmiot znajdował się już daleko.

Percy powtarzał sobie w duchu, że widział już setki takich samych przedmiotów poprzednio, ale w tej samej chwili przyznał, że ten wydawał się inny niż tamte.

Oto zbliża się coraz bardziej, wolno, wolniutko, jak mewa szybująca nad morzem. Percy odróżnia już jego gładki przód, niski parapet z tyłu i nieruchomą głowę sternika. Słyszy już nawet cichy szmer obracających się śmigieł śruby... i nagle ujrzał to, na co oczekiwał.

Wysoko, na środkowym pokładzie szybowca, stał fotel udrapowany materia, również barwy białej i ozdobiony godłami nad oparciem, w fotelu zaś widniała nieruchoma postać samotnego mężczyzny. Zbliżając się, nie dawał żadnych znaków. Jego czarne ubranie odcinało się rażąco od białego tła. Głowę trzymał podniesioną i od czasu do czasu zwracał ją łagodnym ruchem to w prawo, to znów w lewo.

Szybowiec podlegał jeszcze bliżej wśród głębokiego milczenia, a mężczyzna zwrócił głowę i oto twarz jego stała się widoczna jak najwyraźniej w łagodnym, jasnym świetle.

Była to twarz blada, silnie zarysowana, młoda, o czarnych, łukowatych brwiach i siwych włosach.

Po czym twarz odwróciła się, sternik skręcił, piękny szybowiec, zakołysawszy się lekko, minął róg ulicy i poszybował ku pałacowi.

Gdzieś odezwał się, jak hasło, histeryczny okrzyk i znów wszczęła się burzliwa wrzawa.

KSIĘGA II

SPOTKANIE

Rozdział 1

Wieczorem następnego dnia Oliver Brand siedział przy biurku, czytając artykuł wstępny wieczornego wydania dziennika „New People”.

„Mieliśmy czas – czytał – aby ochłonąć z upojenia ubiegłej nocy. Zanim wszakże wdamy się w przepowiednie, dobrze będzie, gdy przypomnimy jeszcze fakty. Aż do wczorajszego wieczora trwała nasza niepewność co do wyniku przesilenia wschodniego. Nawet gdy wybiła godzina dwudziesta pierwsza, w całym Londynie nie było więcej niż czterdzieści osób – to jest członków delegacji angielskiej – które by wiedziały stanowczo, że niebezpieczeństwo minęło. Od tej chwili, w ciągu pół godziny, rząd przedsięwziął pierwsze dyskretne kroki: zawiadomiono pewną ilość wybranych osób oraz postawiono w stan gotowości policję i z pół tuzina pułków dla utrzymania porządku. Opróżniono Paul’s House, rozesłano ostrzeżenia do zarządów kolejowych, a po upływie pół godziny rozgłoszono wiadomość za pomocą plakatów elektrycznych po wszystkich dzielnicach Londynu i po większych miastach prowincjonalnych. Nie posiadamy w obecnej chwili miejsca, aby opisać szczegółowo, jak znakomicie władze wywiązały się ze swego obowiązku. Dość powiedzieć, że w całym Londynie stwierdzono tylko siedemdziesiąt nieszczęśliwych wypadków. Nie nasza to rzecz także krytykować rząd za to, że wybrał taki a nie inny sposób zawiadomienia ludności o wielkim zdarzeniu.

Już o godzinie dwudziestej drugiej Paul’s House był zapełniony po brzegi. Dawny chór zarezerwowano dla członków parlamentu i przedstawicieli władz, galerie zapełniły się paniami, do reszty zaś gmachu dano swobodny przystęp publiczności. Policja szybowcowa donosi nam także, iż w promieniu mili dokoła tego gmachu wszystkie ulice były przepełnione ludem, w dwie zaś godziny potem, co zresztą wszystkim wiadomo, główne ulice całego Londynu znajdowały się już w takim samym stanie.

Zrobiono wybór bardzo trafny, przeznaczając Olivera Branda na pierwszego mówcę. Ręka jego była jeszcze obandażowana, postać zaś pociągająca, a pierwsze, namiętne słowa nadały wyraźny nastrój zebraniu. Mowę jego znajdą czytelnicy na innym miejscu. Następnie przemawiali kolejno, po kilka słów, stwierdzając nadzwyczajną wiadomość: prezes ministrów pan Snowford, pierwszy lord admiralicji, sekretarz spraw wschodnich i lord Pemberton. Trzy kwadransy przed dwudziestą trzecią wrzawa okrzyków, rozlegających się na dworze, zwiastowała przybycie delegacji amerykańskiej z Paryża, a wkrótce potem wstąpili oni jeden po drugim na platformę, wchodząc przez południowe wrota dawnego chóru. Każdy z nich przemawiał po kolei. Nie sposób ocenić słów, wyrzeczonych w takiej chwili, nie wzbudzi to jednak może zawiści, gdy

wymienimy pana Markhama jako mówcę najbardziej przemawiającego do serca słuchaczy. On to również powiedział nam wyraźnie to, co inni tylko zaznaczyli, a mianowicie, że powodzenie wysiłków amerykańskich należy zawdzięczać jedynie Julianowi Felsenburghowi. Do chwili owej Felsenburgh nie przybył jeszcze, toteż pośród tłumów, zebranych w gmachu, powstał istny huragan pytań, uspokojony dopiero przez zapewnienie Markhama, że oczekiwany mąż nie omieszka zjawić się niebawem. Następnie mówca przystąpił do wyjaśnienia nam – o ile to było możliwe w kilku zdaniach – metod, za pomocą których Felsenburgh dokonał zadania może najbardziej podziwu godnego w dziejach świata. Otóż, jak widać z wyjaśnienia, Felsenburgh (życiorys jego, o ile znamy, podajemy na innym miejscu) jest prawdopodobnie największym mówcą, jakiego świat wydał kiedykolwiek. Słowa te piszemy z rozmysłem. Wszystkimi językami włada on z równą biegłością. Dość powiedzieć, że w przeciągu ośmiomiesięcznego trwania konferencji wschodniej przemawiał w piętnastu językach. O sposobie, w jaki przemawia, pomówimy dalej. Wykazał także, jak powiada Markham, wprost zadziwiającą znajomość nie tylko natury ludzkiej, lecz nawet najdrobniejszego rysu, w jakim się ona objawia. Zdawał się być obeznany z dziejami, przesądami, obawami, nadziejami i oczekiwaniami wszystkich niezliczonych kast i sekt Wschodu, do których wypadało mu przemawiać. Słowem – powiada Markham – jest on bez wątpienia pierwszym doskonałym owocem tej kreacji kosmopolitycznej, do jakiej świat przedzierał się przez całe swoje dzieje.

Niemniej niż w dziesięciu miejscach – czytał Oliver dalej – a między innymi w Damaszku, Irkucku, Konstantynopolu, Kalkucie i Benaresie tłumy mahometan ogłosiły go mesjaszem. Wreszcie i w Ameryce, skąd ta nadzwyczajna postać wyrosła, wszyscy mówią o niej dobrze. Nie ma nikogo, kto by mu dowiódł grzechu, jakiegokolwiek skandalu opisanego przez prasę bulwarową, w korupcji, w wymuszaniu handlowym lub politycznym, tak plamiących przeszłość wszystkich polityków starej daty, którzy uczynili z kontynentu amerykańskiego to, czym stał się obecnie. Felsenburgh nie utworzył nawet własnego stronnictwa. Nie jego podkomendni, lecz on sam odniósł zwycięstwo.

Osoby obecne w Paul's House podczas mowy Markhama potwierdzą chyba nasze zdanie, jeżeli powiemy, że mowa jego sprawiła nieopisane wrażenie.

Gdy wreszcie Markham usiadł, w olbrzymim gmachu zapanowała cisza. Wówczas dla uspokojenia ogólnego wzruszenia organista uderzył w klawisze i rozległy się pierwsze takty hymnu masońskiego. Wnet podchwyciła je publiczność i oto zabrzmiało hymnem nie tylko całe wnętrze gmachu, lecz śpiew przeniósł się także na zewnątrz i w ciągu kilku chwil cały Londyn stał się jakby jedną wielką świątynią Pana.

A teraz nadchodzi najtrudniejsza część naszego zadania, lepiej więc będzie, gdy przyznamy z góry, że musimy zaprzestać wszelkich wysiłków przedstawienia rzeczy po dziennikarsku. Największe bowiem zdarzenia dadzą się opowiedzieć najlepiej właśnie

słowa mi najprostszymi.

Pod koniec czwartej zwrotki zauważono, że mężczyzna w skromnym czarnym ubraniu wchodzi po schodach, wiodących na estradę. Przez chwilę nie interesowano się nim bardzo, skoro jednak zauważono, że jego wejście wywołało ruch wśród delegatów, zebranych na estradzie, śpiew zaczął przycichać i wreszcie ustał zupełnie, gdy nieznajomy, skłoniwszy się lekko na prawo i na lewo, wszedł na mównicę. W tej chwili zdarzyło się ciekawe zajście: organista, siedzący wysoko, w pierwszej chwili nie zrozumiał dlaczego śpiew ustaje, grał więc dalej. Nagle jednak spośród tłumu odezwał się dźwięk podobny do jęku i organista od razu przestał grać, po czym głęboka cisza zapanowała przez chwilę nad zebraniem i – przez jakieś dziwne działanie magnetyczne – udzieliła się także tłumom stojącym na dworze tak, że pierwsze słowa Felsenburgha – on to bowiem zjawiał się tak niespodziewanie – rozległy się wśród ciszy rzekłbyś namacalnej. Wy tłumaczenie tego zjawiska zostawiamy psychologom.

Dosłownego tekstu jego mowy nie możemy powtórzyć. O ile też wiemy, żaden z reporterów nie robił notatek w tej chwili. Mowa, wygłoszona w języku esperanto, była bardzo prosta i bardzo krótka. Zawierała treściwą wiadomość o wielkim fakcie powszechnego braterstwa i powinszowania dla tych wszystkich, którzy doczekali się spełnienia przeznaczenia dziejów, w końcu zaś zwrot wysławiający Ducha świata, którego wcielenie się zostało właśnie dokonane.

Tyle możemy powiedzieć, nie o wrażeniu jednak sprawionym przez osobę stojącą na mównicy. Na pozór człowiek ten zdaje się liczyć około trzydziestu trzech lat, wysmukły, o twarzy gładko wygolonej, siwych włosach, czarnych brwiach i oczach. Stojąc prosto, z rękoma opartymi o poręcz mównicy, zrobił podczas swej mowy tylko jeden gest, wywołując nim jakby łkanie wśród tłumu; mówił wolno, wyraźnie i donośnym głosem, po czym zamilkł, czekając.

Nie było jednak odpowiedzi. Rozległo się tylko przeciągłe westchnienie, sprawiające na słuchaczach, a przynajmniej na jednym z nich, wrażenie takie, jakby świat odetchnął po raz pierwszy swobodnie, po czym zaległa znów ta cisza, rozdzierająca serce. Wielu z obecnych płakało cicho, tysiące warg poruszało się bez dźwięku, a wszystkie twarze zwracały się ku tej prostej postaci, jak gdyby w niej ześrodkowały się nadzieje wszystkich dusz. Tak samo, jeżeli mamy wierzyć, zwracały się przed wiekami wejrzenia tłumów ku temu, który jest znany w dziejach świata jako Jezus z Nazaretu.

Felsenburgh stał tak jeszcze przez chwilę, a następnie zwrócił się ku schodom, przeszedł wzdłuż estrady i zniknął.

O tym, co zaszło następnie na dworze, otrzymujemy od jednego z naocznych świadków następujące sprawozdanie: biały szybowiec, dobrze wszystkim znany, którzy byli wczoraj wieczorem w Londynie, pozostał, czekając u małych drzwi południowego skrzydła dawnego chóru, unosząc się na wysokości jakichś dwudziestu stóp nad ziemią. Stopniowo rozeszła się wiadomość, kto przybył na tym szybowcu. Gdy więc

Felsenburgh znów się zjawił, na całej długości podwórza Paul's House odezwał się ten sam dźwięk, podobny do jęku, co i wewnątrz gmachu, a następnie zaległa taka sama cisza. Szybowiec opuścił się ku ziemi, Felsenburgh wsiadł do niego, po czym statek wzbił się ponownie na wysokość dwudziestu stóp. Sądono z początku, że Felsenburgh wygłosi mowę, widocznie jednak uznał to za zbyt ciche. Po chwili szybowiec ruszył z miejsca i rozpoczął ten cudowny pochód, którego Londyn chyba nie zapomni.

Cztery razy w ciągu tej pamiętnej nocy Felsenburgh okrążył olbrzymią metropolię, nie przemawiając nigdzie. I wszędzie wrzawa tłumu poprzedzała go i szła za nim, gdy tymczasem głęboka cisza zalegała tam, gdzie w danej chwili przelatywał. W dwie godziny po wschodzie słońca statek napowietrzny wzbił się w wyższe sfery nad Hampstead i zniknął w kierunku północnym. Od tej chwili mąż, słusznie nazywany Zbawicielem świata, nie był więcej widziany.

Cóż mamy jeszcze do nadmienienia?

Komentarze są zbyt ciche, wystarczy gdy powiemy po prostu, że zaczęła się nowa epoka, do której na próżno wzdychali prorocy i królowie, cierpiący i konający, pracujący i obciążeni. Nie tylko, że skończyła się rywalizacja kontynentów, lecz i zatargi wywołane przez spory wewnętrzne. O tym, który stał się zwiastunem rozpoczęcia tej ery, nie mamy nic więcej do powiedzenia. Czas tylko wykaże, co on ma jeszcze do zdziałania, zdziałał zaś już to, że kwestia wschodnia przestała istnieć. Zrozumieli już tak barbarzyńcy, jak narody cywilizowane, że skończyło się panowanie wojny. «Nie pokój, ale miecz» – powiedział Chrystus i gorzko prawdziwymi okazały się te słowa. «Nie miecz, lecz pokój» – oto nareszcie artykułowana odpowiedź tych, którzy wyrzekli się roszczeń Chrystusa lub nigdy ich nie uznawali. Zasada miłości i jedności, głoszona, acz chwiejnie czasami, na Zachodzie w ciągu ubiegłego stulecia, podjęta została teraz i przez Wschód.

Nie odezwą się już wezwania do broni, lecz do sprawiedliwości; nie będzie już wzywania Boga, który się ukrywa, lecz człowieka, który poznał własną boskość. Nadprzyrodzoność zamarła, a raczej dowiedzieliśmy się, że nigdy nie istniała. Pozostaje tylko jeszcze opracowanie wyników tej nowej nauki, skierowanie każdego czynu, słowa i myśli przed trybunał sprawiedliwości i miłości. I to stanowić będzie niewątpliwie zadanie lat przyszłych. Wszystkie istniejące kodeksy praw muszą być przeinaczone, wszelkie przeszkody zburzone; stronnictwo musi się zjednoczyć ze stronnictwem, kraj z krajem, kontynent z kontynentem. Nie ma już strachu, bojaźni tego, co nastąpi lub obezwładnień przez zatargi. Człowiek jęczał już dość długo w bólach porodowych, krew lała się jak woda przez jego własną głupotę, nareszcie jednak zrozumiał samego siebie i jest spokojny.

Niechaj Anglia dowiedzie przynajmniej, że nie pozostaje w tyle poza innymi narodami w tym dziele reformacji; niechaj odosobnienie narodowe, duma rasowa, oszołomienie dobrobytem, nie wstrzymają jej rąk od udziału w tej olbrzymiej pracy.

Odpowiedzialność w tym dziele jest nieobliczalna, ale za to zwycięstwo pewne. Idźmy łagodnie, upokorzeni przez świadomość zbrodni naszych w przeszłości, pełni nadziei sławnych czynów na przyszłość, ku nagrodzie widocznej nareszcie – nagrodzie ukrytej tak długo przez samolubstwo człowieka, ciemnotę religii, spory językowe – nagrodzie obiecanej przez tego, który nie wiedział, co mówi i zaprzeczał temu, co twierdził: «Błogosławieni cisi, pokój czyniący i miłosierni, albowiem posiadają ziemię, nazwani będą synami Boga i dostąpią miłosierdzia»”.

Oliver, blady po wargi ze wzruszenia, z żoną klęczącą u jego nóg, odwrócił stronicę dziennika i przeczytał króciutki ustęp pod tytułem: *Ostatnie wiadomości*.

„Podobno – brzmiał ten ustęp – rząd nasz porozumiewa się z Felsenburghem”.

– Jaskrawe to, jak każda robota dziennikarska – przemówił nareszcie Oliver, przechylając się na krzesło – ale sam fakt...

Mabel powstała, przeszła do kanapy we wnęcie okiennej i usiadła na niej. Usta jej poruszały się kilkakrotnie, lecz nie wymówiły ani słowa.

– Więc nie masz, moja droga, nic do powiedzenia? – spytał nagle Oliver.

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę bojaźliwie, wreszcie odrzekła:

– Wszak sam powiedziałeś: na co zdały się słowa w takich razach?

– Ale ja chcę, żebyś mi jeszcze raz powtórzyła wszystko, chcę się upewnić, że to nie marzenie senne.

– Marzenie senne? – powtórzyła. – Czy może się przyśnić kiedykolwiek coś tak pięknego?

Znowu powstała wzruszona, przeszła przez pokój i klękawszy u jego kolan, ujęła dłonie męża.

– Mój drogi – szepnęła – to nie sen, to rzeczywistość nareszcie. Wszak ja byłam tam również. Czy nie pamiętasz? Czekaleś na mnie, gdy wszystko się skończyło, gdy On wyszedł... Widzieliśmy Go razem, ja i ty. Słyszeliśmy Go – ty z estrady, a ja z galerii. Widzieliśmy Go potem, stojąc wśród tłumu, jak wyszedł na przystań, a następnie wróciliśmy do domu i zastaliśmy tu księdza.

Mówiąc to Mabel wyglądała jak osoba pochłonięta cudownym widzeniem. Słowa płynęły z jej ust wolno, bez wzruszenia lub uniesień histerycznych.

Oliver spoglądał na nią przez cały czas, a gdy skończyła, pochylił się i pocałował ją z lekka.

– Tak, ukochana, to prawda, ale pragnąłbym, aby mi ją powtarzano bez końca. Powtórz jeszcze, proszę, swoje wrażenia.

– Widziałam – odparła – Syna człowieczego. Och, trudno określić go inaczej. Albo, jak powiada ten dziennik: Zbawiciela świata. Poznałam go sercem, gdy się tylko ukazał, jak wszyscy, i gdy tylko stanął u balustrady. Rzekłbyś, dokoła jego głowy unosi się aureola. Pojmuję teraz wszystko. Na niego to oczekiwaliśmy tak długo i wreszcie przyszedł, przynosząc pokój i dobrą wolę. Gdy przemówił, zrozumiałam to powtórnie.

Głos jego brzmiał jak morze, tak prosty był, tak żałosliwy, a tak mocny. Czyś go nie słyszał?

Oliver potwierdził ruchem głowy.

– Dowierzam mu i co do reszty – mówiła dalej Mabel cichutko – choć nie wiem, gdzie jest ani kiedy powróci, ani też co uczyni. Sądzę, że ma jeszcze wiele do uczynienia, zanim poznają go zupełnie. Prawa, reformy, to twoja sprawa, mój drogi, a my, reszta, musimy czekać, kochać go i cieszyć się.

Oliver pochylił się znowu i spojrzał w twarz żony.

– Mabel, dziecko moje...

– Och, wiedziałam o tym wszystkim już od wczorajszego wieczora, dopiero jednak dzisiaj z rana, po przebudzeniu, zdałam sobie z tego sprawę, przypomniawszy sobie cały przebieg wydarzeń. Śniłam o nim przez całą noc. Oliverze, gdzie on jest teraz?

Oliver potrząsnął głową.

– Wiem – rzekł – gdzie jest, ale złożyłem przysięgę.

Skinęła ręką i powstała.

– Rozumiem. Niepotrzebnie pytałam. I oczekiwanie nas zadowoli.

Przez chwilę panowało w pokoju milczenie. Przerwał je Oliver.

– Co – spytał – rozumiałaś, droga, mówiąc, że nie jest jeszcze znany?

– Rozumiem tylko to, nic więcej. Bo świat wie jeno, co on zdziałał, ale nie wie, kim jest. I o tym jednak dowie się z czasem.

– A tymczasem?

– Tymczasem musicie pracować. Reszta przyjdzie stopniowo. Och, Oliverze, bądź silny i wierny.

Pocałowała go szybko i wyszła.

* * *

Oliver siedział bez ruchu, zapatrzony, jak to miał w zwyczaju, w rozległy widok rozpościerający się za oknem. O tym czasie wczoraj opuszczał Paryż, wiedząc już o samym fakcie, gdyż delegaci przybyli o godzinę przed nim, ale nie znając jeszcze tego człowieka. Teraz poznał już i jego, przynajmniej widział go, słyszał i był oczarowany. Lecz ani on, ani też inni nie mogli wytłumaczyć sobie tego oczarowania. Potrafiła to chyba jedna tylko Mabel. Wszyscy inni byli, tak jak on, przejęci uczuciem grozy i oszołomienia, przy tym jednak rozognieni do głębi swoich dusz. Coś ich niewoliło: Snowforda, Cartwrighta, Pembertona i resztę, aby szli na stopnie Pauls' House za tą dziwną postacią. Każdy z nich chciał coś powiedzieć, oniemieli jednak, ujrawszy morze białych twarzy, usłyszawszy najpierw jęk, a następnie ciszę, odczuwszy wszechwładną falę magnetyczną, wyłaniającą się jakby coś namacalnego, gdy szybowiec wzbił się

w powietrze i ruszył w podróż niemożliwą do opisania.

Jeszcze raz ujrzał go, gdy stał z Mabel na pokładzie statku elektrycznego, niosącego ich na południe. Biały szybowiec przesunął się gładko i pewnie nad głowami tłumów, unosząc tego, co – jeśli w ogóle komukolwiek przysługuje ten tytuł – był istotnie Zbawicielem świata. Po czym przybyli do domu i zastali tam księdza. I to było dla niego wstrząśnieniem, gdyż na pierwszy rzut oka zdawało mu się, że ów ksiądz jest tym samym człowiekiem, którego widział przed dwoma godzinami wstępującego na mównicę. Zachodziło pomiędzy nimi nadzwyczajne podobieństwo. Ta sama młoda twarz, te same siwe włosy. A następnie, gdyby nie Mabel, rzuciłby się na intruza. Jakże rozsądnie się zachowywała i jak panowała nad sobą!

Co się tyczy matki, to musi ją tymczasem zostawić samą sobie. Być może, że z czasem da się na nią wpłynąć. Przyszłość! Oto, co zajmowało go najbardziej. Przyszłość, tudzież pochłaniająca moc osobistości, pod której urok władzy dostał się wczoraj. Wszystko inne zdawało mu się nic nie znaczącym. Nawet przywary i choroba matki bladły wobec nowego świtu nieznanego słońca. A za godzinę dowie się więcej, powołano go bowiem do Windsoru na plenarne posiedzenie parlamentu. Miano omówić propozycje, jakie zamierzano uczynić Felsenburghowi, wyłonił się bowiem zamiar ofiarowania mu wysokiego stanowiska.

Tak, to prawda, co powiada Mabel, że oni teraz muszą zająć się wprowadzeniem w życie nowej zasady, nagle ucieleśnionej w tym młodym i siwym Amerykaninie, zasady braterstwa powszechnego. Oznacza to ogromną pracę. Wszystkie stosunki zagraniczne muszą być ponownie nawiązane, a handel, polityka i metody rządzenia domagają się reformy.

Europa była już wewnątrznie zorganizowana na zasadzie wzajemnej protekcji. Podstawa ta usuwała się teraz, nie potrzeba bowiem protekcji tam, gdzie nie istnieje więcej groźba. Olbrzymiej pracy oczekuje rząd także w innych kierunkach. Należy przygotować Księgę Niebieską, zawierającą całkowite sprawozdanie z działań na Wschodzie, razem z tekstem traktatu, przedstawionego im w Paryżu, podpisanego przez cesarza Wschodu, jego feudalnych królów, i Rzeczpospolitą Turecką, i kontrasygnowanego przez pełnomocników amerykańskich. Wreszcie i polityka wewnętrzna domaga się reformy.

Starcia, wywołane przez dawny zatarg pomiędzy centrum a stronnictwami skrajnymi, muszą ustać na przyszłość, bo powinno istnieć już tylko jedno stronnictwo, oddane zupełnie Prorokowi.

Oszalała go ta perspektywa, ten widok przechylającej się zupełnie płaszczyzny świata, to przeinaczenie wszelkich podstaw życia zachodniego. Zaprawdę była to rewolucja, kataklizm większy nawet niż inwazja, ale jednocześnie przemiana ciemności w światło, chaosu w porządek...

Odetchnął więc głęboko i siedział, rozmyślając.

* * *

W pół godziny potem zeszła Mabel, gdy zasiadł do stołu, aby spożyć wcześniej obiad przed udaniem się do Windsoru.

– Matka – rzekła – jest spokojniejsza. Musimy być cierpliwi. Postanowiłeś już coś w sprawie ponownych odwiedzin księdza?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie mogę – rzekł – myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, co mamy do zrobienia w parlamencie. Tobie więc pozostawiam decyzję w tej sprawie.

Skinęła głową.

– Porozmawiam z matką wkrótce ponownie. Teraz jeszcze prawie nie rozumie doniosłości tego, co się stało... Kiedy wrócisz do domu?

– Zapewne już nie dzisiaj. Posiedzenie przeciągnie się prawdopodobnie przez całą noc.

– Dobrze, że wiem. A co mam powiedzieć Phillipsowi?

– Zatelefonuję z rana... Czy przypominasz sobie, Mabel, co zastanowiło mnie w tym księdzu?

– Podobieństwo do Felsenburgha?

– Tak. Co powiesz na to?

Uśmiechnęła się.

– Co mam powiedzieć? Nie przypisuję temu żadnej wagi. Wszak przytrafiają się takie podobieństwa.

Wziął figę z talerza, zjadł ją i wstał od stołu.

– A jednak to ciekawe. Dobranoc, ukochana.

* * *

– Och, matko – mówiła Mabel, klęcząc u łoża staruszki – czy nie możesz pojąć, co się stało?

Rozpaczliwymi wprost wysiłkami próbowała wytłumaczyć staruszce zmianę, jaka nastąpiła w świecie, ale na próżno. Zdawało się jej, że byłoby pożałowania godne, aby staruszka zeszła ze świata bez świadomości o tych zmianach. Wywierało to wrażenie, jak gdyby chrześcijanin klęczał u łoża umierającego żyda w pierwszy dzień po zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Ale staruszka leżała w łóżku oporna, choć przerażona tymi wysiłkami.

– Mateczko – zaczęła znów Mabel – pozwól powtórzyć sobie wszystko jeszcze raz. Czyż nie rozumiesz, że urzeczywistniło się wszystko, co Jezus Chrystus obiecał, choć w inny sposób? Zaczęło się istotnie królestwo boże, teraz jednak wiemy, kim jest Bóg.

Przed chwilą mówiłaś, że pragniesz tylko odpuszczenia grzechów. I dostałaś rozgrzeszenie, tak samo jak i my, bo grzech więcej na świecie nie istnieje. Istnieje tylko zbrodnia. A Komunia święta? Wierzyłaś, że czyni cię ona uczestniczką życia w Bogu; otóż my wszyscy jesteśmy uczestnikami takiego życia, będąc istotami ludzkimi. Czy nie pojmujesz, że chrześcijaństwo, to tylko pewien sposób wyrażania tego wszystkiego? Pozwolę sobie nawet powiedzieć, że przez pewien czas było jedynym sposobem, ale obecnie wszystko się zmieniło – i jak bardzo na lepsze. To prawda oczywista, którą pojąć możesz, mateczko.

Zamilkła na chwilę, zmuszając się do patrzenia na tę biedną, starą twarz, rozgorączkowane, pomarszczone policzki i chude, węzłowate ręce, ruszające się na kołdrze.

– Tylko pomyśl, jak chrześcijaństwo wszystkich zawiodło. Przypomnij sobie wszystkie jego okrucieństwa, inkwizycje, wojny religijne, odłączanie mężów od żon, dzieci od rodziców, nieposłuszeństwo względem państwa, okropne zdrady. Nie sposób, mateczko, abyś uważała to wszystko za słuszne. Cóż to za Bóg, który był sprawcą tego wszystkiego? A piekło? Jakże mogłaś wierzyć w coś podobnego? Och, mateczko, nie wierz w takie okropności. Czyż nie jesteś w stanie pojąć, że takiego Boga już nie ma, że nigdy nie istniał? Że wszystko to było wstrętą marą senną i że dopiero teraz wreszcie dowiedzieliśmy się, co jest prawdą?... Matko, pomyśl o tym, co zaszło ubiegłego wieczora, jak przyszedł ten, którego tak się obawiałaś. Mówiłam ci już, jakim on jest, jaki jest mocny i spokojny, i o tej ciszy powszechnej, i o niezwykłym nastroju, i jak widziało go sześć milionów ludzi. I pomyśl tylko, czego on dokonał, jak wyleczył wszystkie niewyleczone rany, jak nareszcie cały świat jest w zgodzie i o tym, co będzie. Och, mateczko, porzuć te stare, obrzydliwe kłamstwa, porzuć je, miej odwagę.

– Księdza, księdza! – wyjęknęła chora.

– Och nie, nie księdza, on ci nic nie poradzi. On wie dobrze, iż to, co opowiada jest kłamstwem.

– Księdza, księdza! – wyjęknęła znów staruszka. – Niech on ci odpowie.

Przy tych słowach twarz staruszki ściągnęła się konwulsyjnie od wysiłku, a chude palce mięły i ścisnęły paciorki różańca.

Mabel przestraszyła się i powstała z klęczek.

– Mateczko – szepnęła, pochyliwszy się i całując chorą – nie rzeknę już ani słowa, lecz pomyśl o tym, co powiedziałam. Pomyśl spokojnie. I nic się nie bój, bo to, co mówię jest prawdą.

Postała jeszcze chwilę nad łóżkiem, spoglądając współczująco na chorą, a współzucie i pragnienie postawienia na swoim toczyły w niej walkę. Nie... nie ma co. Trzeba poczekać do jutra.

– Zajrzę tu znów niebawem – rzekła wreszcie przed odejściem – gdy będziesz jadła obiad. A nie patrz tak na mnie, mateczko. Pocałuj mnie, proszę.

– To dziwne – mówiła następnie do siebie – jak można być tak zaślepioną. Co za przyznanie się do słabości to domaganie się księdza, tylko księdza. Doprawdy, jakże to śmieszne i głupie.

Bo co do niej samej, to napełniała ją nadzwyczajna błogość. Nawet śmierć nie wydawała się jej już straszną, bo czyż śmierć nie była pochłonięciem przez zwycięstwo? Tu porównywała samolubny indywidualizm chrześcijan, którzy płakali i cofali się przed śmiercią lub w najlepszym razie myśleli o niej jako wrotach do własnego życia nieśmiertelnego – ze swobodnym altruizmem wyznawców nowych, którzy nie żądali niczego więcej, jak tylko tego, aby człowiek żył i rozwijał się oraz aby Duch świata triumfował i objawiał się stale, gdy tymczasem oni, jednostki, zadowalali się cofnięciem do zbiornika energii, z którego czerpali życie.

Pod wpływem takiego zapatrywania zgodziłaby się w tej chwili na wszelkie cierpienia, stanęłaby radośnie oko w oko ze śmiercią i ze współczuciem myślała o chorej staruszce, bo czyż nie jest to pożałowania godne, aby śmierć nie zniewoliła jej do zrozumienia samej siebie i rzeczywistości?

Znajdowała się w cichym odmęcie upojenia, sprawiającym takie wrażenie, jakby nareszcie ciężka zmysłowa zasłona usunęła się sprzed jej oczu, ukazując piękną, wieczną krainę bez cienia, krainę pokoju, gdzie lew leżał spokojnie obok owieczki, a lampart obok dzieciątka.

Nie będzie już wojny. Krwawe to widmo zmarło, a z nim razem łęgowisko zła, rozmnażającego się w jego cieniu – przesady, zatargi, terror, nierzeczywistość. Zburzono bałwany i wybiegły z nich szczury. Jehowa padł, a błędnooki marzyciel z Galilei leży w grobie. Skończyło się królowanie księży. Na ich miejscu stanęła dziwna, spokojna postać o niezmożonej potędze i niewyczerpanej czułości...

Ten, którego widziała, Syn człowieczy, Zbawiciel świata, jak go obecnie nazywała, nie był postacią niepojętą, pół Bogiem, pół człowiekiem, mającym pretensje do natury boskiej i ludzkiej, a nie posiadającym żadnej; nie był owym kuszącym bez potrzeby, zwycięzcą bez zasługi. Nie! Mogła śmiało iść jego śladem, naprawdę Boga i człowieka w jednej osobie. Boga, bo był ludzkim, człowieka, bo był tak boskim.

Tego wieczora nie nagabywała już więcej staruszki. Zajrzała tylko do jej sypialni i zastała ją śpiącą. Zmarszczona ręka leżała wciąż na kołdrze, ściskając nedorzeczny sznurek z paciorkami. Mabel zbliżyła się na palcach do łóżka i spróbowała odebrać śpiącej paciorki, lecz pomarszczone palce ścisnęły się jeszcze mocniej, a z ust na pół otwartych wyrwał się słaby jęk.

„Och – pomyślała Mabel – jakże to pożałowania godne, jakże to smutne, że dusza ma ulecieć w takie ciemności, niechętna do uczynienia najwyższego, najszlachetniejszego ustępstwa: złożenia życia, ponieważ życie samo domaga się tego”.

Westchnąwszy, udała się do swego pokoju.

Zegary wybiły trzecią i szary świt kładł się już na murach, gdy pielęgniarka,

spędzająca zwykle noc przy staruszce, obudziła Mabel słowami:

– Niech pani wstanie natychmiast. Pani Brand umiera.

Oliver przybył do domu o szóstej i udał się wprost do pokoju matki, wszystko jednak było już skończone.

Pokój napełniało poranne światło i czyste powietrze, a gdzieś z ogródka dolatywał świergot ptactwa. U łóżka klęczała Mabel, trzymając rękę zmarłej i ukrywając głowę na jej łonie. Twarz staruszki zdawała mu się spokojniejszą, niż kiedykolwiek, a na ustach jej igrał uśmiech.

Poczekawszy chwilę, aby mu ustąpił skurcz ściskający gardło, dotknął ramienia żony.

– Kiedy? – spytał.

Mabel podniosła głowę.

– Ach, to ty, Oliverze – szepnęła – godzinę temu. Patrz...

Puściła rękę zmarłej i Oliver ujrzał ściśnięty w niej różaniec. Widocznie w śmiertelnej agonii pękł sznurek, jeden bowiem paciorek stoczył się i leżał obok ręki.

– Uczyniłam, co mogłam – opowiadała płacząc Mabel – ale nie chciała słuchać i wciąż wzywała księdza, dopóki tylko mogła mówić.

Oliver ukląkł obok żony, schylił się i z oczyma pełnymi łez ucałował różaniec.

– Dobrze, dobrze – mówił – zostawmy to w spokoju. Nie odebrałbym jej tego za nic w świecie. Wszak była to jej zabawka, nieprawdaż?

Mabel spojrzała na niego zdumiona.

– Dlaczegoż – odparł na to spojrzenie – nie mamy być wspaniałomyślni? Wszak cały świat do nas nareszcie należy. A ona... ona nic nie straciła. Dla niej zmiana ta nadeszła za późno.

– Robiłam, co mogłam – tłumaczyła się Mabel.

– Wierzę, kochanie i dobrze zrobiłaś. Matka jednak była już za stara i nie mogła tego zrozumieć.

Przez chwilę milczeli oboje.

– Zastosowałaś eutanazję? – spytał nagle z pewną czułością w głosie.

– Tak – odparła – w chwili, gdy rozpoczęła się agonja. Opierała się trochę, lecz wiedziałam, że ty postąpiłbyś tak samo.

Z godzinę jeszcze rozmawiali w ogrodzie i Oliver opowiedział jej przez ten czas wszystko, co zaszło w parlamencie.

Jak się okazało, Felsenburgh odmówił przyjęcia ofiarowanego sobie stanowiska.

– Proponowaliśmy – opowiadał Oliver – że stworzymy dla niego specjalny urząd. Miał otrzymać nazwę konsultora, przed dwiema wszelako godzinami nadesłał odpowiedź, że nie zgadza się na to... Nie mogę ci powiedzieć, gdzie znajduje się obecnie... Zdaje się jednak, iż niebawem powróci do Ameryki i nie zostawi nas na pastwę losu... Właśnie opracowaliśmy program, który mu prześlemy... Tak,

opracowaliśmy go jednomyślnie.

– A co obejmuje program?

– Tyczy się swobód osobistych, praw biedaków i handlu. Nie mogę powiedzieć ci więcej. On sam poddał myśl opracowania tych punktów. Nie jestem wszelako pewny, czy zdołaliśmy go już pojąć.

– Ależ, mój drogi...

– Było to coś nadzwyczajnego. Nie widziałem nic podobnego jak żyję. Treść programu nie wywołała prawie zupełnie dyskusji. Nie było żadnego oporu ani wątpliwości.

– Czy ludzie pojmują doniosłość chwili?

– Tak sędzę. Musimy jednak strzec się reakcji. Powiadają, że katolicy mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie. W sprawie tej pojawił się artykuł w dzisiejszym porannym wydaniu dziennika „Era”. Przesłano nam jego odbitki do wglądu. Proponuje on zarządzenie środków celem roztoczenia opieki nad katolikami.

Mabel uśmiechnęła się.

– Dziwna to ironia losu – rzekła. – Ale i oni posiadają prawo do istnienia. O ile zaś mają prawo do udziału w rządach, to sprawa inna i zapewne będzie musiała być rozstrzygnięta w ciągu najbliższych tygodni. Opowiedz mi, co jeszcze o nim...

– Właściwie nie mam już nic więcej do opowiedzenia. Nie wiemy nic ponad to, że on jest obecnie najwyższym mocarzem świata. We Francji panuje wrzenie. Ofiarowano mu tam dyktaturę, ale także odmówił. Niemcy zwróciły się do niego z propozycją podobną do naszej. Włochy proponowały również dyktaturę z tytułem trybuna wieczystego. Ameryka nic jeszcze nie uczyniła, a w Hiszpanii zdania są podzielone.

– A Wschód?

– Cesarz przysłał mu podziękowanie. Oto wszystko.

Mabel odetchnęła głęboko i stała, wpatrując się w upalny opar, wznoszący się już z miasta położonego niżej. Wyobraźnia jej jednak sięgała dalej i widziała przed sobą całą Europę, rozpościerającą się jak ruchliwy ul. Widziała w błękitnej dali Francję, miasta niemieckie, Alpy, dalej jeszcze Pireneje, a za nimi spieczoną przez słońce Hiszpanię. Wszystkie te krainy wysilały się w jednym kierunku: chciały osiąść tę dziwną osobistość, która wyrosła ponad światem. Żadne państwo nie pragnęło niczego więcej, jak tylko, żeby on nimi rządził. A on odmawiał wszystkim.

– Odmówił wszystkim... – powtarzała prawie bez tchu.

– Tak, wszystkim. Przypuszczamy, że czeka na decyzję Ameryki, bo, jak wiesz, piastuje tam jeszcze stanowisko delegata.

– Ile on ma lat? – spytała Mabel.

– Nie więcej jak trzydzieści dwa lub trzy – odpowiedział Oliver. – Dopiero przed kilkoma miesiącami wstąpił do służby publicznej. Poprzednio żył odosobniony w stanie Vermont. Następnie wystąpił jako kandydat do senatu. Wygłosił kilka mów i był

mianowany delegatem, aczkolwiek nikt nie zdawał sobie sprawy z jego potęgi. Resztę już wiesz.

Mabel, zadumana, poruszyła głową.

– Nic nie wiem – rzekła – nic a nic. Gdzie posiadał te wszystkie języki, którymi przemawia?

– Przypuszczają, że wiele podróżował, ale nikt nie jest tego pewien. On sam zaś nic o tym nie mówi.

Zwróciła się nagłym ruchem ku mężowi.

– Ale co to wszystko znaczy? W czym leży jego potęga? Powiedz mi, Oliverze.

Oliver uśmiechnął się, potrząsając głową.

– Hm... Markham powiada, że ta potęga leży w jego niedostępności i krasomówstwie. Ale, doprawdy, to niczego jeszcze nie wyjaśnia.

– Istotnie – potwierdziła Mabel – to niczego nie wyjaśnia.

– Powiedziałbym raczej, że ta potęga leży w jego osobowości, ale osobowość to tylko etykieta; etykieta zaś to kartka z napisem także niczego nie wyjaśniającym.

– Tak, to etykieta, a jednak w tym właśnie spoczywa jego moc. Czuliśmy to wszyscy w Paul's House i następnie na ulicach. Czyś tego nie odczuwał?

– Czy nie odczułem? – zawołał Oliver z gorejącymi oczyma. – Chętnie oddałbym za niego życie.

Zawrócili następnie do domu, lecz żadne z nich nie przemówiło ani słowa o matce, leżącej tam na górze bez życia, dopóki nie przestąpili progu.

– Przygotowują nieboszczkę teraz do pogrzebu – rzekła Mabel cicho.

Oliver, pełen powagi, skinął głową.

– Pragnąłbym, aby pogrzeb odbył się dziś po południu. Mam kilka godzin wolnych. Ale, Mabel, czy wiesz, kto chodził po księdza dla matki?

– Domyślam się.

– Tak, to Phillips. Widziałem go ubiegłego wieczora. Więcej już tu nie przyjdzie.

– Czy przyznał się do winy?

– Tak. I był przy tym bardzo zuchwały.

Czoło Olivera zmarszczyło się przy tych słowach, wnet jednak twarz wypogodziła mu się zupełnie, skinął głową żonie, wchodząc na schody, i poszedł raz jeszcze zajrzeć do pokoju matki.

Rozdział 2

Gdy Percy Franklin zbliżał się do Rzymu, szybując na wysokości pięciuset stóp wśród letniego świtu, zdawało mu się, że podlatuje do wrót nieba, albo raczej, że jest dzieckiem, powracającym do domu. Bo to, co pozostawił za sobą przed dziesięciu godzinami w Londynie, stanowiło niezły okaz – jak myślał – wyższych warstw piekła. Był to świat, z którego Bóg zdawał się wycofywać, pozostawiając go w stanie głębokiego upojenia, w stanie bez wiary lub nadziei, w stanie, w którym, pomimo istnienia życia, brak było warunku koniecznego do pomyślności. Nie znaczy to, aby świat ten nie wyczekiwał już niczego. Przeciwnie, cały Londyn wrzał podnieceniem.

Krążyły pogłoski wszelkiego rodzaju: Felsenburgh powraca, już powrócił, nigdy nie wyjeżdżał. Ma być prezydentem Rady Państwa, prezesem ministrów, trybunem z wszelkimi przywilejami rządu demokratycznego i nietykalności osobistej. Mówiono nawet o tytule królewskim i cesarza Zachodu. Konstytucja miała być zmieniona gruntownie. Zbrodnia miała być zniesiona przez tę samą siłę tajemną, która zabiła wojnę. Pożywienie miano rozdawać bezpłatnie. Odkryto tajemnicę życia, skutkiem czego śmierć miała zniknąć z widnokręgu. Oto, jakie pogłoski krążyły, w tym wszystkim jednak Percy czuł brak czegoś, co nadawało wartość życiu...

W Paryżu, w czasie postojów szybowca na wielkiej stacji Montmartre, niegdyś stanowiącej kościół Serca Jezusowego, Percy słyszał wrzawę ciżby zakochanej w życiu i widział przeciągające sztandary. A gdy szybowiec wzbił się znów ponad przedmieścia, dojrzał długie szeregi pociągów pędzących pośród świateł elektrycznych, jak lśniące węże, ku stolicy i wiodących tam lud z prowincji na wielką radę narodową zwołaną przez prawodawców lubujących się w dramatycznych zdarzeniach dla rozstrzygnięcia wielkiej kwestii. W Lyonie powtórzyło się to samo. Noc była tam jasna jak dzień i pełna wrzawy. Środkowa Francja spływała do tego miasta dla oddania głosów.

Percy zasnął dopiero, gdy chłodne powietrze alpejskie otoczyło szybowiec i ukazały się pod nim szczyty górskie, oświetlone przez księżyc, czarne głębiny przepaści, srebrzyste tarcze jezior i łagodne światła Interlaken oraz miasteczek w dolinie Rodanu. Raz tylko jeszcze wzruszył się mimo woli, gdy olbrzymi niemiecki szybowiec, pełen widmowych świateł i złocien, podobny do olbrzymiej ćmy w elektrycznych mackach, mijał jego szybowiec i gdy oba statki napowietrzne powitały się w ciszy nocnej przeciągłym krzykiem, jak olbrzymie ptaki nocne, nie mające czasu, aby zatrzymać się w locie. W Turynie i Mediolanie panowała cisza, gdyż Włochy były zorganizowane na innej podstawie, niż Francja. Florencja zaś nie ocknęła się jeszcze zupełnie ze snu. A oto Kampania prześlizguje się pod szybowcem jak rozległy zielony kobierzec,

pomarszczony i tarzający się o pięćset stóp poniżej statku. Tylko patrzeć, jak ukaże się w oddali Rzym, wskazówka bowiem, umieszczona pod siedzeniem podróżnika, przesunęła się ze stu na dziewięćdziesiąt mil.

Otrząsnął się wreszcie z drzemki i dobył modlitewnik, mimo jednak, że wymawiał słowa modlitwy, myśl jego błądziła gdzie indziej; zmówiwszy więc poranne pacierze, odłożył książeczkę, usadowił się wygodniej, owinąwszy w futro i wyciągnął nogi na przeciwległym siedzeniu, gdyż w przedziale znajdował się sam. Trzej mężczyźni, którzy wsiedli do szybowca w Paryżu, wysiedli w Turynie.

Wielkie uczucie ulgi sprawiała mu otrzymana przed trzema dniami od kardynała protektora wiadomość polecająca, aby przygotował się do dłuższej nieobecności w Anglii, a uporawszy się tą sprawą, przybywał do Rzymu. Wiadomość ta oznaczała bowiem, jego zdaniem, że władze kościelne poczuły się nareszcie zaniepokojone.

Przypomniawszy sobie zdarzenia ostatnich dni, aby z nich zdać sprawę kardynałowi. Od chwili wysłania przed trzema dniami ostatniego listu do Rzymu siedem wybitnych osób odstąpiło od Kościoła w samej tylko diecezji westminsterskiej. Znajdowało się wśród nich dwóch kapłanów i pięć osób cywilnych. Ze wszystkich stron mówiono o buncie. Widział na własne oczy dokument, nazwany „prośbą”, a podpisany przez stu dwudziestu księży z Anglii i Walii i domagający się prawa odrzucenia wszelkich szat kapłańskich. Wnoszący ową prośbę zwracali uwagę, że motłoch groził im wszędzie prześladowaniem; że rząd nie brał na serio obietnicy opieki nad katolikami; że nawet wśród osób najwierniejszych Kościołowi lojalność względem religii była tak naprężona, iż groziła pęknięciem; że wreszcie pękła już zupełnie u wszystkich poza gronem owych najwierniejszych.

A co się tyczy komentowania tych faktów, to Percy miał już zupełnie wyrobione zdanie. Oto powie władzom kościelnym to, co powtarzał im już pięćdziesiąt razy: nie chodzi mu o prześladowanie, lecz o ten wybuch entuzjazmu dla ludzkości – entuzjazmu, który wzrósł jeszcze stokrotnie od chwili pojawienia się Felsenburgha i ogłoszenia wiadomości ze Wschodu, rozczulających serca wszystkich prócz drobnej garstki. Człowiek rozkochał się nagle w Człowieku. Ludzie przeciętni przecierali sobie oczy, dziwiąc się, że tak długo wierzyli lub nawet śnili o istnieniu Boga, którego należy kochać i pytali jeden drugiego: co za czar utrzymywał ich tak długo w tej wierze? Tak, chrześcijaństwo i deizm znikają ze świata, jak rosa poranna pod wpływem słońca.

I cóż poleci jako środek zaradzenia temu?

Pod tym względem miał zdanie wyrobione i rozważał je w duszy z uczuciem rozpaczki.

Co się tyczy jego samego, to zaledwie wiedział, czy wierzy w to, co wyznaje. Wzruszenia jego zgasiła, rzekłbyś ostatecznie, wizja białego szybowca i cisza tłumów tej nocy pamiętnej przed trzema tygodniami. Była ona tak strasznie rzeczywista i pozytywna, a delikatne aspiracje i nadzieje duszy wydawały się tak nieuchwytnie, jak

cień wobec piekającej, wstrząsającej serce namiętności ludu. Nigdy nie widział nic podobnego. Żadne zebranie religijne, nawet pod wpływem najbardziej z ognistych mówców, nie zdobywało się nigdy na uniesienie dorównujące choćby w dziesiątej części temu, z jakim ów tłum bezreligijny, stojący o chłodnym świetle na ulicach Londynu, witał swego zbawcę. A co się tyczy owego człowieka – to Percy nie mógł wprost zdać sobie sprawy z tego, co go ogarnęło, gdy wpatrywał się, szepcząc imię Jezusa, w spokojną, czarno ubraną postać, o rysach i włosach tak podobnych do jego rysów i włosów. Wiedział tylko, że jakaś ręka targnęła jego sercem – ręka ciepła, nie zimna – i wycisnęła z niego, jak się zdawało, wszelkie poczucie przeświadczenia religijnego. Tylko z wysiłkiem, przykrym do wspomnienia, powstrzymał się od owego aktu wewnętrznej kapitulacji, tak znanego wszystkim uprawiającym życie duchowe i wiedzącym co znaczy upadek. Istniała tylko jedna twierdza, która nie otworzyła na oścież swoich wrót. Wszystkie inne uległy. Wzruszenie jego wzięto szturmem; intelekt zmuszono do milczenia; pamięć o łasce przygłuszono; mdłości duchowe nużyły duszę. Pomimo to tajna twierdza woli, choć tak strasznie cierpiąca, trzymała uporczywie wrota, odmówiła poddania się i uznania Felsenburgha za króla.

Ach, jakże modlił się w ciągu tych trzech tygodni! Zdawało mu się, że właśnie nie robił nic innego, taki ogarniał go niepokój. Włócznie zwątpienia wpadały bez końca przez drzwi i okna, pociski argumentów waliły się z góry. Dzień i noc czuwał, odpierając na ślepo, to zaprzeczając owemu, usiłując utrzymać się na śliskiej powierzchni nadprzyrodzoności i śląc okrzyk za okrzykiem do Tego, który się ukrywał. Sypiał z krucyfiksem w ręku, budząc się całował go, gdy zaś pisał, rozmawiał, jadł, przechadzał się lub jeździł, jego życie wewnętrzne pracowało bez odpoczynku, powtarzając zapamiętałe akt wiary w religię, której zaprzeczał jego intelekt, od której odstręczały go doznane wzruszenia umysłowe.

I zdarzały się chwile ekstazy to na tłumnej ulicy, gdy nagle pojmował, że Bóg jest wszystkim, że Stworzyciel to klucz do życia stworzenia, że pokorny akt adoracji jest transcendentalnie większy niż jakikolwiek akt naturalny, że nadprzyrodzoność to przyczyna i koniec istnienia; to znów w nocy, w ciszy katedry, gdy płomyk lampy migotał przed ołtarzem, a od żelaznych drzwi tabernakulum dolatywał milczący oddech, wówczas ponownie odpływały namiętności, pozostawiając go na mieliźnie rozpaczy, ale przejętego postanowieniem – mogącym być tak samo postanowieniem pychy, jak wiary – że żadne siły, ni piekła, ni ziemi, nie wstrzymają go od wyznawania wiary chrześcijańskiej, gdyby nawet nie zdołał jej pojąć, bo jedynie chrześcijaństwo czyniło życie znośnym.

Z piersi Percego wyrwało się nagle drżące westchnienie, a ciało przechyliło się mechanicznie, gdyż jego zamysłone oczy ujrzały w dali zarysy kopuły, podobnej do błękitnej bańki, osadzonej na jasno zielonym kobiercu, mózg zaś przerwał pracę, by powiedzieć mu, że oto jest – Rzym.

Percy powstał, wyszedł z przedziału i ruszył centralnym korytarzem, widząc przez oszklone drzwi po prawej i po lewej stronie towarzyszy podróży, z których jedni byli jeszcze pogrążeni we śnie, inni patrzyli przez okna, inni wreszcie czytali. Doszedł do samego końca korytarza, zbliżył twarz do kwadratowej szyby w znajdujących się tam drzwiach i zatrzymał przez chwilę oczarowany wzrok na postaci sternika na stanowisku. Stał on nieruchomo z rękoma na stalowym kole kierującym olbrzymimi skrzydłami i z oczyma utkwionymi we wskaźnik wiatru, podający na tarczy, podobnej do zegara, siłę i kierunek prądów powietrznych. Od czasu do czasu ręce jego poruszały się lekko, a w takt tych ruchów olbrzymie skrzydła to wznosiły się, to opadały. Obok niego i naprzeciwko, umieszczone na półkolistym stole i okryte wypukłymi szklami, znajdowały się rozmaite przyrządy, których większość Percy nie znał wcale, lecz – jak się domyślał – jednym z nich był barometr do oznaczania wysokości, na jakiej leciał statek, a drugim zaś kompas. Kabina sternika kończyła się zaokrąglonymi oknami, poza którymi rozciągał się olbrzymi widnokrąg.

„Wszystko to jest cudowne – pomyślał kapłan – a jednak przez tę cudowność właśnie świadczy, jak człowiek musi współpracować z nadprzyrodzonością”.

Westchnął, zawrócił i wszedł znów do swego przedziału.

Przed oczyma podróżnych zaczął rozpościerać się właśnie podziwu godzien widok, piękny właśnie przez tę nadzwyczajność, a tak nierzeczywisty, jak uwypuklona mapa.

Daleko na prawo, o ile mógł dojrzeć przez szerokie okno, rozpościerała się szara linia morza, odcięta od jasnego nieba i to opadająca, to wznosząca się zgodnie ze wznoszeniem się i opadaniem statku, pozornie nieruchomego w przestworzu.

Na lewo, przez oszklone drzwi korytarza i przeciwległego przedziału, ukazywała się w odstępach pomiędzy nieruchomymi skrzydłami to cząstka spłaszczonej wsi w perspektywie nie do poznania, to powierzchnia błyszczącej wody, to kępa drzew, a wszystko otaczały w dali niskie skupiska wzgórz umbryjskich. Na przodzie wreszcie, widziana chwilami i znikająca w miarę skręcania statku na prawo lub lewo, majaczyła niewyraźnie linia Rzymu oraz jego nowych olbrzymich przedmieść, ukoronowana wielką kopułą, rosnącą z każdą chwilą. Dokoła zaś, w dół i w górę, oko błądziło po przestworzu powietrznym o barwie dochodzącej w górze do ciemnego lazuru i przechodzącej stopniowo ku widnokręgom w jasnoturkusową. Jedyнным dźwiękiem, dolatującym uszu Percego, a tak ciągłym, że zapominało się o nim, był szum powietrza przecinanego przez statek. Obecnie zaś szum ten stał się mniej ostry, statek bowiem zmniejszył stopniowo szybkość do czterdziestu mil na godzinę.

Nagle zadźwięczał dzwonek i Percy uczył natychmiast lekkie mdłości, statek bowiem opuścił się wspaniałym rzutem ku dołowi, przy czym przechylił się tak, że Percy, zbierający właśnie swoje kołdry, zachwiał się na nogach. Gdy zaś wyjrzał znów przez okno, ruch ku dołowi zdawał się ustawać, na wprost statku ukazały się wieże i dachy domów, poniżej zaś kawałek drogi, jeszcze dachy i plamy zieleni.

Znów zadźwięczał dzwon, po czym rozległ się przeciągły i miły dla ucha sygnał. Dokoła słyhać było krzatanie się podróżnych. Konduktor w mundurze przebiegł szybko po oszklonym korytarzu. Percy uczuł ponownie lekkie mdłości, gdy zaś oderwał wzrok od bagażu, ujrzał na jednej wysokości ze swymi oczyma kopułę, teraz już szarą i wyraźnie zarysowaną, odcinającą się potężnie od jaskrawego tła nieba. Świat zawirował dokoła, Percy przymknął powieki, a gdy je po chwili otworzył, mury zdawały się wznosić za statkiem i zatrzymywać się, chwiejąc.

Rozległ się jeszcze jeden, ostatni dzwonek, szybowiec drgnął, osiadając w doku ze stalowej siatki, szereg twarzy zachwiał się na peronie stacji, a następnie stanął jak wryty i Percy ruszył ku drzwiom, niosąc swój bagaż.

* * *

Po godzinie jeszcze, siedząc nad filiżanką kawy w jednym z odległych pokoiów Watykanu, Percy odczuwał niepewne ruchy szybowca, jednocześnie jego zmęczony umysł przejmowała radość na myśl, gdzie się znajduje.

Dziwną wydawała mu się jazda po nierównych kamieniach w małej, starej dorożce, jak przed laty dziesięciu, kiedy – świeżo wyświęcony – opuszczał Wieczne Miasto. Świat posuwał się naprzód, a Rzym stał w miejscu, miał bowiem teraz do myślenia o sprawach ważniejszych, niż ulepszenia techniczne, teraz, gdy ciężar duchowy świata spoczywał całkowicie na jego barkach. Toteż wszystko zdawało się być tu bez zmian, a raczej powróciło do stanu, w jakim znajdowało się mniej więcej przed stu pięćdziesięciu laty. Podręczniki dziejów opowiadały, jak to ulepszenia, wprowadzane przez rząd włoski, wychodziły stopniowo z życia z chwilą, gdy miasto odzyskało przed ośmiu laty niezależność. Tramwaje przestały kursować, szybowcom zabroniono przekraczać granice miasta. Nowe gmachy, których nie wyburzono, zostały oddane do użytku duchowieństwa. Kwirynał zamieniono na biura „czerwonego papieża”, ambasady na wielkie seminaria. Nawet sam Watykan – oprócz drugiego piętra – stał się siedzibą Świętego Kolegium, otaczającego Namiestnika Chrystusowego, jak gwiazdy otaczają słońce.

– Nadzwyczajne to miasto – mawiali starzy ludzie – jedyny okaz miasta z czasów minionych.

Tu można było przekonać się naocznie o dawnych niewygodach, o okropnościach braku urządzeń sanitarnych, poznać wcielenie świata oddanego marzeniom. I stara pompa kościelna odżyła. Kardynałowie jeździli w złożonych karetach, papież dosiadał białego muła, Najświętszy Sakrament noszono po ulicach przy świetle lampionów i dźwięku dzwonek. Wspaniały opis tej uroczystości zajmował niesłychanie świat cywilizowany w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zgrozę budzące zacofanie służyło

jeszcze od czasu do czasu ludziom mało oświeconym za podstawę do gwałtownych oskarżeń nowoczesności. Ludzie natomiast oświeceni przestali robić cokolwiek, uznawszy za rzecz ustaloną, że przesąd i postęp są nieprzejechanymi wrogami.

A jednak Percy, jadąc ze stacji szybowców, położonej poza Bramą Ludową, uczył – aczkolwiek wyda się to dziwne – jakby świeży powiew na widok starych ubiorów wieśniaczych, wozów do wina obwieszonych niebieskimi i czerwonymi frędzlami, rynsztoków zawalonych liśćmi kapusty, wilgotnej bielizny trzepoczącej się na sznurach, rozciągniętych w poprzek ulicy, koni i mułów. Przypominało to bowiem, że człowiek jest człowiekiem, a nie istotą równą Bogu, jak twierdziła reszta świata. Człowiekiem – a zatem niedbałym oraz indywidualistycznym. Człowiekiem – a zatem zajęтым sprawami innymi, niż tylko szybkość, czystość i dokładność.

Pokój, w którym Percy siedział obecnie przy oknie zasłoniętym żaluzjami – bo słońce przygrzewało już mocno – cofał swoim wyglądem myśl jeszcze bardziej wstecz, niż o półtora wieku. Dawne adamaszki i złocenia znikły, a ich nieobecność nadawała komnacie surowy wygląd. Pośrodku stał szeroki i długi stół sosnowy, otoczony krzesłami o pionowych oparciach. Podłogę z czerwonych cegiełek pokrywały chodniki z plecionek, na białych, nieozdobnych ścianach wisiało zaledwie kilka obrazów, a wielki krucyfik, otoczony świecami z obu stron, stał na małym ołtarzyku umieszczonym przy dalszych drzwiach. Nie było tu więcej mebli, prócz jeszcze biurka między oknami, na którym stała maszyna do pisania. Przyrząd ten zdawał się tak niestosownym w tym miejscu, że Percy spoglądał na niego zdziwiony.

Wypiwszy resztę kawy z grubej filiżanki, Percy przechylił się zadumany na krzesło.

Ciężar, przytłaczający mu umysł, stał się już lżejszy i zastanawiała go szybkość, z jaką się to działo. Życie wydawało się prostsze, świat zewnętrzny stawał się czywistszy i nie stanowił nawet przedmiotu rozpraw. Istniał tu oto, nakazujący i podmiotowy, a przez niego majaczyły przed oczyma duszy postacie dawne, zasłonięte pędem spraw świeckich. Zdawało się, że cień samego Boga unosi się tutaj. Nie było tu już niemożliwością pojęcie, iż Święci czuwają i wstawiają się za nami, że Maryja zasiada na tronie i że ów biały krążek na ołtarzu to Jezus Chrystus. Percy nie odczuwał jeszcze zupełnego spokoju, bo dopiero godzinę przebywał w Rzymie i powietrze – nawet tak nasycone łaską bożą, jak tutejsze – nie mogło bodaj uczynić więcej, niż uczyniło. Był tu jednak swobodniejszy, nie tak okropnie niespokojny, bardziej podobny do dziecka, bardziej podatny uleganiu władzy twierdzącej bez tłumaczenia i dowodzącej, że świat, jako rzecz faktyczna, na mocy dowodów zewnętrznych i wewnętrznych, stworzony był tak a nie inaczej, dla tych, a nie dla innych celów.

Niemniej Percy użył nowoczesnych udogodnień, których tak nienawidził, aby dostać się do Rzymu. Przed dwunastu zaledwie godzinami opuścił Londyn i oto siedzi już tutaj, w miejscu, które nie było ani cuchnącą kałużą życia, ani też jego rwącym prądem środkowym. Sam nie mógł się jeszcze zdecydować na właściwe określenie.

Za drzwiami rozległy się kroki, naciśnięto klamkę i kardynał protektor wkroczył do pokoju.

Percy nie widział go od lat czternastu, więc też zaledwie mógł go poznać.

Oto miał przed sobą obecnie człowieka bardzo starego, zgarbionego i wątlego, o twarzy pokrytej zmarszczkami, ukoronowanej rzadkimi, siwymi włosami, przykrytymi u szczytu maleńką piuską szkarłatną. Odziany w czarny habit benedyktynów, z prostym krzyżem opata na piersi, kardynał kroczył niepewnie, opierając się na czarnym kiju. Jedyne objawy mocy zdradzał wąski, połyskujący pasek oczu, wyłaniających się spod ociężałych powiek. Przybyły, uśmiechając się, wyciągnął rękę, a Percy, pomnąc, że znajduje się w Watykanie, skłonił się, ująwszy ją nisko i ucałował ametyst pierścienia.

– Witajcie, ojcze, w Rzymie! – rzekł starzec głosem zadziwiająco rześkim. – Już pół godziny temu zawiadomiono mnie o waszym przyjeździe, pomyślałem jednak, że należy wam zostawić trochę czasu na umycie się i wypicie kawy.

Percy bąknął słowa podziękowania.

– Musicie czuć zmęczenie – ciągnął dalej kardynał, odsuwając krzesło od stołu.

– Bynajmniej, Eminencjo, spałem doskonale.

Starzec usiadł i wskazał ruchem ręki drugie krzesło.

– Muszę – odezwał się – pomówić z wami, bo Ojciec Święty pragnie widzieć was o jedenastej.

Percy drgnął lekko zdziwiony.

– Tak, ojcze, wszystko odbywa się dzisiaj szybko. Na gadaniny nie ma czasu. Domyśliliście się zapewne, że pozostaniecie w Rzymie przez dłuższy okres czasu.

– Byłem przygotowany na to, Eminencjo.

– Bardzo dobrze... Jesteśmy tu z was zadowoleni, ojcze Franklinie. Komentarze wasze wywarły wielkie wrażenie na Ojcu Świętym. Przewidzieliście zadziwiająco bieg rzeczy.

Percy zarumienił się z zadowolenia. Były to bowiem bodaj czy nie pierwsze słowa zachęty w jego uciążliwej pracy. Kardynał mówił dalej:

– Muszę wyznać, że uważamy was tutaj za naszego najwybitniejszego korespondenta, oczywiście z Anglii. Dlatego też zawezwaliśmy was do Rzymu. Macie nam pomagać na przyszłość w charakterze niejako doradcy. Bo widzicie, każdy potrafi opowiedzieć zdarzenia, na które patrzy, lecz nie każdy je rozumie... Wydajecie mi się bardzo młodym, ojcze. Ile macie lat?

– Trzydzieści trzy, Eminencjo.

– Siwy włos czyni was poważniejszym. A teraz proszę do mego pokoju. Jest teraz ósma i nie przetrzymam was dłużej, niż do dziewiątej. Później odpoczniecie trochę, a o jedenastej zabiorę was do Jego Świątobliwości.

Uradowany Percy zerwał się z krzesła i pobiegł otworzyć drzwi wychodzącemu

starcowi.

Na kilka minut przed jedenastą Percy wyszedł ze swego małego, pobielanego pokoiku w nowej sutannie i w trzewikach zapiętych na sprzączki i skierował się do drzwi kardynała. Czuł się obecnie daleko pewniejszym siebie, mówił już bowiem z kardynałem przed godziną. Opisał mu wrażenie, jakie uczynił Felsenburgh w Londynie, a nawet ów paraliż duchowy, który i jego wówczas dotknął. Wypowiedział opinię, że świat znajduje się w obliczu ruchu, niemającego sobie równego w dziejach; opowiedział drobne, charakterystyczne scenki, których był świadkiem, jak o grupie ludzi klęczących przed portretem Felsenburgha, o umierającym modlącym się do niego, o wyglądzie tłumu czekającego w Westminsterze, aby usłyszeć wynik propozycji czynionych temu cudzoziemcowi. Pokazał z pół tuzina wycinków z dzienników, zwracając uwagę na ich histeryczny entuzjazm, a nawet zapuścił się tak daleko, że nie cofnął się przed przepowiednią, przed wyrażeniem przekonania, iż należy oczekiwać prześladowania chrześcijan w niedalekiej przyszłości.

– Świat – dodał – wydaje mi się dziwnie ożywionym. Czuć w nim podniecenie i nerwowość.

Kardynał skinął głową.

– My także – odparł – nawet my także odczuwamy to tutaj.

Podczas reszty przemówienia Percego kardynał siedział nieruchomo, badając go przez wąskie szparki skupionych i przymkniętych oczu. Czasami tylko skinął głową, czasami rzucił jakieś okolicznościowe pytanie, lecz przez cały czas słuchał z natężoną uwagą.

– A co radzicie? – spytał wreszcie i urwał, dodając – Nie, za wiele byłoby domagać się tego od Was. Ojciec Święty pomówi o tym z wami.

Powinszował mu następnie jego doskonałej łaciny, gdyż długa rozmowa toczyła się wyłącznie w tym języku, na co Percy odpowiedział oświadczeniem, iż katolicka Anglia dochowuje wiernie rozkazu wydanego przed dziesięciu laty, aby łacina stała się dla Kościoła tym, czym był język esperanto dla świata.

– Doskonale – odparł starzec, żegnając go – Jego Świątobliwość będzie z tego zadowolony.

Gdy Percy zapukał teraz po raz drugi do niego, drzwi się otworzyły, kardynał stanął w progu, ujął w milczeniu Percego pod rękę i ruszył z nim do windy.

W chwili, gdy winda podniosła się bez szmeru unosząc ich ku apartamentom papieskim, Percy odważył się na uwagę:

– Dziwi mnie zaprawdę, Eminencjo, ta winda i ta maszyna do pisania w moim pokoju.

– Dlaczego, ojcze?

– Bo reszta Rzymu wygląda bardzo po staroświecku.

Kardynał spojrział na niego pytającym wzrokiem.

– Czyżby tak było? – spytał. – A może? Nigdy nie zastanawiałem się nad tym.

Gwardzista szwajcarski otworzył drzwi windy, złożył wojskowy ukłon i ruszył przodem, prowadząc ich przez korytarz wyłożony skromnymi taflami kamiennymi aż do miejsca, gdzie stał drugi gwardzista. Tu złożył znów ukłon wojskowy i powrócił na dawne miejsce. Szambelan papieski we wspianiałym, poważnym czarno-purpurowym stroju i w kryzysie hiszpańskiej uchylił drzwi, a poznawszy nadchodzących, otworzył je pospiesznie.

Perceemu trudno było uwierzyć, by takie ceremonie wciąż jeszcze istniały.

– Za chwilę, Eminencjo – rzekł szambelan. – Czy Eminencja raczy tu poczekać?

Znajdowali się w małym, kwadratowym pokoiku z sześcioma drzwiami, przerobionym widocznie z jednej z owych olbrzymich sal watykańskich, gdyż był bardzo wysoki, a wypłowiałe, złoczone jego gzymsy nikły raptownie w białej ścianie poprzecznej. Przepierzenie to musiało być cienkie, gdy bowiem usiedli, posłyszeli spoza ściany niewyraźny szept rozmów, odgłos kroków i owo tak dobrze im znane stukanie maszyny do pisania, którego Percy spodziewał się nie słyszeć przynajmniej tutaj. Siedzieli sami w tym pokoju, umeblowanym z taką samą skromnością, jak mieszkanie kardynała, a wywierającym wrażenie dziwnej mieszaniny ascetycznego ubóstwa z wielką powagą z powodu podłogi, wyłożonej czerwonymi ceglami, białych ścian, ołtarzyka i dwóch wysokich brązowych lichtarzy niezmiernej wartości, stojących na kobiercu przed ołtarzem. I tu żaluzje były również opuszczone i nie nasuwało się nic takiego, co by pozwoliło Perceemu zapomnieć o wzruszeniu, opanowującym jego umysł i serce.

Oto *Papa Angelicus* miał się ukazać jego oczom. Ów zdumiewający starzec, mianowany przed pięćdziesięciu ośmiu laty sekretarzem stanu w trzydziestym roku życia, a wybrany papieżem przed dziesięciu laty. On to doprowadził do skutku nadzwyczajny pomysł odstąpienia rządowi wszystkich kościołów we Włoszech w zamian za władzę świecką papieża i zabrał się od tego czasu do uczynienia z Rzymu miasta świętego. Nic a nic nie dbał przy tym o opinię świata. Polityka jego, jeśli można w tym wypadku użyć takiego określenia, polegała na prostym twierdzeniu, które powtarzał w licznych listach pasterskich, że celem Kościoła jest praca na chwałę bożą przez wytwarzanie w człowieku cnót nadprzyrodzonych, oraz że nic, co nie dotyczyło tych spraw, nie posiadało wagi ani znaczenia. Twierdził dalej, że ponieważ święty Piotr był skałą, przeto grób świętego Piotra stanowi stolicę świata i musi służyć za przykład swoim posiadłościom. Dokonać zaś tego nie można inaczej, jak tylko gdy Piotr będzie istotnym władcą swego miasta. Toteż papież poświęcił wszystkie kościoły i zabudowania duchowne we Włoszech dla dopięcia zamierzonego celu, a dopiąwszy go, wziął się do rządzenia miastem. Powiedział sobie, że ostatecznie najnowsze wynalazki ludzkie przeszkadzają duszy nieśmiertelnej w kontemplacji spraw wiecznych nie dlatego, by były złe same przez się – przecież mimo wszystko dawały

pojęcie o cudownych prawach boskich – ale dlatego, że zbyt silnie działały na wyobraźnię. Usunął więc z miasta tramwaje, szybowce, laboratoria i fabryki, bo – jak mówił – istnieje dla nich pełno miejsca poza Rzymem i pozwolił, aby istniały na przedmieściach. Na ich zaś miejscu budował kaplice, domy duchowne i Drogi Krzyżowe. Następnie roztoczył opiekę nad duszami poddanych. Ponieważ Rzym obejmował szczupły obszar, a jeszcze bardziej ze względu na to, że świat tak łatwo ulegał zepsuciu, nie pozwalał ludziom, mającym mniej niż pięćdziesiąt lat, mieszkać w Rzymie dłużej niż miesiąc z wyjątkiem osób, które otrzymały od niego specjalne pozwolenie. Mogli, oczywiście, mieszkać tuż za murami miasta i w rzeczy samej mieszkali tam dziesiątkami tysięcy, dawano im jednak do zrozumienia, że czyniąc tak, grzeszą przeciw duchowi, jeżeli nie przeciw literze życzeń swych ojców duchownych.

Podzielił następnie miasto na dzielnice według narodowości, ponieważ każda narodowość posiadała własne cnoty, niech więc świecą one w odpowiednich miejscach. Rozporządzenie to wywołało natychmiast zwyczaj komornego. Papież przeciwdziałał temu przez wydanie prawa, na mocy którego w każdej dzielnicy na pewnej liczbie ulic komorne nie mogło być podwyższone i ogłosił ekskomunikę *ipso facto* przeciwko wszystkim przekraczającym ten przepis. Dopiero resztę miasta zostawił badaczom. Dzielnicę Leonińską zostawił wreszcie zupełnie do własnego zarządzenia. Zaprowadził następnie na nowo karę śmierci z taką samą spokojną powagą, z jaką narażał się na szyderstwa cywilizowanego świata w innych sprawach. Aczkolwiek – twierdził – życie ludzkie jest świętością, to jednak cnoty stanowią jeszcze większą świętość.

Do przestępstw, zasługujących na karę śmierci, zaliczał nie tylko morderstwa, lecz także cudzołóstwa, bałwochwalstwa i apostazje. Od czasu jednak, gdy wstąpił na tron papieski, wykonano tylko dwa wyroki śmierci, przestępcy bowiem prędko ulotnili się na przedmieścia, gdzie nie podlegali już jego jurysdykcji.

Nie ograniczył wszelako swej działalności tylko do tego. Rozesłał także swych posłów do wszystkich państw świata, zawiadamiając rządy o ich wysłaniu. Wywołało to tylko śmiech, papież jednak nie zraził się tym bynajmniej, upominając się z całym spokojem o przynależne mu prawa i używając tymczasem legatów do rozpowszechniania swych poglądów. Od czasu do czasu w każdym mieście pojawiały się listy pasterskie, wykładające podstawy pretensji papieskich z takim spokojem, jak gdyby pretensje te były wszędzie uznane. Stale przy tym potępiały masonerię, wzywając ludzi do pamiętania o ich duszach nieśmiertelnych i o majestacie bożym oraz do zastanowienia się nad tym, iż każdy będzie wkrótce powołany do zdania sprawy Stworzycielowi i Panu świata, którego wikarym był on, Jan XXV P.P. i którego podpis oraz pieczęcie widniały obok.

Ta działalność papieża wywołała w świecie zdumienie. Spodziewano się historycznych wybryków, argumentów, namiętnych upomnień, ukrytych emisariuszy, spisków i protestów. Tymczasem nie pojawiło się nic podobnego. Zupełnie tak, jak

gdyby postęp nie zaczął się jeszcze, jak gdyby nie wynaleziono szybowców i jak gdyby świat nie przestał wierzyć w Boga, udając, że sam jest bogiem.

– Ten niedorzeczny starzec – mawiano – mającący we śnie, papie o Krzyżu, o życiu wewnętrznym i o przebaczeniu zupełnie tak, jak jego poprzednicy sprzed dwóch tysięcy lat. To oczywisty dowód, że Rzym postradał nie tylko potęgę, ale i zdrowy rozum. Doprawdy, czas już zaradzić temu.

„I ten to człowiek – myślał Percy – ten *Papa Angelicus* ukaże się moim oczom za kilka minut”.

Kardynał dotknął ręką jego kolana, otworzono bowiem drzwi i w progu stanął prałat odziany w purpurę, składając niski ukłon.

– O jedno tylko cię proszę – rzekł kardynał – bądź bezwzględnie szczery.

Percy powstał, drżąc cały, i ruszył za przewodnikiem ku wewnętrznym drzwiom.

* * *

Biała postać siedziała w zielonym zmroku przy wielkim biurku, w oddaleniu kilku kroków od drzwi, ale w fotelu zwróconym ku wchodzącym. Percy dostrzegł tylko tyle, przyklękawszy po raz pierwszy. Po czym spuścił oczy, posunął się znów naprzód i przyklękął obok kardynała po raz drugi. Wreszcie, przyklękawszy po raz trzeci, podniósł do ust białą, chudą rękę, wyciągniętą ku niemu.

Jednocześnie kardynał szepnął mu do ucha:

– Ojczy Franklinie, Jego Świątobliwość.

Gdy powstali, ramię w białym rękawie wskazało im dwa krzesła, stojące tuż obok, zajęli więc na nich miejsca.

Podczas gdy kardynał objaśniał papieża cicho po łacinie, że oto przyprowadził owego angielskiego kapłana, którego korespondencja okazała się tak pożyteczną, Percy rozglądał się dokoła ciekawym wzrokiem.

Twarz Ojca Świętego znał dobrze z setek fotografii i obrazów kinematograficznych. Nawet jego ruchy, pochylenie głowy na znak zgody i szybkie, wymowne gesty rąk były mu znane, a jednak teraz musiał przyznać z pewnym poczuciem wstydu, że żywa osoba papieża różniła się bardzo od tych obrazów.

Miał przed sobą starca średniego wzrostu i tuszy, trzymającego się prosto i obejmującego dłońmi zaokrąglone końce poręczy fotela. Z całej postaci biła wielka, skupiona powaga. Percy jednak przypatrywał się głównie twarzy, spuszczać dwa czy trzy razy oczy, gdy błękitne oczy papieża zwracały się ku niemu. Były to oczy niezwykle, przypominające mu to, co dziejopisarze mówili o oczach Piusa X. Powieki tworzyły linie zupełnie proste, nadając tym oczom wyraz jastrzębi, reszta jednak twarzy stanowiła z nimi sprzeczność, nie posiadała bowiem wcale ostrości. Ani chuda, ani też

otyła, tworzyła pięknie zakreślony owal. Ostro zarysowane wargi znamionowały swymi łukami usposobienie namiętne, orli nos kończył się jakby wyrzeźbionymi nozdrzami, podbródek był pełen i rozdwojony, cała zaś postawa głowy czyniła dziwne wrażenie młodości. Była to twarz szlachetna i słodka, z której jednak obok pokory przebijało wyzwanie; twarz osoby duchownej od ucha do ucha, od brwi do podbródka, o czole z lekka ściśniętym w skroniach, okrytych siwym włosem, wyglądającym spod piuski.

Percy usiłował określić wrażenie, jakie na nim ta twarz sprawiła, ale do ust cisnął mu się tylko jeden wyraz: „kapłan”. Ten tylko i żaden inny. Bo też istotnie: *Ecce Sacerdos Magnus*. I dziwił Percego młody wygląd papieża, bo wiedział, że starzec ten liczy osiemdziesiąty ósmy rok życia. Tymczasem trzymał się on prosto jak człowiek pięćdziesięcioletni, posiadał szerokie ramiona, osadzoną na nich głowę jak atleta, a zmarszczki twarzy znikwały zupełnie w półmroku zapełniającym pokój.

„*Papa Angelicus!*” – pomyślał Percy.

Kardynał skończył mówić i zrobił szybki ruch ręką. Percy skupił całą uwagę, aby odpowiadać przytomnie na pytania, które mu zada papież.

– Witam cię, synu! – odezwał się głos miękki i dźwięczny.

Percy skłonił się trwożnie, nie powstając z krzesła.

Papież spuścił oczy, ujął lewą ręką przycisk leżący na biurku i obracał go wolno w palcach.

– A teraz, mój synu – rzekł – proszę o krótkie przedstawienie sytuacji. Poddaję ci do tego tytuł potrójny: co się już stało, co się dzieje obecnie i co się stanie, z dodatkiem: co się stać winno.

Percy odetchnął głęboko, poprawił się na krześle, ujął palce lewej ręki palcami prawej, wpatrzył się uporczywie w czerwony trzewik z haftowanym krzyżykiem, wychylający się spod szaty papieża i zaczął mówić. Czyż nie recytował już tego sam sobie poprzednio po setki razy?

Przede wszystkim wyłożył temat: wszystkie siły świata cywilizowanego skupiają się w dwóch obozach – Świata i Boga. Dotychczas siły te odznaczały się brakiem związku i działalnością przypadkową, wybuchając w sposób najrozmaitszy. Rewolucje i wojny podobne były do ruchów tłumu: bezkarne, nieumiejętne, nieokiełzane. Dla przeciwstawienia się temu Kościół także działał dla katolicyzmu przez rozproszenie raczej, niż przez ześrodkowanie. Partyzantów przeciwstawiano partyzantom. W ciągu jednak ostatniego stulecia zaczęły się mnożyć wskazówki, że należy zmienić tryb walki. Europa w każdym razie zmęczyła się starciami wewnętrznymi. Związki najpierw pracy, potem kapitału, wreszcie pracy i kapitału ujawniły to w zakresie życia ekonomicznego. Pokojowy podział Afryki – w zakresie życia politycznego. Rozwój religii humanistycznej – w zakresie życia duchowego. W przeciwieństwie i ponad tym należy postawić wzrastającą centralizację Kościoła. Dzięki mądrości naszych papieży, kierowanych ręką Boga wszechmogącego, szeregi katolickie zacieśniały się z każdym

rokiem. Jako przykład Percy wspomniał w tym miejscu o zniesieniu miejscowych obyczajów, tak bardzo ukochanych zwłaszcza na Wschodzie. O utworzeniu stanowisk kardynałów protektorów w Rzymie. O przymusowym zjednoczeniu wszystkich członków kongregacji, choć każda z nich zatrzymywała swoją nazwę, w jedną pod kierownictwem najwyższego generała. Wszystkich zakonników – za wyjątkiem kartuzów, karmelitów i trapistów – w zakon drugi. Kartuzów zaś, karmelitów i trapistów – w trzeci. Wreszcie o klasyfikacji mniszek i zakonnice według tego samego planu. Dalej przypomniał nowsze dekryty uzasadniające znaczenie decyzji Watykanu o nieomyślności. Nową wersję Prawa Kanonicznego. Olbrzymie uproszczenie w administracji kościelnej, w hierarchii, w zarządzie kościelnym krajów misyjnych przez nadanie nowych i nadzwyczajnych przywilejów kapłanom misjonarzom.

W tym miejscu poczuł, że opuszcza go panowanie nad sobą i począł – posługując się nawet gestami rąk i lekko podniesionym głosem – wyklądać znaczenie zdarzeń, które zaszły w ciągu ostatnich miesięcy.

– To, co się działo przedtem – mówił – wskazywało na to, co zdarzyło się właśnie teraz, mianowicie na pogodzenie się świata, lecz nie w imię prawdy bożej. Intencją Boga i Jego wikarych na ziemi było pogodzenie wszystkich ludzi w imię Jezusa Chrystusa, ale odrzucono raz jeszcze kamień węgielny tego pojednania. Mimo to jednak, zamiast chaosu, przepowiadanego przez pobożnych, urzeczywistniała się taka jedność, jakiej nie znano jeszcze w dziejach ludzkości i tym niebezpieczniejsza, że obejmująca tyle żywiołów bezsprzecznie dobrych. Jak się zdaje, wojna przestała istnieć i nie chrześcijaństwo doprowadziło do tego. Przekonano się, że zgoda jest lepszą od niezgody a nauczono się tego poza Kościołem. Istotnie, cnoty naturalne rozrosły się wspaniale, cnotami zaś nadprzyrodzonymi wzgardzono. Uczucia humanitarne zastąpiły miłosierdzie; zadowolenie zastąpiło nadzieję; wiedza zastąpiła wiarę.

Percy zatrzymał się, bo pojął, że nieoczekiwanie wygłasza coś w rodzaju kazania.

– Tak jest, mój synu – odezwał się łaskawy głos – a co dalej?

– Co dalej?... A więc ruchy takie, jak ten, wytwarzają ludzi. Człowiekiem zaś ruchu obecnego stał się Julian Felsenburgh. Dokonał on pracy, która – poza Bogiem – wydaje się wprost cudowną. Przełamał wieczny rozdźwięk między Wschodem i Zachodem, przybywszy z łądu jedyne dla wydania takiej siły. Opanował po prostu urokiem osobistym dwu najwyższych tyranów życia: fanatyzm religijny i stronnice rządy. Wpływ jego na zimnych Anglików to znowu inny cud. Poza tym rozgromił Francję, Niemcy i Hiszpanię.

Percy opowiedział dalej kilka własnych wrażeń, dodając, że były jakby wizją Boga. Przytoczył tytuły, którymi dzienniki tak hojnie obdarzały tego człowieka i to nawet dzienniki trzeźwe, nie popadające w uniesienie. Nazywano go tam Synem Człowieczym, ponieważ był tak bardzo kosmopolityczny; Zbawicielem świata, ponieważ wyszedł zwycięsko z walki z wojną; nawet, nawet... – tu głos Percego

zadrzał – Bogiem Wcielonym, ponieważ był doskonałym przedstawicielem człowieka boskiego.

Spokojna twarz kapłańska, spoglądając na niego, nie ruszyła się, nie mrugnęła nawet, Percy więc mówił dalej.

– Zbliża się prześladowanie. W kilku miejscach zdarzyły się już rozruchy. Ale nie prześladowania należy się obawiać. Wywoła ono niewątpliwie, jak zawsze, odstępstwa od Kościoła, odstępstwa te jednak są pozałowania godne tylko ze względu na osobistość niektórych odstępców. Z drugiej jednak strony prześladowanie umocni wiernych i usunie niepewnych. Niegdyś, w pierwszych czasach chrześcijaństwa, szatan przypuścił atak na ciało za pomocą bicia, ognia i dzikich bestii. W wieku szesnastym atakował intelekt, w wieku dwudziestym sprężyny życia moralnego i duchowego. Obecnie, rzekłbyś, rozpoczął się atak na to wszystko jednocześnie. Czego należy obawiać się najbardziej, to dodatniego wpływu humanitaryzmu. Nadchodzi on, jak królestwo boże, z mocą. Obala imaginacyjność i romantyczność. Nie staje w obronie prawdy, ale raczej przywłaszcza ją sobie. Tłumi, przycisza miękkimi chustkami, zamiast ranić i wzmacniać stałą oraz wymianą zdań. Zdaje się przedzierać prawie obiektywnie do świata wewnętrznego. Osoby, które zaledwie usłyszały jego nazwę, już stają się wyznawcami jego zasad. Kapłani przyswajają go sobie tak, jak przyjmowali Boga w Komunii – tu przytoczył nazwiska ostatnich odstępców ze świata duchownego – dzieci pochłaniają go tak samo, jak pochłaniały chrześcijaństwo. Dusza „z natury chrześcijańska” zdawała się zmieniać w duszę „z natury niewierną”.

– Prześladowania – wołał Percy – należy sobie życzyć jak zbawienia, należy się o nie modlić i uchwycić się go, gdy nadejdzie. Zdaje się wszelako, że władze są zbyt przebiegłe i odróżniają truciznę od odtrutki. Zdarzają się może odosobnione męczeństwa, zdarzy się ich nawet z pewnością niemało, lecz wbrew rządowi świeckiemu a nie z jego inicjatywy. W końcu humanitaryzm przebierze się w szaty liturgii i ofiary, a gdy to uczyni, sprawa Kościoła zgaśnie, o ile Bóg nie wystąpi ze Swoją interwencją.

Percy przechylił się w tył drżąc na całym ciele.

– Tak jest, synu. A co, twoim zdaniem, należy uczynić?

Kapłan wznosił ręce do góry.

– Ojciec Święty! – zawołał. – Modlitwy gromadne i różańce. Oto alfa i omega. Świat zaprzecza im mocy. Niech więc chrześcijaństwo oprze się na ich mocy całym ciężarem. Wszystko w Jezusie Chrystusie – w Jezusie Chrystusie od początku do końca. Nic poza tym nie możemy pomóc. On musi uczynić wszystko, bo my jesteśmy bezsilni.

Siwa głowa pochyliła się, a następnie wyprostowała.

– Tak jest, mój synu... Jak długo jednak Chrystus raczy nas doświadczać, tak długo musimy być doświadczeni. Jest On bowiem tak Prorokiem i Królem, jak Kapłanem. I my więc musimy być prorokami i królami, i kapłanami. A cóż powiesz o prorocztwie

i królewskości?

Głos Percego zadźwięczał jak dzwon.

– Wasza Świątobliwość... Jeżeli chodzi o prorocstwo, to prorokujmy miłosierdzie. Jeżeli chodzi o królewskości, to królujmy na krzyżach. Musimy kochać i cierpieć... – tu wyrwało mu się z piersi długie łkające westchnienie. – Wasza Świątobliwość nawoływała zawsze do miłosierdzia. Niechże miłosierdzie urzeczywistni się w dobrych uczynkach. Bądźmy pierwsi pod tym względem. Bądźmy w zajęciach naszych uczciwi, w życiu rodzinnym czysti, w rządzie zacni. A co się tyczy cierpienia, to och, Wasza Świątobliwość...

I oto dawno temu nakreślony projekt stanął mu nagle w umyśle, nakazujący i przekonujący.

– A więc, mów otwarcie.

– Wasza Świątobliwość – jęknął – projekt to stary, tak stary jak Rzym, a każdy szaleniec go pożądał: nowy zakon. Wasza Świątobliwość, nowy zakon...

Biała ręka puściła przycisk. Papież przechylił się naprzód, spoglądając badawczo na Percego.

– Mów, synu.

Percy rzucił się na kolana.

– Nowy zakon, Wasza Świątobliwość – szepnął namiętnie – bez habitu lub odznaki, podległy tylko Waszej Świątobliwości; swobodniejszy niż jezuici, biedniejszy niż franciszkanie, bardziej umartwiony niż kartuzi; złożony tak z kobiet jak z mężczyzn; śluby potrójne z intencją męczeństwa. Panteon ich kościołem; każdy biskup odpowiedzialny za ich utrzymanie; przedstawiciel Wasz w każdym kraju... Wasza Świątobliwość, jam szaleniec, a Jezus Ukrzyżowany ich Patronem!

Papież zerwał się nagle z fotela, a uczynił to tak nagle, że kardynał Martin zerwał się również niespokojny i przerażony. Zdawało się, że młody kapłan posunął się za daleko.

Papież jednak znów usiadł i wyciągnął rękę.

– Niech cię Bóg błogosławi – rzekł – mój synu. Możesz odejść.

A zwracając się do kardynała dodał:

– Niech Eminencja raczy pozostać tu jeszcze kilka minut.

Rozdział 3

Gdy zeszli się ponownie tego wieczoru, kardynał mówił Percemu bardzo mało o posłuchaniu. Wynikałoby stąd, że Percy postąpił dobrze, nie krępując żadnymi względami swojej szczerości. Następnie kardynał wyłuszczył mu obowiązki jego nowego stanowiska.

Percy miał zatrzymać pokoje, oddane mu już poprzednio do rozporządzenia. Mszę Świętą miał odprawiać stale w kaplicy kardynała, po czym o dziewiątej rano miał się zgłaszać dla odebrania instrukcji. W południe miał mieć obiad z kardynałem, po czym czas wolny do *Ave Maria*. Następnie miał znów być do rozporządzenia kardynała aż do kolacji. Głównym jego zajęciem miało być odczytywanie listów nadchodzących z Anglii i sporządzanie z nich sprawozdań.

Taki plan zajęć podobał mu się bardzo. Percy odzyskał przy tej pracy spokój duszy a przy tym czuł się w Rzymie coraz bardziej jak w domu. Pozostawiało mu to sporo wolnego czasu, używał go więc rozumnie na odpoczynek. Od ósmej do dziewiątej rano przechadzał się zwykle, krocząc spokojnie poprzez ulice, zaglądając do kościołów, obserwując ludzi i stopniowo wchłaniając dziwną naturalność życia w dawnych warunkach. Czasami zdawało mu się to snem historycznym, czasami myślał, że inna rzeczywistość w ogóle nigdy nie istniała, że naprężony świat nowoczesnej cywilizacji był tylko widmem, tu zaś powróciła prosta naturalność dziecięctwa duszy. Nawet wertowanie korespondencji angielskiej nie wzruszało go bardzo, potok bowiem jego umysłu zaczął znowu płynąć jasno dawnym, ukochanym łożyskiem. Czytał więc, analizował i stawiał diagnozy z wciąż wzrastającym spokojem.

Korespondencja zresztą nie obfitowała obecnie w nowiny. Nastąpiło coś w rodzaju ciszy po burzy. Felsenburgh znajdował się wciąż na uboczu; odmówił propozycjom uczynionym przez Francję, Włochy i Anglię i – choć nie donoszono o niczym pewnym – krążyła jednak pogłoska, że postanowił ograniczyć się, jak na razie, do zajęcia stanowiska nieurzędowego. Tymczasem zaś parlamenty Europy pracowały nad krokami przedwstępnymi do rewizji konstytucji i ustaw. Nie miano wszakże podejmować niczego stanowczego aż do jesiennych sesji.

Życie w Rzymie było bardzo dziwne. Miasto stało się nie tylko ośrodkiem wiary, lecz niejako jej mikrokosmosem. Podzielono je na cztery wielkie dzielnice: anglosaską, germańską, łacińską i wschodnią, oprócz dzielnicy Trastevere zajętej niemal wyłącznie przez biura, seminaria i szkoły panieńskie. Świat anglosaski obejmował dzielnicę południowo-zachodnią, pokrytą obecnie całkiem domami, włączając Awentyn i Testaccio. Przedstawiciele rasy łacińskiej zajmowali Rzym stary pomiędzy Corsem

a rzeką. Germanowie – dzielnicę północno-wschodnią, graniczącą na południu z ulicą świętego Wawrzyńca, narody zaś wschodnie – pozostałą dzielnicę, której ośrodek stanowił Lateran.

Rzymianie prawie że nie odczuwali najścia żywiołów obcych. Posiadali oni bowiem mnóstwo własnych kościołów, dozwolono im gnieździć się w wąskich i ciemnych ulicach i urządzać własne targowiska. Tu też Percy przechadzał się zwykle rozmiłowany w obrazach przeszłości. Lecz i inne dzielnice zasługiwały również na uwagę. Ciekawy był, na przykład, naturalny rozrost gotyckich świątyń, obsługiwanych przez północnych kapłanów w dzielnicach anglosaskiej i germańskiej. Ciekawa była obserwacja jak szerokie, szare ulice, czyste bruki i surowe domy uwidoczniły, że ci mieszkańcy Północy nie pojęli jeszcze wymagań życia południowego. Przedstawiciele natomiast narodów Wschodu przypominali narody łacińskie. Ulice ich były tak samo wąskie i ciemne, woń napełniająca je tak samo uderzająca, kościoły tak samo brudne i przytulne, a barwy może jeszcze bardziej jaskrawe.

Poza murami panowało trudne do opisanego zamieszanie. Jeżeli miasto przedstawiało rzeźbioną miniaturę świata, to jego przedmieścia można by porównać do tego samego modelu, tyle że potrzaskanego na tysiąc kawałków zmieszanych w worku, a następnie wyrzuconych z niego na chybił trafił. Jak daleko oko sięgało na wszystkie strony z dachów Watykanu – wszędzie widniała bez końca płaszczyzna dachów, poprzerrywanych szpicami, wieżami, kopułami i kominami, pod którymi mieszkały istoty ludzkie wszelkich ras ziemi. Tu znajdowały się fabryki, olbrzymie gmachy nowego świata, stacje, szkoły, biura – wszystkie pod zarządem świeckim – a jednak otoczone przez sześć milionów dusz, mieszkających tu z miłości dla religii. Dusze te, które – straciwszy wiarę w nowoczesne życie, zmęczony się zmianami i wysiłkami – uciekły od nowego systemu pod opiekę Kościoła, nie mogły jednak otrzymać pozwolenia na mieszkanie w obrębie właściwego Rzymu. Nowe domy powstawały bez przerwy we wszystkich kierunkach tak, że gdyby można olbrzymim cyrkiem zatoczyć koło o promieniu pięciu mil, którego jedno ramię opierałoby się o środek Rzymu, to drugie posuwałoby się po gęsto zaludnionych ulicach w obwodzie całego koła. Ale i poza tym kołem domy ciągnęły się w nieokreśloną dal.

Percy jednak nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze znaczenia tego, co widział, dopóki nie nadszedł dzień imienin papieża pod koniec sierpnia.

Wcześniej jeszcze było i chłodno, gdy towarzyszył swemu opiekunowi przez długie korytarze watykańskie, do sali, w której się mieli zebrać papież i kardynałowie. Wyjrząwszy przez okno na plac, ujrzał taki tłum ludu, że owalna przestrzeń placu zdawała się być wybrukowana ludzkimi głowami. Środkiem tylko biegła, obstawiona przez papieskich żołnierzy, szeroka droga dla powozów. Po tej białej wstędze zbliżały się już w świetle wschodzącego słońca olbrzymie karety, połyskujące złotem i jasnymi barwami. Na ich widok tłum wznosił okrzyki, gdy zaś ucichał, słychać było ciągły

turkot o kamienie, podobny do szumu fali morskiej, uderzającej o pokryte żwirem wybrzeże. Potem jeszcze, gdy ściśnięci w jedną gromadę szkarłatu, bieli i purpury stali w przedpokoju papieskim, Percy ujrzał i pojął to, o czym poprzednio tylko wiedział, mianowicie, że tu oto, przed jego oczyma, zebrali się wszyscy monarchowie starego świata – i zaczął rozumieć doniosłość tego zjawiska.

Dokoła stopni bazyliki utworzył się wielki wachlarz karet, zaprzężonych każda w osiem koni. Siwe konie posiadali przedstawiciele Francji i Hiszpanii, kare – Niemiec, Włoch i Rosji, gniade – Anglii. Tworzyły one bliższe półkole, dalsze zaś i większe zajmowały karety przedstawicieli pomniejszych państw, jak Grecji, Norwegii, Szwecji, Rumunii, Bułgarii i innych. Przyglądając się im, Percy przypomniał sobie, że brak wśród nich tylko przedstawiciela Turcji. Na niektórych widniały wyraźne godła, orły lub lwy, strzegące koron monarszych na szczytach karet. Stopnie, wiodące do wnętrza gmachu pokrywał szkarłatny dywan, z obu zaś jego stron ciągnęły się szeregi żołnierzy.

Percy, oparty o wnękę okienną, zamyślił się głęboko nad tym widokiem.

Oto zebrało się tu wszystko, co pozostało jeszcze z królów tego świata. Widział już poprzednio w różnych dzielnicach miasta ich pałace, uwieńczone wielobarwnymi sztandarami, ze służbą w szkarłatnych liberiach, stojącą na schodach. Niejednokrotnie też już uchylał kapelusza, gdy wspaniałe powozy mijały go na Corso. W ciągu ostatnich pięciu lat dowiadywał się od czasu do czasu z dzienników, jak to jedna rodzina monarsza za drugą przenosi się do Rzymu, uzyskawszy pozwolenie papieskie. Poprzedniego zaś wieczoru dowiedział się od kardynała, że król William angielski z małżonką wylądował rano w Ostii, dopełniając liczby mocarstw. Nigdy jednak poprzednio nie zdawał sobie sprawy z tego zdumiewającego, przytłaczającego faktu zebrania się wszystkich monarchów świata w cieniu tronu Piotrowego, ani też z okropnego niebezpieczeństwa, jakie przedstawia ich obecność pośród świata demokratycznego. Świat ten – Percy wiedział to dobrze – udaje, że szydzi z głupoty i dzieciństwa tych byłych panujących, z rozpaczliwego odgrywania roli pomazańców bożych przez ich upadłe i wzgardzone rodziny. Ten sam jednak świat – Percy odczuwał to dobrze – nie przestał jeszcze żywić względem tych upadłych złych zamiarów i jeżeli się zdarzy, że zamiary te nabiorą charakteru mściwości, to ...

W tej chwili zrobiło się w przedpokoju przestronniej. Percy więc wysunął się z wnęki i ruszył za posuwającym się zwolna strumieniem ludzkim.

W pół godziny później znajdował się w orszaku duchowieństwa wraz z orszakiem papieskim, który wyłonił się z jarzącego mroku kaplicy Przenajświętszego Sakramentu i wkroczył do nawy olbrzymiego kościoła. Ale zanim jeszcze Percy wszedł do kaplicy, już słyszał przyciszoną wrzawę tysięcy głosów i dźwięki trąb, witające Najwyższego Kapłana, który ukazał się o jakie sto kroków przed nim, niesiony na *sedia gestatoria* z powiewającymi z tyłu wachlarzami ze strusich piór. A gdy w pięć minut potem i Percy wyszedł z kaplicy w orszaku krocącym czwórkami, gardło jego ścisnęło się

łkaniem na widok tego, co ujrzał, gdyż przypomniał sobie inny widok, którego był świadkiem o świcie, przed trzema miesiącami, w Londynie...

Daleko na przodzie, jakby torując sobie drogę w morzu głów ludzkich, na podobieństwo dziobu starożytnego okrętu, posuwał się baldachim, ocieniający Pana świata, pomiędzy zaś nim a Percym, stanowiąc jakby część tego okrętu, kołysał się wspaniały orszak protonotariuszów apostoelskich, generałów rozmaitych zakonów i reszta duchowieństwa, piniąc się bielą, szkarłatem i srebrem wśród żywych wybrzeży, ciągnących po obu jego stronach. Nad głowami wznosiło się wspaniałe sklepienie kopuły, w dali zaś przystań ołtarza znaczyła się olbrzymimi kolumnami, pod którymi płonęło siedem żółtych gwiazd jako światła portowe świętości.

Był to widok zdumiewający, ale zbyt wielki, zbyt oszałamiający, by wywołać wśród widzów inne wrażenie, niż tylko przygnębienia wobec poczucia własnej nicości.

Ogrom tej zamkniętej przestrzeni, potężne posągi, niewyraźne, dalekie sklepienia, niemożliwy do opisanego koncert dźwięków, szelest nóg, szept tysięcy głosów, podobny do brzęczenia komara odgłos organów, cichy niebiański śpiew, delikatna woń kadzidła, starego wawrzynu i mirtu, a ponad tym wszechwładna, drgająca atmosfera ludzkiego wzruszenia, wybuchająca nadprzyrodzonymi aspiracjami, gdy Nadzieja świata, Namiestnik Boga sunął, aby stanąć pomiędzy Bogiem i człowiekiem – wszystko to działało na Percego jak uspokajające lekarstwo, oślepiające a zarazem stwarzające nowe widnokreśli, ogłuszające a jednak otwierające uszy, podniecające a jednocześnie pogrążone w nowych otchłaniach świadomości.

Tu więc ujawniała się długa, sformułowana odpowiedź na zagadnienia życia, rozpościerały się przed nim oba miasta świętego Augustyna do wyboru. Jednym z nich był świat, który sam powstał, sam się urządził i sam sobie wystarczał – interpretowany przez takich ludzi jak Marks i Herve, socjalistów, materialistów, a w końcu i hedonistów, uosobiony obecnie w Felsenburghu. Drugi świat zawierał się w widoku, jaki Percy miał przed sobą. Świat ten mówił o Twórcy i o stworzeniu, o celu boskim, o odkupieniu, o świecie transcendentnym i wiecznym, z którego pochodziło wszystko i ku któremu wszystko idzie. Jeden z tej pary: Jan albo Julian, był Namiestnikiem, drugi zaś przedrzeźniaczem Boga... I serce Percego w jeszcze jednym skurczu przeświadczenia uczyniło wybór...

Lecz nie dotarło jeszcze do szczytu.

Bo gdy Percy wyłonił się wreszcie z nawy pod kopułą, spostrzegł z zadowoleniem w drodze do trybuny za tronem papieskim nowy żywioł.

Przed ołtarzem pozostawiono obszerne miejsce swobodne, otoczone z boków i w głębi balustradą, przykrytą czerwonym sukniem. Za nią widniał amfiteatr bladych i nieruchomych twarzy oraz połyskiwała stal szeregów gwardii papieskiej, wewnątrz zaś rozciągały się dwa ząbkowane szeregi wspaniałych purpurowych, jak kardynalskie, baldachimów. Na płaszczyźnie jednak pionowej każdego z nich widniały ogromne

herby, podtrzymywane przez rozliczne bestie i zakończone u szczytów koronami. Pod każdym z nich znajdowała się najwyżej jedna lub dwie osoby we wspaniałym odosobnieniu, w przerwach zaś pomiędzy ich tronami ukazywał się znów amfiteatr twarzy.

Serce Percego zabiło żywiej, gdy to spostrzegł, gdy powiódł wzrokiem po jednym szeregu baldachimów, a następnie, przeniósłszy wzrok na drugi, ujrzał powtórnie pierwszy. A więc tu oto zasiedli ci samotni niedobitkowie owego dziwnego grona osób, które jeszcze przed pięćdziesięciu laty panowało w charakterze zastępców Boga za zgodą swoich poddanych. Obecnie nie uznawał ich już nikt oprócz Tego, od którego czerpali udzielność. Byli to mężczyźni i kobiety, którzy nareszcie pojęli, że władza ich pochodzi z góry, że tytuły do rządów otrzymali nie od poddanych, lecz od Najwyższego Rządcy wszystkich. Pasterze bez owieczek, dowódcy bez armii. Żalodne to było, okropnie żalodne, a jednak dodające otuchy. Był to tak szczytny akt wiary, że serce Percego ożywiło się, gdy go pojął, bo przecież ci mężczyźni i kobiety, jemu podobni, nie wstydzili się apelować od ludzi do Boga, przywdziewać insygnia uznawane przez ludzi za zabawkę, lecz które dla nich stanowiły symbol nadnaturalnego posłannictwa. Czyż nie odzwierciedlał się tutaj – zadawał sobie Percy pytanie – daleki cień Tego, który dosiadał osiołka wśród drwin wielkich tego świata a entuzjazmu maluczkich?...

A widok stał się jeszcze bardziej podniecający, gdy zaczęła się msza święta i gdy monarchowie ci zstąpili spod baldachimów i snuli się pomiędzy ołtarzem a tronem, z obnażonymi głowami, cisi i dostojni. Król angielski, znów *Fidei Defensor*, niósł tren szaty papieskiej, zastępując w tym sędziwego króla hiszpańskiego. Król ten, razem z cesarzem austriackim, byli jedynymi monarchami w Europie, którzy dochowali od wieków bez przerwy swej wiary. Starzec ów, pochylony na klęczniku, szeptał, płacząc, słowa modlitwy, a od czasu do czasu łkał w uniesieniu miłości i nabożeństwa, ujrawszy, na podobieństwo Symeona, swoje zbawienie. Cesarz austriacki podawał dwukrotnie miseczkę i ampułki, monarcha zaś niemiecki, który, nawróciwszy się przed czterema laty, utracił tron i wszystko prócz życia, podkładał i usuwał na mocy świeżego przywileju poduszkę, gdy Pan jego przyklękał przed Panem ich obu.

I tak ruch za ruchem, scena za sceną, rozgrywał się przepyszny dramat. Szept cizby zamieniał się w ciszę, będącą jedną olbrzymią modlitwą bez słów, gdy drobny Biały Krążek unosił się w białych rękach a cicha muzyka anielska rozlegała się pod kopułą. Choć była to jedyna nadzieja owych tysięcy, to jednak tak potężna, a zarazem tak maleńka, jak wówczas w Stajence. Bo przecież nikt oprócz Boga nie walczył za nich. Bo przecież, jeżeli ani krew mężczyzn, ani łzy kobiet, nie zdołały przerwać milczenia Sędziego i Zachowawcy wszystkiego, to niechaj działa ta śmierć bezkrwawa Syna Jedynego, co niegdyś na Kalwarii zasnuł ciemnością niebios a rozdarł ziemię, a teraz wstawia się z taką bolesną wspaniałością za tą wyspą wiary wśród morza drwin i nienawiści. Tak, to przynajmniej musi podziałać. Bo jakże by nie miało działać?

* * *

Percy padł na krzesło, zmęczony ceremoniami, gdy drzwi jego pokoju otworzyły się nagle i kardynał, jeszcze w uroczystych szatach, wszedł szybko, zatraskując drzwi za sobą.

– Ojciec Franklinie – jęknął dziwnym głosem, prawie bez tchu – otrzymaliśmy fatalną wiadomość. Felsenburgha mianowano prezydentem Europy...

* * *

Dopiero późną nocą wrócił do swego mieszkania, wycieńczony zupełnie, gdyż spędził cały szereg godzin na otwieraniu depech, napływających ze wszystkich stron Europy do odbiorników elektrycznych i przynoszonych jedna po drugiej do zacisznego saloniku kardynała. Dwa razy w ciągu tego czasu powoływano kardynała do papieża, a raz do Kwirynału.

Nie ulegało wątpliwości, że wiadomość ta jest prawdziwa i że najwidoczniej Felsenburgh oczekiwał rozmyślnie na taką propozycję. Wszelkie inne, jak wiadomo, odrzucił. Odbyła się konferencja mocarstw, z których każde pragnęło zapewnić go sobie i każde otrzymywało zawsze odpowiedź odmowną. Zaniechano więc pojedynczych usiłowań i wysłano propozycję wspólną. Proponowano mianowicie Felsenburghowi stanowisko, o jakim nikt nie marzył nawet jeszcze w świecie demokratycznym. Oto miał otrzymać domy rządowe we wszystkich stolicach Europy. *Veto* postawione przez niego przeciw jakiegokolwiek zarządzeniu miało nie podlegać apelacji w przeciągu trzech lat. Jakiegokolwiek wniosek wysunięty przez niego trzy razy w ciągu trzech lat po sobie następujących miał się przez to samo stawać prawem. Miał wreszcie piastować tytuł prezydenta Europy. W zamian za to wszystko wymagano od niego tylko, by nie przyjmował żadnego innego urzędu politycznego bez sankcji wszystkich mocarstw.

Taki zwrot – Percy odczuwał to bardzo dobrze – pociągał za sobą dziesięciokrotne zwiększenie niebezpieczeństwa dla Kościoła ze strony zjednoczonej Europy. Pociągał za sobą oddanie całej ogromnej potęgi socjalizmu pod kierownictwo świetnej jednostki, stanowił kombinację najbardziej charakterystycznych cech dwóch metod rządzenia. Felsenburgh przyjął propozycję po ośmiogodzinnym namyśle.

Ciekawe też było, jakie stanowisko wobec tej wiadomości zajmą pozostałe dwie części świata. Wschód przyjął ją z zachwytem, w Ameryce natomiast zdania były podzielone. Lecz Ameryka stała bezsilna, albowiem przewaga reszty świata zwracała się przeciwko niej z przytłaczającą siłą.

Percy rzucił się, jak stał, na łóżko i leżał tak, zamknawszy oczy, z bijącym gwałtownie pulsem i z bólem w sercu. Bo zaprawdę, świat podniósł się, podobny do

olbrzyma, na widnokręgu Rzymu i miasto święte nie znaczyło wobec niego więcej, niż dziecięca twierdza z piasku na wybrzeżu morskim podczas przypływu. Pojmował tylko tyle. Jak zaś nadejdzie zniszczenie, pod jaką postacią i z której strony, o tym nie miał pojęcia i zresztą nie dbał o to. Wiedział jedno, że nadchodzi.

Poznał już teraz własny temperament, zwrócił więc swe obserwacje na stan swej duszy, badając ją z uczuciem gorzkości, jak lekarz śmiertelnie chory badałby z upodobaniem objawy własnej choroby. Pewną ulgę przynosiło mu nawet odwracanie wzroku od potwornego mechanizmu świata i przyglądanie się beznadziejnemu sercu ludzkiemu. Nie obawiał się wcale o własne przekonania religijne. Wiedział z taką pewnością, z jaką człowiek zna barwę własnych oczu, że przekonań tych nic już nie wzruszy.

W ciągu tych tygodni spędzonych w Rzymie, rozproszyły się chmury i ujrzał znów wyraźnie drogę swego życia. Albo – powiedziawszy lepiej – ogromny gmach dogmatów, ceremonii, obyczajów i moralności, w którym się wychował i na który spoglądał przez całe życie, widząc w nim od czasu do czasu iskielki światła, pojawiające się i znikające w ciemności, stopniowo oświetlił się cały i ukazał się w zdumiewającym blasku boskiego ognia, tłumaczącego się sam przez się.

Potężne zasady, niegdyś oszałamiające, a nawet odstręczające, stały się znów jasne i zrozumiałe. Widział na przykład, że gdy religia ludzkości usiłowała usunąć cierpienie, religia boska obejmowała je tak, że nawet ślepe katusze dzikich zwierząt znajdowały się w obrębie woli i planu Ojca. Albo jeżeli pod pewnym kątem widzenia ujawniała się tylko jedna barwa tkaniny życia – materialna, intelektualna lub artystyczna – to pod innym znów kątem nadprzyrodzoności występowała równie oczywiście.

Religia ludzkości mogłaby być prawdziwa tylko wówczas, gdyby nie było przynajmniej połowy natury ludzkiej, jej dążeń i jej smutków. Z drugiej strony, chrześcijaństwo obejmowało to w każdym razie i liczyło się z tym, jeżeli nawet nie tłumaczyło wszystkiego. To... owo... tamto... – tworzyło razem jedną doskonałą całość. Oto istnieje wiara katolicka, pewniejsza dla niego, niż własne istnienie. Istnieje, żywa i prawdziwa. On może być potępiony, lecz Bóg panuje. On może szaleć, lecz Jezus Chrystus jest Bogiem wcielonym, udowadniającym to o Sobie przez śmierć i zmartwychwstanie, a Jan jest Jego Namiestnikiem. Rzeczy te stanowiły jakby szkielet wszechświata, jako fakty nie ulegające wątpliwości. Jeżeli zaś to nie były fakty, to i wszystko wszędzie nie było niczym innym, jak tylko marzeniem sennym.

Trudności? Tak, istniały ich dziesiątki tysięcy. Nie rozumiał bynajmniej, dlaczego Bóg stworzył świat takim, a nie innym, ani jak piekło mogło być wytworem miłości, ani jak chleb przemieniał się w Ciało Boga. Ale trudno – tak jest. Poczynał rozumieć, że odsunął się daleko od dawnego stanu wiary, gdy sądził, że prawdę bożą można udowodnić na podstawach intelektualnych. Przekonał się teraz – i sam nie wiedział jakim sposobem – że czysty rozum ludzki nie może, naprawdę, ani przeczyć, ani też

dowieść tajemnic wiary inaczej, jak za pomocą przesłanek widocznych tylko dla tego, kto uznaje Objawienie za fakt. Że raczej do stanu moralnego niż intelektualnego duszy Duch Boży przemawia z większą pewnością. Rozumiał teraz dobrze to, czego uczył się i czego nauczał, mianowicie, że wiara, posiadając, jak człowiek, ciało i ducha, wyraz historyczny i prawdę wewnętrzną, przemawia to przez jedno, to znów przez drugie. Jeden człowiek wierzy, ponieważ widzi i uznaje Wcielenie lub Kościół na podstawie ich pełnomocnictwa. Inny, spostrzegłszy, że są to fakty natury duchowej, poddaje się zupełnie posłannictwu i powadze Kościoła, który jedynie naucza o nich, jak również o objawieniu się ich na widowni historycznej. Inny wreszcie, co jest najlepsze, widzi, ponieważ uwierzył...

W taki sam sposób, z pewnym niedbałym zainteresowaniem, spoglądał Percy na inne obszary własnej duszy.

Przede wszystkim oto jego intelekt, skłopotany nie do opisanego i pytający: dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego pozwala się na to? Jakże to pojąć, że Bóg nie występuje z interwencją, że Ojciec rodzaju ludzkiego może pozwolić, aby Jego kochany świat szykował się przeciwko Niemu? Co zamysła zrobić? Czyż to wieczne milczenie nigdy nie ustanie? Bardzo to dobre dla wierzących, cóż jednak sądzić o tych milionach, które krzątają się koło swoich spraw, rade z bluźnierstwa? Czyż te miliony nie są również Jego dziećmi, owieczkami Jego trzody? Na cóż powstał Kościół katolicki, jeżeli nie dla nawrócenia świata, a w takim razie dlaczego Bóg Wszechmogący pozwala z jednej strony, aby ten Kościół zmałał do garści wiernych, z drugiej zaś, aby świat znalazł spokój, odwróciwszy się od Niego?

Badał swoje wzruszenia, lecz nie znajdował w nich ani spokoju, ani też pokrzepienia. Ach tak! Mógł modlić się jeszcze jedynie przez zimny akt woli, a jego teologia mówiła mu, że Bóg przyjmuje taką modlitwę. Mógł powiedzieć: „*Adveniat regnum Tuum... Fiat voluntas Tua*”, choćby pięć tysięcy razy dziennie, jeżeli Bóg zażąda tego, lecz nie było bodźca lub dotknięcia, nie było wibracji w tych strunach, których dźwięk wola jego słała ku Tronowi niebieskiemu. Czegóż więc Bóg żąda od niego? Czy wystarczyło powtarzać formułki, leżeć cicho, otwierać depesze, nasłuchiwać przez telefon i – cierpieć?

A reszta świata? A to szaleństwo, ogarniające narody? A te wieści osłupiające, otrzymane dzisiaj o tych ludziach w Paryżu, co – obnażywszy się jak bachantki – na placu Zgody wbijali sobie noże w serca, wołając wśród gromu oklasków, że życie jest zbyt ujarzmiające, aby je znosić; o tej kobiecie, co zaśpiewała się do szaleństwa ubiegłego wieczoru i padła, śmiejąc się i piniąc, na deski estrady koncertowej w Sewilli; o ukrzyżowaniu tego samego poranku katolików w górach Pirenejskich; o odstępstwach trzech biskupów w Niemczech i tak dalej. Dopuszczano się tysięcy okropności, a Bóg nie uczynił znaku, nie przemówił słowa...

Zapukano do drzwi i Percy zerwał się z łóżka, widząc wchodzącego kardynała.

Starzec był strasznie wycieńczony, a oczy jego połyskiwały zamglonym blaskiem zwiastującym gorączkę. Uczyniwszy Percemu ledwie widoczny znak, aby usiadł, osunął się sam na fotel, drżąc nieco i kryjąc zapięte sprzączkami trzewiki pod sutanną o czerwonych guziczkach.

– Wybaczcie mi, ojcze – rzekł – ale jestem tak niespokojny o biskupa. Powinien już być tutaj.

Percy przypomniał sobie, że chodzi o biskupa Southwark, który tego rana wyjechał z Anglii.

– Czy miał przybyć – spytał – wprost tutaj, Eminencjo?

– Tak, miał być tutaj o dwudziestej trzeciej, a teraz jest już po północy, prawda?

W tej chwili zegary wybiły pół godziny.

W mieście panował już niemal zupełny spokój po bardzo wrzaskliwym dniu, bo tłumne pochody ciągnęły ulicami przedmieść. Wrota miejskie co prawda zamknięto, ale te demonstracje były tylko przedsmakiem tego, co może nastąpić, gdy cały świat zrozumie swe obecne stanowisko.

Kardynał ocknął się z chwilowego zamyślenia.

– Widać po was zmęczenie, kochany ojcze – odezwał się łaskawie.

Percy uśmiechnął się.

– A Eminencja? – spytał.

Starzec odpowiedział także uśmiechem.

– Ja to co innego. I tak już nie pożyję długo. Gdy zaś odejdę, ty będziesz cierpieć za mnie.

Percy drgnął, uczuwszy ból w sercu.

– Tak, tak – ciągnął kardynał. – Ojciec Święty już tak rozporządził. Masz objąć po mnie stanowisko. Nie potrzebuję robić z tego tajemnicy.

Percy westchnął głęboko, a jego oddech drżał pod wpływem wzruszenia.

– Eminencjo! – zaczął błagalnym głosem.

Starzec podniósł chudą, pomarszczoną rękę.

– Rozumiem – rzekł cicho. – Wolisz umrzeć i mieć spokój. Czy nie tak? Wielu życzy sobie tego samego. Najpierw jednak musimy cierpieć – *Et pati et mori*. Ojcze Franklinie, w tej sytuacji nie wolno się wahać.

Zapanowało długie milczenie.

Wiadomość była zbyt oszałamiająca, by wywołać w młodym kapłanie coś więcej ponad okropny wstrząs. Nigdy nie przeszło mu nawet przez głowę, aby on, człowiek nie liczący nawet czterdziestu lat, mógł być wzięty pod uwagę jako następca tego mądrego, cierpliwego starca. Co się tyczy zaszczytu, to nie zważał na to ani nie myślał o tym. Jeden tylko widok rozpościerał się przed nim, mianowicie długiej, nieznośnej podróży pod górę z ciężarem na barkach, którego nie mógł udźwignąć.

A jednak pojął, że w żaden sposób nie da się tego uniknąć. Zawiadomiono go o tym

jako o rzeczy nie podlegającej dyskusji. Tak miało być – oto wszystko. Na nim jednak sprawiło to wrażenie, jak gdyby otwierała się przed nim nowa przepaść, a on spoglądał w nią z tęnym, bolesnym, niemożliwym do wysłowienia przerażeniem.

Kardynał przerwał wreszcie milczenie.

– Ojcie Franklinie, widziałem dziś portret Felsenburgha. I czy wiecie, za kogo go wziąłem w pierwszej chwili?

Percy uśmiechnął się niedbale.

– Tak, ojcie, wziąłem go za was. Co sądzicie o tym?

– Nie rozumiem, Eminencjo.

– Oto... – nagle urwał i zmienił przedmiot rozmowy.

– Dziś w mieście zdarzyło się zabójstwo. Pewien katolik zabił nożem bluźniercę.

Percy spojrzął znów na starca.

– Nie próbował nawet uciec – mówił dalej kardynał. – Znajduje się w więzieniu.

– I...

– Będzie stracony. Sprawa rozpocznie się jutro i jest bardzo przykra. Jest to pierwsze zabójstwo od ośmiu miesięcy.

Perceму przyszła na myśl dziwna ironia położenia, gdy siedział, słuchając starca w potęgającej się ciszy gwiaździstej nocy. Oto tu rozpościerało się to biedne miasto, udające, że nic nie zaszło, spokojnie wymierzające sprawiedliwość zakrawającą na szyderstwo, a tam, na zewnątrz, skupiają się siły, które położą kres wszystkiemu. Entuzjazm jego zdawał się zamierać. Nie drgnął nawet na myśl o tej wspaniałej pogardzie dla faktów materialnych, której maleńki przykład widział przed sobą. O tym braku rozpaczliwej odwagi lub szalonej brawury. Miał wrażenie człowieka, przypatrującego się musze, która myje sobie łapkami łepki na tłoku maszyny parowej. Potężny drąg stalowy posuwa się cicho, unosząc to drobnutkie istnienie ku olbrzymiej śmierci. Jeszcze chwila, a wszystko się skończy, lecz patrzący nie może przeszkodzić. Nadprzyrodzoność spoczywała tak właśnie, doskonała i żywa, lecz nieobliczalnie drobna. Potężne siły były w ruchu, świat podnosił się, a Percy nie mógł uczynić nic innego, jak tylko patrzeć i marszczyć brwi. A jednak żaden cień nie mącił jego wiary. Mucha, którą znał, była daleko większa od maszyny, a to przez wyższy porządek życia. Jeżeli zginie, to nie wszystko skończy się z życiem. Tyle wiedział, ale dlaczego tak było, nie miał pojęcia.

Gdy znów obaj zamilkli, odezwały się za drzwiami kroki i ktoś zapukał. We drzwiach ukazała się twarz służącego.

– Eminencjo – zaanonsował – przybył Jego Ekscelencja biskup Southwark.

Kardynał podźwignął się z trudnością oparłszy rękę na stole, po czym zatrzymał się, jakby coś sobie przypominając, poszukał w kieszeni i podał Perceму mały błyszczący krążek.

– Obejrzyj to, ojcie – rzekł do Percego.

Percy odprowadził starca do drzwi, zamknął je i powrócił do stołu, na którym pozostawił krążek.

Była to świeżo wybita moneta. Z jednej strony widniał znany wieniec oraz po środku napis w języku angielskim i esperanto: „Pięć pensów”, z drugiej zaś było popiersie mężczyzny, okolone napisem. Percy zbliżył monetę do okna i przeczytał:

„Julian Felsenburgh, le Prezidante de Uropo”.

* * *

Kardynałowie zostali zwołani do papieża na godzinę dziesiątą z rana dla wysłuchania alokucji.

Usadowiony wśród konsultatorów Percy widział ich wszystkich wchodzących. Byli wśród nich przedstawiciele najróżniejszych narodów, temperamentów i lat. Włosi, trzymając się razem, silnie gestykulując i połyskując zębami; Anglosasi poważni i o nieruchomych twarzach; staruszek Francuz, opierający się na kijku i krocący w towarzystwie angielskiego benedyktyna.

Zebrano się w jednej z owych wielkich, poważnych komnat bez ozdób, z jakich składał się obecnie Watykan. Kardynałowie zasiedli po bokach jak w kaplicy. W dolnym końcu komnaty znajdowały się krzesła z przejściem pośrodku dla konsultatorów, a w górnym końcu kobierzec z tronem papieskim. Za krzesłami konsultatorów ustawiono trzy czy cztery rzędy ławek z biurkami dla prałatów i innych osób duchownych, które przybyły poprzedniego dnia do Rzymu z różnych stron Europy po ogłoszeniu zdumiewającej nowiny.

Percy nie miał pojęcia, na czym będzie polegać alokucja. Bez wątplenia trudno przypuszczać, aby papież miał wygłosić tylko zwykłe komunały, cóż jednak innego można by powiedzieć wobec wątpliwości położenia? Wszystko, co wiedzano nawet tego ranka, ograniczało się do faktu utworzenia stanowiska prezydenta Europy, a drobna moneta srebrna, którą oglądał, świadczyła o tym. Wiedzano tylko o wybuchu prześladowania katolików, stłumionym surowo przez lokalne władze. Wiedzano wreszcie o zapowiedziach, że Felsenburgh rozpoczyna dziś objazd stolic europejskich. W Turynie spodziewano się go pod koniec tygodnia. Ze wszystkich ośrodków katolickich nadchodziły depesze, błagające o wskazania, co robić. Depesze te zwiastowały, że odstępstwa szerzą się wciąż wzrastającą falą, że wszędzie grozi prześladowanie i że nawet biskupi zaczynają ustępować.

Co się tyczy osoby Ojca Świętego, to istniała zupełna niepewność. Wtajemniczeni milczeli. Krążyła tylko pogłoska, że papież spędził noc na modlitwie przy grobie Apostoła.

Nagle wrzawa zamieniła się w szept, po chwili wreszcie ucichła zupełnie, a wzdłuż

siedzeń pochyliły się głowy, otwarto bowiem drzwi obok baldachimu i po chwili Jan, *Pater Patrum*, zasiadł na tronie.

W pierwszej chwili Percy nic nie rozumiał. Spoglądał tylko jak na obraz przez pełne pyłu promienie słoneczne, wdzierające się do sali mimo zasłoniętych okien i padające na dwa szeregi purpury z prawej i lewej strony oraz na wielki szkarłatny baldachim, pod którym zasiadła biała postać. Doprawdy, południowcy umieli wywoływać efekty malarskie. Obraz bowiem był tak żywy i uroczysty, jak wizja Hostii w monstrancji wysadzanej drogimi kamieniami. Wszystkie akcesoria odznaczały się świetnością: wysoka komnata, barwa szat, łańcuchy i krzyże, a gdy oko posuwało się wzdłuż nich, szukając najwyższego punktu, trafiało w głębi na białą plamę matową, jakby świetność czuła się wyczerpana i niezdolna do wyjawienia najwyższej tajemnicy. Szkarłat, purpura i złoto nie były wcale zbyt cenne dla stojących na stopniach tronu. Oni potrzebowali tego. Ten jednak, który zasiadł na tronie, nie potrzebował niczego. Niech barwy gasną, niech dźwięki milkną wobec Namiestnika Bożego. A jeżeli potrzeba już wyrazu, to wyrazowi czyniła zadość ta piękna owalna twarz, ta zrównoważona głowa monarsza, te słodkie, połyskujące oczy i te wyraźnie zarysowane wargi, umiejące przemawiać tak mocno. Ani jeden dźwięk nie mącił ciszy w komnacie, nie odezwał się żaden szmer ani oddech nawet z zewnątrz. Zdawało się, jakoby świat pozwalał nadprzyrodzoności wystąpić bez przeszkody z obroną, zanim uzasadni i domagać się będzie wrzaskliwie jej potępienia.

Percy wysiłkiem woli stłumił własne wrażenie, zacisnął pięści i słuchał:

„...a ponieważ taki jest stan rzeczy, na nas kolej, synowie Chrystusa, odpowiedzieć. Nie walczymy, jak naucza nas *Doctor Angelicus*, przeciwko ciału i krwi, lecz przeciwko księżetom i siłom, przeciwko rządcom tego świata ciemności, przeciwko duchowi zdrożności na stanowiskach wysokich. Dlatego – naucza dalej ten Święty – «odziej się zbroją Boga» – po czym określa nam, na czym ta zbroja polega: pas prawdy, napierśnik sprawiedliwości, trzewik pokoju, tarcza wiary, hełm zbawienia, miecz ducha.

Tym to więc Słowo Boże zaleca nam walczyć, a nie bronią tego świata, bo królestwo Jego nie jest z tego świata i właśnie dla przypomnienia wam zasad tej walki powołaliśmy was przed oblicze Nasze”.

Głos papieża zamilkł na chwilę, a po szeregach siedzeń przeszedł szelest westchnień.

„Zawsze stanowiło mądrość poprzedników Naszych, jako też ich obowiązek, zachowywanie milczenia w pewnych chwilach, wygłaszanie zaś otwarcie i w całości tego, co Bóg radzi, w innych. Od spełnienia tego obowiązku nie może Nas powstrzymać świadomość Naszej własnej słabości i nieświadomości. Ufamy bowiem, że Ten, który posadził Nas na tronie, raczy przemówić Naszymi ustami i użyć Naszych słów na Swoją chwałę.

Przed wszystkim zatem konieczne jest wyjawienie Naszego sądu o nowym ruchu, jak go nazywają ludzie, wszczętym ostatnimi czasy przez rządców tego świata.

Nie lekceważymy błogosławieństwa pokoju i jedności, ale też nie zapominamy, że ich pojawienie się było owocem wielu takich rzeczy, które potępiliśmy. Ten to pozór pokoju omamił wielu i przyczynił się do tego, iż zwątpili o obietnicy Księcia Pokoju, iż tylko przez Niego mamy dostęp do Ojca. Ten prawdziwy pokój, przekraczający nasze pojmowanie, tyczy się nie tylko stosunku ludzi do ludzi, lecz najbardziej stosunku ludzi do ich Stwórcy i co do tego właśnie nieodzownego warunku wysiłki świata okazały się niedostateczne. Ale, zaprawdę, nie można się dziwić, że w świecie, który odrzucił Boga, zapomniano o tym koniecznym warunku. Ludzie – wyprowadzeni na manowce przez uwodzicieli – sądzili, że jedność narodów to najwyższa zdobycz tego świata, zapominając o słowach naszego Zbawiciela, który rzekł, że zstąpił nie po to, aby przynieść pokój, ale miecz, i że przez wiele utrapień wstępujemy do Królestwa Bożego. Przede wszystkim więc powinien zapanować pokój pomiędzy człowiekiem a Bogiem, po czym dopiero nastąpi pokój między człowiekiem a człowiekiem. «Szukajcie przede wszystkim – powiedział Jezus Chrystus – Królestwa Bożego, a to wszystko będzie wam przydane».

Najpierw zatem potępiamy i wyklinamy raz jeszcze zdania tych, którzy nauczają i wierzą inaczej oraz ponawiamy raz jeszcze wszelkie Nasze lub poprzedników Naszych potępienia takich towarzystw, organizacji lub zrzeszeń, które utworzyły się w celu dążenia do jedności na podstawie innej, niż boska i przypominamy naszym dzieciom na całym świecie, że zakazujemy im wstępować do organizacji wymienionych w takich potępieniach lub pomagać im albo uznawać je w jakikolwiek sposób”.

Percy poruszył się na krześle pod wpływem uczucia niecierpliwości. Sposób przemówienia był wspaniały, spokojny, poważny i płynny jak rzeka, lecz treść była nieco banalna. Oto było po prostu stare potępienie masonerii wygłoszone językiem nie odznaczającym się oryginalnością.

„Po wtóre – grzmiał mocny głos – pragniemy was zapoznać z Naszymi życzeniami na przyszłość i tu wkraczamy na grunt, uważany przez wielu za niebezpieczny”.

Znów powstał szelest wśród zebranych. Percy spostrzegł kardynała, przechylającego się naprzód i przykładającego dłoń do ucha, aby lepiej słyszeć. Było jasne, że nadchodzi ważna chwila.

„Istnieje wiele punktów – mówił dalej donośny głos – o których nie jest Naszym zamiarem mówić obecnie, z natury bowiem swojej są to rzeczy tajne i muszą być omówione przy innej sposobności. To zaś, co mówimy tutaj, mówimy do świata. Ponieważ ataki naszych wrogów są jawne i tajne, taką samą więc musi być i nasza obrona. Oto zatem nasze życzenie”.

Papież znów zamilkł i podniósł rękę ku piersi, jakby machinalnym ruchem ujął wiszącą tam krzyż.

„Jakkolwiek armia Chrystusa jest jedna, to jednak składa się z licznych oddziałów, z których każdy obejmuje pewne cele i czynności. W czasach ubiegłych Bóg zbierał

gromadki Swoich sług dla zajmowania się tą lub ową pracą specjalną: synów świętego Franciszka, aby uczyli ubóstwa; świętego Bernarda, aby pracowali w modlitwie z wszystkimi świętymi niewiastami, oddającymi się temu zadaniu. Towarzystwo Jezusowe, aby kształciło młodzież i nawracało pogan – jak również wszelkie kongregacje religijne, których nazwy są znane po całym świecie. Każdy taki oddział powstał w chwili potrzeby i każdy odpowiadał szlachetnie swemu boskiemu powołaniu. Było także specjalną chwałą każdego z nich, że dla poparcia swoich intencji w dążeniu do obranego celu odsuwał się od wszelkiej innej działalności (dobrej samej przez się) przeszkadzającej w pracy, dla której Pan go powołał do życia, a to zgodnie ze słowami Zbawiciela: «Każdą gałąź przynoszącą dobre owoce oczyścił, aby przyniosła więcej owoców».

W obecnej jednak chwili Nasza pokora sądzi, że wszystkie te zakony (które jeszcze raz zalecamy i błogosławimy) nie zupełnie odpowiadają skutkiem swoich reguł wielkim wymaganiom czasu. Nasza walka polega nie na szczególnym zwalczaniu czy to nieświadomości bądź pogan, do których Słowo Boże jeszcze nie dotarło, bądź też tych, których ojcowie odrzucili to Słowo; czy to, dalej, zwodnych bogactw tego świata lub wiedzy fałszywie tak nazwanej; czy to wreszcie jakiegokolwiek z twierdzących niewiary, przeciwko którym pracowaliśmy w przeszłości. Zdaje się raczej, że nadszedł czas, przewidywany przez Apostoła, gdy mówił: nie nadejdzie dzień, dopóki nie nastąpi najpierw odpadanie i dopóki nie ujawni się człowiek grzechu, syn zatracenia, który przeciwstawił się i wyniósł ponad wszystko, co nazywa się Bogiem.

Nie o tę, lub ową siłę nam chodzi, lecz raczej o ten odsłonięty ogrom siły, której czas przewidziano, a której przygotowane jest zniszczenie”.

Głos zamilkł ponownie, a Percy uchwycił się bariery stojącej przed nim, by powstrzymać drżenie rąk. Nie było słyhać najmniejszego szelestu. Salę zalegała dzwoniąca w uszach i wstrząsająca cisza. Papież odetchnął głęboko, zwrócił głowę na prawo i lewo, po czym zaczął mówić głosem jeszcze bardziej stanowczym, niż poprzednio:

„Zdaje się więc dobrym Nasze pokorze, aby Namiestnik Jezusa Chrystusa sam zaprosił dzieci Boga do tej nowej walki. Mamy intencję zjednoczyć, pod znakiem Jezusa Ukrzyżowanego, wszystkich ofiarujących się na tę służbę najwyższą. Czyniąc to, zdajemy sobie sprawę z nowości Naszego postępowania, jako też i z lekceważenia wszelkich ostrożności, jakie potrzebne były dawniej. Radzimy się w tej mierze jedynie Tego, który, jak wierzymy, Nas natchnął.

Po pierwsze więc, niech nam wolno będzie powiedzieć, że choć będzie wymagany posłuch od wszystkich, dopuszczonych do tego zakonu, to jednak pierwszą Naszą intencją przy jego zakładaniu było okazywanie raczej szacunku względem Boga, niż względem człowieka, a to przez odwoływanie się do Tego, który pragnie naszej szlachetności, nie zaś do tych, którzy jej przeczą; przez poświęcenie raz jeszcze

formalnym i rozmyślnym aktem naszych dusz i ciał Woli niebieskiej i służbie Temu, który jedynie może sobie rościć prawo do takiej ofiary i który przyjmie ubóstwo nasze.

Krótko powiedziawszy dyktujemy tylko niezbędne, poniżej przedstawione warunki:

- Nikt nie ma prawa wstąpić do tego zakonu, kto nie ukończy lat siedemnastu.
- Zakon ten nie będzie posiadał ani oznak, ani habitów, ani też jakichkolwiek insygniów.

- Trzy Rady Ewangeliczne mają być podstawą jego reguły, dodajemy zaś do nich czwartą intencję, mianowicie pragnienie osiągnięcia korony męczeństwa i zamiar poświęcenia się temu.

- Biskup każdej diecezji, o ile wstąpi sam do tego zakonu, ma być jego przełożonym w granicach jego jurysdykcji i sam jeden ma być wolny od zachowywania literalnego ślubu ubóstwa, dopóki zajmuje swoje stanowisko. Biskupi, nieczujący powołania, aby wstąpić do tego zakonu, mogą pozostać na swoich stanowiskach pod zwykłymi warunkami, nie mają jednak prawa wtrącać się do spraw religijnych jego członków.

Po drugie, zwiastujemy Naszą intencję wstąpienia do tego zakonu w charakterze najwyższego prałata i złożenia ślubów zakonnych w dniach najbliższych.

Po trzecie, oświadczamy, że za Naszego pontyfikatu nikt nie będzie przyjęty do Świętego Kolegium, kto nie wstąpił do tego zakonu i że wkrótce poświęcimy Bazylikę świętego Pawła jako jego świątynię centralną, w której umieścimy niezwłocznie na ołtarzach szczęśliwe dusze, oddające życie za swoje powołanie.

O powołaniu tym nie ma potrzeby mówić poza nadmienieniem, że można mu się poświęcać w każdych warunkach, określonych przez przełożonych. Co się tyczy nowicjatu, jego wymagań i warunków, to ogłosimy wkrótce potrzebne wskazówki. Każdy przełożony diecezjalny – gdyż mamy nadzieję, że żaden nie uchyli się od tego – będzie posiadać te prawa, jakie zwykle należą do przełożonych instytucji religijnych i będzie miał prawo używać podwładnych do każdej pracy, służącej, jego zdaniem, chwale Boga i zbawieniu dusz. I Naszym zamiarem jest także powoływać do służby Naszej tylko tych, którzy złożą śluby zakonne”.

Podniósł raz jeszcze oczy pozornie bez wzruszenia i kończył:

„A zatem tyle postanowiliśmy. Co się tyczy spraw innych, to zwołamy zaraz naradę, jest jednak życzeniem Naszym, aby słowa te zakomunikowane były światu całemu, aby nie było zwłoki w ogłaszaniu, czego Chrystus przez Namiestnika Swego domaga się od wyznawców Imienia Boskiego. Nie obiecujemy nagród, prócz tych, jakie Bóg sam obiecał kochającym Go, i oddającym życie za Niego; nie obiecujemy pokoju, przekraczającego pojęcie nasze; nie obiecujemy domu, oprócz domu przystającego pielgrzymom i gościom poszukującym Miasta przyszłości; nie obiecujemy zaszczytów, oprócz pogardy świata, nie obiecujemy życia, oprócz życia utajonego z Chrystusem w Bogu”.

Rozdział 4

Oliver Brand, siedząc w swym małym prywatnym pokoiku w Whitehall, oczekiwał na gościa. Było już blisko dziesiątej, a o wpół do jedenastej musiał być już w parlamencie. Spodziewał się wszakże, iż Francis, kimkolwiek on jest, nie zatrzyma go długo. Nawet teraz każda chwila stanowiła odetchnienie, gdyż w przeciągu ostatnich tygodni nawał pracy był wprost zadziwiający.

Zwłoka jednak nie trwała nawet minuty, bo ledwie, jak tylko umilkł dźwięk zegara, wybijającego dziesiątą na wieży Wiktorii, otworzono drzwi i urzędnik oznajmił nadejście oczekiwanego gościa.

Oliver rzucił szybkie spojrzenie na nieznanego, na jego ciężkie powieki oraz zwrócone w dół kąciki warg i zanim usiedli i przystąpili do omawiania sprawy, wytworzył sobie o nim dość jasne oraz dokładne pojęcie.

– Za dwadzieścia pięć minut – rzekł Oliver – muszę wyjść, tylko więc tyle czasu... – tu uczynił krótki ruch ręką.

– Dziękuję panu, panie Brand – przerwał mu gość szybko – wystarczy to najzupełniej. Jeżeli pan pozwoli – przy tych słowach sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej długą kopertę – zostawię to panu wychodząc, wyłożone są tu bowiem szczegółowo nasze życzenia i zebrane podpisy. A oto, co chciałem panu powiedzieć.

Przechylił się w tył, założył nogę na nogę i mówił z lekkim odcieniem popędliwości:

– Jak pan wie, stanowią pewien rodzaj delegacji. Mamy tak coś do żądania, jak i do ofiarowania. Wybrano mnie, ponieważ była to moja myśl. Przede wszystkim jednak, czy wolno mi zadać pytanie?

Oliver skłonił głową potakująco.

– Nie chcę pytać o nic, o co pytać nie powinienem. Wszak prawda, że niemal na pewno oddawanie czci Bogu przywrócone będzie w całej Anglii?

Na ustach Olivera pojawił się uśmiech.

– Tak sądzę – odpowiedział. – Projekt odpowiedniego prawa poddano już w parlamencie trzeciemu czytaniu i, jak panu wiadomo, pan prezydent przemawiać ma w tej sprawie dzisiejszego wieczora.

– Nie będzie mu przeciwny?

– Nie sądzimy. Zgodził się na to już w Niemczech.

– Istotnie – zauważył Francis. – A jeżeli zgodzi się i tutaj, to projekt natychmiast stanie się prawem.

Oliver pochylił się nad biurkiem i ujął zielony papier, na którym wypisany był projekt omawianego prawa.

– Ma pan już to? – spytał. – Oczywiście. Tak, projekt staje się prawem natychmiast. Pierwsze zaś święto obchodzone będzie pierwszego października i ma otrzymać miano „Święta Ojcostwa...”. Tak, „Ojcostwa”.

– Ha, to będzie gwałt z przygotowaniami! – zawołał Francis – przecież tylko tydzień dzieli nas od tej daty.

– Nie należy to do zakresu moich obowiązków – odparł Oliver, kładąc papier na biurku. – Podobno jednak zastosowany będzie rytuał, wprowadzony już w Niemczech. Nie widzę powodu, abyśmy wprowadzali odmienny.

– Wszak prawda, że uroczystość odbędzie się w opactwie Westminsterskim?

– Tak.

– Otóż wiem, że komisja rządowa przestudiowała wszystko szczegółowo i, bez wątpienia, posiada własne plany. Sądzę, iż nie obejdzie się bez ludzi doświadczonych.

– Oczywiście.

– A więc, panie Brand, towarzystwo, do którego należą, składa się całkowicie z byłych kapłanów katolickich. W samym Londynie liczymy około dwustu członków. Zostawię panu, jeżeli wolno, broszurę, zawierającą nasze cele i projekt ustawy. Sądziiliśmy, że nadarza się obecnie sposobność oddania przysługi rządowi. Jak panu wiadomo, katolickie ceremonie kościelne są bardzo złożone i niektórzy z nas studiowali je bardzo gruntownie dawnymi czasy. Mawialiśmy nawet z tego powodu, że mistrzowie ceremonii rodzą się, a nie wyrabiają, a takich właśnie mistrzów mamy wśród siebie dość pokaźną liczbę. Choć, zaprawdę, każdy kapłan posiada mniejszą lub większą wprawę pod tym względem.

Zamilkł.

– A zatem, panie Francis?

– Otóż sądę, że rząd pojmuję, jak niezmiernie ważną jest rzeczą, aby wszystko poszło gładko. Gdyby służba boża okazała się śmieszną i nieporządną, to w znacznym stopniu chybiłaby celu. Toteż wysłano mnie, abym zobaczył się z panem i poddał mu myśl, że znajduje się tu grono ludzi, mogą powiedzieć co najmniej dwudziestu pięciu, posiadających doświadczenie specjalne w sprawach tego rodzaju i oddających się najzupełniej do rozporządzenia rządowi.

Kąty ust Olivera wykrzywiły się mimo woli uśmiechem, bo wywody Francisza wydały mu się gorzką ironią, pomimo całej racjonalności.

– Rozumiem o co chodzi, panie Francis, i muszę przyznać, że propozycja pańska jest doskonała. Sądzę wszelako, że zwrócił się pan nie tam, gdzie potrzeba. To rzecz pana Snowforda.

– Wiem, wiem! – zawołał Francis. – Lecz to pańska mowa, wygłoszona w tych dniach, natchnęła nas tą myślą. Powiedział pan ściśle to, co tkwiło w naszych sercach; powiedział pan, że świat nie może istnieć bez nabożeństwa i że teraz, gdy Boga nareszcie odkryto...

Oliver przerwał mu ruchem ręki. Nienawidził nawet cienia pochlebstwa.

– Dziękuję za życzliwość, panie Francis. Zapewniam, że pomówię o tym z panem Snowfordem. A zatem panowie ofiarują rządowi usługi swoje w charakterze, jak to pan powiedział?, aha... mistrzów ceremonii.

– Tak, panie Brand: mistrzów ceremonii i zakrystianów. Przystudiowałem rytuał niemiecki bardzo dokładnie. Jest nawet bardziej złożony, niż sądziłem. Toteż wymagać będzie niemało zręczności. Zdaniem moim nie obejdzie się bez tuzina mistrzów ceremonii, drugi zaś tuzin bodaj czy wystarczy w zakrystii.

Oliver skinął niecierpliwie głową, spoglądając ciekawie na rozgorączkowaną, patetyczną twarz gościa. Tak, miała w sobie coś z tego jednostajnego spojrzenia maski, jakie zauważył już u innych księży. Najwidoczniej był to świętoszek.

– Oczywiście, należycie wszyscy do masonów? – spytał.

– Ależ naturalnie, panie Brand!

– Doskonale. Pomówię dziś jeszcze z panem Snowfordem, o ile zdołam go złapać.

Spojrzał na zegar. Miał jeszcze trzy, czy cztery minuty czasu.

– A czytał pan – spytał nagle Francis – o tej nowej nominacji w Rzymie?

Oliver zaprzeczył ruchem głowy. Nie bardzo zajmowało go obecnie, co się dzieje w Rzymie.

– Kardynał Martin zakończył życie, skonał we wtorek, a już miejsce jego jest zajęte.

– Doprawdy?

– Tak, a nowy kardynał był niegdyś moim przyjacielem. Nazywa się Franklin. Percy Franklin.

– Co?

– Co się panu stało, panie Brand? Czy pan go znał także?

Oliver spoglądał na gościa posepnie, trochę poblady.

– Tak, znałem go – odparł spokojnie – tak mi się zdaje przynajmniej.

– Przed miesiącem, czy dwoma, znajdował się jeszcze w Westminsterze.

– Tak, tak – powtarzał Oliver, spoglądając wciąż na gościa – i pan znał go dobrze, panie Francis?

– O, doskonale!

– To dobrze. Chciałbym kiedyś, abyśmy o nim porozmawiali.

Przerwał. Już tylko minuty brakowało do oznaczonego czasu.

– I to wszystko, panie Francis?

– Tak, to wszystko, co miałem do powiedzenia w mojej sprawie. Spodziewam się jednak, że pan pozwoli mi wyrazić, jak bardzo cenimy wszystko, co pan uczynił. Nikt bez wątplenia nie odczuwa tak, jak my, braku nabożeństwa. Z początku wydawało się nam to bardzo dziwne...

Głos jego drżał nieco, więc zamilkł. Olivera zaciekawiły te słowa, powstrzymał więc ruch, by powstać z krzesła.

– A zatem, panie Francis?

Melancholijne oczy zwróciły się ku niemu.

– Było to, panie, oczywiście, złudzenie. Co do mnie jednak przynajmniej, to ośmielałam się mieć nadzieję, że nie poszły zupełnie na marne wszystkie nasze aspiracje, pokuty i chwalby. Nie poznaliśmy właściwego boga, niemniej jednak modły nasze dosięgły Ducha świata, znalazły drogę do niego. Nauczył on nas, że indywiduum jest niczym i że on jest wszystkim...

– Mów pan dalej – odezwał się Oliver, szczerze wzruszony.

Smutne piwne oczy otworzyły się szeroko.

– A teraz zjawił się Felsenburgh – tu przełknął ślinę – Julian Felsenburgh!

W jego łagodnym głosie zabrzmiała przy dwu ostatnich słowach nuta namiętności tak nagle, że odbiła się w sercu Olivera.

– Rozumiem pana – rzekł – wiem, co pan chce powiedzieć.

– Oh, nareszcie posiadać zbawiciela! – wołał Francis. – Nareszcie móc widzieć go, obcować z nim, czcić go w oczy, to jak sen, to zanadto piękne, aby miało być prawdą!

Oliver spojrział na zegar i zerwał się z krzesła, ostentacyjnie wyciągając rękę.

– Przepraszam pana – rzekł – ale muszę iść. Wzruszył mnie pan bardzo. Pomówię z Snowfordem. Adres pański znajduje się zapewne tutaj?

Przy tych słowach wskazał na kopertę.

– Tak, panie Brand. Ale jeszcze jedno pytanie.

– Nie mogę pozostać dłużej – odparł Oliver, stanowczo potrząsając głową.

– Tylko chwileczkę. Czy to prawda, że nabożeństwo ma być przymusowe?

Oliver skłonił głowę, zabrał szybko papiery i wyszedł.

* * *

Mabel, siedząc tego wieczora na galerii za fotelem prezydenta, patrzyła już wielokrotnie na zegarek, spodziewając się, że czas upływa prędkiej, niż jej się zdaje, choć wiedziała bardzo dobrze, iż prezydent Europy nie przybędzie ani o pół minuty wcześniej, ani też później. Jego najwyższa punktualność znana była w całej Europie. Powiedział: przybędę o dwudziestej pierwszej, o tej więc godzinie przybędzie na pewno, a zatem ani minuty wcześniej, ani minuty później.

Ostry dźwięk dzwonka rozległ się z dołu i w tejże chwili zamilkł przewlekły głos prezesa Izby. Mabel jeszcze raz podniosła rękę i przekonawszy się, że brak pięciu minut do oznaczonej godziny, wychyliła się z krzesła, aby spojrzeć w dół, na salę Parlamentu.

Metaliczny dźwięk dzwonka wywołał tam wielką zmianę. Wzdłuż długich brązowych ław posłowie poprawiali się na siedzeniach, przyjmowali postawy bardziej odpowiednie, suwali nogami, chowali kapelusze pod frędzlami ławek, a prezes Izby

schodził po stopniach, wiodących do fotela prezydenta, wiedząc, że kto inny zajmie go za chwilę.

Izba zapełniona była od końca do końca. Jakiś opóźniony poseł wyłonił się szybko ze zmroku i – oślepiiony światłem – stał chwilę, zanim spostrzegł należne mu miejsce. I na galeriach, w drugim końcu sali, gdzie Mabel na próżno starała się otrzymać miejsce, znajdowało się mnóstwo osób. Pomimo jednak tego tłumu w sali panowała głęboka cisza, przerywana tylko szeptem.

Dźwięk dzwonu powtórzył się teraz na zewnątrz sali, co było sygnałem opróżnienia koniarza, a z placu Parlamentu doleciał wyraźnie pomruk tłumu, którego wcale nie słyszano w ciągu ostatnich dwudziestu minut.

Jakże dziwna i cudowna wydawała się Mabel obecność jej tutaj właśnie tego wieczora, gdy zabierze głos prezydent. Przed miesiącem zgodził się na taki sam projekt prawa w Niemczech i wygłosił o tym samym przedmiocie mowę w Turynie. Jutro ma być w Hiszpanii. Nikt jednak nie wiedział, gdzie spędził ubiegły tydzień. Rozeszła się co prawda pogłoska, że jego szybowiec widziano nad jeziorem Como, ale zaprzeczono jej natychmiast. Nikt też nie wiedział, co powie dziś. Może trzy słowa tylko, a może całych dwadzieścia tysięcy.

Projekt prawa zawierał kilka dodatków, a między innymi oznaczenie czasu, kiedy nabożeństwo ma się stać przymusowe dla wszystkich osób, liczących więcej niż siedem lat. Być może prezydent nie zgodzi się na to. W takim razie wszystko będzie musiało być przerobione i projekt prawa jeszcze raz przedstawiony parlamentowi, chyba, że poprawki prezydenta przyjęto by natychmiast przez akklamację.

Mabel osobiście oświadczyła się za dodatkami. Opiewały one, że choć nabożeństwo rozpocznie się we wszystkich świątyniach parafialnych Anglii dnia 1 października, to jednak nie będzie ono przymusowe aż do Nowego Roku. Natomiast prawo, przeprowadzone w Niemczech przed miesiącem, opiewało, że każdy musi natychmiast do niego się zastosować, co naraziło tamtejszych katolików na opuszczenie zaraz granic państwa lub na poddanie się karom. Kary te nie były zbyt ostre. Za nieposłuszeństwo prawu groziła za pierwszym razem tylko kara tygodniowego aresztu. Za drugim – miesiąca, za trzecim – roku więzienia, a za czwartym – więzienia dożywotniego, jeżeli przestępca nie zgodzi się na wypełnianie przepisów prawa. Kary te uważano za łagodne, bo więzienie, samo przez się, polegało tylko na pozbawieniu wolności i na pracy w zakładach rządowych. Nie istniały tam okropności średniowieczne. Ale i samego prawa o nabożeństwach nie można było uważać za uciążliwe. Wymagało tylko obecności w kościele lub katedrze podczas czterech nowo ustanowionych świąt: Macierzyństwa, Życia, Dobrobytu i Ojcostwa, obchodzonych pierwszego dnia każdego kwartału. Obecność na nabożeństwach niedzielnych nie była przymusowa.

Mabel nie pojmowała jednak, jak człowiek może odmówić składania takiej czci. Wszak te cztery święta opierały się na przejawach tego, co nazywała Duchem świata.

Jeżeli zaś innym podoba się nazywać siłę tę Bogiem, to przecież zjawiska te stanowią także Jego funkcję. Gdzież więc trudność? Wszak nie równało się to zakazowi nabożeństw chrześcijańskich. Katolicy mogli odprawiać bez przeszkody nabożeństwa własne. A jednak w Niemczech zapowiadano rzeczy straszne. Nie mniej, niż dwanaście tysięcy osób wyjechało już stamtąd do Rzymu, a czterdzieści tysięcy miało w tych dniach odmówić wypełniania obowiązku tak mało uciążliwego. Myśl o tym oszałamiała ją i gniewała.

Dla niej nowe nabożeństwo, było niejako szczytnym symbolem tryumfu ludzkości. Serce jej pożałowało czegoś w tym rodzaju, jakiegoś publicznego, powszechnego wyznania wiary w to, w co wszyscy już wierzyli. Tak zawsze odczuwała lenistwo ludzi, zadowolonych z każdego dokonanego czynu, a nie zastanawiających się nigdy nad jego sprężynami. Bez wątpienia, pożądanie to, przemawiające w niej, nie mogło być fałszywe. Pragnęła stać z innymi ludźmi w miejscu solennym, poświęconym nie przez kapłanów, lecz przez wolę człowieka; czerpać natchnienie ze śpiewów słodkich i dźwięku organów; wypowiadać swe kłopoty wśród tysięcy innych ludzi, w modłach do Ducha wszystkiego; głośno śpiewać chwałę wspaniałości życia i składać przez ofiarę i kadzidła emblematyczną cześć temu, z którego czerpała istnienie i któremu pewnego dnia musi je z powrotem oddać.

– Ach – powtarzała sobie setki razy – jakże chrześcijanie odczuli naturę ludzką! Co prawda poniżyli ją, przyćmili światło, zatruli ducha, fałszywie tłumaczyli instynkt, rozumieli jednak, że człowiek musi oddawać cześć komuś, musi modlić się lub zginąć.

Obiecywała też sobie przynajmniej raz na tydzień uczęszczać do kościółka położonego o kilkaset kroków od jej mieszkania, klękać tam przed oświetlonym przez promienie słoneczne sanktuarium, rozmyślać nad słodkimi tajemnicami, ofiarować się Temu, którego nauczyła się kochać, i pić z tego źródła być może, nowe życie i siłę.

Przede wszystkim jednak nowe prawo musi być przyjęte.

Objęła rękoma balustradę i wpatrywała się w długie szeregi głów na dole, ponad otwarte przejścia, wielką buławę na stole, słysząc pomruk tłumów na dworze i zamierający szept w sali, bicie własnego serca.

Nie mogła – doskonale wiedziała o tym – go widzieć. Bo wejdzie on drzwiami, położonymi ponad galerią na której siedziała, przeznaczonymi wyłącznie dla Niego i uda się wprost do fotela pod baldachimem. Ale usłyszy jego głos. Radość ta musi jej wystarczyć.

Oto jednak pomruk tłumu zamiera na dworze. Przybył! Przez oczy zachodzące łzami widzi podnoszące się pod nią szeregi głów, słyszy uszami, w których krew bije gwałtownie, szelest poruszanych nóg. Wszystkie twarze zwrócone są ku niej, wpatruje się w nie zatem chciwie, aby widzieć odbijające się w nich światło Jego obecności. W powietrzu rozległo się ciche łkanie... Czy to ona łka, czy kto inny?

Ktoś porusza klamką. Nad jej głową odzywa się raz po raz melodyjna, głęboka,

przejmująca serce nuta. To dzwon tenorowy wybija zwykle trzy uderzenia, a w tejże chwili po bladych twarzach przebiegła gwałtowna fala, jakby wichur namiętności wstrząsnął duszami ludzkimi. Tu i ówdzie zakołysały się głowy i odezwał się z niewidocznego miejsca głos beznamiętny w języku esperanto:

– Anglicy, zgadzam się na wasz projekt prawa o nabożeństwach.

* * *

Dopiero przy drugim śniadaniu dnia następnego małżonkom udało się spotkać. Oliver bowiem spędził noc w mieście i zatelefonował około jedenastej, że wkrótce przybędzie do domu z gościem. Istotnie, tuż przed południem Mabel usłyszała ich głosy w sieni.

Przedstawiony jej przez Olivera Francis wydał się Mabel człowiekiem obojętnym i nieinteresującym, jakkolwiek rozprawiał bardzo poważnie o uchwalonym poprzedniego dnia prawie. Dopiero pod koniec śniadania dowiedziała się, kim on jest właściwie.

– Nie odchodź, Mabel – rzekł Oliver, widząc, że żona wstaje od stołu – dowiesz się ciekawych rzeczy.

– Moją żonę – dodał, zwracając się do Francisca – wtajemniczam we wszystko.

Francis uśmiechnął się i skłonił.

– Czy wolno mi opowiedzieć jej o panu? – spytał po chwili Oliver, gdy znów zasiedli przy stole.

– Oczywiście! – zawołał Francis.

Wówczas to Mabel dowiedziała się, że Francis był jeszcze przed kilku miesiącami kapłanem katolickim i że Snowford radzi się go obecnie co do uroczystości w opactwie Westminsterskim.

Zaciekawiło to bardzo małżonkę Olivera.

– Ach – zawołała – proszę opowiedzieć mi wszystko szczegółowo! Chętnie się dowiem o przebiegu tej sprawy.

Jak się okazało z opowiadania Francisca, widział się on tego rana z nowym ministrem nabożeństw publicznych i otrzymał od niego ostateczne upoważnienie do zajęcia się uroczystością mającą się odbyć dnia 1 października. W tym celu zaangażował tymczasowo dwudziestu czterech kolegów w charakterze mistrzów ceremonii, którzy po uroczystości październikowej będą rozesłani po całej Anglii dla wygłaszania odczytów i urządzania nabożeństw publicznych.

– Oczywiście – kończył – z początku będzie to szło nieco kulawo, lecz około Nowego Roku doprowadzi się wszystko do porządku, przynajmniej w katedrach i w głównych miastach. Najważniejsze jest jednak to, aby dokonać dzieła jak

najprędzej. Należy bowiem wyrzeć dobre wrażenie. Tysiące ludzi czuje instynktownie potrzebę wyrażenia czci, lecz nie wie, jak jej zadośćuczynić.

– Najzupełniejsza to prawda – odparł Oliver – którą odczułem już dawno. Sądzę, że ta potrzeba nabożeństwa stanowi najgłębiej zakorzeniony instynkt człowieka.

– Co się zaś tyczy ceremonii... – zaczął znów Francis tonem znawcy, spojrzawszy na małżonków i sięgnął do kieszeni marynarki, wydobył z niej książeczkę w czerwonej oprawie.

– Oto jest – objaśnił – porządek nabożeństwa na uroczystość Ojcostwa. Kazałem pozaszywać tu czyste kartki i porobiłem na nich notatki.

Przy tych słowach zaczął przewracać kartki, a zaciekawiona Mabel przysunęła się z krzesłem do niego, aby lepiej słyszeć.

– Doskonale – zauważył Oliver. – Niech pan odczyta nam cokolwiek.

Francis zamknął książkę, trzymając palec wśród kartek i zaczął przemowę.

– Przede wszystkim – mówił – należy pamiętać, że rytuał ten oparty jest niemal zupełnie na rytuale masońskim. Przynajmniej trzy czwarte czynności będzie wypełnionych przez te obrzędy. Mistrzowie ceremonii nie będą wtrącać się do nich, zważając jeno, aby wszystkie insygnia znajdowały się w zakrystiach i były właściwie przywdziane. Resztą pokierują odpowiedni urzędnicy, o tym więc mówić nie będę. Prawdziwe trudności jednak rozpoczynają się w ostatniej części nabożeństwa.

Zatrzymał się i zaczął ustawiać szklanki i układać noże i widelce.

– Tu, przypuśćmy – mówił – znajduje się dawne sanktuarium opactwa. Tu wzniesiony będzie wielki ołtarz, o którym wspomina rytuał, z trzema stopniami wiodącymi ku niemu. Za ołtarzem stanie piedestał z posągiem symbolicznym i, o ile rozumiem, nie posiadając odpowiednich wskazówek, symboliczny ów posąg pozostawać będzie na piedestale aż do chwili następnej uroczystości kwartalnej.

– Co to za posąg? – spytała Mabel.

– Słyszałem, że radzono się w tej sprawie Markenheima. Ma on naszkicować i wykonać wszystkie. Każda z tych figur symbolizować będzie dane święto. Tak na przykład Ojcostwo...

Tu Francis zatrzymał się nieco zakłopotany.

– A więc, panie Francis?

– Ojcostwo symbolizować będzie naga postać mężczyzny.

– Coś w rodzaju Apollina lub Jowisza, nieprawdaż? – wtrącił Oliver.

– Tak! – potwierdził Francis szybko i mówił dalej:

– Tędy wkroczy po przemowie procesja i tu właśnie potrzebne będzie kierownictwo. W tym jednym kłopot, że nie będzie czasu na próbę.

– Istotnie! – potwierdził, uśmiechając się, Oliver.

– Tego właśnie się obawiałem! – westchnął mistrz ceremonii. – Trzeba wydać bardzo szczegółowe drukowane instrukcje. Biorący udział w procesji będą musieli,

sądzę, wysunąć się podczas hymnu do dawnej kaplicy Wiary Świętej. Moim zdaniem to najlepszy sposób wybrnięcia z kłopotu.

Przy tych słowach oznaczył na stole miejsce kaplicy.

– Po wejściu procesji wszyscy zajmą miejsca po obu stronach: tu i tu, gdy tymczasem celebrians z dostojną asystą...

– Co?

Na twarz Francisa, która zaczerwieniła się nieco, wystąpił lekki grymas.

– A prezydent Europy? – zawołał Oliver.

– Prezydent Europy? – zapytał z jednej strony przestraszony, ale i podniecony tą myślą Francis. – Czyżby prezydent Europy miał także brać udział w uroczystości? Nie wspomniano o tym wyraźnie w rytuale.

– A jednak spodziewamy się – odparł Oliver – że weźmie. Mamy właśnie zwrócić się do niego w tej sprawie.

– Gdyby jednak nie wziął udziału, to minister nabożeństwa publicznego wystąpi w roli oficjanta i przystąpi z adiutantami wprost do ołtarza. A pamiętajcie państwo, że posąg symboliczny jest jeszcze zasłonięty i że świece zapalono dopiero podczas zbliżania się procesji do ołtarza. Tutaj następuje śpiew Aspiracji, wydrukowany w rytuale, z odpowiedziami chóru, który, jak sądzę, wywrze wielkie wrażenie. Po śpiewie oficjant wchodzi na stopnie ołtarza i wygłasza, stojąc, Adres, jak nazwano tę mowę. Pod koniec mowy, w miejscu oznaczonym gwiazdką, czterech adiunktów opuszcza swoje miejsce, jeden z nich wchodzi na stopnie ołtarza, pozostawiając trzech innych, kołyszących trybularze u jego stopni, oddaje swój trybularz oficjantowi i cofa się na dawne miejsce. Wówczas, na znak dany dzwonkiem, usuwa się zasłona, kryjąca symboliczny posąg, oficjant w milczeniu okadza piedestał czterema podwójnymi rzutami kadzielnicy, gdy zaś kończy okadzanie, chór intonuje przepisana antyfonę.

Machnął ręką.

– Reszta to już łatwizna. Nie ma o czym mówić.

Mabel sądziła, że i to, o czym gość mówił dotychczas, nie było trudne, ale Francis wywiódł ją z błędu.

– Nie ma pani pojęcia – rzekł – o trudnościach towarzyszących takiej, pozornie łatwej ceremonii. Głupota ludzka jest zadziwiająca. Widzę już, ile pracy będziemy wszyscy mieli. A kto wygłosi mowę, panie Brand?

Oliver potrząsnął głową.

– Nie wiem dotychczas – odparł – prawdopodobnie Snowford uczyni wybór.

Francis spojrział na niego niedowierzająco.

– A co pan sądzi – spytał – o całej ceremonii?

Oliver milczał przez chwilę.

– Sądzę – odpowiedział wreszcie zamyślony – że jest potrzebna. Nie domagano by się nabożeństwa, gdyby było zbyteczne. Sądzę również... tak, sądzę, że rytuał jest

istotnie wspaniały. Nie widzę w nim nic do poprawienia.

– Tak sądzisz? – wtrąciła Mabel.

– Tak. Oby tylko lud go zrozumiał.

– Panie Brand – zawołał Francis gorąco – nie należy zapominać, że każde nabożeństwo musi posiadać pewien charakter tajemniczości. Skutkiem braku tego właśnie nie udawały się w wieku ubiegłym obchody Dnia cesarstwa. Moim zdaniem rytuał ułożono doskonale. Ma się rozumieć, wiele zależeć będzie od tego, jak go wykonają. Spostrzegam na przykład, że wiele szczegółów, jak barwy zasłony, dotychczas jeszcze nie rozstrzygnięto. Ogólny jednak zarys jest wprost wspaniały, prosty, wywierający wrażenie, a przede wszystkim niedwuznaczny co do głównego celu.

– Mianowicie?

– Oddania czci życiu pod czterema jego postaciami – odparł z wolna Francis. – Święto Macierzyństwa przypomina Boże Narodzenie i podania chrześcijańskie. Jest to święto ogniska domowego, miłości i wierności. Święto Życia przypada na wiosnę, a więc chwilę rodzenia, młodości, namiętności, a Święto Dobrobytu – na lato, oznaczając obfitość, dostatek, zadowolenie i odpowiadając niejako świętu chrześcijańskiemu Bożego Ciała. Wreszcie Święto Ojcostwa zawiera w sobie pojęcie obrony, rozplądania, męstwa, wobec nadchodzącej zimy... Podobno myśl jego powstała w Niemczech.

– Tak – odparł Oliver, potakując głową – i sądzę, że mówca będzie musiał to wszystko wytłumaczyć.

– Oto – ciągnął dalej Francis – jak pojmuję znaczenie owych świąt i zdaje mi się, że mają one wyższość nad projektowanymi poprzednio świętami Obywatelstwa, Pracy..., bo wszystko to znajduje się w zupełnej zależności od życia.

Podczas całej tej rozmowy znać było w twarzy Francisza powściągnięty entuzjazm, a owo charakterystyczne księżę spojrzenie uwidoczniło się w jego oczach więcej, niż kiedykolwiek. Jasnym było, że co się tyczy przynajmniej jego serca, to pożałowało modłów.

Mabel złożyła nagle dłonie.

– Mnie wydaje się to pięknym – rzekła cicho – przy tym tak prawdziwym.

Francis zwrócił ku niej pałające oczy.

– Och, tak, pani! – zawołał. – Nie ma w tym wiary, jak nazywaliśmy zwykle to pojęcie: jest wizja faktów, w które nikt wątpić nie może. Kadzidło oznacza jedynie boskość życia, jak również jego tajemnicę.

– A jak stoi sprawa z posągami? – spytał Oliver.

– Posągów kamiennych oczywiście nie sposób już na czas wykończyć. Będą więc tymczasowo z gliny. Pan Markenheim zabiera się natychmiast do pracy. Jeżeli więc posągi tymczasowe znajdą uznanie, to mogą być następnie w marmurze.

– Zdaniem moim – wtrąciła Mabel z łagodną powagą – jest to ostatnia rzecz, której potrzebowaliśmy. Trudno bowiem zdawać sobie jasno sprawę z zasad... musimy posiadać ich ucieleśnienie... niejako ich wyraz...

Zamilkła, zmarszczywszy czoło.

– A więc, Mabel?

– Nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma ludzi, którzy nie mogliby żyć bez tego, wielu jednak nie może istotnie. Umysł nie posiadający lotu wyobraźni – wymaga obrazów konkretnych. Musi posiadać jakiś kanał, przez który spływałyby jego aspiracje... Ach, doprawdy, nie umiem wyrazić się jasno!

Oliver skinął powoli głową. I on zdawał się być zamyślony.

– Tak – zauważył – i sędzę, że projektowane nabożeństwa odpowiednio wpłyną na ludzkie myśli, nie dopuszczając niebezpieczeństwa powrotu przesądów.

Przy tych słowach zapewnienia Olivera Francis zwrócił się szybko ku niemu.

– A co pan sądzi o nowym zakonie, ustanowionym przez Papieża?

Po twarzy Olivera przeleciał ponury cień.

– Sędzę – odparł – że nie mógł wymyśleć nic gorszego, zwłaszcza dla siebie. Jeżeli bowiem jest to usiłowanie szczerze, to wywoła w świecie ogromne oburzenie, jeżeli zaś jest to tylko manewrem, to zdyskredytuje go do reszty. Ale dlaczego pan pyta o to?

– Przyszło mi bowiem na myśl, czy nie wywoła to zaburzeń w opactwie podczas nabożeństwa.

– Nie chciałbym być – zauważył Oliver – na miejscu tego, kto by je wywołał.

Rozległ się ostry dźwięk dzwonka pośród tabliczek telefonicznych. Oliver powstał i podszedł do telefonu. Mabel spoglądała na niego, gdy nacisnął guzik, wymienił nazwisko i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Sekretarz Snowforda – szepnął, zwracając się do Mabel i Francisca.

– Snowford pragnie mówić ze mną? Proszę! – tu wymienił znów nazwisko i słuchał. Po chwili wymówił kilka oderwanych zdań, które bardzo zajęły słuchaczów:

– Wie pan o tym na pewno?... Wielka szkoda... Tak... Bądź co bądź, lepsze to niż nic... Tak... Jest tutaj... Doprawdy?... Doskonale, natychmiast przybędziemy!

Położył słuchawkę, nacisnął guzik i podszedł do słuchających.

– Przykro mi – rzekł – podzielić się z wami nowiną, że prezydent nie będzie uczestniczyć w nabożeństwie. Bardzo być może jednak, że zjawi się w świątyni. Pan Snowford pragnie widzieć się natychmiast ze mną i z panem Francisem. Markenheim jest właśnie u niego.

Słowa te zawiodły Mabel, gdyż spodziewała się czegoś ważniejszego, spojrzawszy wszelako na twarz męża, zdawało się jej, że widzi na niej wyraz, niepokoju, dziwny wobec tych słów mało znaczących.

Rozdział 5

Percy Franklin, nowy kardynał protektor Anglii, kroczył wolno przez korytarz, wiodący z apartamentów papieskich, w towarzystwie Hansa Steinmanna, kardynała protektora Niemiec, który szedł, sapiąc, u jego boku.

Zbliżywszy się do drzwi swego mieszkania, Percy skłonił się z szacunkiem towarzyszowi i wszedł do siebie, nie wymówiwszy słowa.

Młody Brent, sprowadzony świeżo z Anglii nowy sekretarz, powstał z krzesła na widok przełożonego.

– Eminencjo – rzekł – nadeszły angielskie dzienniki.

Percy wyciągnął rękę, ujął podany dziennik, wszedł do gabinetu i rzucił się na fotel.

Oto miał przed sobą całe sprawozdanie. Pod olbrzymimi tytułami widniały cztery kolumny ścisłego druku, poprzerywane mniejszymi tytułikami, według zwyczaju wprowadzonego przed stu laty przez prasę amerykańską. Dotychczas bowiem nie wynaleziono lepszego sposobu fałszywego informowania ludzi nieokrzesanych.

Spojrzał na tytuł. Było to wydanie angielskie dziennika „Era”. Następnie zaczął czytać tytuły sprawozdania.

Nabożeństwo publiczne.

Wspaniałość oszałamiająca.

Entuzjizm religijny.

Opactwo a Bóg.

Fanatyk katolicki.

Byli kapłani w charakterze mistrzów ceremonii.

Percy przebiegł oczyma stronicę, czytając żywe, krótkie zdania i tworząc w umyśle obraz scen, które rozgrywały się dnia poprzedniego w opactwie westminsterskim, a o których otrzymał już sprawozdanie telegraficzne i rozmawiał właśnie o nim przed chwilą na posłuchaniu u Jego Świątobliwości.

„Jak słyszeliśmy – czytał – pan Francis, mistrz ceremonii, któremu należy się wdzięczność ogółu za jego szacunku godną gorliwość i zręczność, wyjedzie wkrótce do miast północnych, dla wygłoszenia tam serii odczytów o rytuale. Warto zaznaczyć, że obywatel ten, przed kilku zaledwie miesiącami, odprawiał jeszcze mszę przy ołtarzach katolickich. Pomagało mu w pracy dwudziestu czterech konfratrów z taką samą jak jego przeszłością”.

– Boże drogi! – rzekł Percy głośno i odłożył dziennik.

Myśli jego wszelako rychło opuściły renegata i zajęły się raz jeszcze znaczeniem całego tego obchodu oraz radą, jakiej uznał za stosowne udzielić właśnie przed chwilą,

tam na górze, w apartamentach papieskich.

Krótko powiedziawszy, nie można było zaprzeczyć, że inauguracja nabożeństw panteistycznych spotkała się z olbrzymim powodzeniem w Anglii i Niemczech. Co się tyczy Francji, to jeszcze zanadto zajęta była kultem osobistości, aby rozwinąć szersze idee.

Anglia za to odznaczała się głębszą myślą i, pomimo przepowiedni, uroczystość Ojcostwa odbyła się tam bez cienia nawet patosu lub śmieszności. Powiadano, że Anglia jest na takie widowiska za solidna i za satyryczna. A jednak, w przeddzień uroczystości rozgrywały się sceny nadzwyczajne. Szept entuzjazmu przeleciał po opactwie, gdy usunięto firanki i ukazała się ponad łuną świec potężna postać mężczyzny, majestatyczna i nakazująca szacunek, odcinająca się jasnocieplymi barwami od tła ciemnej kaplicy. Markenheim wywiązał się z zadania doskonale, namiętna zaś mowa Olivera Branda przygotowała odpowiednio umysły ciżby do tej chwili. W mowie swej mówca cytował, ustęp za ustępem, proroków żydowskich, opowiadając o Mieście Pokoju, którego mury wznoszą się teraz przed oczyma świata.

„Powstań – mówił – i jaśnij, bo nastąpi światło i chwała Pana zstąpiła na ciebie... Bo, zaprawdę, stwarzam nowe niebiosa i ziemię nową, stara zaś niech pójdzie w zapomnienie i nie powróci do umysłu... O gwałtach nie będzie już słyhać w krainie twojej, ani o spustoszeniu i ruinie w jej granicach. O ty, tak długo dotknięty, rzucany przez burze i niepokieszony, ozdobię, zaprawdę, kamienie twoje barwami wesołymi, a fundamenty twoje szafirami... Okna twe zrobię z agatów, a wrota z karbunkułów i wszystkie granice twe wysadzę kosztownymi kamieniami. Powstań, jaśnij, bo światło twe nastąpiło.

Skoro brzęk łańcuszków trybularzy rozlegał się w ciszy, cały olbrzymi tłum padł jednoznacznie na kolana i trwał tak, gdy dym wzbijał się kłębiem z rąk «buntownika», kołyszącego kadzielnicę. Po czym zagrzmiały organy, a potężne chóry, ustawione w transeptach, zaintonowały hymn, przerwany tylko jednym namiętnym krzykiem szalonego katolika. Krzyk ten atoli stłumiono natychmiast...”

– Nie do wiary, wprost nie do wiary! – powtarzał sobie Percy, a jednak ta rzecz „nie do wiary” stała się faktem dokonany i Anglia znów wynalazła sobie nabożeństwo, jako konieczny wynik wrodzonego pragnienia modłów. Z prowincji nadchodziły takie same wiadomości. We wszystkich katedrach rozgrywały się podobne sceny. Arcydzieło Markenheima, wykonane w ciągu czterech dni po uchwaleniu prawa, reprodukowano mechanicznie i rozesłano cztery tysiące kopii do wszystkich ważniejszych miejscowości. Zewsząd napływały do dzienników londyńskich telegramy, donoszące, że wszędzie witano nowy ruch radośnie i że instynkty ludzkie znalazły na koniec odpowiednie ujście.

– Gdyby nie było Boga – powtarzał Percy znane dobrze zdanie – to należałoby go stworzyć.

Dziwiła go też zręczność, z jaką ukuto ten nowy kult. Nie obracał się on około jakiegokolwiek punktu podlegającego wątpliwości. Nie istniała też możliwość odwracających uwagę tendencji politycznych, które by zepsuły jego powodzenie. Życie stanowiło jedyne źródło i ośrodek całej tej religii, odzianej we wspaniałe szaty dawnego nabożeństwa. Oczywiście, myśl ta pochodziła od Felsenburgha, choć wymieniano jakieś nazwisko niemieckie. Był to pewnego rodzaju pozytywizm, katolicyzm bez chrześcijaństwa, uczczenie ludzkości bez jej braków. Nie czczono tu człowieka, lecz pojęcie człowieka pozbawione pierwiastka nadprzyrodzonego. Ofiarę również uznawano – instynkt obłacji bez wymagania stawianego przez świętość transcendentalną, bez winy ze strony człowieka.

– Istotnie, istotnie – rzekł Percy – sprytne to jak szatan, stare jak Kain.

Rada, której udzielił właśnie Ojcu Świętemu, była radą rozpaczy lub nadziei. Doprawdy, nie wiedział dokładnie. Nalegał, aby wydano dekret, dobitnie zakazujący katolikom wszelkich gwałtownych czynów, a zarazem pocieszający ich, radzący cierpliwość, stanowcze unikanie owych nabożeństw, milczenie, chyba że byliby sprawdzani, i znoszenie radośnie cierpień. Dalej, wraz z kardynałem protektorem Niemiec, poddał papieżowi myśl, aby odesłano ich pod koniec roku do krajów rodzinnych, dla pokrzepienia tam chwiejnych dusz. Ojciec Święty jednak oparł się temu, twierdząc, że powołanie ich wymaga, aby zostali w Rzymie, chyba, że zdarzy się coś nieprzewidzianego.

Co się tyczy Felsenburgha, to posiadano o nim mało wiadomości. Powiadano, że bawi na Wschodzie, ale szczegóły tej podróży trzymano w tajemnicy. Percy rozumiał doskonale, dlaczego Felsenburgh nie był obecny na nabożeństwach, jak się tego powszechnie spodziewano. Po pierwsze, miałby trudny wybór pomiędzy obu krajami, które wprowadziły je u siebie; po drugie, był politykiem zanadto wytrawnym, aby nie przewidzieć, że w razie możliwego niepowodzenia nabożeństw w jego obecności, niepowodzenie to łączone będzie z jego osobą. Po trzecie, coś tam działo się na Wschodzie.

Co do ostatniego punktu, to istotnie, podobno ruch wszczęty przed rokiem na Wschodzie nie rozwijał się należycie. Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć sobie ciągłą nieobecność Felsenburgha. Wielka jednak dyskrecja ze strony Wschodu i szerokie środki ostrożności, zastosowane przez cesarstwo, czyniły niemożliwym dowiedzenie się szczegółów prawdziwych nieporozumień, które powstały najwidoczniej na tle religijnym. Krążyły tylko pod tym względem pogłoski, wróżby, przepowiednie i przesadne nadzieje, nie oparte na faktach.

Co się tyczy samego Percego, to zaszła w nim subtelna zmiana, którą dobrze odczuwał. Nie wzdychał już do zwierzania się i nie popadał w rozpacz. Odprawiał msze, przeglądał olbrzymią korespondencję, poważnie rozmyślał i choć nie czuł, to jednak wiedział wszystko. Ciężko nawet nie musnął jego wiary, lecz nie było w niej także

wzruszenia. Stał się podobny człowiekowi pracującemu w głębi ziemi, człowiekowi o gnębionej wyobraźni, lecz mimo to świadomemu, że gdzieś ptaki śpiewają, słońce świeci i woda bieży. Rozumiał ten stan dość dobrze i spostrzegł, że doszedł do takiego rozumienia wiary, jakiego nie znał jeszcze, gdyż była to wiara czysta, zupełne zrozumienie duchowości, pozbawione tak niebezpieczeństw jak i radości wizji fantastycznej. Urealnił to sobie, mówiąc, że istniały trzy procesy, przez które Bóg prowadził dusze: pierwszym była wiara powierzchowna, zgadzająca się na wszystko, co polecają jej zwykłe władze, wykonywująca praktyki religijne i ani ożywiająca się, ani też wątpiąca; drugi jest skutkiem wzmożenia się pojmowania i wzruszeń, a zaznacza się radością, pożądaniem, wizjami mistycznymi i niebezpieczeństwami. W tym to okresie następują postanowienia, odkrywa się powołanie, znosi próby. Trzeci wreszcie, tajemniczy i niewysłowiony, obejmuje ponowne zeznanie drogą czysto duchową wszystkiego poprzedniego (jak występ sceniczny następuje po próbie), Bóg staje się wówczas uchwytny, choć nie osiągnięto tego przez doświadczenie. Łaska wchłaniana jest bezwiednie, rzecz można nawet, bez smaku i stopniowo, po trochu, duch w głębinach swej istoty, w głębinach sfery wzruszeń i pojmowania umysłowego, stosuje się do obrazu i myśli Chrystusa.

Przechylony w fotelu, pełen powagi, w długiej szkarłatnej szacie, Percy dumiał, spoglądając na Miasto święte, spowite w mgle wrześniowej.

– Jak długo – szepnął – potrwa jeszcze pokój?

Ale oczy jego widziały już ciemności przeznaczenia, rozpościerające się w powietrzu.

W końcu dotknął dzwonka, stojącego na stole.

– Proszę mi przynieść raport księdza Blackmore’a – rzekł do sekretarza, który stanął w progu.

Percy posiadał z natury bardzo czułą intuicję, która wzmogła się jeszcze przez ciągłe kształcenie. Nigdy nie zapomniał o bystrych uwagach, uczynionych przed rokiem przez księdza Blackmore’a, toteż jednym z pierwszych jego czynów po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego było zaliczenie Blackmore’a do zastępu korespondentów angielskich. Od tego czasu otrzymał już od nowego korespondenta z tuzin listów, a w żadnym z nich nie brakło ziarenek złota. Zwłaszcza zauważył Percy, że we wszystkich tych listach powtarzało się ostrzeżenie, iż prędzej czy później musi dojść do aktu jawnego ze strony katolików angielskich i właśnie pamięć o tym zniewoliła Percego do tak silnego błagania papieża o wydanie wspomnianego dekretu.

Tak samo, jak podczas prześladowań rzymskich i afrykańskich w ciągu pierwszych wieków ery chrześcijańskiej i obecnie, największe niebezpieczeństwo dla społeczeństwa katolickiego groziło nie ze strony niesprawiedliwych zarządzeń rządowych, lecz ze strony nierozumnej gorliwości wiernych. Świat nie pożądał niczego bardziej nad rękę dla swojej klingi. Pochwę już odrzucono.

Gdy poprzedniego wieczora młody sekretarz przyniósł cztery kartki, gęsto zapisane i datowane w opactwie Westminsterkim, Percy rzucił od razu okiem na ostatni ustęp listu, poprzedzający zwykle polecenia.

„Były sekretarz Branda – czytał – Phillips, którego Eminencja mi polecił, widział się ze mną dwa, czy trzy razy. Człowiek ten znajduje się w ciekawym stanie ducha. Nie wierzy, a jednak intelektualnie widzi nadzieję tylko w Kościele katolickim. Błagał mnie nawet o dopuszczenie go do zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego, co oczywiście jest niepodobieństwem. Nie ulega wszelako wątpliwości, że jest szczery, inaczej bowiem podawałby się za katolika. Zaznajomiłem go z wielu katolikami w nadziei, że mu pomogą. Bardzo bym pragnął, aby Eminencja mogła go zobaczyć”.

Przed opuszczeniem Anglii Percy nie zaniedbał znajomości, którą zawarł w dziwnych okolicznościach towarzyszącym nawróceniu się starej pani Brand i polecił Phillipsa księdzu Blackmore’owi, choć były sekretarz Branda nie wywarł na nim szczególnego wrażenia. Percy miał go za osobistość nieśmiałą, pozbawioną stanowczości charakteru. Uderzyła go w nim tylko nadzwyczajna bezinteresowność, skutkiem której postradał posadę. Bezinteresowność ta musiała ukrywać w sobie inne zalety.

Obecnie zaś impulsywnie uczuł potrzebę sprowadzenia tego człowieka do Rzymu. Może atmosfera duchowa tego miasta przyśpieszy powrót wiary. W każdym razie rozmowa z byłym sekretarzem Branda może być pouczająca.

Percy zadzwonił.

– Panie Brent – rzekł do sekretarza – w następnym liście do ojca Blackmore’a proszę napisać, że pragnąłbym widzieć człowieka, o którym wspomina, mianowicie niejakiego Phillipa.

– Tak, Eminencjo.

– Nie potrzebuje się spieszyć. Może go przysłać kiedy zechce.

– Tak, Eminencjo.

– W każdym razie niech nie przybywa przed styczniem; to wystarczy, chyba że zdarzy się coś niecierpiącego zwłoki.

– Tak, Eminencjo.

* * *

Rozwój zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego osiągnął niemal cudowne powodzenie. Apel, wystosowany przez Ojca Świętego do chrześcijaństwa, podziałał jak ogień wśród słomy. Bardzo szybko świat chrześcijański osiągnął taki stopień naprężenia, w którym podobna organizacja stała się konieczną, powodzenie jej bowiem przeszło najśmielsze oczekiwania. Niemal cały Rzym z przedmieściami – ogółem trzy miliony ludzi –

pobiegło do stacji werbunkowych w bazylice świętego Piotra, jak ludzie zgłodniali biegną po chleb lub zrozczeni żołnierze na zdobycie wyłomu. Dzień za dniem zasiadał papież na tronie u stóp wielkiego ołtarza – postać wspaniała i promieniejąca radością, coraz bielsza i coraz bardziej zwrócona ku wieczności – udzielając z osobna błogosławieństwa każdemu z cisnących się pomiędzy barierami, który, odbywszy przepisany post i przystąpiwszy świeżo do Komunii, pragnął uklęknąć przed nowym przełożonym i ucałować pierścień pontyfikalny. Przepisy, tyżące się wstąpienia do zakonu, wypełniano o tyle ściśle, o ile na to pozwalały okoliczności. Każdy z postulantów musiał odbyć spowiedź przed specjalnie upoważnionym do tego kapłanem, który tak surowo wglądał w motywy, kierujące spowiadającym się i w szczerść jego intencji, że zaledwie jedną trzecią spowiadających się przyjęto do zakonu.

A przecież należy pamiętać, że większość tych, którzy zgłosili się do zakonu, przeszła już próbę ognia. Z trzech milionów mieszkańców Rzymu co najmniej dwa miliony stanowili wygnańcy za wiarę, przekładający życie w pogardzie i niesławie w cieniu Boga nad życie wśród pełnego pychy blasku własnych krain niewiernych.

Piątego wieczora od chwili rozpoczęcia werbunku nowicjuszków miało miejsce zdarzenie zadziwiające. Stary król hiszpański (drugi syn królowej hiszpańskiej Wiktorii), stojąc już nad brzegiem Grobu Pańskiego, powstał niespodziewanie z klęcek i ruszył chwiejnym krokiem ku Ojcu Świętemu. Przez chwilę zdawało się, że upadnie, papież jednak zerwał się nagłym ruchem, uchwycił starca w ramiona i ucałował, po czym, stojąc jeszcze, wyciągnął ręce i wygłosił takie przemówienie, jakiego nie słyszano jeszcze w dziejach bazyliki.

– *Benedictus Dominus!* – wołał z podniesioną twarzą i ogniem w oczach. – Niech błogosławiony będzie Pan Bóg Izraela, bo oto zeszedł i odkupił lud swój! Ja, Jan, Namiestnik Chrystusa, sługa sług, grzesznik wśród grzeszników, zalecam wam w imieniu Boga być dobrej myśli. Przez tego, który zawisł na krzyżu, obiecuję życie wieczne wszystkim, którzy wytrwają w tym zakonie. On sam powiedział to: „temu kto zwycięży, dam koronę życia”. Dzieci moje! Nie obawiajcie się tego, kto zabija ciała. Bo więcej uczynić nie może. Bóg i Matka Jego są pośród nas...

I tak płynął głos jego dalej, powiadając olbrzymiemu, wstrząśniętemu do głębi tłumowi o krwi przelanej już na tym miejscu, o szczątkach Apostoła, spoczywających w odległości zaledwie pięćdziesięciu kroków, szczątkach, wzywających do czynu, zachęcających, dających przykład.

– Ślubowaliście – grzmiał głos papieża – umrzeć, jeżeli taka jest wola boża! A jeżeli nie polegniecie, dobra chęć wasza wzięta będzie za uczynek. Przysięgliście posłuszeństwo, wola wasza zatem nie należy już do was, lecz do Boga. Obowiązani jesteście do czystości, bo ciała wasze kupione z naddatkiem, do ubóstwa, bo wasze jest królestwo niebieskie.

Zakończył zaś wielkim, cichym błogosławieństwem Miastu Świata, a nie brakło z pół tuzina wiernych, twierdzących, że widzieli białą postać w kształcie ptaka, wiszącą w powietrzu nad mówiącym – białą jak mgła, przeświecającą jak woda.

Scen, które zaczęły się rozgrywać następnie w mieście i na przedmieściach, nie sposób porównać z czymkolwiek, bo tysiące rodzin rozwiązało jednoznacznie wszelkie łączące je węzły ludzkie. Mężowie udali się do olbrzymich gmachów, przeznaczonych dla nich w Kwirynale, żony – na Awentyn, dzieci zaś, niemniej ufne od rodziców, ruszyły chmarą do sióstr świętego Wincentego, którym oddano, na rozkaz papieża, trzy ulice dla przytulenia maleństw. Na wszystkich placach strzelały do góry płomienie, palono bowiem niepotrzebne ruchomości skutkiem złożenia przez ich właściciela ślubu ubóstwa, a długie pociągi opuszczały codziennie stacje przedmiejskie, unosząc radosne tłumy, wyprawiane przez delegatów papieskich, aby stały się solą ludzi, rozczynioną w olbrzymich miarach niewiernego świata. A świat niewierny witał przybycie tych wysłanników gorzkim śmiechem.

Z reszty świata chrześcijańskiego napływały wiadomości o takim samym powodzeniu nowego zakonu. I tam zastosowano ostrożności w przyjmowaniu kandydatów, jak w Rzymie, wskazówki bowiem pod tym względem były ścisłe i daleko idące. Niemniej, dzień po dniu, otrzymywano długie spisy nowych zakonników sporządzone przez przełożonych diecezjalnych.

W ciągu ostatnich dni nadesłano też inne spisy, jeszcze chwalebniejsze. Bo nie tylko płynęły już wiadomości, że zakon rozpoczął działalność, że nawiązano przerwane stosunki, że tworzą się organizacje misjonarzy pełnych poświęcenia, że nadzieja wstępuje znów w serca najbardziej zrozpaczone – ale nawet o szczytnych zwycięstwach, odniesionych na innym polu. Oto w Paryżu spalono żywcem w ciągu jednego dnia, w dzielnicy Łacińskiej, czterdziestu członków nowego zakonu, zanim rząd wtrącił się do tego; oto z Hiszpanii, Holandii, Rosji otrzymano nazwiska świeżych męczenników. W Düsseldorfie osiemnastu mężczyzn i chłopców, pochwyconych na gorącym uczynku, czyli śpiewaniu prymy w kościele świętego Wawrzyńca, rzucono kolejno do kanału miejskiego, przy czym każdy z rzuconych śpiewał, znikając w głębinach: *Christe, Fili Dei vivi, miserere nobis*.

Śpiew ten potem jeszcze dolatywał urywkowo z ciemności, dopóki nie stłumiono go zupełnie kamieniami.

A świat wzruszał tylko ramionami na te okrucieństwa, twierdząc, że ci, którzy im ulegli, sami je wywołali, i choć potępiał jeszcze gwałty motłochu, to jednak zwracał uwagę władz i domagał się od nich stanowczego stłumienia nowego spisku przesądnych. Tymczasem zaś w bazylice świętego Pawła robotnicy krzatali się około szeregu nowych ołtarzy, umieszczając na kamiennych płytach odlane z brązu nazwiska tych, którzy już dopełnili ślubów swoich i zdobyli korony męczeństwa.

Było to pierwsze słowo odpowiedzi Boga na wyzwanie świata.

* * *

Gdy nadchodziło Boże Narodzenie, rozniosła się wieść, że najwyższy Kapłan odprawi w ostatnim dniu roku mszę świętą przy ołtarzu papieskim w bazylice świętego Pawła, na intencję nowego zakonu, rozpoczęto więc odpowiednie przygotowania.

Miała to być niejako publiczna inauguracja tej nowej organizacji. Ku zdumieniu ogółu ogłoszono także specjalne wezwanie do wszystkich członków świętego Kolegium na całej ziemi, aby stawili się na nabożeństwo, chyba że przeszkodzi im choroba. Zdawało się, jakoby papież postanowił dać światu do zrozumienia, że wojna jest wypowiedziana. Aczkolwiek powyższy rozkaz pociągał za sobą co najwyżej pięciodniową nieobecność kardynałów w ich prowincjach, to jednak musiały stąd wyniknąć liczne niedogodności. Bądź co bądź rozkaz wydano, więc należało go wykonać.

* * *

Dziwne to było Boże Narodzenie!

Percy otrzymał rozkaz asystowania Papieżowi przy jego drugiej mszy, sam zaś odprawił jeszcze trzy o północy we własnej prywatnej kaplicy.

Pierwszy to raz w życiu swoim ujrzał to, o czym słyszał tak często, mianowicie wspaniałą, datującą się z czasów odległych, procesję pontyfikalną przy świetle pochodni, podążającą przez ulice Rzymu do kościoła świętej Anastazji, któremu papież przywrócił przed kilku laty stary przywilej, zaniechany od półtora wieku.

Oczywiście, miejsca w bazylice zarezerwowano tylko dla osób najbardziej uprzywilejowanych, ulice jednak wzdłuż całej drogi od katedry do kościółka zappełniała stłoczona ciżba milczących głów i płonących pochodni. Ojcu Świętemu asystowali przy ołtarzu, jak zwykle, monarchowie, i Percy śledził wzruszony ze swego miejsca dramat niebiański męki Chrystusa, odtwarzany na tle święta Jego Narodzin przez sędziwego, anielskiego Namiestnika Chrystusowego. Zaiste, trudno tu było dopatrzeć się Kalwarii, bo wszystko dokoła skromnego ołtarza tchnęło Betlejem, światłem niebiańskim, nie zaś ciemnością nadnaturalną. Raczej Dzieciątko, zwane Cudownym, leżało tu, pod rękoma tego starca, nie zaś dotknięty Mąż Boleści.

– *Adeste fideles* – śpiewał chór z trybuny.

„Przyjdźcie, uwielbiajcie, zamiast płakać; radujcie się, cieszcie jak małe dzieci. On dla nas stał się Dziecięciem, bądźmy więc dziećmi dla Niego. Odziejmy szaty dziecięctwa i obuwie pokoju. Bo Pan panował; ubrany jest pięknnością; Pan odział się mocą i pas nałożył. Utworzył świat niewzruszony. Tron jego przygotowany z dawien dawna. Jest on wiecznością. Raduj się więc bardzo, o córo Syjonu, krzycz z radości,

o córo Jerozolimy! Słuchaj, Król twój nadchodzi do ciebie, Święty Zbawiciel świata. Potem będzie dość czasu na cierpienie, gdy księżę tej ziemi najdzie Księcia niebiańskiego. – Tak pomyślał Percy, stojąc oddzielnie w całej wspaniałości swoich szat, lecz usiłując zrobić się małym i prostaczkiem. Rozmyślał więc dalej. – Z pewnością dla Boga nie ma nic trudnego. Czyż nie mogą te Narodziny mistyczne uczynić raz jeszcze tego, co uczyniły już przedtem: upokorzyć mocą słabości swej wszystko pyszne, wynoszące się ponad Boga? Niegdyś powiodły mądrych królów przez pustynie, a pastuszków od trzód. Dzisiaj świętują je również królowie, klęcząc razem z ubogimi i grzesznikami: królowie, którzy złożyli korony i przynieśli złoto serc wiernych, mirrę pożądanego męczeństwa i kadzidło wiary czystej. Czyż nie mogą więc rzeczpospolite również odłożyć świetności swojej; czyż nie może zaprzecić się samolubstwo, a wiedza przyznać do nieświadomości?”

Nagle przypomniał sobie Felsenburgha i serce ścisnęło mu się boleśnie.

W sześć dni później Percy wstał o zwykłej godzinie, odprawił mszę świętą, spożył śniadanie i odmawiając modlitwy, czekał na służącego, aby przywdziać szaty do mszy pontyfikalnej.

Tak przywykł już był do otrzymywania tylko złych wiadomości o odstępstwach, stratach, zgonach, że spokój, panujący w ciągu ubiegłego tygodnia, odświeżył go niezwykle. Zdawało by się, że dumania jego w kościele świętej Anastazji były bliższe prawdy, niż sądził i że słodycz odwiecznego święta nie zupełnie jeszcze straciła siłę, nawet w świecie, zaprzeczającym jego świętej treści. W ciągu bowiem owych sześciu dni nie zdarzyło się nic ważnego. Zanotowano, co prawda, kilka jeszcze męczeństw, były to jednak przypadki odosobnione, o Felsenburghu zaś brakło wszelkich wiadomości. Europa przyznawała się, że nic nie wie, co on porabia.

Z drugiej strony Percy dobrze wiedział, że jutro będzie dniem nadzwyczajnym, przynajmniej dla Anglii i Niemiec, w całej bowiem Anglii po raz pierwszy, a w Niemczech po raz wtóry miało być zastosowane prawo o przymusowym uczestnictwie w nabożeństwach publicznych. Tak mężczyźni jak i kobiety będą musieli oświadczyć się za lub przeciw niemu.

Wieczora poprzedniego widział fotografię posągu, który miał być czczony jutro w opactwie westminsterskim i w przystępie gniewu podarł ją na kawałki. Fotografia przedstawiała nagą kobietę, potężną i majestatyczną, a zarazem czarująco piękną, z głową i barkami odrzuconymi w tył, jak u osoby spostrzegającej widok dziwny i porywający – do zachwyty. Ręce miała spuszczone w dół, z dłońmi nieco podniesionymi i palcami rozstawionymi, jakby w zadziwieniu. Cała postawa jej, o zwartych stopach i kolanach, zwiastowała oczekiwanie, nadzieję, podziw, przy czym z szatańskim urągowiskiem umieszczono na jej długich włosach koronę o dwunastu gwiazdach. To więc była małżonka tamtego: ucieleśnienie ideału macierzyństwa, oczekującego na swoje dziecię...

Gdy białe skrawki legły jak trujący śnieg u jego stóp, Percy rzucił się przez pokój ku kłęcznikowi i padł tam na kolana w bolesnym, niemal żywiołowym pragnieniu zadośćuczynienia za krzywdę, wyrządzoną przez bluźnierców.

– O Matko, Matko! – wołał, wznosząc oczy ku poważnej Królowej Niebios, która, dzierżąc na rękę Syna, spokojnie spoglądała w dół z piedestału – Matko!...

Dziś jednak był znów spokojny i ze znośną równowagą umysłu oddawał cześć świętemu Sylwestrowi, papieżowi i męczennikowi, ostatniemu świętemu w procesji roku chrześcijańskiego. Sceny ostatniej nocy, ciżba osób urzędowych, widok poważnych, szkarłatnych, nieznanych dotychczas postaci kardynałów przybyłych z Południa, Północy, Wschodu i Zachodu – napawały go znów otuchą – nieuzasadnioną, jak wiedział – lecz skuteczną. Atmosferę elektryzowało oczekiwanie. Przez całą noc cisnął się na placu przed katedrą olbrzymi tłum, czekając w milczeniu na otwarcie podwojów o godzinie siódmej z rana. Teraz i świątynia była już przepełniona, i plac przed nią zalany mrowiem ludzkim. I dalej jeszcze, wzdłuż całej ulicy ku rzece, jak oko mogło sięgnąć, widniał ten bruk z głów poważnych i bez ruchu. Szczyt kolumnady obsiadły także postacie ludzkie i dachy sąsiednie czerniały od nich, pomimo przejmującego zimna, tego mroźnego, jasnego poranka, bo ogłoszono, że po mszy świętej i przeciągnięciu członków zakonu przed Tronem pontyfikalnym, papież udzieli błogosławieństwa apostolskiego *Urbi et Orbi*.

Percy skończył modły, zamknął modlitewnik i czekał na służącego, który musiał nadejść lada chwila.

Myśl jego zwróciła się ku nabożeństwu, w którym miał uczestniczyć. Przypomniawszy sobie, że całe Święte Kolegium (za wyjątkiem kardynała protektora Jerozolimy, złożonego chorobą), liczące sześćdziesięciu czterech członków, będzie na nim obecne. Oczom jego więc przedstawi się widok jedynej w swoim rodzaju. Jeszcze przed ośmiu laty – przypomniawszy sobie – w chwili obchodu oswobodzenia Rzymu, Kolegium liczyło wszystkiego razem pięćdziesięciu czterech kardynałów, a tylko czterdziestu dziewięciu brało udział w ówczesnych uroczystościach.

Nagle usłyszał wymianę słów w przedpokoju i szybkie kroki. Ktoś przedkładał coś głośno po angielsku.

Zainteresowało to Percego, wyprostował się więc na krześle.

– Eminencja – mówił służący – musi się ubierać. Nie ma co nalegać.

Zabrzmiała na to gniewna odpowiedź, rozległ się szelest szamotania, a po chwili ktoś szarpnął za klamkę.

Tego było już za wiele. Percy powstał z krzesła, ruszył szybko ku drzwiom otworzył je szeroko.

W progu stał blady człowiek w pomiętym ubraniu.

– Co tu się dzieje? – szepnął Percy, nie poznawszy w pierwszej chwili przybysza, lecz nagle zadrżał.

– Phillips? – zawołał.

Przybysz wyciągnął rękę.

– Tak, to ja, Eminencjo. Przybyłem w tej chwili. Chodzi o śmierć lub życie, a tymczasem służący Eminencji powiada...

– Kto pana przysłał?

– Ojciec Blackmore.

– Z dobrymi czy złymi nowinami?

Przybysz wskazał oczyma na służącego, który stał wyprostowany i z miną urażonego. Percy zrozumiał, położył rękę na ramieniu Phillipsa i wciągnął go do pokoju, mówiąc do służącego:

– Za dwie minuty zapukacie do mnie, Jakubie.

Percy zaprowadził gościa po froterowanej podłodze ku wnęce okiennej i oparł się o okiennice.

– Proszę – rzekł do dyszącego ciężko przybysza – od razu mi wszystko powiedzieć.

– Utworzył się – odparł Phillips – spisek wśród katolików. Mają zniszczyć jutro opactwo Westminsterskie za pomocą materiałów wybuchowych. Wiedziałem, że papież...

Percy przerwał mu szybko ruchem ręki.

Rozdział 6

Tego popołudnia lotnisko było stosunkowo puste, gdy gromadka, złożona z sześciu osób, stanęła na nim, wyszedłszy z windy. Przybysze nie różnili się niczym od zwykłych podróżników. Obaj kardynałowie, protektorzy Anglii i Niemiec, owinięci byli w skromne futra bez jakichkolwiek odznak, kapelani ich stali obok, gdy tymczasem dwaj służący pospieszyli z walizkami przodem dla zamówienia oddzielnego przedziału.

Wszyscy czterej pozostali na platformie zachowywali milczenie, przypatrując się pracy funkcjonariuszy stacyjnych, smukłemu, połyskującemu potworowi, leżącemu w siatce stalowej u ich stóp i jego wielkim złożonym płetwom, które niebawem przecinać będą powietrze z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę.

Wtem Percy odwrócił się nagłym ruchem od towarzyszy, podszedł ku stacyjnemu oknu, z którego rozpościerał się widok na Wieczne Miasto i oparłszy się łokciami o gzyms okna, patrzył.

Miał przed sobą dziwny widok.

Zmierzchało już na zachodzie i niebiosa ciemnozielone u zenitu przechodziły w barwę ciemnopomarańczową ku widnokręgowi, przecięte paru krwawymi liniami u skraju. W dole rozpościerał się mętny fiolet wieczoru, tu i ówdzie upstrzony czarną plamą cyprysów lub przecięty cienkimi sylwetkami bezlistnych topoli; w poprzek zaś tego obrazu wznosiła się olbrzymia kopuła barwy nieopisanej: to szara, to fioletowa – według woli patrzącego – a przez nią, rzekłbyś, przeświecały, jak przez bańkę mydlaną, południowe niebiosa, jeszcze lekko i blado zaróżowione. Ona to była tu najwyższa i dominująca. Zębate linie innych kopuł, wieżyc i szczytów, poniżej skupione dachy domów w dolinie dell’Inferno, czarowne pagórki w dali – wszystko zdawało się tylko potężnym uzupełnieniem tego tabernakulum Boga. Już światła zaczynały połyskiwać w mieście, jak połyskiwały w ciągu trzydziestu stuleci, a cienkie smugi dymu unosiły się ku ciemniącemu niebu. Szum tej matki miast ucichał, bo ludzie chronili się do domów przed ostrym powietrzem i nadchodziła cisza wieczorna, kończąca znów jeden dzień, a zarazem i rok. Tuż pod sobą, w wąskich ulicach, Percy mógł dojrzeć drobne sylwetki ludzi, podążających śpiesznie, jak spóźnione mrówki. Trzask bicza, krzyk kobiety, płacz dziecka dolatywały tu, do tej wielkiej wysokości, jak drobne szczegóły gwaru innego świata. I one jednak wkrótce ustaną i zapanuje cisza.

Gdzieś daleko uderzył dzwon i senne miasto zaczęło szeptać dobranoc Matce Boga. Wkrótce i z tysiąca innych wież doleciała przyciszona wrzawa dzwonów, płynąc przez ogromne przestworza przeróżnymi tonami. Oto poważny bas świętego Piotra, oto słodki tenor Lateranu, oto huczny krzyk jakiegoś starego kościółka w zaułku, oto zrzędne

brzęczenie sygnaturek klasztornych i kaplicznych – wszystko złagodzone i mistyczne w tym poważnym powietrzu wieczornym, rzekłbyś: zaślubiny delikatnych dźwięków z łagodnym światłem. U góry płynne niebiosa pomarańczowe, u dołu słodka, przyciszona ekstaza dzwonów.

– *Alma Redemptoris Mater* – szepnął Percy, a oczy zasły mu łzami – Dobra Matko Zbawiciela, Wrota niebieskie, Gwiazdo morza zmiłuj się nad grzesznikami. „Anioł Pański zwiastował Najświętszej Maryi Pannie i poczęła z Ducha Świętego”... Przeleważ przeto, Panie, łaskę Swoją w serca nasze. Dopuść, abyśmy, znając Wcielenie Chrystusa, wzniesli się przez cierpienie i Krzyż do chwały zmartwychwstania przez tego samego Chrystusa, Pana naszego.

Znów odezwał się dzwon, tym razem tuż obok, przywołując go do rzeczywistości nieprawości, trudu i cierpienia, zawrócił więc i ujrzał samolot, płonący od świateł zapalonych wewnątrz, tudzież obu kapelanów, podążających za kardynałem protektorem Niemiec kładką ku statkowi.

Służący zatrzymali przedział w tylnej części samolotu. Przekonawszy się, że sędziwy towarzysz ulokował się wygodnie, Percy, nie rzekłszy słowa, wyszedł na środkowy korytarz, aby rzucić na Rzym ostatnie jeszcze spojrzenie.

Drzwi wejściowe już zamknięto i gdy Percy stanął przy oknie w końcu korytarza, patrząc na wysoki mur, który niebawem zacznie znikać w głębi, cały delikatny szkielet płatowca zaczął drżeć skutkiem wibracji elektrycznego silnika. Z przedziałów dolatywał gwar rozmów, rozległy się ciężkie kroki, ponownie uderzono w dzwon, tym razem dwukrotnie, zaszumiał wiatr, drżenie ustało i oto wysoki mur, rysujący się wyraźnie na ciemniejszym niebie, zapadł się nagle w głąb, a Percy zachwiał się lekko. Po chwili wyłoniła się znów kopuła świętego Piotra, lecz i ona wkrótce się gdzieś zapadła, a całe miasto, istne morze ciemnych dachów, najeżone wieżami i upstrzone cętkami świateł, nagle zawirowało. Nawet gwiazdy, występujące już na niebie, zdawały się skakać to w tę, to w ową stronę: samolot zaś, wśród coraz ostrzejszego gwizdu powietrza, ruszył w daleką podróż.

Miasto coraz bardziej ginęło z oczu. Oto jest już tylko szarą plamą na czarnym tle, a niebiosa zdawały się rosnać i chłonać wszystko w miarę jak ziemia usuwała się w cienie nocy. Płonęły one jak olbrzymia kopuła cudnego szkła, ciemniejąca powoli, a gdy Percy raz jeszcze spojrzął na ziemię, Wieczne Miasto było już tylko linią i bańką sterczącą nad nim; potem linią i wypukłością; potem linią tylko, wreszcie niczym.

Westchnął wtedy głęboko i wrócił do przyjaciół.

* * *

– Proszę mi powiedzieć raz jeszcze – odezwał się stary kardynał, gdy usiedli

naprzeciw siebie, a kapelani wyszli do innego przedziału – kim jest ten człowiek?

– Ten człowiek? Był sekretarzem Olivera Branda, jednego z naszych polityków. Sprowadził mnie do łóżka umierającej matki Branda i za to stracił posadę. Obecnie zajmuje się dziennikarstwem. Jest to człowiek najzupełniej uczciwy. Nie, katolikiem nie jest, jakkolwiek tęskni do wiary. Dlatego też mieli do niego zaufanie.

– Kto?

– Tego nie wiem, wiem tylko, że desperaci. Posiadają pod dostatkiem wiary do czynu, a zbyt mało do czekania. Przypuszczam, że sądzili, iż człowiek ten sprzyjać będzie ich planom. Na szczęście, posiada sumienie i widzi także, że tego rodzaju zamach przerwie ostatnią nić tolerancji. Czy Eminencja zdaje sobie sprawę, jak gwałtownie wzbierają przeciwko nam uczucia?

Starzec potrząsnął głową ze smutkiem.

– Czy zdaje sobie sprawę? – szepnął. – I twierdzicie, że moi Niemcy są wśród nich także? Czy jesteście tego pewni?

– Eminencjo, to ogromny spisek. Trwa już od miesiący. Co tydzień odbywały się posiedzenia. Tajemnicę zachowano cudownie. Tylko wasi Niemcy odkładali chwilę wykonania zamachu, aby zadać cios tym skuteczniejszy. I oto jutro...

Percy przechylił się, czyniąc rozpaczliwy ruch.

– A Ojciec Święty?

– Poszedłem do niego, jak tylko skończyło się nabożeństwo. Cofnął wszelką opozycję i posłał po was. Jedyna to szansa, Eminencjo.

– I sądzicie, że plan nasz przeszkodzi zamachowi?

– Nie wiem, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Pójdę wprost do arcybiskupa i opowiem mu wszystko. Przybędziemy do Londynu, jak przypuszczam, o około trzeciej. Eminencja zaś stanie w Berlinie około siódmej. Uroczystość ma się zacząć o jedenastej. Do tej więc godziny uczynimy wszystko, co tylko będzie możliwe. I rząd dowie się wówczas, i oni się dowiedzą, że Rzym nie popierał tej sprawy. Sądzę, że będą musieli ogłosić, iż kardynał protektor, tudzież arcybiskup z koadiutorami, obecni są w gmachu, że zdwoją straż: nakażą samolotom krążyć nad gmachem, co zaś do reszty, to – ha! – spoczywa w rękach Boga.

– I przypuszczacie, że spiskowcy istotnie wykonają zamach?

– Nie mam pojęcia! – odparł Percy krótko.

– Podobno – ciągnął starzec – mieli rozmaite plany.

– Tak. Jeżeli otrzymaliśmy precyzyjną wiadomość, to zamierzali rzucić materiały wybuchowe z góry, unosząc się w samolotach, gdyby zaś to okazało się niemożliwe, to przynajmniej troje ludzi miało poświęcić własne życie, zanieść bomby do wnętrza gmachu i tam spowodować ich wybuch... A jakże Eminencja zapatruje się na mój plan?

Starzec utkwiał wzrok w Percego.

– Wasz plan – odparł – jest moim planem... Ale czy Eminencja zastanowił się nad

jego wynikami w każdym wypadku? Jeżeli bowiem nic się nie zdarzy...

– Jeżeli nic się nie zdarzy – przerwał Percy – to posądzeni będziemy o podstęp, o szukanie reklamy. Jeżeli istotnie coś się zdarzy, to wszyscy razem staniemy przed Bogiem. Dałby Bóg, aby stało się to drugie! – zakończył namiętnie.

– Byłoby to przynajmniej – westchnął starzec – lżejsze do zniesienia.

– Przepraszam, Eminencjo, ale ja bym tego nie powiedział.

Zapadło milczenie, w czasie którego nic nie było słyhać, oprócz lekkiego, swobodnego szumu skrzydeł i nagłego kaszlnięcia jednego z podróżnych w sąsiednim przedziale. Percy oparł się ciężko na rękę i wyglądał przez okno.

Ziemia pod nim była teraz ogromną próżnią. U góry, w olbrzymich, sklepionych niebiosach, przeświecały jeszcze słabe blaski i migotały gwiazdy przez zasłonę mroźnej mgły, wśród której unosił się i kołysał samolot.

– Zimno będzie w Alpach – szepnął Percy i urwał. – I nie mam innego dowodu, prócz słów tego człowieka.

– I jesteście pewni?

– Tak, jestem pewien!

– Eminencjo – rzekł nagle Niemiec, patrząc prosto w twarz Percemu – podobieństwo wasze jest uderzające.

Percy uśmiechnął się niedbale. Męczyło go już to zdanie, kilkakrotnie słyszane, że podobny jest do Felsenburgha.

– I co wy na to? – nalegał kardynał.

– Pytano mnie o to już dawniej. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym.

– A jednak – szepnął Niemiec westchnąwszy i wciąż patrząc na Percego – sędzę, że Bóg chciał przez to coś wyrazić.

– Cóż takiego, Eminencjo?

– Coś jakby antytezę, jakby odwrotną stronę obrazu, doprawdy nie wiem.

Znów zapadło milczenie. Do przedziału zajrzał jeden z kapłanów, dobroduszny, niebieskooki Niemiec, lecz znikł natychmiast na znak dany przez kardynała.

– Eminencjo – zawołał nagle starzec – należałoby jednak głębiej zastanowić się nad tą sprawą, obmyśleć plany...

Percy potrząsnął głową.

– Nie ma co obmyślać – odparł. – Nic nie wiemy oprócz samego faktu, nie posiadamy nazwisk, słowem: nic. Jesteśmy... jesteśmy jak dzieci zamknięte w klatce tygrysa i oto jedno z nich podrażniło bestię.

– Ale przynajmniej musimy się porozumiewać.

– Jeżeli będziemy żyć.

Ciekawym było, jak Percy tu przewodził. Wszak nosił purpurę kardynalską od niespełna trzech miesięcy, gdy tymczasem towarzysz jego przywdział ją przed laty dwunastu, a jednak on to, młodszy, rozkazywał i zarządzał, prawie nie zdając sobie

z tego sprawy. Od chwili otrzymania tego poranka wstrząsającej wiadomości, gdy nowa mina wybuchła pod chwiejącym się Kościołem i następnie, gdy spoglądał na poważny ceremoniał, na spokojne ruchy papieża i jego dworu, choć tajemnica paliła mu mózg i serce; a przede wszystkim od chwili tego krótkiego widzenia się z Ojcem Świętym, gdy dawne plany porzucono i powzięto nagłą decyzję; gdy otrzymał błogosławieństwo i milczące pożegnanie – wszystko w pół godziny – cała jego natura skupiła się w jednej sile, subtelnej i naprężonej jak skrecona sprężyna. Czuł moc dygocącą w nim do czubka każdego z palców – moc i smutek rozpacz. Wszystkie podpory przecięto, wszystkie wiązania powalono. On, Rzym, Kościół katolicki, nawet sama nadprzyrodzoność, zdawały się zawieszane teraz jedynie, wyłącznie – na bożym palcu. A jeżeli i to zawiedzie – ha! W takim razie wszystko już utraci swoje znaczenie...

Dążył teraz po jedno z dwojga: niesławę lub śmierć. Trzeciego wyjścia nie widział, chyba, że spiskowcy będą schwytani na gorącym uczynku. Ale to niemożliwe. Albo więc zrzekną się zamachu, wiedząc, że zgładziliby razem z sobą sługi boże, a skutkiem tego będzie niesława, podejrzenia o podstęp, o nędzny zamiar zrobienia sobie reklamy. Albo też nie odstąpią od zamiaru, uważając, że śmierć kardynała i kilku biskupów jest niską ceną za pomszczenie bluźnierstwa, a w takim razie nadejdzie śmierć i Sąd Ostateczny. Lecz Percy nie znał już strachu. Żadna niesława nie mogła być większa nad tę, którą znosił obecnie: niesławę opuszczenia i hańby. Śmierć zaś może być tylko słodka, przyniesie bowiem co najmniej poznanie i odpoczynek. Gotów był tedy zaryzykować dla Boga wszystko.

Kardynał Niemiec tymczasem wyjął modlitewnik i uczyniwszy lekki gest przepraszający w stronę towarzysza, zagłębił się w czytaniu.

Percy spoglądał na niego z niewysłowioną zazdrością. Ach, gdyby on przynajmniej mógł być tak starym. Pozostawałoby mu do zniesienia kilka, nie zaś kilkadziesiąt lat troski. Widział przed sobą perspektywę, prawie bez końca... (nawet, gdyby wszystko poszło dobrze) ciągłej walki, hamowania się, energii, szkalowania przez nieprzyjaciół. Kościół, z każdym dniem, upadał coraz bardziej. Cóż będzie, jeżeli ten nowy spazm gorliwości okaże się niczym więcej, jak tylko ostatnim wybuchem gasnącej wiary? Jakże to zniesie? I będzie zmuszony patrzeć na falę ateizmu, triumfalnie rosnącą z każdym dniem, bo Felsenburgh nadał jej taki rozmach, że nie sposób przewidzieć, gdzie się zatrzyma. Nigdy przedtem pojedynczy człowiek nie zapanował tak, jak on, nad wszystkimi siłami demokracji.

Po tych rozmyślaniach zwrócił się raz jeszcze do dnia jutrzejszego. Ach, gdybyż to był dzień końca i śmierci!... *Beati mortui, qui in Domino moriuntur!*

Nie, to nie tak. To tchórzostwo tak myśleć. Bądź co bądź, Bóg jest Bogiem – On podnosi wyspy jakby były puchem.

Wyjął wreszcie również modlitewnik, przeżegnał się i zaczął odmawiać modły. Po chwili obaj kapłani wsunęli się do przedziału, usiedli i zapanowała głęboka cisza,

przerywana tylko przez drganie śmigła i dziwny szmer powietrza, ocierającego się o płatowiec.

* * *

Około dziewiętnastej konduktor, rudawy Anglik, zajrzał do przedziału, budząc Percego z drzemki.

– Za pół godziny, panowie – rzekł w języku esperanto, przyjętym w komunikacji międzynarodowej – obiad będzie podany. Nie zatrzymamy się dzisiaj w Turynie.

To rzekłszy, wyszedł i słychać było otwieranie drzwi innych przedziałów oraz jego głos, powtarzający wszędzie to samo zawiadomienie.

„Jak widać – pomyślał Percy – nikt nie wysiada w Turynie i najwyraźniej otrzymano depeszę za pomocą łączności radiowej, że i w Turynie nie ma pasażerów do wzięcia. Tym lepiej. Prędzej staniemy w Londynie. A może uda się nawet kardynałowi Steinmannowi podążyć wcześniejszym, niż zamierzał, samolotem z Paryża do Berlina”.

Nie był jednak pewny rozkładu lotów.

– Co za szkoda – szepnął – że towarzysz mój nie zdążył już na samolot, odlatujący o trzynastej z Rzymu wprost do Berlina.

Takie myśli tłoczyły mu się do głowy pod wpływem jakiegoś powierzchownego znieczulenia. Po chwili wstał, przeciągnął się i poszedł korytarzem ku umywalni, by umyć ręce przed obiadem.

Oczarował go widok, który ujrzał, stojąc przed umywalnią w końca płatowca. Przelatywali właśnie nad Turynem. W otchłani ciemności połyskiwała wielka plama, jarząca i piękna, uciekając szybko w kierunku południowym w miarę, jak płatowiec posuwał się ku Alpom.

„Jakże małym – myślał – wydaje się to wielkie miasto z takiej wysokości, a jednak jest potężnym! Przecież z tej to maleńkiej mgławicy, odległej już o pięć mil co najmniej, rządzone są Włochy. W jednym to z tych drobnutkich domów, tam u dołu, zasiadają ludzie, radząc nad ciałami i duszami, usuwają Boga i wyśmiewają Jego Kościół. A Bóg pozwala na to i nie daje znaku życia. Wszak przed miesiącem, czy dwoma, był tu też Felsenburgh – ten mój sobowtór!”.

Przy tej myśli znów uczuł jakby pchnięcie miecza w serce.

W kilka minut później czterej duchowni siedzieli przy okrągłym stole, w małym przedziale jadalni, umieszczonej pośrodku płatowca. Obiad był doskonały, jak zwykle, wprost z kuchni, położonej na spodzie statku, przy czym każde z dań szło w górę i zjawiało się, przy lekkim szcęknięciu sprężyny, na środku stołu. Przed każdym z jedzących stała butelka czerwonego wina, a stół i krzesła poddawały się z lekka każdemu ruchowi płatowca. Obiadujący rozmawiali jednak bardzo mało, gdyż dla

kardynałów istniał w danej chwili jeden tylko temat do rozmowy, a kapelani nie byli we wszystkim wtajemniczeni.

Stawało się coraz zimniej i nawet podnóżki z ogrzonym powietrzem nie równoważyły mroźnego tchnienia nadlatującego od Alp, ku którym płatowiec zbliżał się obecnie pod pewnym kątem nachylenia, należało bowiem wznieść się o jakie dziesięć tysięcy stóp ponad zwykły poziom, aby przekroczyć grzbiet góry Cenis w bezpiecznej odległości. A jednocześnie należało lecieć wolniej z powodu znacznego na tej wysokości rozrzedzenia powietrza, bo powstawała trudność nadania śmigłu tak wielkiej szybkości obrotów, aby przewyciężyć skutecznie nieznaczny opór stawiany przez rozrzedzone powietrze.

– Będziemy mieli pochmurną noc – odezwał się nagle donośny głos z korytarza w chwili, gdy drzwi przedziału uchyliły się z lekka pod wpływem ruchu płatowca.

Percy powstał i zamknął drzwi.

Pod koniec obiadu niemiecki kardynał stał się trochę niespokojny.

– Pójdę do przedziału – rzekł wreszcie. – Będzie mi tam lepiej, gdy otulę się w futro.

Kapelan jego podążył posłusznie za nim pomimo niedokończonego obiadu. W jadalni pozostał tylko Percy ze swym angielskim kapelanem, księdzem Cockranem, niedawno przybyłym ze Szkocji.

Dopiwszy kieliszek wina i zjadłszy kilka fig, powstał i ruszył ku obszernemu oknu, znajdującemu się na przodzie płatowca.

– Przepraszam was, ojczy – rzekł do kapelana – ale oto zbliżamy się nareszcie do Alp.

Przód samolotu składał się z trzech części. W środkowej stał pilot z oczyma utkwionymi przed siebie i z ręką na kole sterowym. Po obu zaś stronach tej komory, oddzielone od niej ścianami z aluminium, znajdowały się dwie inne, wąskie i ostro zakończone. Każda z nich posiadała na wysokości ludzkich oczu długie, wygięte okno, poza którym rozpościerał się rozległy widok. Właśnie ku jednemu z takich okien podążył Percy, idąc zaś korytarzem, widział przez pół otwarte drzwi przedziałów jadalni innych podróżnych, siedzących jeszcze przy winie. Pchnąwszy wreszcie sprężynowe drzwi po lewej stronie, wszedł do komórki obok pilota i stanął przy oknie.

Trzy razy w swoim życiu przelatywał nad Alpami i dobrze pamiętał dziwne wrażenie, jakie na nim sprawiały, zwłaszcza pewnego dnia, gdy spoglądał na nie z wielkiej wysokości, przy czystym powietrzu. Zdawały mu się wówczas odwiecznym, niezmiernym morzem białego lodu, tu i ówdzie przecinanego przez garby i zmarszczki, będące dla mieszkańców ziemi wyniosłymi szczytami, posiadającymi własne nazwy i otoczonymi szacunkiem. Dalej zaś, we mgłę powietrza, rozpościerała się wypukła krzywizna ziemi, ginąc wreszcie w niewymownej przestrzeni. Obecnie jednak Alpy wydały mu się bardziej zdumiewające niż kiedykolwiek przedtem, toteż spoglądał na nie z zaciekawieniem zbolałego dziecka.

Samolot wzbijał się teraz szybko ku wąwozowi, przecinającemu olbrzymie, zwalone zbocza, przesmyki i skały, tworzące jakby zewnętrzne szańce ogromnych murów. Widziane z tej wielkiej wysokości, zdawały się same przez się mało znaczącymi, pozwalały jednak domyślać się ogromu bastionów, których stanowiły tylko podporę. Spojrzawszy w górę, Percy mógł widzieć bezksiężycowe niebo, jarzące się od mroźnych gwiazd, słaby zaś odbłask tej iluminacji sprawiał tym większe wrażenie.

Zwróciwszy wzrok ponownie ku ziemi, dostrzegł zmianę krajobrazu. Ogrom powietrza za przemarzłą szybą okna zdawał się teraz prawie namacalny. Aksamitna szarość lasów świerkowych, rozpływająca się w ciężkiej szarzyźnie; słabe odbłyśki wód lub śniegów; wynurzające się z ciemności i znikające po chwili, potworne, nagie skały; zbocza i szczyty, rosnące przed jego oczyma i ześlizgujące się, rzekłbyś ruchem pełzającym – wszystko to straciło wyrazistość zarysów, tonęło w niewidocznej bieli. Gdy spojrział trochę wyżej, w prawo i w lewo, widok stał się oszałamiającym, gdyż olbrzymie ściany górskie, biegnące ku niemu, dziwaczne, potężne sylwetki, wznoszące się ze wszystkich stron, zdawały się unosić ku górze w zasłonie mgły, widocznej tylko w tańczącym po niej odbłasku jasno oświetlonego płatownca. Oto dwa ogromne palce, podobne do rogów, wystrzeliły tuż przed samolotem w świetle jego reflektorów. Samolot, lecący dotychczas o połowę wolniej niż zwykle, zwolnił lot do jednej czwartej i zaczął kołysać się miękko ze strony na stronę, w miarę uderzania ogromnych płetw o mgłę, przez którą lecieli, oświetloną długimi mackami świateł. Wciąż jednak wzbijali się wyżej, wyżej, z szybkością dostateczną, żeby Percy mógł ujrzyć wielki szczyt, wyłaniający się z przodu, coraz bardziej się wydłużający, przybierający kształt ostrej igły, zatapiający się stopniowo i wreszcie niknący w próżni o tysiąc stóp pod płatowncem.

Kołysanie stawało się coraz nieprzyjemniejsze, im bardziej posuwał się płatowiec pod ostrym kątem, usiłując przy tym zachować położenie poziome, im bardziej szedł w górę i chwiał się w locie.

Raz zaryczał głosem ochryplym i donośnym, jak dzikie zwierzę, a wrzask ten zdawał się eksplodować w odległości nie większej jak dwadzieścia jardów od lśniącego kadłuba, aby w tejże chwili zamilknąć. To znów odezwały się przeciągłe, smutne jęki trąbek sygnałowych, brzmiące rozpaczliwie w tej dźwięcznej pustce, jak płacz błądzących dusz. A gdy Percy, przejęty niewysłowioną grozą, otarł wilgoć z szyby i ponownie wyjrzał, zdawało mu się że unosi się bez ruchu, prócz lekkiego drgania pod nogami, w świecie białości, tak odległym od ziemi jak od niebios, utkwiony beznadziejnie w przestworzu bez końca, ślepy, samotny, zmarznięty, zbłąkany w białym piekle opuszczenia.

Po chwili, gdy patrzył jeszcze, ogromna biała plama posunęła się ku niemu przez zasłonę, zsunęła się wolno w bok i na dół, ukazując, gdy płatowiec zawrócił, potężne zbocze, gładkie jak oliwa, ze sterczącą z niego jedyną kępą czarnych skał, podobnych

do ludzkiej ręki, wyłaniającej się z potwornej fali. Wówczas to płatowiec jakby zajęczał, a po chwili odpowiedział mu z wiatrem, rzekłbyś zaledwie o jakieś dziesięć jardów, najpierw jeden przeraźliwy krzyk, potem drugi, trzeci, czwarty i wnet zagrał cały chór krzyków i dzwonów, a powietrze zapełniło się mrowiem uderzających w nie skrzydeł.

* * *

Nastąpiła straszna chwila, zanim uderzenie dzwonu, krzyk odpowiedzi i ruch wirowy płatowca nie zwiastowały, że pilot czuwa.

Płatowiec opadał jak kamień, a Percy chwycił się kurczowo za sztabę u okna, aby osłabić okropne uczucie lecenia w próżnię. Za sobą słyszał szczęk tłukącej się porcelany i uderzenie ciężkich ciał, a gdy płatowiec zatrzymał się nareszcie na szeroko rozstawionych skrzydłach, rozległy się szybkie kroki i krzyki przerażenia. Na zewnątrz, ale już wysoko i daleko, huczenie trąbek sygnałowych trwało wciąż jeszcze i nagle Percy zrozumiał, że nie jeden, ani nawet dziesięć lub dwadzieścia statków powietrznych odpowiedziało na sygnał płatowca, który leciał, lecz najmniej ze sto, wciąż jeszcze huczących i bijących skrzydłami tam, wysoko, nad jego głową.

Niewidoczne przepaście i skały podjęły tę wrzawę. Przeciągłe jęki huczały, lamentowały i milkły, wśród gwaru dzwonów, coraz dalej i dalej, ale teraz już ze wszystkich stron: u góry, z przodu, z tyłu, z prawa i z lewa.

Płatowiec znów ruszył w drogę, opadając długim, cichym łukiem ku zboczcu góry, gdy zaś przystanął, zawisnąwszy na potężnych skrzydłach, Percy ruszył ku drzwiom, widząc w przejściu przez mglistą szybę, wyłaniającą się z mgły, nie dalej jak o trzydzieści stóp od płatowca, czarną i gładką skałę oraz śnieżną przełęcz, zakręcającą się i niknącą w ciemności.

Wewnątrz było widać skutki nagłego opadnięcia i zatrzymania się płatowca. Drzwi przedziałów jadalni były na oścież otwarte, szklanki, butelki, talerze, kałuże wina, pogniecione owoce, przetaczały się z miejsca na miejsce po kołyszącej się podłodze. Jakiś mężczyzna, siedzący bezradnie na podłodze, wlepił w przechodzących przerażone oczy. Doszedłszy do przedziału, w którym niedawno siedział, Percy ujrzał księdza Cockrana powstającego z krzesła i podążającego chwiejnym krokiem ku niemu. W tejże chwili wszczął się ruch w przeciwnych drzwiach, gdzie obiadowało grono Amerykanów, gdy zaś Percy zawrócił i dając znak głową kapelanowi ruszył ku tylnej części płatowca, znalazł tam wąski korytarz, przepełniony tłumem podróżnych, wybiegających zewsząd. Gwar rozmów i krzyków uniemożliwiał zapytania, trzymając się więc ściany, Percy, z kapelanem idącym za nim, torował sobie drogę, krok za krokiem, wypatrując reszty towarzyszy podróży.

W połowie długości korytarza, gdy z taką trudnością posuwał się naprzód, donośny głos zapanował nad ogólną wrzawą i uciszył ją. W tejże chwili znów dosłyszano z zewnątrz dalekie huczenie płatowców.

– Na miejsca, panowie, na miejsca! – rozkazywał ów donośny głos. – Natychmiast ruszamy w dalszą drogę!

Ukazała się czerwona i stanowcza twarz konduktora i tłum zaczął się rozpraszać, Percy zaś, idąc w ślad za wołającym, dotarł wreszcie do tylnej części płatowca.

Stary kardynał czuł się niezgorzej. Spał, jak objaśnił, podczas zajścia i rozbudził się w sam czas, aby nie stoczyć się z ławki. Niemniej starcza jego twarz drgała, gdy mówił;

– Ale powiedzcie mi – pytał – co się stało? Co to ma znaczyć?

Ojciec Bechlin opowiedział wobec tego, jak ujrzał jeden z gromady płatowców w oddaleniu zaledwie jakich pięciu jardów od okna. Płatowiec ten był pełen ludzi. Szybko jednak przeleciał i zniknął w kłębach mgły.

Percy kiwał głową, lecz nic nie rzekł, nie umiał bowiem wytłumaczyć tego spotkania.

– Słyszałem – mówił dalej ojciec Bechlin – że wysłano zapytania w tej sprawie drogą radiową. Przed chwilą widziałem konduktora przy aparacie.

Za oknem znikł już wszelki ślad gromady płatowców. Spojrzawszy w ciemność, Percy ujrzał tylko okrutną iglicę skały, kołyszącą się w dole i widoczną jak przez wodę, tudzież wielką przełęcz śnieżną, rzekłbyś opadającą i podnoszącą się z wolna. W powietrzu było już ciszej. Zapewne całe stado płatowców przeleciało już i gdzieś tylko, z olbrzymiej wysokości, odzywało się jeszcze od czasu do czasu kwilenie, jak gdyby samotny ptak wędrował zbłąkany w przestworzu.

– To płatowiec sygnałowy – szepnął Percy sam do siebie i pogрузzył się w zadumie.

Nie nasuwała mu się żadna myśl, z której mógłby wysnuć wytłumaczenie tej dziwnej przygody. A jednak zdawało mu się to złowrogie. Nie słyszano jeszcze nigdy, aby mogło nastąpić spotkanie z setką płatowców; zastanawiało go przy tym, dlaczego dążą one na południe. I znów, znów przyszło mu do głowy imię Felsenburgha. A jeżeli ten nieszczęsny człowiek istotnie gdzieś tam szybuje w górze?

– Eminencjo – zaczął stary kardynał, lecz urwał, bo płatowiec ruszył właśnie w dalszą drogę.

Zadźwięczał dzwon, uczuło się drganie pod nogami i oto lekko, jak płatek śniegu, wielki statek napowietrzny zaczął wzbijać się w górę, a ruch ten uwidocznił się tylko przez znikanie w głębi iglicy skalnej, na którą Percy wciąż jeszcze spoglądał. Powoli także ławica śnieżna zaczęła zlatywać w głębinę, czarna rozpadlina wyłoniła się cicho od góry, aby zniknąć po chwili już w dole i raz jeszcze płatowiec zdawał się wisieć w przestworzu, uniesiony ponad warstwy mgieł, pod które niedawno opadł. I znów trąbka sygnałowa rozdarła powietrze; tym razem jednak nadeszła tak słaba odpowiedź, jak głos z innego świata. Płatowiec zwiększył szybkość i regularne pulsowanie motoru

zapanowało nad chwiejnym ruchem skrzydeł. Jeszcze raz odezwało się huczenie sygnału, rozbrzmiewając tysięcznym echem wśród nagiej pustyni ścian skalnych i znów, pod wpływem nagłego impulsu, statek poszybował, zataczając wielkie kręgi, przezorny jak kot, coraz wyżej i wyżej, wierząc mgliste opary światłami reflektorów. Raz jeszcze rozległe zbocze wyłoniło się z ciemności i zabłysło od łuny, bijącej z płatowca, tonąc coraz szybciej, to oddalając się, to znów zbliżając; raz jeszcze, na chwilę, poszarpana linia szczytów skalnych wyszczerzyła się jak zęby przez zasłonę mgieł, po czym opadła i znikła, a wśród wrzawy dzwonu i ostatniego sygnału ostrzegawczego, furkotanie śmigła stawało się coraz bardziej dźwięczne, aż nareszcie ucichło, gdy ogromny płatowiec, przebywszy nareszcie granicę szczytów, ponownie rozwinął mocno swe skrzydła i ruszył w przestwór szumnym lotem.

Co zaszło, to już przeszło i znikło za nim w nieprzeniknionych ciemnościach nocy.

Nagle wewnątrz statku zabrzmiał głos rozmów, prędkich słów, bez tchu, okrzyków, zapytań i donośnej odpowiedzi konduktora. Na korytarzu rozległy się kroki. Percy więc zerwał się z ławki, aby podążyć naprzeciw nadchodzącego i ujął już za kłamkę, gdy drzwi otworzono z zewnątrz i do przedziału wszedł konduktor Anglik, zamknął drzwi za sobą i stanął, spoglądając dziwnie na czterech księży niespokojnymi oczyma i zacisnąwszy wargi.

– Co się znów stało? – zapytał Percy.

– Wszystko w porządku, panowie, ale sędzę, że lepiej uczynicie, jeżeli wysiądziecie w Paryżu. Wiem, panowie, kim jesteście i jakkolwiek sam nie jestem katolikiem...

Tu zatrzymał się przez chwilę.

– Na miłość boską, człowieku! – zaczął Percy.

– Ach, panowie – przerwał mu konduktor – co za nowiny! Mineliśmy właśnie dwieście płatowców, podążających do Rzymu. W Londynie wykryto spisek katolików...

– No i cóż?

– Zamierzających zniszczyć opactwo, ruszono więc, aby...

– Ach!

– Tak, panie... aby zniszczyć Rzym.

Wymówiwszy te straszne słowa, konduktor zawrócił i zniknął za drzwiami.

Rozdział 7

Około szesnastej tego samego dnia – ostatniego dnia roku – Mabel udała się do małego kościółka, znajdującego się w pobliżu jej domu.

Łagodny mrok rozciągał cicho swoje opary. Ku zachodowi, ponad dachami, płonęły jeszcze, jakby zadymione, ognie zimowego zachodu słońca. Wnętrze świątyni przepełnione było blaskami zamierającego światła.

Mabel zdrzemnęła się trochę w fotelu tego popołudnia i ocknąwszy się uczuła dziwne orzeźwienie umysłu, następujące czasem po takiej drzemce.

Potem przejęło ją zdziwienie, że mogła spać o takim czasie, a zwłaszcza, że nie dostrzegła wcale tej chmury obawy i gniewu, która teraz jeszcze opadała, tak na wsie jak i miasta. Przypomniła też sobie następnie dziwne ożywienie na szerokich torach, rozciągających się u stóp jej domu, gdy wyglądała przez okno oraz niezwykłą wrzawę trąbek sygnałowych i świstawek, nie zastanawiała się jednak nad tym i w godzinę później udała się do kościółka na rozmyślanie.

Polubiła to ciche ustronie i często tam zachodziła, tak jak obecnie, dla uspokojenia myśli i rozmyślania nad znaczeniem tego, co leżało nad powierzchnią życia: nad potężnymi zasadami, na których wszystko się opierało i które wyraźnie stanowiły rzeczywistość. Pobożność taka, istotnie, zaczynała się coraz mocniej rozpowszechniać wśród pewnych warstw społeczeństwa. Od czasu do czasu ogłaszano w tej sprawie odezwy i wydawano książeczki, traktujące o życiu wewnętrznym, a żywo przypominające dawne wydawnictwa katolickie o modlitwie myślniej.

Dzisiaj podeszła do zwykłego swego miejsca, usiadła, złożyła ręce, popatrzyła przez chwilę na stare kamienie sanktuarium, biały posąg i ciemniejące okna, po czym przymknęła oczy i zaczęła rozmyślać według przyjętej metody.

Najpierw skupiła uwagę na samej sobie, odrywając się od wszystkiego, co było tylko powierzchownym i przejściowym, sięgając myślą coraz głębiej... głębiej, aż wreszcie natrafiła na tę tajemniczą iskierkę, która, tłąc się pod wszelkimi ułomnościami i działalnością, czyniła z niej istotnego członka boskiej ludzkości.

Był to krok pierwszy.

Krok drugi był trudniejszy.

Polegał na akcie intelektu, po którym następował akt wyobraźni. Wszyscy ludzie posiadali tę iskierkę, nad którą się zastanawiała... Po czym słała moc umysłu na zewnątrz, ogarniając oczyma myśli kipiący świat, poza jasnością i ciemnością obu półkuli, niezliczone miliony ludzi, dzieci przychodzące na świat, starców schodzących z niego, ludzi dojrzałych, używających życia i siły własnej. Spoglądała wstecz przez

wieki na te stulecia zbrodni i ślepoty; jak społeczeństwa wzrastały poprzez dzikość i przesady do poznania samych siebie; sięgała i naprzód przez wieki, mające przyjąć dopiero, jak pokolenie następowało po pokoleniu, dążąc do szczytu, którego doskonałości nie mogła – mówiła sobie – pojąć, gdyż nie dosięgła go. Szczyt ten jednak – myślała dalej – już się ujawnił: bóle porodu już minęły, bo czyż nie pojawił się ten, który był spadkobiercą czasu?...

Wreszcie, przez trzeci akt żywy, pojmowała jedność wszystkiego: ten ogień odśrodkowy, którego promieniowanie tylko stanowiła każda iskierka; tę potężną, boską Istotę beznamietną, objawiającą się poprzez stulecia, jedyną a mnogą; tę, którą ludzie nazywali Bogiem, a która nie jest już nieznaną, lecz poznaną, jako suma transcendentálna ich samych; tę, która teraz, z nadejściem nowego zbawiciela, drgnęła, obudziła się i okazała jako jedna.

I tu zatrzymała się, zachwycając się wizją umysłu, odłączając to tę, to ową cnotę dla szczególnego jej zasymilowania, zastanawiając się nad swymi niedostatkami, widząc w całości spełnienie się wszelkich aspiracji, sumę wszystkiego, czego ludzie spodziewali się – Ducha Pokoju, tak długo napotykanego na przeszkody, a pomimo to wiecznie gromadzonego przez namietności świata; zmuszonego do przybierania kształtów oraz istnienia dzięki energii istnień indywidualnych; urzeczywistniającego się z wolna przez coraz dalsze pulsowanie, wreszcie panującego pogodnie, oczywiście, zwycięsko.

Tu pozostała, zatrzymując uczucie indywidualności, zatapiając je przez długi, podtrzymywany wysiłek woli, pijąc, jak sądziła, długie tchnienia życia i miłości...

Dźwięk jakiś – jak przypuszczała później – zaniepokoił ją, otworzyła więc oczy i oto ujrzała przed sobą spokojne płyty podłogi, jaśniejące w mroku, stopnie sanktuarium, kazalnicy i cichą, ciemniejącą przestrzeń powietrzną nad posągami Matki i łukiem ornamentacyjnym okna. Tutaj to ludzie oddawali niegdyś cześć Jezusowi, temu okrwawionemu człowiekowi smutku, który niósł, jak sam powiadał, nie pokój lecz miecz. A jednak klękali przed nim ci ślepi, rozpaczliwi chrześcijanie... Ach, co za patos w tym wszystkim; w rozpaczliwym uznaniu jakiegokolwiek wiary, odpowiedzialnej za smutek, w dzikim oddaniu czci jakimkolwiek Bogu, roszczętemu pretensję, że to znosi!

I znów rozległ się dźwięk, mącący ciszę, choć dotychczas nie rozumiała z jakiego powodu.

Oto zbliża się. Odwróciła więc głowę, by spojrzeć wzdłuż mrocznej nawy.

Tak, to z zewnątrz nadlatuje ten dźwięk, ten szept dziwny, wznoszący się i opadający, w miarę jak nadśluchiwała.

Powstała, a serce jej zabiło żywiej, bo przypomniała sobie, że raz jeden tylko przedtem usłyszała szum taki, raz jedyny, na placu, gdzie ludzie szaleli rozwścieczeni dookoła pewnego punktu, u stóp platformy.

Wyszła szybko z ławki, ruszyła wzdłuż nawy, odsunęła firankę, nacisnęła klamkę i stanęła na ulicy.

Ulica, na którą spoglądała spoza krat, ogradzających wejście do kościółka, zdawała się niezwykle pusta i ciemna. Na prawo i lewo ciągnęły się szeregi jednakowo wyglądających domów, nad nimi zaś rozpościerało się ciemniejące niebo, jeszcze z lekka zabarwione przez zorzę wieczorną. O zapaleniu latarni ulicznych najwyraźniej zapomniano. Nie było widać dookoła ani jednej żywej istoty.

Mabel położyła dłoń na klamce furtki, aby wyjść z zagrodzenia, gdy nagły tupot nóg zatrzymał ją na progu. W tejże niemal chwili ujrzała dziecko, biegnące z rączkami, wyciągniętymi przed siebie, dyszące prędko, zziębnięte i przerażone.

– Idą, idą, idą! – załkało dziecko, widząc twarz Mabel, zwróconą ku sobie, po czym uchwyciło się za kraty, spoglądając przez ramię.

Mabel nacisnęła klamkę, dziecko wbiegło za ogrodzenie, rzuciło się do furtki, zatrzasnęło ją i uczepiło się sukni Mabel.

– Uspokój się, uspokój – rzekła Mabel – i powiedz kto idzie, co za jedni?

Ale dziecko ukryło twarzyczkę w fałdach opiekuńczej sukni, jednocześnie zaś rozległa się wrzawa głosów i tupot nóg tłumu.

* * *

Upłynęło zaledwie kilka sekund, a już pojawili się zwiastunowie okropnego pochodu. Najpierw nadbiegła gromada dzieci, śmiejących się, bądź przerażonych i osłupiałych, krzyczących i spoglądających w biegu poza siebie, wśród nich uwijało się kilka psów, po obu zaś chodnikach dreptało kilka kobiet. Wzniósłszy oczy ku górze, przerażona Mabel ujrzała w oknie naprzeciwko twarz mężczyzny, bladą i zaciekawioną. Widocznie jakiś chory zwał się z łóżka, aby spojrzeć na ulicę. Grupa, złożona z mężczyzny w wytwornym, szarym garniturze, dwóch kobiet, trzymających niemowlęta na rękach i tłustego chłopca, stanęła tuż przed nią, u krat ogradzających kościółek. Wszyscy mówili naraz, zwracając głowy na lewo, skąd coraz wyraźniej dolatywał gwar głosów i szelest stóp po bruku. Chciała zapytać, co to znaczy, ale nie mogła. Wargi jej poruszały się bez wydania głosu. Stała się wcieleniem niepokoju, a przez natężony jej umysł przebiegały oderwane, bez związku obrazy: Oliver, taki jakim widziała go przy śniadaniu, jej sypialny pokój z delikatnym obiciem, ciemne sanktuarium i biały posąg, na który spoglądała przed chwilą.

A tłum już gęstniał. Wyłoniły się teraz szeregi młodzieńców, trzymających się pod rękę, krzyczących i zajmujących całą szerokość ulicy, za nimi zaś tłum, podobny do fali w kanale, obramowanym kamiennymi ścianami. W tej gęstwinie roznamiętnionych twarzy i wśród wzrastających ciemności, zaledwie można było rozróżnić mężczyzn od

kobiet. Zjawisko zaś tak było nagłe i tak przytłaczające swą siłą, że gdyby nie wrzawa, nieustająca i jednolita, której Mabel prawie już nie słyszała, skupiwszy się cała w zmyśle wzroku, to mogłoby się zdawać, że to tłum widm wyłonił się nagle z jakiejś alei świata duchów, widzianej w przestrzeni, aby znów zniknąć w ciemności. Pustą przed chwilą ulicę zapełniał teraz tłum jak daleko mogła sięgnąć okiem. Młodzieńcy przeszli – zaledwie wiedziała o tym – i znikli za rogiem na prawo, całą zaś przestrzeń ulicy zapełniał jeden potok głów i twarzy, napierający tak gwałtownie, że porwał grupę, stojącą u krat, jak zielsko i uniósł ze sobą. A przez cały ten czas dziecko szarpało suknię Mabel i przyciskało się do niej.

Ponad głowami tłumy zaczęły ukazywać się teraz przedmioty, których nie mogła rozróżnić w rosnącej ciemności. Jakieś drągi, fantastyczne postacie, łachmany tkanin, podobne do sztandarów, poruszające się jak żywe, obracające się to w tę, to w ową stronę, widocznie dźwigane od dołu.

Twarze, wykrzywione roznamiętnieniem, spoglądały od czasu do czasu na Mabel, gdy pochód sunął przed kratami; otwarte usta krzyczały na nią, ona jednak ledwie zważała na okrzyki, śledziła bowiem wzrokiem dziwne sztandary, niesione przez tłum, nateżała w zmroku oczy, usiłując rozpoznać ich prawdziwy kształt, na poły odgadując czym one są, a jednak odtrącając z przerażeniem od siebie rozwiązanie tej zagadki.

Lecz oto nagle z lamp ukrytych pod daszkami buchnęło na ulicę światło – to mocne, łagodne, znane światło, wyrabiane przez olbrzymie maszyny, ukryte pod ziemią, o których wśród roznamiętnienia tego straszego dnia zupełnie dotychczas zapomniano, i oto w jednej chwili tłum widzów i cieni zamienił się w bezlitosną rzeczywistość życia i śmierci.

Tuż przed Mabel przesunęła się właśnie wielka żerdź z umocowaną na niej istotą ludzką, której jedna ręka, przebita gwoździem, kołysała, się w miarę ruchu żerdzi, zaś wyszywana szata rozwiewała się na wietrze.

Następnie zbliżało się nagie ciało dziecka w białego na pal, białe i pokrwawione, z główką opuszczoną na piersi, rękoma zwisłymi i kołyszącymi się w takt marszu.

A potem jeszcze postać wisielca, przybranego w czarną suknię, z peleryną i w czarnym birecie, kręcącą się w miarę rozkręcania się sznura.

* * *

Tej samej nocy Oliver Brand wrócił do domu na godzinę przed północą.

To, co widział i słyszał tego dnia było jeszcze zbyt bliskie i żywe, aby mógł spokojnie się nad tym zastanawiać.

Widział z okien Whitehall plac Parlamentu zapełniony tłumem, jakiego nie znano jeszcze w Anglii od chwili wprowadzenia chrześcijaństwa; tłum tak pełen wściekłości,

ze przyczyny jej bodaj czy można było doszukać się gdzie indziej, jak nie u źródeł istniejących poza granicami zmysłów. Trzykrotnie w ciągu godziny, po ogłoszenia spisku katolików i wybuchu bezprawia wśród tłumów, Oliver rozmawiał z prezesem Rady Ministrów, pytając, czy nie można by coś uczynić dla poskromienia anarchii i za każdym razem otrzymywał odpowiedź wątpliwą, że co będzie można to się zrobi, ale użycie wojska byłoby teraz nie na miejscu, policja zaś robi wszystko, co jest w jej mocy.

Co się tyczy wysłania płatowców do Rzymu, to zgodził się na to milcząco, jak i reszta Rady Ministrów. Była to, jak wyraził się Snowford, usprawiedliwiona wyprawa karna, smutna, lecz konieczna. W danym wypadku pokój nie mógł być osiągnięty inaczej, jak za pomocą wojny, a ponieważ wojna wyszła już z użycia, pozostał zatem tylko surowy wymiar sprawiedliwości. Katolicy okazali się notorycznymi wrogami społeczeństwa, a wobec tego społeczeństwo musi się bronić. Człowiek nie przestał jeszcze być człowiekiem.

Oliver wysłuchał tych argumentów i nie odezwał się wcale.

Gdy następnie przelatywał nad Londynem w jednym z rządowych płatowców, oko jego niejednokrotnie dojrzało w przelocie to, co działo się na ziemi. Ulice były widne, jak za dnia, bez cieni, jasne w blaskach białego światła, a każda droga wydawała się pełzającym wężem. Do płatowca dolatywała nieprzerwana wrzawa głosów, akcentowana czasem przez okrzyki. Tu i ówdzie wzbijały się ku niebiosom słupy dymu, a raz nawet, przelatując nad wielkim placem nad Battersea, dojrzał jakby tłum mrówek, rozbiegających się przed pogonią... Wiedział, co to znaczy... Cóż robić! Pomimo wszystko cywilizacji człowieka nie doprowadzono jeszcze do doskonałości.

Nie chciał myśleć o tym, co czeka go w domu. Raz już, przed pięciu godzinami, żona zawołała go do telefonu i to, co wówczas usłyszał, omal nie zniewoliło go do porzucenia wszystkiego i do pośpieszenia do niej.

Niemniej nie był przygotowany na to, co zastał.

Gdy wszedł do bawialni, panowała tam cisza, przerywana tylko przez odległy szum ulic, wrzących gdzieś w dole. Pokój zdawał się być dziwnie zimny i ciemny. Oświetlał go jedynie promień światła, wdzierającego się przez jedno z okien, nie zasłonięte roletą, a na tym jasnym tle zarysowała się wysmukła, ciemna sylwetka kobiety, zapatrzonej w dal i nasłuchującej.

Włączył światło i Mabel wolno odwróciła się ku niemu. Miała na sobie suknię wyjściową i płaszcz zarzucony na ramiona, twarz jej zaś wydała mu się dziwnie obca. Twarz ta była zupełnie bezbarwna, o wargach zaciśniętych i oczach pełnych wzruszenia, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, bo mogło równie dobrze oznaczać gniew, jak przerażenie lub boleść.

I stała tak przed nim, w spokojnym świetle, bez ruchu, osłupiała.

Przez chwilę obawiał się przerwać milczenie. Podszedł do okna, zamknął je i spuścił

roletę, po czym ujął łagodnie rękę żony.

– Mabel – szepnął – Mabel...

Dała się zaprowadzić biernie do sofy, ale na uścisk jego nie odpowiedziała uściskiem. Usiadł więc na sofie i spoglądał na żonę z wyrazem niepokoju.

– Ukochana – przemówił wreszcie – jestem zupełnie wycieńczony.

Spojrzała na niego, ale postaci jej nie opuszczało odrętwienie, które aktorzy usiłują czasem naśladować. Wiedział jednak, że odrętwienie to jest rzeczywiste. Zauważył je już u żony dawniej, parokrotnie, w chwilach przerażenia – raz, pamiętał to dobrze, gdy ujrzała krew na trzewiku.

– Usiądź przynajmniej, kochana.

Usłuchała machinalnie i usiadła, wciąż wpatrując się w niego uporczywie. Wśród ciszy, panującej w pokoju, doleciała raz jeszcze wrzawa ze świata niewidzialnego poza oknami. Wiedział doskonale, że w duszy Mabel zмага się przywiązanie do wyznawanej wiary i nienawiść do owych zbrodni, popełnianych w imię sprawiedliwości. Patrząc na żonę dostrzegał, że te dwa uczucia wiodą w niej śmiertelną walkę, że nienawiść bierze górę, ona zaś jest tylko biernym polem walki. Nagle, gdy znów, jak przeciągłe wycie wilka, zabrzmiały z dala i ucichły okrzyki ciżby, nastąpiło przesilenie... Mabel osunęła się ku niemu. Oliver pochwycił ją za ręce i tak pozostała w objęciach męża, z głową i piersią ukrytą na jego kolanach, ciałem zaś jej wstrząsał spazm łkania...

Może z minutę trwało milczenie. Oliver pojął, że w danej chwili słowa są zbyteczne. Przyciągnął tylko Mabel bliżej do siebie, kilkakrotnie ucałował jej włosy i usiadł tak, aby ją lepiej podtrzymywać. Rozmyślał, co będzie musiał jej powiedzieć.

Podniosła wreszcie ku niemu twarz zarumienioną od płaczu, spojrzała nań z miłością, i opuściwszy głowę, zaczęła mówić pojedyncze wyrazy głosem przerywanym przez łkania.

Zaledwie od czasu do czasu Oliver mógł zrozumieć jakiś wyraz, pojął jednak, o co jej chodzi.

Oto runęły wszelkie jej nadzieje, nastał koniec jej wiary. Umrzeć i raz już skończyć z tym wszystkim! Przeszło już wszystko, przeszło i zmiecione zostało przez zbrodniczą namiętność ludu, w który tak wierzyła... Przecież, jak się okazało, oni nie lepsi od chrześcijan, od tych ludzi, na których się mścili, tak ciemni, jak gdyby zbawiciel, Julian, wcale się nie pojawił... Tak, wszystko stracone... Wojna, namiętności, mord, powróciły do ciała, z którego, jak sądziła, znikły raz na zawsze... Te płonące kościoły, ci gonieni katolicy, ten szal na ulicach, któremu się dzisiaj przyglądała, te ciała dziecka i kapłana niesione na żerdziach, te pożary klasztorów i świątyń...

Wszystko to buchało z niej bezładnie, przerywane łkaniem. Szczegóły okropne, narzekania, wymówki, a głowa jej i ręce wiły się w bólu na jego kolanach... Ruina była zupełna.

Oliver wsunął dłonie pod ramiona klęczącej i uniósł ją nieco. Jakkolwiek

wycieńczyła go całodzienna praca, to jednak czuł, że musi uspokoić Mabel i że przesilenie było gwałtowniejsze, niż wszystkie poprzednie, ale nie tracił przy tym nadziei, iż jej silne zdrowie zwycięży.

– Usiądź – szepnął – kochanie... Usiądź proszę... Podaj mi ręce i słuchaj.

Istotnie bronił sprawy cudownie, przecież przez cały dzień powtarzał sobie tę obronę.

– Ludzie – mówił – nie są jeszcze doskonali. W żyłach ich płynie krew ludzi, którzy przez dwadzieścia wieków byli chrześcijanami. Nie należy rozpaczać. Wiara w człowieka, to jednak najszlachetniejsza esencja religii; wiara w lepszą istotę człowieka, w to, czym się stanie, nie zaś w to, czym jest jeszcze obecnie. Znajdujemy się dopiero w okresie początkowym nowej religii, nie zaś w okresie jej dojrzałości. W młodym owocu nie obejdziesz się bez kwasów... A przy tym nie zapominajmy o prowokacji! Nie zapominaj o przerażającej zbrodni, którą ci katolicy zamierzali; pamiętaj, że chcieli ugodzić w samo serce tę nową wiarę... Ludzi nie można zmienić z dnia na dzień... Pomyśl, co by to było, gdyby chrześcijanie zdołali plan swój wykonać!... Na równi z tobą potępiam wybryki. Czytałem dzisiaj w kilku dziennikach artykuły, nie ustępujące pod względem niegodziwości czynom chrześcijan, pełne wesela ze wszystkich tych zbrodni... Cofnie to nasz ruch o jakie dziesięć lat... Czy sądzisz, że nie ma tysięcy osób podobnych do ciebie, nienawidzących i czujących wstręt do tych gwałtów?... Lecz czymże jest wiara, jeżeli nie świadomością, iż humanitaryzm zwycięży?... Wiara, cierpliwość i nadzieja – oto broń nasza.

Mówił z namiętym przeświadczeniem, utkwivszy oczy, w rozpaczliwym wysiłku przelania w nią własnej pewności, rozproszenia ostateków własnego zwątpienia. Co prawda i on nienawidził tego, czego ona nienawidziła, widział jednak rzeczy takie, jakich ona nie widziała.

– Ha – mówił sobie – trzeba pamiętać, że jest kobietą.

Wyraz przerażenia nikł stopniowo z oczu Mabel, ustępując miejsca wyrazowi ostrego bólu w miarę, jak Oliver przemawiał, a osobowość jego brała nad nią przewagę. Ale nie znikł jeszcze zupełnie.

– A płatowce – krzyknęła – płatowce! To już zrobione jest z rozmysłem, to już nie dzieło motłochu!

– Nie, dziecko, wyprawa ta nie jest bardziej obmyślana, niż wybryki motłochu. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, jesteśmy niedojrzali. Tak, rada pozwoliła na nią... pozwoliła, pamiętaj. I rząd niemiecki musiał ustąpić wobec żądań ogółu. Naturę ludzką należy naginać z wolna, aby jej nie złamać.

I znów mówił przez kilka minut, powtarzając swoje argumenty, pocieszając, łagodząc, dodając odwagi, aż spostrzegł w końcu, że zaczyna nad nią panować. Lecz Mabel nagle powtórzyła, jak echo, własne jego słowa:

– Pozwoliła!... I ty także pozwoliłeś?

– Nic nie rzekłem, ukochana, ani za, ani też przeciw. Powtarzam ci, że gdybyśmy zakazali tej wyprawy, to popełniono by więcej jeszcze morderstw i nastalaby anarchia zupełna. Byliśmy bierni, ponieważ nie mogliśmy postąpić inaczej.

– Ach, doprawdy, byłoby lepiej umrzeć! Oliverze, pozwól mi przynajmniej umrzeć! Nie mogę dłużej tego znosić.

– Kochana moja – odparł poważnie – czyż nie pokładasz ani odrobiny wiary we mnie? Gdybym mógł opowiedzieć wszystko, co zaszło dzisiaj, to zrozumiałabyś, że inaczej stać się nie mogło. Wierz mi, że nie jestem bez serca. A cóż myślisz o Julianie Felsenburghu?

Przez chwilę w oczach jej zamigotało wahanie. Wierność jej dla tego, którego uważała za zbawiciela świata i obrzydzenie do tego wszystkiego, co widziała, ścierały się w jej duszy. Wreszcie lojalność przemogła, imię Felsenburgha przeważało na szali i wiara powróciła wraz z potokiem łez.

– Oh, Oliverze – szepnęła – ja wiem, że wierzę tobie, jestem jednak tak słaba, a to wszystko tak okropne! Och, tak, on jest tak mocny i miłosierny! Czy istotnie przybędzie jutro do nas?

Północ wybiła na odległym zegarze wieżowym, gdy zasiedli na sofie, rozmawiając. Mabel drżała jeszcze pod wpływem przebytych wzruszeń, trzymając rękę Olivera. Widział jednak, że na koniec reakcja zapanowała w niej z całą siłą.

– Nowy Rok – zauważyła, słysząc bicie zegara; powstała z sofy, pociągnęła Olivera z sobą – życzę ci szczęśliwego Nowego Roku. Och, wspieraj mnie, Oliverze!

Pocałowała męża, po czym, odsuwając się od niego, ale trzymając go wciąż za rękę, utkwiała w nim jasne, pełne jeszcze łez oczy.

– Oliverze – zawołała – muszę ci teraz wyznać całą prawdę. Czy wiesz, co myślałam zanim przyszedłeś?

Zaprzeczył ruchem głowy, przypatrując się jej pożądliwie. Jakże była ładna! Uczuł przy tym, że ścisnęła mu rękę coraz silniej.

– Zdawało mi się – mówiła dalej – że nie przeżyję już tego, że... że muszę skończyć... rozumiesz?

Oliverowi ścisnęło się serce bolesnym skurczem, gdy usłyszał te słowa, objął więc żonę gorącym uściskiem.

– Ale teraz – szepnęła Mabel – już wszystko przeszło. Oh, nie patrz tak na mnie. Nie mówiłabym ci tego, gdyby tak nie było!

Usta ich złączyły się ponownie, ale w tejże chwili rozległ się dźwięk telefonu z sąsiedniego pokoju. Oliver, przeczuwając co ten dźwięk oznacza, uczuł drgnięcie serca. Puścił rękę Mabel, uśmiechając się jeszcze do niej.

– Telefon! – zawołała, a wyraz niepokoju błysnął w jej oczach, po chwili znikł, ustępując znów miejsca lojalności i ufności pod wpływem miłosego wejrzenia Olivera.

– Wszak prawda – rzekł – że pomiędzy nami zapanowała już zupełna zgoda?

– Zupełna – powtórzyła, a jednocześnie rozległo się powtórne niecierpliwie dzwonięcie telefonu.

– Idź, Oliverze, poczekam tutaj.

Po minucie Oliver wrócił z dziwnym wyrazem na bladej twarzy i z wargami mocno zaciśniętymi, a podszedłszy prosto do Mabel, ujął ją za ręce i utkwiał wzrok w jej oczach, spoglądających odważnie.

Mocna wola i wiara ujarzmiły w duszach obojga wzruszenie, które tam jeszcze nie skonało.

Oliver odetchnął głęboko.

– Tak – rzekł równym głosem – wszystko już skończone.

Wargi Mabel poruszyły się cicho i bladość śmiertelna wystąpiła znów na jej policzki.

– Słuchaj – mówił mąż dalej, podtrzymując ją silnie – musisz znieść odważnie i to. Rzym już nie istnieje. Trzeba będzie wybudować coś doskonalszego.

Mabel rzuciła się, łkając, w ramiona męża.

Rozdział 8

Na długo przed świtem pierwszego poranka Nowego Roku nieruchomy tłum zapełniał wszystkie ulice, wiodące do opactwa, oprócz przejścia pozostawionego otworem przez policję dla wybitnych osobistości oraz podwórza, na którym widniała tylko wysepka, utworzona przez stojącą tam trybunę, zapełnioną od góry do dołu i od końca do końca. Także dachy i okoliczne tarasy, z których rozpościerał się widok na opactwo, tworzyły jedną gromadę ludzkich głów, a ponad tym wszystkim, jak poważne księżycy, płonęły białe światła elektrycznych lamp.

Właściwie nie wiadomo, kiedy wybryki ustały i tłum ustatkował się w oczekiwaniu właściwego celu. Wiedziało o tym chyba tylko kilku zmęczonych kontrolerów biletowych, z uwagi bowiem na olbrzymi napływ zamówień na miejsca w opactwie podczas uroczystości postanowiono, że osoba, która przedstawi odpowiedniemu kontrolerowi bilet wstępu na nabożeństwo i zastosuje się do wskazówek policji, uważana będzie za taką, która spełniła swój obowiązek. Poza tym ogłoszono, że rząd postanowił uderzyć w wielki dzwon opactwa w chwili rozpoczęcia nabożeństwa, tudzież podczas okadzania posągu i przez ten czas powinno być przez wszystkich zachowane milczenie.

* * *

Londyn zupełnie oszalał poprzedniego popołudnia na wieść o spisku katolików. Tajemnica przeciekła na miasto około czternastej, w niecałą godzinę po zdradzeniu Snowfordowi projektowanego zamachu i w jednej niemal chwili zamarł faktycznie wszelki ruch handlowy w mieście. O piętnastej wszystkie sklepy były już zamknięte; giełda, biura miejskie, zakłady na zachodnim krańcu miasta, wszystko przerwało, jakby pod wpływem nieprzepartego impulsu, wszelkie swe czynności i od tej chwili aż do północy prawie, kiedy to odpowiednio wzmocniona policja zapanowała wreszcie nad sytuacją, całe tłumy wrzeszczących mężczyzn i kobiet, i gromady rozwydrzonej młodzieży przeciągały ulicami, wyjąc, denuncjując katolików i mordując. Nie wiadomo, ile osób zamordowano, nie wiadomo również, czy była choćby jedna ulica, na której nie widniałyby ślady gwałtu.

Katedrę westminsterską zrabowano, wszystkie ołtarze zburzono, dopuszczając się przy tym zniewag nie do opisania. Pewien nieznaną kapłan zdołał zaledwie spożyć Komunię Świętą, gdy porwano go od ołtarza i uduszono. Arcybiskupa, dwóch biskupów

i jedenastu księży powieszono w północnej części kościoła, trzydzieści cztery klasztory zburzono, katedrę świętego Jerzego spalono do fundamentów, słowem, jak podawały wieczorne dzienniki, po raz pierwszy od wprowadzenia wiary chrześcijańskiej w Anglii ani jedno tabernakulum nie zostało w promieniu dwudziestu mil od opactwa.

„Londyn – stwierdził dziennik «New People» – oczyszczono nareszcie z ciemnej, fanatycznej głupoty”.

O godzinie piętnastej trzydzieści rozeszła się wiadomość, że co najmniej siedemdziesiąt płatowców poleciało do Rzymu, w pół zaś godziny później, że ową napowietrzną flotę wzmocniło jeszcze sześćdziesiąt płatowców z Berlina. O północy wreszcie, szczęściem dopiero wówczas, gdy policja zdołała już przywrócić ład wśród motłochu, na plakatach ogłoszeniowych zabłysła nowina o dokonaniu okropnego dzieła, o zniszczeniu Rzymu. Wczesne poranne wydania dzienników dodały do tej nowiny nieco szczegółów, zaznaczając zbieżność końca roku z końcem Rzymu i opowiadając, jak zadziwiającym trafem wszystkie niemal głowy hierarchii kościelnej zebrane były w Watykanie, gdy zaczął się atak i jak wszyscy oni pod wpływem rozpaczony – jak sądzono – odmówili opuszczenia miasta, gdy drogą radiową doszła wiadomość o zbliżaniu się wyprawy karnej.

Ani jeden budynek w Rzymie nie ocalał. Wszystko: miasto leontyńskie, Trastevere, przedmieścia – przestały istnieć, płatowce bowiem, wisząc na niezmiernej wysokości, podzieliły skrupulatnie wszystkie dzielnice pomiędzy sobą, zanim rozpoczęły bombardowanie, a w kilka minut potem, gdy huk wybuchów doleciał z dołu i buchnęły kłęby dymu i gruzów, dzieło zniszczenia było dokonane. Płatowce rozpraszają się następnie we wszystkich kierunkach, wzdłuż dróg i torów, którymi ludność usiłowała zbiec, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie i, jak przypuszczano, przez ten przezorny manewr wytepieno ze trzydzieści tysięcy opóźnionych zbiegów.

„Prawda – zaznaczył dziennik «Studio» – że zniszczono także wiele skarbów nieocenionej wartości, ale i ta cena nie jest zbyt wysoka za ostateczne i zupełne wytepienie zarazy katolickiej. Bo zdarza się czasem, że zniszczenie to jedyne lekarstwo na dom zanieczyszczony przez robactwo”.

Dalej zaś dziennik ten zwracał uwagę, że teraz, gdy za jednym zamachem pozbyto się papieża z całym Kolegium Kardynalskim, wszystkich byłych monarchów europejskich oraz wszystkich najzagorzalszych świętoszków świata, szukających schronienia w „Świętym Mieście” – nie należy chyba obawiać się odrodzenia gdzie indziej tego przesądu. Niemniej i teraz nawet świat powinien strzec się pobłażania wobec katolików. Powinni być pozbawieni prawa uczestniczenia pod jakimkolwiek względem w życiu państw cywilizowanych, gdyby zresztą który z nich ocalał i miał odwagę domagać się tego. O ile bowiem już wiadomo, wszystkie inne państwa jednomyślnie pochwalają to, co zrobiono z Rzymem.

Co prawda, niektóre dzienniki wyrażały ubolewanie z powodu zajścia, a raczej

ducha, który je wywołał. Nie godzi się – powiadały – aby humaniści posługiwali się gwałtem, żaden z nich jednak nie twierdził, aby można było odczuwać co innego, jak tylko wdzięczność za osiągnięty wynik. Nalegano przy tym, aby i katolicką Irlandię doprowadzić do porządku. Nie należy dłużej zwlekać.

Z wolna rozjaśniały się niebiosa na wschodzie i przez lekką mgłę zimową zapłonęło z tamtej strony rzeki kilka karminowych pasm. Okolice opactwa zalegała jednak zadziwiająca cisza, tłumy zmęczone całonocnym oczekiwaniem, zeszywniało skutkiem przejmującego zimna i pilnie zajęte tym, co miało nastąpić, nie posiadały już energii na zbyteczne wysiłki. Tylko z zatłoczonego placu i ulicy przy opactwie dochodził głęboki, stały szept, podobny do szumu odległego morza, przerywany od czasu do czasu przez dźwięk trąbki sygnałowej, szum motoru i szelest kół samochodu, pędzącego na zachód, zataczającego łuk dookoła placu i znikającego w ulicach miasta.

Świt tymczasem jaśniał coraz bardziej, światła elektryczne marniały i bladły, a mgła rzedła, ukazując nie świeży błękit, jak spodziewano się po mroźnej nocy, lecz wysokie, bezbarwne sklepienie chmur, poszarzałe i zarumienione z lekka, gdy spoza rzeki wypłynęło słońce nad postacią rudo-miedzianego kręgu.

O dziewiątej podniecenie tłumy wzrosło. Wśród policjantów, rozstawionych wzdłuż drogi na wyniosłych platformach, skąd czuwali nad porządkiem i doglądali ogrodzeń z drutu kolczastego, dało się spostrzec ożywienie, a minutę później samochód policyjny pomknął przez plac pomiędzy barierami i znikł poza wieżami opactwa. Tłum zaszumił i zakołysał się, a po chwili wybuchnął okrzykami, ujrawszy cztery jeszcze samochody o barwach rządowych, znikające w tym samym kierunku. Byli to – jak powiadano – urzędnicy państwowi, spieszący na Podwórze Dziekanów w opactwie, gdzie miał się zebrać pochód.

Mniej więcej na kwadrans przed dziesiątą tłum zebrany u zachodniego końca ulicy Wiktorii zaczął śpiewać, gdy zaś śpiew ucichł i zabrzmiały dzwony z wież opactwa, nie wiadomo skąd rozeszła się pogłoska, że Felsenburgh ma być obecny na uroczystości. Ani wówczas, ani potem nie stwierdzono nic takiego, co mogłoby ją wywołać, toteż dziennik „Evening Star” oświadczył, że był to jeszcze jeden przykład zadziwiającego instynktu wielkiej gromady ludzkiej, bo nawet rząd dowiedział się dopiero w godzinę później o tym zamiarze. Bądź co bądź należy stwierdzić, że istotnie o dziesiątej trzydzieści powstał nieprzerwany ryk głosów, zagłuszający nawet spiżowy dźwięk dzwonów, przelewających się dookoła gmachu Whitehall aż do zapełnionego ciżbą mostu Westminsterkiego, domagający się Juliana Felsenburgha. Tymczasem już od dwóch tygodni nie miano o prezydencie Europy absolutnie żadnych wiadomości, oprócz niczym nie popartej wieści, jakoby znajdował się gdzieś na Wschodzie.

Wśród tej ogłuszającej wrzawy samochody nie przestawały nadjeżdżać ze wszystkich stron i znikać pod sklepioną bramą Podwórze Dziekanów, wioząc te szczęśliwe osoby, którym udało się dostać bilety wstępu do świątyni. Okrzyki

powstawały i biegły wzdłuż barier, gdy tłum poznawał wybitne osobistości: lorda Pembertona, Olivera Branda z żoną, Caldecotta, Maxwella, Snowforda z delegatami europejskimi i innych. Nawet zjawienie się Francisa, urzędowego mistrza ceremonii, o twarzy melancholijnej, powitano okrzykami. Ale o dziesiątej czterdzieści pięć, gdy ustało bicie dzwonów, skończył się korowód samochodów, usunięto więc bariery oraz ogrodzenia z drutu kolczastego, ogradzające środek ulic i przez chwilę tłum, zaprzestawszy ryku, westchnął z ulgą, poczuwszy zmniejszenie się ścisku i wyległ na środek ulic. Następnie jednak okrzyki wznowiły się z poprzednią siłą, domagając się Juliana Felsenburgha.

Słońce stało teraz wysoko nad wieżą Wiktorii, podobne wciąż do miedzianego kręgu, ale bledsze niż przed godziną, ujawniając coraz bardziej biel opactwa, szarą gmachu parlamentu, tysiące odcieni dachów, flag, głów ludzkich, plakatów.

Na pięć minut przed oznaczoną godziną zabrzmiał dźwięk jednego, jedyne dzwonu i chwile ulatywały niepostrzeżenie, aż wreszcie dzwon zamilkł i do uszu stojących najbliżej zachodnich drzwi opactwa doleciały pierwsze tony olbrzymich organów, wzmocnionych przez głosy tręb. A wówczas tak nagle i głęboko, jak tchnienie śmierci, nastąpiła absolutna niemalże cisza.

Gdy na pięć minut sprzed oznaczoną godziną rozległ się poważny i uporczywy dźwięk dzwonu i rozbrzmiewał rytmicznie pod wielkimi sklepieniami, Mabel odetchnęła głęboko i przechyliła się w tył na krześle, na którym ostatnie pół godziny siedziała sztywno wyprostowana, przyglądając się wspaniałemu widokowi rozpościerającemu się przed jej oczyma. A gdy tak spoglądała, zdawało się jej, że na koniec zasymilowała się znów z otoczeniem, że jest znów sobą, że napiła się do syta tryumfem i pięknnością. Podobną była do osoby spoglądającej w cichy, letni poranek na gładką powierzchnię morza po burzy. A oto zbliżało się teraz ukoronowanie dzieła.

Od końca do końca, wszerek i wzdłuż, wewnątrz opactwa przedstawiało ogromną, połamaną mozaikę twarzy ludzkich. Żyjące zbcza, wały, odcinki i krzywizny. Transparent południowy, naprzeciwko niej, od podłogi do okna, w kształcie rozety, stanowił jedną pochyłą płaszczyznę głów. Usiana nimi była też podłoga, przecięta na dwoje przejściem, wyłożonym szkarłatnym sukniem, a wiodącym do kaplicy Wiary. Na prawo chór, poza miejscem otwartym przed sanktuarium, przedstawiał jedną gromadę białych postaci w szarfach i komżach. I wysoko położona galeria organu, spod którego usunięto zasłonę, była ich pełna, a daleko w dole niewyraźna głębia nawy głównej ciągnęła się, usłana żywym brukiem aż hen, w cień zalegający miejsce pod oknem zachodnim. Wszystkie grupy kolumn, za stallami chóru, przed nią, na prawo, na lewo i z tyłu, łączyły murowane trybuny i tylko przesłiczne sklepienie oraz strzelające w górę kapitele wolne były od tej powodzi ludzkiej.

Całą ogromną przestrzeń zapełniały łagodne promienie światła, rzekłbyś słonecznego, a było to światło sztuczne z lamp, umieszczonych za każdym z okien

i rzucających barwne snopy purpury, rubinu i błękitu, poprzez starożytne witraże, tudzież kładące pogmatwane plamy na twarze i ubrania ludzi. Szept dziesiątka tysięcy głosów zapewniał świątynię, stanowiąc niejako akompaniament do nuty melodyjnej dzwonu, uderzającej z góry. Najbardziej zresztą przykuwającym uwagę Mabel było próżne, wyłożone dywanami sanktuarium, olbrzymi ołtarz z wiodącymi ku niemu stopniami, wspiana zasłona i wielki, nie zajęty jeszcze przez nikogo fotel.

* * *

Mabel potrzebowała takiego napięcia władz umysłowych, które by jej przywróciły równowagę ducha, ubiegły bowiem wieczór, aż do przyjscia Olivera, minął jej jak przerażający sen na jawie. Od chwili pierwszego wstrząsu na widok tego, co działo się przed kościółkiem, przez całe godziny oczekiwania ze świadomością, że tak oto stwierdza przewagę swoją Duch Pokoju do chwili ostatniej, kiedy to w objęciach małżonka dowiedziała się o zniszczeniu Rzymu – zdawało się jej, że nowy ten jej świat uległ nagłemu zepsuciu. Nie chciała wierzyć, aby ów szalejący potwór, ociekający krwią z zębów i pazurów, co powstał, wyjąc poprzedniego wieczora, był ową ludzkością, która stała się dla niej bogiem. Sądziła, że okrucieństwo, zemsta i rzeź to wychowanie przesądów chrześcijańskich, zamarte i pochowane pod nowonarodzonym aniołem światła, a teraz czuła, iż potwory te jeszcze ruszają się i żyją. Przez cały wieczór siedziała lub błąkała się po swym cichym domu, czując tchnienie przerażenia, ciężące na niej. Czasem znów otwierała okna, pomimo przejmującego zimna, aby posłuchać z zaciśniętymi rękoma okrzyków i wycia tłumów, szalejących tam w dole, szumu, huku i zgrzytów pociągów elektrycznych, pędzących z prowincji dla zwiększenia szалу stolicy; dla przypatrzenia się czerwonej łunie pożarów i kłębowi dymu, wznoszącym się z płonących kaplic i kościołów.

Zadawała sobie pytania, wątpiła, opierała się zwątpieniu, wyrzucała z siebie rozpaczliwe akty wiary, usiłowała przywrócić pewność siebie, którą zdobyła przez medytację; wmawiała w siebie, że przecież tradycja nie może wymrzeć od razu lecz stopniowo; klękała, wzywając Ducha Pokoju, istniejącego, jak dobrze wiedziała, w sercu każdego człowieka, chociaż przytłumionego obecnie przez złe namiętności. W głowie jej przewijał się wiersz jednego ze starych poetów okresu panowania królowej Wiktorii:

*Wątpisz,
Aby ktokolwiek
Mógł to obmyśleć lub zapowiedzieć?
Jakim sposobem stać się to mogło?*

*Któż to uczynił?
Nie ludzie! Nie tutaj!
Och! Nie pod słońcem...
Pochodnia, która dymiła, aż przelała się czara
Gniewu Boga, będącego gniewem Człowieka!*

Zamierzała nawet umrzeć, jak wyznała to mężowi, odebrać sobie życie, straciwszy ufność do świata. Myślała o tym poważnie, bo był to sposób ucieczki najzupełniej zgodny z jej moralnością. Wszak ludzie zrozpaczeni lub niepotrzebni usuwali się ze świata, za obopólną zgodą, w instytucjach państwowych zwanych domami eutanazji. Iluż to wypadków takich jak jej domy te były świadkami? Dlaczegoż by więc ona nie miała usunąć się w ten sposób? Bo dłużej już tego nie zniesie!... Ale właśnie nadszedł Oliver i oto znów wywalczyła sobie drogę do myślenia trzeźwego i pewności siebie a widma znów znikły.

Jak rozumnym i spokojnym był jej mąż, z tego zdawała sobie sprawę dopiero obecnie, gdy objął ją raz jeszcze wpływ olbrzymiego tłumu, zebranego w tej wspaniałej świątyni. Jakże logicznym wydało się jej dowodzenie, że człowiek jest nawet teraz jeszcze dopiero rekonwalescentem, a zatem podlegającym recydywie. Powtarzała to sobie bez końca w ciągu nocy, ale inaczej to brzmiało niż wówczas, gdy słowa płynęły z ust mężowskich. Zwyciężył raz jeszcze jego wpływ osobisty, a imię Felsenburgha dokonało reszty.

– Ach, gdyby on był tutaj! – westchnęła.

Lecz niestety, on był teraz, wiedziała o tym, tak daleko!

* * *

Dopiero kwadrans przed jedenastą doszła do niej wiadomość, że i lud zebrany na zewnątrz świątyni dopomina się również o niego i wiadomość ta uspokoiła ją jeszcze bardziej. A więc te dzikie bestie czują, gdzie leży ich odkupienie, rozumieją, co jest ich ideałem, jakkolwiek go nie osiągnęły. Ach, gdyby on tylko zechciał tu przybyć, nie byłoby żadnych nieporozumień, posępne fale opadłyby pod wpływem jego wezwań do pokoju, rozeszłyby się mgliste chmury i grzmot ustąpiłby miejsca ciszy. Lecz on – daleko, daleko, dla spraw tajemniczych. Trudno! Wie co robi. Powróci jednak zapewne rychło do swych dzieci, które tak okropnie potrzebują jego obecności.

Zdarzyło się tak szczęśliwie, że była samotna w tłumie. Sąsiada swego, starego, siwego jegomościa z córkami, siedzącymi poza nim, nie znała wcale, a przy tym był jedynym jej sąsiadem, z drugiej bowiem strony jej krzesła wznosiła się czerwona obita ściana, spoza której mogła dostrzec sanktuarium i zasłonę posągu, ponieważ zaś trybuna

na której siedziała, wznosiła się o jakieś osiem stóp powyżej trybun niższych, rozmowa więc z osobami tam siedzącymi była niemożliwa. Traf ten sprawiał jej zadowolenie, gdyż nie miała chęci do rozmowy. Pragnęła odzyskać bez przeszkód panowanie nad swymi władzami umysłowymi, utwierdzić ponownie swą wiarę, spoglądać spokojnie na te olbrzymie tłumy, zebrane dla oddania czci wielkiemu Duchowi, którego zdradziły, wznović własną odwagę i lojalność. Zastanawiała się przy tym, co powie kaznodzieja. Czy w słowach jego odezwie się nuta pokuty? Miał mówić o macierzyństwie, tym łagodnym obrazie życia powszechnego: czułości, miłości, spokoju; tej namiętności wchłaniającej, opiekuńczej; o tym duchu, który łagodzi, poświęca się zadaniom pokojowym, roznieca światła ogniska domowego, daje sen, żywność, słowo życzliwe...

Dzwonienie ustało i w chwili przerwy, zanim zagrzmiały organy, usłyszała wyraźnie, nad szeptem panującym wewnątrz świątyni, okrzyki tłumów na dworze, domagające się swego Boga. Po czym obudziły się olbrzymie organy grzmotem, przeszywającym wrzaskiem trąb i oszałamiającym hukiem bębnów. Nie było tu delikatnego preludium powolnego budzenia się do życia przez labirynty tajemnicy, ukoronowanego wreszcie wejrzeniem. Nie, tu panował już raczej pełny spokój, zenit samowiedzy i siły. Toteż serce Mabel zabiło żywiej na spotkanie go, a powracające jej zaufanie, wciąż jeszcze w stadium rekonwalescencji, zadygotało uśmiechem, gdy potężne tony zabrzmiały tam w górze, opiewające zupełny tryumf. Tak bądź co bądź człowiek jest Bogiem, który co prawda zachwiał się wczoraj wieczorem, ale który powstał już tego oto poranka Nowego Roku, rozpraszający mgły, panujący nad własnymi namiętnościami, wszystkich zalewający, przez wszystkich kochany. Tak, Bóg to człowiek, a Felsenburgh jest jego wcieleniem. Tak, musi w to uwierzyć.

I wierzy!

Wówczas ujrzała, że długi pochód rozkręca się już poniżej przepierzenia, a światło panujące wewnątrz świątyni staje się w sposób niedostrzegalny jeszcze żywszym i piękniejszym. A więc nadchodzą już ci kapłani czystego nabożeństwa, mężowie poważni, zdający sobie sprawę z tego, w co wierzą; mężowie, którzy choćby nawet nie drżeli pod wpływem nadmiaru uczucia (wiedziała, że pod tym względem jej mąż, na przykład, nie należał do wrażliwych), to jednak przeświadczeni są o słusznych zasadach tego nabożeństwa, uznają potrzebę wysłowienia się, odczuwaną przez większość społeczeństwa – tak, nadchodzą już powoli czwórkami, parami i pojedynczo, prowadzeni przez wystrojonych młodzieńców z laskami, pochylający się na stopniach i wyłaniający się następnie w barwnym świetle, w całym majestacie fartuchów, szarf i klejnotów masonskich. Zaprawdę, widok ten wystarczył, aby w małżonce Olivera wznović pewność siebie.

W sanktuarium pojawiło się kilka postaci. Francis, o niespokojnej twarzy, odziany w szaty urzędowe, zszedł poważnie ze schodów, stanął, oczekując na pochód i ruchami prawie niedostrzegalnymi dawał rozporządzenia swoim pomocnikom uwijającym się

pomiędzy nawami i gotowym do wskazywania właściwego kierunku zbliżającemu się pochodowi. Już i najbardziej wysunięte na zachód siedzenia poczęły zapełniać się, gdy Mabel spostrzegła nagle, że zaszło coś niezwykłego.

Dotychczas wrzawa ciżby na dworze stanowiła jakby drugi akompaniament basowy muzyki, rozbrzmiewającej wewnątrz świątyni; akompaniament nieodczuwalny dla tych, którzy nie zwracali na to uwagi, którego brak jednak odczuwano wyraźnie z chwilą, gdy nastawała cisza. A w tej chwili właśnie nastąpiła cisza.

W pierwszej chwili Mabel sądziła, że sygnał rozpoczęcia nabożeństwa uciszył tak nagle tłumy, następnie wszelako przypomniała sobie z nieopisanym wzruszeniem, że o ile jej wiadomo, jedno tylko było w stanie uciszyć do tego stopnia wrzaskliwą ciżbę. Lecz nie dowierzała jeszcze sobie. Być może było to tylko złudzenie. Być może i teraz jeszcze tłuszcza wyje, ale ona tego nie słyszy. Oto jednak spostrzega ze wzruszeniem, graniczącym nieomal z utratą zmysłów, że i w świątyni szept głosów ustał i że jakaś ogromna fala wzruszenia porusza widniejącym nad nią tłumem ludzkim, jak wiatr porusza łanami pszenicy. Jeszcze chwila i oto zrywa się na równe nogi, chwytając rękoma za barierę, a serce jej, jak rozszalała maszyna, pędzi pulsującą krew, namiętnie i uporczywie, przez każdą żyłę, bo z szumem szeleszczącym, podobnym do westchnienia i dosłyszalnym nawet poprzez tryumfalny grzmot bębnow, trąb i organów, całe olbrzymie zgromadzenie wewnątrz świątyni zerwało się na nogi.

W poważnym pochodzie powstało zamieszanie. Mabel widziała mistrza ceremonii Francisa, biegnącego szybko naprzód, wymachującego rękami jak konduktor, a na ten sygnał długi potok ludzki zakołysał się, rozdzielił, cofnął i znów posunął się szybko ku przodowi, dzieląc się przy tym na dwadzieścia potoków mniejszych, które pocięły wzdłuż szeregów siedzeń i zapełniły je w jednej chwili. Ludzie biegli i pchali się, fartuchy masońskie powiewały, ręce wymachiwały, a wszystko to bez jednego zrozumiałego słowa.

Powstał tupot nóg, rozległ się trzask przewróconego krzesła, ale następnie, jakby bóg jaki podniósł rękę, nakazując milczenie, muzyka ustała nagle, śląc jeszcze pod sklepienia dzikie echo, które, zagrzmiawszy, omdlało i momentalnie zamarło; ogromne westchnienie przebiegło po świątyni i w barwnym świetle, zaścielającym całą olbrzymią długość przejścia, ciągnącego się otworem od zachodu i wschodu, daleko wśród nawy odległej, pojawiła się, zbliżając, samotna postać.

Co Mabel widziała i słyszała tego pierwszego poranka Nowego Roku od jedenastej do wpół do pierwszej po południu – tego nie mogła nigdy przypomnieć sobie jak należy. W czasie tym bowiem straciła ciągłość świadomości samej siebie, swą zdolność do zastanawiania się, była słaba jeszcze skutkiem przebytej walki. Nie odbywał się w niej już proces, przez który zdarzenia zbierają się, otrzymują nazwy i są rejestrowane; stała się tylko istotą, obserwującą, jak gdyby jednym, długim ciągiem, w którym rozważa przewijała się czasem tylko, w niepewnych przerwach. Oczy i uszy zdawały

się być jedynymi jej zmysłami, komunikującymi się bezpośrednio z gorejącym sercem.

Nie wiedziała nawet, kiedy zmysły powiedziały jej, że to Felsenburgh. Zdawało się jej, że wiedziała o tym, zanim się jeszcze pojawił i utkwiała w niego oczy, gdy kroczył poważnie wśród głębokiej ciszy po czerwonym dywanie, majestatycznie samotny i przekraczając kilka stopni przy wejściu, przesunął się przed nią. Miał na sobie powłóczyste szaty czarno-szkarłatne sędziów angielskich, ale ledwie zauważyła ten szczegół. W chwili tej nie było już nikogo prócz niego. Całe to olbrzymie zgromadzenie ludu przestało istnieć, zrównało się, zamieniło w jakąś niepodzielną atmosferę olbrzymiego wzruszenia ludzkiego. W całym tym gmachu panował tylko Julian Felsenburgh. Spokój i światło płonęło dokoła niego jak aureola.

Minąwszy Mabel, zniknął na chwilę za mównicą kaznodziei, pojawił się jednak wkrótce, wchodząc po stopniach, wiodących do sanktuarium i zajął przeznaczone dla siebie miejsce. Wówczas mogła dojrzeć wyraźnie poniżej swego miejsca i nieco na lewo jego regularny profil, ostry jak klinga noża, pod siwymi włosami. Podniósł rękę o szerokim rękawie, obramowanym białym futrem, i uczynił nią jeden ruch, a całe dziesięć tysięcy zebranych w świątyni osób usiadło z szumem i tupotem. Znowu powstał, a całe zebranie zerwało się także na nogi.

Zapanowała cisza. Felsenburgh stał teraz bez ruchu z rękami złożonymi na pulpicie i patrzył uporczywie przed siebie. Zdawało się, że on, który pociągał ku sobie wszystkie oczy i uciszył wszystkie dźwięki, czekał, aby jego przewaga zapanowała niepodzielnie. I w chwili tej istniała tu jedna tylko wola, jedno tylko pragnienie, a wszystko zależało tylko i wyłącznie od niego. Wówczas zaczął mówić.

Także i pod tym względem, jak Mabel później stwierdziła, brak było w niej dokładnego wspomnienia tego, o czym przemawiał; brak było świadomego procesu, przez który wchłaniała, sądziła lub przyjmowała to, co dochodziło jej uszu. Najbliższym określeniem, za pomocą którego mogła potem zdać sobie sprawę ze wzruszeń, odniesionych wówczas, było przedstawianie sobie, że to nie on, lecz ona przemawiała. Bo wszystkie własne jej myśli, uprzedzenia, smutki, rozczarowania, namiętności, nadzieje – wszystkie te wewnętrzne akty duszy, zaledwie znane jej samej, aż do najdrobniejszych, rzekłbyś wirów i zakrętów duszy, człowiek ten podejmował, oczyszczał, rozpałał, zadowalał i proklamował. Po raz pierwszy w życiu pojęła, co znaczy natura ludzka, bo własne to jej serce wyłaniało się na świat, niesione przez ten głos ogromny. I znowu, jak już raz niegdyś przez chwilę w byłej katedrze świętego Pawła, zdawało się, że stworzenie, tak długo jęczące, przemówiło nareszcie wyrazami artykułowanymi, dojrzało i doszło do myśli zwięzłej i mowy doskonałej.

Wówczas jednak przemawiał on do ludzi, teraz zaś Człowiek sam przemawiał. I nie był to Człowiek sam przemawiający, lecz Człowiek w ogóle. Człowiek świadomy swego pochodzenia, przeznaczenia i wędrówki pomiędzy nimi. Człowiek znowu ozdrowiał po nocy szaleństwa, proklamujący swoje prawa, narzekający głosem tak

wymownym jak instrumenty strunowe, nad zawodem w stosowaniu tych praw. Był to raczej monolog niż przemowa. Rzym upadł, na ulicach miast włoskich i angielskich krew się polała, dym i płomień uniosły się ku niebiosom, bo człowiek cofnął się znów na chwilę do dawno zapomnianego stanu dzikości. I stało się to – wołał głos ogromny – a nie ma skruchy; stało się i lata jeszcze całe człowiek musi pokutować i czerwienić się ze wstydu na myśl, że niegdyś odwrócił się tyłem do wschodzącego światła.

Nie było w tej mowie wywoływania posępnoci, nie było opisu zawałających się pałaców, uciekających postaci, trzaskających wybuchów, wstrząśnień ziemi i zgonu skazanych. Była raczej litość dla serc gorących, krzyczących na ulicach Anglii i Niemiec, albo wzniesionych w zimowym powietrzu Włoch, dla brzydkich namiętności tam wojujących, gdy płatowce przelatywały tam, płodząc zemstę, odpłacając spiskiem za spisek, gwałtem za gwałt. Bo tam – wołał głos mówcy – był człowiek takim, jakim był: cofniętym chwilowo w owe dawne okrutne czasy, zanim jeszcze poznał, czym jest i dlaczego.

– Nie ma skruchy – mówił głos dalej – jest natomiast coś lepszego...

I w miarę jak twarde, kłujące tony miękły, suche wstydem oczy Mabel napełniły się łzami.

– ...Coś lepszego – powtarzał głos – mianowicie świadomość, do jakich czynów zdolny jest jeszcze człowiek i pragnienie zużytkowania tej świadomości. Rzym upadł; wstyd to i czyn pożałowania godzien; Rzym upadł i powietrze stało się czystsze!

Przy tych słowach mówca wzniósł się i uleciał rzutem ptaka wysoko, daleko od tej strasznej przepaści, w którą dopiero co zaglądał; od szczątków spalonych ciał, zrujnowanych domów, wszelkich oznak ludzkiego upodlenia, do tych szczytnych warstw powietrza i słońca, ku którym człowiek raz jeszcze musi się zwrócić. I w tym cudnym locie niósł z sobą rosę łez i zapach ziemi. Nie szczędził był słów dla osmagania nagiego serca ludzkiego, a teraz nie szczędził ich dla podniesienia tego serca, kurczącego się i krwawiącego, dla pocieszenia go boską wizją miłości...

Czterdzieści minut upłynęło – jeżeli chodzi o dokładność – zanim zwrócił się do zasłoniętego posągu za ołtarzem.

– O, Macierzyństwo! – zawołał. – O, Matko nas wszystkich...

I w tej chwili dla wszystkich, którzy go słuchali, stał się cud... bo zdało się wszystkim, że to nie człowiek przemawiał, lecz istota ze sfery nadludzkiej. Zasłona pomarszczyła się, gdy ktoś, stojący w jej pobliżu, pociągnął za sznury i oto stanęły oko w oko – rzekłbyś – Matka nad ołtarzem, potężna, biała, opiekuńcza, i Dziecię, namiętne wcielenie miłości, wołające do niej z trybuny:

– O, Matko nas wszystkich, Matko moja!

Tak to słał ją w oczy, słał najwyższą zasadę życia, opiewał jej moc i chwałę, niepokalane jej macierzyństwo, siedem mieczów bólu, utkwionych w jej sercu przez namiętności szaleństwa jej syna; obiecywał jej rzeczy wielkie, uznanie niezliczonych

dzieci, miłość i oddanie się niezrodzonych, służbę drgających jeszcze w łonie. Nazywał ją mądrością najwyższych, słodko rozkazującą wszechrzeczom, Wrotami niebieskimi, Domem z kości słoniowej, Pocieszycielką strapionych, Królową świata, a spoglądającym na nią oczom szalejących tysięcy zdawało się, że twarz jej uśmiecha się do niego...

Ogromne westchnienie, jakby olbrzymiego jakiegoś życia, zaczęło napełniać powietrze, gdy za nim tłum się zakołysał i lał się jego potoczny głos. Fale wzruszenia przelatowały w górę i w dół. Odezwały się okrzyki i łkania, śmiech człowieka odchodzącego od zmysłów i wreszcie, gdzieś pomiędzy zapełnionymi trybunami, trzask najpierw jednej ławki, potem drugiej, trzeciej, i oto zapełniły się przejścia ludźmi, bo on nie trzymał ich już w bierności słuchania, lecz podniecał do aktu najwyższego. Fala toczyła się coraz bliżej i twarze spoglądały już nie na niego, lecz na Matkę. Mabel także szarpnęła barierą i łkając padła na kolana. Ponad tym zaś wszystkim grzmiał jego głos, a cienkie zbielełe ręce wyciągały się z szerokich, okazałych rękawów, jakby pragnąc sięgnąć poza samo sanktuarium.

Głosił teraz nową opowieść, a wszystko to ku jej chwale.

Przychodził ze Wschodu – słuchacze dowiedzieli się nareszcie o tym – i przychodził w tryumfie. Witano go tam jak króla, czczono jak świętość – jego, pokornego syna ludzkiego, zrodzonego z matki człowieka; jego, który przynosił nie miecz lecz spokój, nie krzyż lecz koronę. Wszystkim zdawało się, że mówi o tym, żaden jednak ze słuchaczy nie mógłby zaręczyć, czy mówił o tym istotnie; czy głos jego to zwiastował, czy też ich serca to przeczuwały!...

Oto wszedł na stopnie sanktuarium, wciąż z rękoma wyciągniętymi, mówiąc słowa gorące, a tłum przewalał się za nim, wśród szelestu dziesięciu tysięcy nóg i westchnień dziesięciu tysięcy serc... Oto jest już u ołtarza... Oto jest już na nim... I raz jeszcze w krzyku ostatnim wita tę białą postać kobiecą, jako Królową i Matkę.

Wreszcie nastał szybko nieunikniony koniec. I przez chwilę, zanim Mabel opadła na kolana, oślepiona przez łzy, ujrzała jeszcze tę drobną postać, stojącą u kolan olbrzymiego posagu, pod wyciągniętymi jego rękoma, milczącego i mieniącego się w łunie światła. I zdawało się jej, że matka znalazła nareszcie syna.

Przez chwilę widziała Mabel strzelające ku górze kolumny, złocenia i barwy, poruszające się głowy i wymachujące ręce. Istne morze poruszało się przed nią, światła zapalały się i gasły, wielka rozeta okna ponad nią zdawała się wirować, kadzidło napełniało powietrze, rozwarły się niebiosy i ziemia drżała w ekstazie.

Wówczas to, wśród światła niebiańskich, grzechotu bębnow, krzyku kobiet, tupania nóg, jeden olbrzymi grzmot chwalczy z dziesięciu tysięcy piersi ogłosił go – Panem i Bogiem.

KSIĘGA III
ZWYCIĘSTWO

Rozdział 1

Maleńka izdebka, w której siedział nowy papież i czytał, była wzorem prostoty. Ściany miała pobielane, strop z nieheblowanych belek, podłogę z ubitej gliny. Pośrodku stał kwadratowy stół, a przy nim krzesło. W obszernym palenisku kominka widniała ostygła fajerka z węglem drzewnym, gotowym do podpałki. Półka, oparta o ścianę, zawierała z tuzin książek. Izdebka posiadała troje drzwi: jedne wiodły do prywatnej kaplicy, drugie do przedpokoju, trzecie zaś na małe wybrukowane podwórze. Okna, wychodzące na południe, zasłonięto okiennicami, pomimo to jednak przez źle dopasowane zawiasy wdzierały się długie, ostre klingi palącego wschodniego światła upalnego dnia, panującego na dworze.

Był to czas południowej sjesty i oprócz głośnego cykania koników polnych, dolatującego ze zbocza pagórka poza domem, nic nie mąciło głębokiej ciszy. Papież, spożywszy przed godziną obiad, prawie nie ruszył się z miejsca od tej pory, tak pochłonęło go czytanie. W danej chwili zapomniał o wszystkim: o tym, co przeżył w ciągu ostatnich trzech miesięcy, o gorzkim niepokoju, o nieznośnym ciężarze odpowiedzialności. Książka, którą trzymał w ręku, była tanią odbitką słynnego życiorysu Juliana Felsenburgha, wydaną przed miesiącem i właśnie dobiegał do jej końca.

Treściwe to dzieło, dobrze napisane, nieznanego autora, przypisywali niektórzy samemu Felsenburghowi. Większość jednakże sądziła, że napisał ją, przynajmniej za zgodą Felsenburgha, ktoś ze wąskiego grona zaufanych osób, dopuszczonych do jego towarzystwa, a które rządziło teraz, pod jego kierownictwem, sprawami Wschodu i Zachodu. Z pewnych zaś wskazówek zawartych w tekście wnoszono, że autor jej musiał być człowiekiem Zachodu. Większa część książki zajmowała się opisem życia Felsenburgha, a raczej tych dwóch czy trzech lat znanych światu, od chwili szybkiego wybicia się tego męża na pierwszy plan w polityce amerykańskiej i pośrednictwa jego na Wschodzie aż do zająć sprzed pięciu miesięcy, kiedy to witano go jako Mesjasza w Damaszku, czczono w Londynie i wreszcie ogłoszono, nadzwyczajną większością głosów, trybunem obu Ameryk.

Papież przebiegł szybko oczyma te obiektywne fakty, gdyż znał je już nadto dobrze, obecnie zaś czytał z napiętą uwagą rozdziały końcowe, zawierające streszczenie charakteru Felsenburgha, a raczej, jak objaśniał autor nieco sentencjonalnie, streszczenie jego samoobjawienia się światu. Autor wyrażał się o głównym rysie charakteru Felsenburgha, mianowicie o opanowaniu przez niego słów i faktów, w sposób następujący: „Słowa, dzieci ziemi, skojarzyły się w tym mężu z faktami,

dziećmi niebios, a Nadczłowiek stał się owocem tego związku”. Nie pominięto też rysów mniej znamiennych, jak jego zamiłowania do literatury, zadziwiającej pamięci, zdolności lingwistycznych. Posiadał on, jak twierdzono, oko makroskopowe i mikroskopowe, gdyż z jednej strony rozeznawał tendencje i ruchy obejmujące cały świat, z drugiej zaś posiadał nadzwyczajną zdolność wchodzenia w szczegóły. Autor przytaczał rozmaite anegdoty, ilustrujące powyższe rysy oraz szereg treściwych aforyzmów Felsenburgha.

„Żaden człowiek – czytał z rosnącym zdziwieniem papież – nie przebacza, jeno pojmuje”.

„Potrzeba najwyższej wiary, aby wyrzec się Boga transcendentalnego”.

„Człowiek, wierzący w samego siebie, jest niemal zdolny do uwierzenia w swego bliźniego”.

„Wybaczyć zło, to pobłażać zbrodni”.

„Człowiek mocny jest niedostępny dla wszystkich, ale wszyscy są dostępni dla niego”.

Istniała pewna pompatyczność w szyku tych uwag, z winy jednak – jak papież dobrze zauważył – nie samego mówcy, lecz kompilatora. Ten, kto widział mówcę, pojmował, że powyższe uwagi były wygłaszane bez pontyfikalnej solenności, wyrzucone niejako przez gorący potok wymowy, albo też wymówione z tą dziwnie wzruszającą prostotą, której użył podczas swego pierwszego pobytu w Londynie. Można było nienawidzić lub bać się Felsenburgha, ale nigdy bawić się jego kosztem.

Najwyższą jednak – jak widać – przyjemnością pisarza stanowiło wyszukiwanie analogii między swym bohaterem a przyrodą. Tak u pierwszego, jak w drugiej ujawniała się ta sama pozorna sprzeczność: mieszanina najwyższej czułości i najwyższej bezwzględności. „Siła gojąca rany także je zadaje; zmieniająca stos gnoju w słodkie rośliny i trawy wybucha też ogniem i trzęsieniem ziemi; zniewalająca kuropatwę do oddania życia za swe pisklęta stwarza też drapieżnego ptaka z jego żywą spiżarnią”. Tak samo z Felsenburghiem: On, który płakał nad upadkiem Rzymu, w miesiąc później mówił o jego zniszczeniu jako o środku, który teraz nawet może być prawnie użyty dla dobra ludzkości. „Tylko, że należy używać go rozważnie, a nie w namiętnym uniesieniu”.

Słowa te wywołały powszechne zaciekawienie, wydawały się bowiem zupełnym paradoksem w ustach tego, który głosił pokój i tolerancję. Powstawała więc o nie polemika na całym świecie. Ale poza wprowadzeniem w czyn prawa o rozpędzeniu katolików irlandzkich, tudzież poza straceniem kilku osób, rady tej nie stosowano. Niemniej świat w ogóle zdawał się uznawać jej słuszność i wyczekiwać teraz na jej spełnienie.

Jak zaznaczył biograf, świat fizyczny powinien był przyjąć z otwartymi rękami tego, który zaprawdę pierwszy wprowadzał do spraw ludzkich, rozważnie i z przekonaniem,

takie prawa jak walki o byt i niemoralności przebaczenia. Jeżeli pierwsze z nich jest tajemnicze, to i drugiemu nie brak tajemniczości, oba jednak muszą być zachowane, jeżeli człowiek ma się rozwijać.

Cała tajemnica wpływu Felsenburgha polega, bez wątpienia, na jego osobowości. „Widzieć go, to znaczy uwierzyć mu, a raczej uznać go za prawdę nieuniknioną. Nie tłumaczymy praw przyrody, ani nie unikamy ich przez żale sentymentalne. Konający zając krzyczy jak dziecko, raniony jelenź płacze wielkimi łzami. Życie istnieje tylko pod warunkiem śmierci. I rzeczy takie istnieją bez względu na utkane przez nas o nich teorie, które nic nie wyjaśniają. Życie musi być przyjęte pod tymi warunkami. Nie możemy zbłądzić, idąc za głosem przyrody. Raczej przez przyjęcie jej warunków osiągamy pokój. A wielka ta matka nasza odkrywa tajemnice swoje tylko tym, którzy przyjmują ją taką, jaką jest”. Tak samo rzecz się ma z Felsenburghiem. „Nie należy do nas roztrząsanie istoty jego, gdyż istota jego jest tego rodzaju, że nie pozwala na to. Stanowi on całość i wystarcza tym, którzy mu wierzą i gotowi są cierpieć. Dla innych zaś jest zagadką wrogą i pełną nienawiści. Musimy przygotować się do logicznego wyniku tej doktryny. Nie należy pozwolić, aby sentymentalność panowała nad rozsądkiem”.

W końcu autor wykazywał, jak do tego człowieka właściwie stosowały się wszystkie tytuły, którymi rozrzutnie szafowano w stosunku do wymyślonych istot najwyższych.

„W przewidywaniu jego to przyjścia godła te weszły w królestwo myśli i wpływały na żywoty ludzkie. On był STWÓRCĄ, jemu to bowiem zachowano misję stworzenia związku doskonałego, do którego świat dotychczas wzdychał nadaremnie. On to na obraz i podobieństwo swoje stworzył człowieka.

On był też ODKUPICIELEM, gdyż wywiódł człowieka z ciemności i cieniów śmierci, prowadząc kroki jego na drogę pokoju. On był ZBAWICIELEM dla tego samego powodu i SYNEM CZŁOWIECZYM, gdyż stanowił doskonałość ludzką; ABSOLUTEM, gdyż obejmował w sobie ideały; WIECZNOŚCIĄ, gdyż zawsze podporządkowywał moce wewnętrzne przyrody i zapewnił przez swoje istnienie trwanie tego porządku; NIESKOŃCZONOŚCIĄ, gdyż wszelkie rzeczy skończone nie dorastały do jego miary, on zaś stanowił zawsze więcej, niż ich sumę. Był dalej ALFĄ i OMEGĄ, początkiem i końcem, pierwszym i ostatnim. Był *DOMINUS ET DEUS NOSTER* (jak Domicjan, zauważył papież). Tak prosty, a jednocześnie tak złożony, jak życie samo – prosty w swej treści, złożony w jej działaniu.

Wreszcie najwyższy dowód jego misji stanowiła nieśmiertelna natura jego posłannictwa. Nie można było dodać nic więcej do tego, co wyświecił, gdyż w nim znalazły wreszcie swe źródło i koniec wszelkie linie rozbieżne. Czy zaś okaże się osobiście nieśmiertelnym? – to myśl całkiem niestosowna. Byłoby, co prawda, stosowne, aby za pośrednictwem jego środków życie odsłoniło swą ostatnią tajemnicę, ale byłoby to nie więcej, jak tylko stosowne. Już duch jego istniał w świecie,

indywiduum nie było już więc odosobnione od siebie podobnych, śmierć stała się tylko zmarszczką, powstającą i przechodzącą po morzu nie do pogwałcenia. Człowiek bowiem nauczył się nareszcie, że społeczeństwo – to wszystko – on zaś – nic; komórka ujawniła jedność ciała; nawet najwięksi myśliciele oświadczyli, że świadomość indywiduum odstąpiła swój tytuł osobowości zbiorowej, gromadzie ludzkiej, a niepokój jednostki utonął we wspólnym spokoju ludzkości, albowiem nic innego, jak tylko to mogło wytłumaczyć zaprzestanie partyjnych zatargów i narodowego współzawodnictwa – a to przede wszystkim było dziełem Felsenburgha.

SŁUCHAJCIE – cytował autor w namiętnej perorze – JA JESTEM ZAWSZE Z WAMI, NAWET TERAZ PRZY DOPEŁNIENIU SIĘ MARZEŃ ŚWIATA! POCIESZYCIEL ZSTĄPIŁ WŚRÓD WAS. JA JESTEM DRZWIAMI, DROGĄ, PRAWDĄ I ŻYCIEM – CHLEBEM ŻYCIA I WODĄ ŻYCIA. IMIĘ ME: CUDOWNY KSIĄŻĘ POKOJU, OJCIEC ZAWSZE ISTNIEJĄCY. JA JESTEM PRAGNIENIEM WSZYSTKICH NARODÓW, NAJJAŚNIEJSZYM WŚRÓD DZIECI LUDZKICH I KRÓLESTWU MEMU NIE BĘDZIE KOŃCA”.

Papież położył książkę i przechyliwszy się, zamknął oczy.

A cóż powie na to wszystko On, Bóg nadprzyrodzony, który się ukrył; Boski Zbawiciel, zwlekający z przybyciem, Poczyszyciel, o którym nie słyszano już więcej w podmuchu wiatru, którego nie widziano już w ogniu?

Tu, w sąsiednim pokoju, znajdował się mały drewniany ołtarz, a w nim żelazne pudełko, w pudełku zaś srebrny kielich i w kielichu tym... Poza domem, o jakieś sto jardów rozpościerały się kopuły i gliniane dachy wioski, nazwanej przez ludzi Nazaretem. Karmel znajdował się na prawo o jakąś milę lub dwie. Tabor na lewo, równina Ezdrelon na przodzie; dalej zaś Kana, i Galilea, i jezioro ciche, i Hermon, daleko zaś ku południowi – Jerozolima...

Do maleńkiego skrawka ziemi przybył papież – do tego kraju, z którego trysnęła wiara przed dwoma tysiącami lat i z którego zmieciona będzie wkrótce jako niepotrzebny chwast, jeżeli Bóg nie przemówi ogniem z nieba. Tutaj, po tym gruncie materialnym, stąpał ten, którego wszyscy ludzie mieli za Wybawcę Izraela; w tej oto wiosce chadzał po wodę, robił skrzynie i ławy, po tym oto jeziorze sunęły stopy jego, na tym wysokim pagórku gorzał w chwale, na tej tam gładkiej, niskiej górze oświadczył, że błogosławieni są cisi, i że odziedziczą ziemię, że twórcy pokoju są dziećmi Boga, że głodni i pragnący będą nasyceni i napojeni.

Teraz zaś – oto do czego doszło! Chrześcijaństwo przygasło w Europie jak zachód słońca na ciemniejących szczytach. Rzym wieczny stał się stosem gruzów. Tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie, osadzono człowieka na tronie boskim i proklamowano jego boskość; świat uczynił skok naprzód, wiedza społeczna zapanowała nad wszystkim! Ludzie nauczyli się zgodności; nauczyli się też socjologii chrześcijańskiej poza boskim jej nauczycielem, albo, jak twierdzili, pomimo niego. Pozostało na całej

kuli ziemskiej może trzy, może pięć, może wreszcie najwyżej dziesięć milionów – nie sposób tego dokładnie określić – ludzi czczących Jezusa Chrystusa jako Boga. A Namiestnik Chrystusowy siedział w izdebce w Nazarecie, przyodziany tak skromnie, jak Pan jego, oczekując końca.

Uczył wszystko, co mógł. W ciągu tygodnia, pięć miesięcy temu, w ogóle zwątpiono, aby dało się coś jeszcze zrobić. Pozostało przy życiu tylko trzech kardynałów: on, Steinmann i Patriarcha Jerozolimy. Reszta legła poszarpana, gdzieś w ruinach Rzymu. Nie było precedensu, do którego można by się zastosować, obaj więc kardynałowie europejscy ruszyli na Wschód, do jedyne go, spokojnego jeszcze miasta. Z zanikiem Kościoła greckiego zniknęły też resztki zabójczej walki w chrześcijaństwie i przez pewnego rodzaju milczącą zgodę świata pozostawiono chrześcijanom umiarkowaną swobodę w Palestynie. Prawda, miejsca święte zbezczeszczono i interesowano się nimi teraz tylko, jako zabytkami historycznymi; ołtarze znikły, ale pozostały ślady po nich i jakkolwiek nie pozwolono już na odprawianie nabożeństw, to jednak nie zabraniano urządzania prywatnych kaplic.

W tym to kraju znaleźli się dwaj europejscy kardynałowie. Nie było jednak wskazanym publiczne noszenie jakichkolwiek odznak swej godności, tym bardziej, że stało się już niemal pewnym, iż świat nie wie o ocaleniu obu dostojników kościelnych. W trzy dni po ich przybyciu do Palestyny stary patriarcha zakończył życie, na szczęście jednak już po obraniu Percego Franklina na stanowisko Najwyższego Kapłana, wśród okoliczności tak dziwnych, jakie nie przytrafiły się jeszcze od pierwszego wieku chrześcijaństwa. Wszystko to stało się w ciągu kilku minut u łóżka umierającego patriarchy. Obaj starcy nalegali. Kardynał Steinmann odwoływał się raz jeszcze do dziwnego podobieństwa pomiędzy Percym a Julianem Felsenburghiem, przebąkując przy tym głosem starczym, prawie niedosłyszalnym, coś o antytezie i palcu bożym, Percy zaś, dziwiąc się tej przesądności starca, przyjął stanowisko i wybór zaprotokołowano. Nowy papież obrał imię Sylwestra, ostatniego świętego w roku i stał się trzecim papieżem tego imienia. Po czym odjechał ze swym kapelanem do Nazaretu, a kardynał Steinmann powrócił do Niemiec, gdzie powieszono go podczas zamieszek w dwa zaledwie tygodnie po powrocie...

Następną sprawą było utworzenie nowego kolegium kardynalskiego. Rozesłano tedy, przy zastosowaniu nadzwyczajnych środków ostrożności, listy do dwudziestu osób. Z liczby tej dziesięć osób odmówiło, zwrócono się więc jeszcze do trzech, z których tylko jedna przyjęła propozycję. A zatem, w danej chwili, na święte kolegium składało się dwanaście osób z całego świata: dwóch Anglików (jednym z nich był Corkran), dwóch Amerykanów, Francuz, Niemiec, Włoch, Hiszpan, Polak, Chińczyk, Grek i Rosjanin. Kardynałom tym powierzono pieczę nad olbrzymimi obszarami, w których posiadali najwyższą władzę, podlegając jedynie Ojcu Świętemu.

Co się tyczy życia samego papieża, to mamy bardzo mało o nim do powiedzenia.

Podobne było, jak sądził, pod względem okoliczności zewnętrznych, życiu takiego człowieka jak Leon Wielki, bez jego świeckiego znaczenia i zewnętrznego splendoru. Teoretycznie świat chrześcijański znajdował się pod jego panowaniem, w rzeczywistości jednak sprawami chrześcijaństwa rządziły władze miejscowe. Z tysiącznych bowiem powodów okazało się niemożliwością dla papieża czynić to, czego pragnął. Dla utrzymania komunikacji z władzami kościelnymi opracowano skomplikowany tajny alfabet i urządzono na dachu domku papieskiego stację radiową, komunikującą się z taką samą stacją w Damaszku, gdzie zamieszkał kardynał Corkran. Z tego to ośrodka wysyłano przy sposobności depeche do władz kościelnych w innych miejscowościach. Najczęściej jednak niewiele można było zrobić. Niemniej papież stwierdzał z zadowoleniem, że mimo niewiarogodnych trudności praca w kierunku organizacji kościelnej czyniła postępy, acz niewielkie, jednak we wszystkich krajach. Biskupów wyświęcano wielu. Było ich ogółem nie mniej, niż dwa tysiące, księży zaś – liczba nieznana. Zakon Chrystusa Ukrzyżowanego pracował doskonale i nie mniej jak czterysta sprawozdań o męczeństwach, dokonanych przeważnie przez motłoch, nadeszło do Nazaretu w przeciągu dwóch miesięcy.

I pod innymi względami, jak również pod względem najgłówniejszego zadania zakonu, mianowicie dostarczenia wszystkim wiernym sposobności poświęcenia się Bogu jeszcze lepiej, nowi zakonnicy spisywali się dzielnie. Najniebezpieczniejsze przedsięwzięcia – jak prace znoszenia się z dostojnikami kościelnymi lub osobami znanej prawości – słowem wszystko, co narażało pośrednika na utratę życia, powierzano teraz wyłącznie członkom zakonu. Z Nazaretu wydano surowe instrukcje, aby żaden z biskupów nie narażał się niepotrzebnie. Każdy z nich miał uważać się za serce diecezji, której należało bronić wszelkim kosztem, byle nie kosztem honoru chrześcijaństwa, każdy z nich zatem otoczył się grupą nowych zakonników – tak mężczyzn jak i kobiet – podejmujących się, z nadzwyczajnym i wspaniałomyślnym posłuszeństwem, niebezpiecznych przedsięwzięć odpowiednio do swoich sił. I stało się już oczywistym, że gdyby nie Zakon Chrystusa Ukrzyżowanego, to Kościół byłby niemal sparaliżowany w tych nowych stosunkach...

Zarządzono też nadzwyczajne ułatwienia we wszystkich kierunkach. Każdy z kapłanów, należących do zakonu, otrzymywał powszechną jurysdykcję, podlegającą biskupowi, jeżeli biskup istniał w diecezji, w której kapłan znajdował się w danej chwili; zezwolono na odprawianie każdego dnia roku mszy świętej: Pięciu Ran Chrystusowych, Zmartwychwstania lub Najświętszej Panny, każdy przy tym kapłan miał prawo używać przenośnego ołtarzyka, zrobionego całkowicie z drzewa; pofolgowano wymaganiom rytuału: Msze święte można było odprawiać z jakimkolwiek odpowiednim naczyniem, z materiału choćby tak kruchego jak szkło lub porcelana; wolno było używać jakiegokolwiek chleba; szaty liturgiczne, oprócz cienkiej plecionki, zastępującej teraz stulę, nie były obowiązkowe; tak samo nie obowiązywało noszenie

sukni duchownej; różaniec wreszcie, nawet bez paciorków, był zawsze dozwolony zamiast nabożeństwa.

W ten sposób umożliwiono kapłanom udzielanie sakramentów i odprawianie mszy bez narażenia się na wielkie niebezpieczeństwo, co okazało się ogromnie dobroczynnym, zwłaszcza w europejskich więzieniach, w których tysiące katolików odsiadywało obecnie karę za niebranie udziału w nabożeństwach publicznych.

Życie prywatne papieża było tak skromne, jak izdebka w której mieszkał. Dwór jego składał się z kapelana Syryjczyka i dwóch służących, również Syryjczyków. Co rano papież odprawiał mszę świętą odziany w szaty liturgiczne i biały habit pod spodem, po czym wysłuchiwał drugiej mszy świętej. Przebrawszy się następnie w tunikę i burnus, używane przez krajowców, spożywał śniadanie i spędzał poranek na pracy. Obiadował w południe, przesypiał się i wyjeżdżał konno, kraj ten bowiem, ze względu na swą nieokreśloną sytuację, znajdował się w takim stanie, jak przed stu laty. Powróciwszy o zmroku wieczerał i pracował do późnej nocy.

Oto wszystko. Kapelan miał obowiązek przesyłania depesz do Damaszku, służący zaś, nieświadomi godności swego pana, utrzymywali stosunki ze światem zewnętrznym, o ile zachodziła tego potrzeba. Co się tyczy nielicznych sąsiadów, to wiedzieli tylko, że w domku zmarłego szejka mieszkał ekscentryczny Europejczyk, posiadający własną radiostację. Obaj służący, także gorliwi katolicy, wiedzieli co prawda, że pan ich jest biskupem, lecz ponadto nie wiedzieli nic. Powiedziano im tylko, że papież żyje i to im wystarczało.

Świat katolicki wiedział, że jego papież istnieje pod imieniem Sylwester, ale trzymał tylko osób z całego rodu ludzkiego było wtajemniczonych w to, że nazywa się Franklin i że tron Piotrowy znajduje się tymczasowo w Nazarecie.

Co się zaś tyczy życia wewnętrznego Głowy Kościoła, to cóż o nim można powiedzieć?

Oto teraz przechylił się na krześle i rozmyślał, przymknąwszy oczy.

Nie mógłby opisać porządnie stanu swej duszy nawet samemu sobie, bo prawie nie zdawał sobie z niego sprawy. Działał raczej, niż zajmował się refleksjami. Ośrodek wszelako tego życia stanowiła prosta wiara. Tylko religia katolicka, wiedział o tym dobrze, tłumaczy w odpowiedni sposób wszechświat; nie otwiera wszystkich tajemnic, otwiera ich jednak więcej, niż jakikolwiek inny znany człowiekowi klucz; wiedział również doskonale, że jest to jedyny system myśli, zadowolający człowieka w ogóle i w swojej istocie stosujący się do niego. Dalej, rozumiał dobrze, iż niemożność chrześcijaństwa zjednoczenia wszystkich ludzi wpływała nie z jego słabości lecz mocy; linie jego spotykały się w wieczności, nie w czasie. A przy tym wierzył w to istotnie.

Poza tym jednak pierwszym planem istniały jeszcze inne stany umysłu, których zmiana wymykała się spod jego władzy. W chwili egzaltacji, która nadchodziła na

niego jak rajskie tchnienie, dalszy plan jaśniał nadzieją i dramatycznością. Widział siebie i swych towarzyszy w takim świetle, w jakim musiał się widzieć Piotr i Apostołowie, głosząc po świątyniach, zaułkach, na targowiskach i w prywatnych domach wiarę, która miała wstrząsnąć światem i zmienić jego postać. Dotykali oni Pana życia, widzieli jego pusty grób, ujmowali przebite dłonie Tego, który był ich bratem i Bogiem. Prawda to była promieniejąca, jakkolwiek żaden człowiek jej nie dowierzał; ogromny ten, przygniatający ciężar niedowiarstwa nie mógł zaszkodzić aktowi, jasnemu jak słońce na niebie. Ponadto sam rozpaczliwy stan sprawy był dla nich źródłem natchnienia. Nie istniała pokusa oparcia się na ramieniu z krwi i kości bo nikt nie walczy za nich, prócz Boga. Nagość była ich zbroją, powolna mowa – przekonywującą mocą; słabość ich potrzebowała pomocy Boga i znajdowała ją. Jednakże istniała różnica i to różnica pełna znaczenia. Dla Piotra świat duchowy posiadał interpretację i gwarancję w zdarzeniach zewnętrznych, których Piotr był świadkiem. Dotykał Chrystusa Zmartwychwstałego, zewnętrzność więc potwierdzała wewnętrzność.

Inaczej rzecz się miała z Sylwestrem. Dla niego koniecznym było tak podchwytować prawdy duchowe w sferze nadprzyrodzonej, aby zewnętrzne objawy wcielenia były dowiedzione przez bardziej niż dowiedzioną pewność jego przeświadczenia duchowego.

Bez wątpienia, mówiąc historycznie, chrześcijaństwo stanowiło prawdę, dowiedzioną przez świadectwa, aby jednak widzieć to, należało być oświeconym. On pojmował moc Zmartwychwstania, a więc Chrystus zmartwychwstał.

Toteż w chwilach wielkiego smutku stan jego różnił się od stanu pierwowzoru.

Bywały czasem okresy, trwające dni całe, w których czuł umysł zamglony, gdy się budził, duszność – gdy zasypiał, przytępienie nawet słodczy Sakramentu, słabsze drżenie zachwyty wywołanego przez Krew Świętą; okresy, w których ciemność stawała się tak nieznośna, że nawet rzeczywiste, określone przedmioty wiary zamieniały się w cienie; połowa jego natury stawała się ślepa nie tylko wobec Chrystusa, Syna Bożego, ale nawet wobec samego Boga i realności własnego istnienia; a własna jego, przejmująca wciąż dostojność wydawała mu się dostojenstwem i insygniami szaleńca.

Czyż można sobie wyobrazić – pytał jego ziemski umysł – aby on, kolegium dwunastu kardynałów i jego nieliczna owczarnia mieli słuszność, cała zaś zgodna reszta cywilizowanego świata znajdowała się w błędzie? I to nie dlatego, aby świat nie znał posłannictwa Ewangelii; wszak prawie o nim tylko słuchał w przeciągu dwudziestu wieków, a teraz oto ogłasza je za fałszywe – fałszywe pod względem wiarogodności uwierzytelnień zewnętrznych, a zatem fałszywe także pod względem roszczeń duchowych. Cierpiał więc on, papież, za sprawę straconą, nie był ostatnim z dostojnego rodu, lecz tylko dymiącym knotem świecy szaleństwa; stawał się *reductio ad absurdum* zabawnego sylogizmu, opartego na przesłankach niemożliwych. Nie był nawet wart zabicia, bo i on, i jego towarzysze to nieuki, noszący ośle czapki w szkole świata.

Rozum zasiadał na mocnych ławach realizmu... To zaś ociemnienie wzrastało czasami do tego stopnia, że niemal wmawiał w siebie, iż utracił wiarę; wezwanie umysłu stawało się tak głośne, że zagłuszało szept serca; pożądanie pokoju na ziemi – tak gwałtowne, że ambicje nadprzyrodzone milkły; ciemność tak gęsta, że mając nadzieję wbrew nadziei, wierząc wbrew wiedzy i kochając wbrew prawdzie, wołał jak Ten, który wołał tak samo przed wiekami: *Eli, Eli, lamma sabachthani!*... I tego przynajmniej nigdy nie zaniedbał powtarzać.

Jedna rzecz tylko dawała mu siły do postępowania naprzód, przynajmniej co się tyczyło jego świadomości, mianowicie medytacje. Zawędrował daleko w krainę mistycyzmu od chwili rozpoczęcia się agonii wysiłków. Już teraz nie pogrążał się rozważnie w świat duchowy, lecz, wznosił ręce nad głową i rzucał się w otchłań niezmierną. Świadomość jak korek ciągnęła go z powrotem na powierzchnię życia. On jednak ponawiał wysiłki, aż wreszcie przez to zaprzestanie działalności, będące najwyższą energią, dochodził do tego, że płynął w zmroku królestwa transcendentalności.

Medytacje te doprowadziły papieża w krainę mistycyzmu. I tam to Bóg z nim obcował, bądź to przez zdania artykułowane, bądź przez miecz bólu, bądź przez tchnienie, podobne do orzeźwiającego powiewu morskiego. Czasami Pan obcował tak z nim po Komunii, czasami we śnie, czasami w odmęcie pracy. Ale świadomość jego zdawała się nie długo podlegać owemu wpływowi, bo zdarzało się, że już w pięć minut potem znów walczył z widmami umysłu i serca.

Oto więc przechylił się teraz w krzesło, rozmyślając nad nieznośnymi bluźnierstwami, które właśnie przeczytał. Siwe jego włosy zrzedły nad opalonymi skroniami, ręce stały się podobne do rąk widma, młodą twarz pocięły linie troski, spod zabrudzonej tuniki wyglądały bosc stopy, a spłowiały brunatny burnus leżał obok niego na podłodze... Minęła godzina i słońce nie paliło już tak mocno, gdy na brukowanym podwórku rozległ się tupot końskich kopyt. Wówczas wyprostował się na krzesło, wsunął stopy w sandały i podniósł burnus z podłogi. W tejże chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich wysmukły, ogorzały kapłan syryjski.

– Wasza Świątobliwość – rzekł – konie są gotowe.

Papież nie przemówił ani słowa tego popołudnia, dopóki, już ku zachodowi słońca, nie wjechali obaj na ścieżkę, ciągnącą się pomiędzy Taborzem a Nazaretem. Zatoczyli zwykłe koło, jadąc przez Kanę, wspinając się na wzgórze, z którego widniało długie zwierciadło jeziora Genezaret i minąwszy je, trzymając się wciąż prawej strony pod cieniem Taboru, skręcili tak, że znów równina Ezdrelonu rozpostarła się pod nimi jak zielony kobierzec, okrągły, o średnicy dwudziestu mil, usiany z rzadka grupami chat, białych murów i dachów. Na przeciwległym końcu równiny widniał Naim, bardzo daleko na prawo Karmel, ciężący swymi podłużnymi kształtami, o milę zaś lub dwie, na płaskowzgórzu, na którym przystanęli, gnieździł się Nazaret.

Był to widok tak pełen spokoju, że wydawał się obrazkiem z książki drukowanej przed wiekami. Ani śladu stłoczonych dachów, ścisku rozgorączkowanych ludzi, ani też okropnych świadectw cywilizacji i przemysłu, wysiłków naprężonych, a bezowocnych. Nieliczni zmęczeni Żydzi powrócili do tej małej spokojnej krainy, jak ludzie starzy wracają do rodzinnego miejsca bez nadziei odzyskania młodości albo odnalezienia ideałów, lecz pod wpływem pewnego rodzaju tęsknoty, tak często biorącej górę nad motywami bardziej logicznymi, a z ich powrotem przybywało nieco domów, podobnych do baraków w okolicznych ubogich wioskach. Niemniej ogólny widok przypominał bardzo widoki sprzed wieków.

Równinę ocieniał do połowy Karmel, od połowy zaś zapełniała złota kurzawa światła. Nad głowami rozpościerały się czyste wschodnie niebiosy, zaróżowione z lekka tak, jak różowiły się dla Abrahama, Jakuba i Syna Dawidowego. Najmniejszej nawet chmurki, choćby wielkości dłoni ludzkiej, nie było widać nad jeziorem; żaden turkot wozów ziemskich lub niebieskich, takich, jakie ukazały się przed trzydziestu wiekami pewnemu młodzieńcowi na tych samych niebiosach, nie mącił błękitu. Oto była tylko stara ziemia i stare niebiosy, niezmienione i nie podlegające zmianom. Cierpliwa, powracająca wiosna, usiała cienką warstwę ziemi gwiazdami kwiatów betlejemskich i tymi wspaniałymi liliami, z którymi nie dał się porównać szkarłat szat Salomona. I nie dolatywał żaden szept od Tronu jak dawniej, gdy Anioł Gabriel opuszczał się przez to samo powietrze, aby zwiastować Błogosławionej między niewiastami; żadne tchnienie obietnicy lub nadziei poza tym, które Bóg zsyła co chwila, poprzez utworzoną przez siebie szatę życia.

Gdy zatrzymali się, a konie, wyciągnąwszy szyje, spojrzwały pytającymi ślepiami na ogrom światła i powietrza rozciągający się u ich nóg, łagodny, jęczący głos przerwał ciszę i o jakieś sto jardów poniżej przesunął się wzdłuż zbocza wzgórza pasterz, ciągnąc za sobą długi cień, za nim zaś, wśród melodyjnego brzęku dzwonek, podążała gromadka posłusznych owiec i upartych kóz, to skubiąc trawę, to biegnąc naprzód wzdłuż zbocza. A wołał je po imieniu smutny i niski głos tego, który znał je wszystkie i prowadził, zamiast popędzać. Ale łagodny brzęk przycichał coraz bardziej, cień pasterza raz padł tuż u stóp papieża i jego towarzysza, gdy idący wspiął się na wzniesienie, aby zniknąć po chwili za nim, wołanie rozlegało się coraz słabiej, aż wreszcie ustało zupełnie.

Papież podniósł dłoń do oczu i opuścił ją po chwili.

– Jak się nazywa ta miejscowość? – spytał, wskazując ku plamie białych murów, przeblaskujących wśród fioletowej mgły zapadającego zmroku.

Ksiądz syryjski spojrział we wskazanym kierunku, następnie na papieża i znów na równinę.

– Tu – spytał – między palmami, Wasza Świątobliwość?

– Tak.

– To Megiddo, zwane także przez niektórych Armageddon.

Rozdział 2

Tej samej nocy, o dwudziestej trzeciej, syryjski kapłan wyszedł przed dom w oczekiwaniu posłańca z Tyberiady. Już około dwóch godzin przedtem słyszał sygnał pługowca, krążącego pomiędzy Damaszką a Tyberiadą i między Tyberiadą a Jerozolimą, posłaniec więc zwlekał z przybyciem.

Była to organizacja bardzo pierwotna, lecz Palestyna znajdowała się poza światem, jako niepotrzebny skrawek ziemi, toteż posłaniec musiał co noc jeździć konno z Tyberiady do Nazaretu z papierami od kardynała Corkrana do papieża i tą samą drogą powracać z listami. Niebezpiecznej tej misji podejmowali się kolejno członkowie nowego zakonu, otaczający kardynała. Takim sposobem wszelkie sprawy, wymagające osobistego załatwienia ich przez papieża, a zbyt długie i niezbyt śpieszne, mogły być załatwione przez niego w czasie wolnym od innych zajęć i odpowiedź na nie dana w ciągu doby.

Była wspaniała, księżycowa noc. Wielka, złota tarcza księżyca wznosiła się nad Taborem, rzucając tajemnicze, metaliczne światło na długie zbocza i podobną do moczarów równinę, wznoszącą się przed domem; kładąc zbyt ciężkie czarne cienie, wydające się zwartymi i mocniejszymi niż jasno oświetlona, blada powierzchnia złomów skalnych, a nawet niż błyski diamentowe kwarcu i kryształu, tu i ówdzie skrzącego się na kamienistej ścieżce. W porównaniu do tej wspaniałej jasności, żółte światło, padające spod okiennic domku, wydawało się zbyt gorącym i krzykliwym. Toteż oparty o drzwi kapłan, w którego ciemnej twarzy połyskiwały tylko oczy, upojony tymi potokami światła, usiadł na ziemi i wyciągnął ku nim chude, brunatne ręce.

Był to człowiek bardzo prosty, tak pod względem wiary, jak i życia. Dla niego nie istniały chwile uniesienia i rozpacz, jakie przeżywał jego pan. Czuł tylko bezgraniczną radość, że mieszka w miejscu Wcielenia się Boga i służy Jego Namiestnikowi. Co się tyczy ruchów świata, to spoglądał na nie jak człowiek, przypatrujący się z pokładu okrętu falom, rozkołysanym daleko w dole. Oczywiście, na poły odczuwał, że świat nie zna spokoju, bo, jak wyraził się któryś z łacińskich doktorów Kościoła, serca są niespokojne, dopóki nie znajdą spokoju w Bogu. *Quare tumultuantur gentes!... Adversus Dominum, et adversus Christum eius!*

Co zaś do końca kapłan Syryjczyk nie bardzo kłopotał się o to.

„Być może – myślał syryjski ksiądz – okręt ulegnie przemocy, ale w razie takiej katastrofy nastanie koniec wszystkiego ziemskiego”.

Bramy piekielne nie osiągną przewagi; gdy Rzym upadnie, świat także upadnie,

a skoro upadnie świat – Chrystus ujawni się w mocy. Osobiście wyobrażał sobie, że koniec jest niedaleki. Tkwiło to w jego umyśle dziś po południu, gdy wymieniał nazwę Megiddo, bo zdawało mu się naturalnym, aby w chwili nadejścia końca wszechrzeczy Namiestnik Chrystusowy mieszkał w Nazarecie, gdzie Król Jego zstąpił na ziemię, jak również, aby Armageddon boskiego Jana widział z miejsca, w którym Chrystus ujął po raz pierwszy swe ziemskie berło i ujmie je ponownie. Nie pierwsza to będzie walka w Megiddo. Izrael i Amalak spotkali się na tej równinie; Izrael i Asyryjczycy; Sezostrys i Sennacheryb jeździli tutaj, chrześcijanie i Turcy ścierali się na podobieństwo Michała i szatana nad miejscem, w którym spoczywało Ciało Boskie.

Jak nastąpi ten koniec? – nie miał dokładnego pojęcia. Prawdopodobnie będzie to bitwa, a cóż za pole mogłoby lepiej nadawać się do niej nad tę olbrzymią, okrągłą równinę Ezdrelonu, o dwudziestu milach średnicy, mogącą pomieścić wszystkie armie świata?

Dla niego wreszcie, nie mającego pojęcia o danych statystycznych, cały świat dzielił się na dwie części: chrześcijan i pogan. Obie bardzo liczne. Bez wątpienia coś się stać musi. Oddziały wojska wylądują w Hajfie, potoczą się na południe z Tyberiady, Damaszku i dalekiej Azji; na północ z Jerozolimy, Egiptu i Afryki; na wschód z Europy, na zachód znów z Azji tudzież z odległych Ameryk. I na pewno stanie się to niedługo, bo Namiestnik Chrystusa jest już oto tutaj, a On sam przecież mówi w Ewangelii: *Ubicumque fuerit corpus, illic congregabuntur et aquilae.*

Bardziej subtelnej interpretacji proroctwa nie wyobrażał sobie. Dla niego słowa były rzeczą, nie zaś etykietami idei. Co powiedział Chrystus i święty Paweł, i święty Jan, należało rozumieć dosłownie. Głównie dzięki odosobnieniu od świata, uniknął tej wielkiej ekspansji pomysłów Ritschla, będących w ubiegłym stuleciu powodem dezercji tak wielu spod sztandaru wiary zrozumiałej. Dla innych najwyższą walkę stanowiła trudność zdecydowania się na to, że słowa nie były rzeczami, a jednak rzeczy, które one przedstawiały, były same w sobie podmiotowe. Dla tego człowieka, siedzącego teraz w blaskach księżyca i słuchającego odległego tupotu kopyt końskich na wzgórzu, posłaniec bowiem zbliżał się już od strony Kany, wiara stawała się tak prosta jak nauka ścisła. Tu Gabriel opuścił się na skrzydłach z piór od Tronu Pańskiego, umieszczonego za gwiazdami i Słowo stało się Ciałem, gdy Maryja złożyła ręce na piersi i uchyliła czoła przed wyrokiem Odwiecznego. I tu także – myślał, jakkolwiek myśl ta była jeszcze tylko domysłem, niemniej wszakże domysłem pozwalającym mu słyszeć turkot kół i wrzawę zastępów bożych, zbierających się dokoła obozu świętych – Anioł Gabriel przykłada już poza granicami ciemności trąbę przeznaczenia do warg swoich i całe niebo wre życiem. Mógł mylić się wówczas, jak inni mylili się innymi czasy, ale ani on, ani też owi inni nie mogli mylić się wiecznie. Musi dnia pewnego nadejść kres cierpliwości Boga, choć cierpliwość ta wypływała z wieczności Jego natury.

Ale oto powstał, ujrawszy na ścieżce, oświetlonej bladym światłem księżyca,

o jakieś sto jardów od domku, bladą postać jeźdźca z workiem skórzanym uwiązany u pasa.

Okolo godziny trzeciej po północy kapłan syryjski obudził się w swojej izdebce o glinianych ścianach, sąsiadującej z pokojem Ojca Świętego, usłyszawszy kroki na schodach. Kilka godzin temu pozostawił swego pana przy otwieraniu stosu listów, nadesłanych przez kardynała Corkrana. Sam ruszył prosto do łóżka i zasnął natychmiast. Teraz zaś, jeszcze snem oszołomiony, leżał przez chwilę, nasłuchując stapania, nagle jednak zerwał się i siadł na łóżku, usłyszał bowiem wyraźne pukanie do drzwi. Pukanie ponowiło się, wstał więc z łóżka w swej długiej nocnej tunice, podciągnął ją szybko do pasa i ruszywszy ku drzwiom, otworzył je na oścież.

W progu stał papież, trzymając w jednej ręce małą lampkę, bo świt jeszcze się nie zaczął, a w drugiej jakiś list.

– Przepraszam was, ojcze – przemówił – ale muszę natychmiast wysłać depezę do Jego Eminencji.

Razem tedy przeszli przez pokój papieski – ksiądz na poły jeszcze oślepiiony snem – wstąpili na schody i znaleźli się w czystym, zimnym powietrzu na płaskim dachu domku. Papież zgasił lampkę i postawił ją na parapecie.

– Będzie wam zimno, ojcze. Przynieście sobie burnus.

– A Wasza Świątobliwość?

Papież uczynił lekki ruch odmowy i skierował się ku budce, zawierającej przyrząd do łączności radiowej.

– Przynieś sobie burnus, ojcze – powtórzył przez ramię – ja tymczasem zadzwonię.

Gdy po upływie trzech minut ksiądz powrócił w burnusie i sandałach, niosąc drugi dla swego pana, papież siedział jeszcze przy stole przyrządu. Nie podniósł nawet głowy na widok wchodzącego, lecz przycisnął raz jeszcze lewarek, łączący się z dwunastostopowym drągiem, wystającym z dachu, nad ich głowami i wysyłającym drgającą energię poprzez osiemdziesiąt mil mrocznego powietrza pomiędzy Nazaretem a Damaszkiem.

Prosty kapłan syryjski dotychczas jeszcze nawet nie przyzwyczyił się do tego przyrządu, wynalezione przed wiekiem i udoskonalonego z czasem do stopnia ścisłej dokładności; do tego przyrządu, przez który za pomocą drąga, zwoju drutów i pudełka rozmaitych kółek, coś znajdującego się, jak stwierdzono, w każdej materii, jeżeli nie w ogóle u podstaw życia fizycznego, przemawiało poprzez przestwory świata do aparatu odbiorczego, dostrojonego z nadzwyczajną dokładnością do wibracji, które miał otrzymywać.

Powietrze było zadziwiająco chłodne, zważywszy na upał poprzedzającego dnia i tych, które miały nastąpić, toteż kapłan drżał z zimna stanąwszy na dachu i spoglądając to na nieruchomą postać papieża, siedzącego na krześle przed przyrządem, to na olbrzymią kopułę nieba, na której w jego oczach zimna, bezbarwna jasność

przybierała delikatny żółty odcień, w miarę, jak tam daleko, za Taborem i Moabem wzrastał świt. Z wioski, odległej o pół mili, doleciało pianie koguta, cienkie i metaliczne, jak brzmienie trąby; pies gdzieś szczeknął. Wtem uderzenie dzwonka, zawieszzonego pod daszkiem szopy, przypomniało stojącemu rzeczywistość, zapowiadając początek pracy.

Na dźwięk dzwonka papież przycisnął dwukrotnie lewarek, a następnie po przerwie jeszcze raz, poczekał na odpowiedź, gdy zaś nadeszła, powstał z krzesła i skinął na księdza, by zajął jego miejsce.

Syryjczyk usłuchał, podawszy najpierw burnus panu i czekał, dopóki papież nie zasiadł do stołu tak, aby mogli widzieć nawzajem swoje twarze, po czym, umieściwszy palce na klawiszach przyrządu, zwrócił oczy na papieża, aby ten zaczął mówić. Zauważył przy tym, że twarz jego pana, wyglądająca spod kaptura burnusa, była bledsza, niż kiedykolwiek w tym zimnym świetle świtu. Czarne łuki brwi wzmacniały jeszcze bardziej tę bladość i nawet mocno zarysowane wargi, gotowe do przemówienia, wydawały się białe, bezkrwiste.

Papież, trzymając arkusz w ręku, utkwiał świdrujący wzrok w Syryjczyku.

– Upewnij się ojcze – przemówił nagle – że to kardynał.

Kapłan uderzył w klawisze, a po chwili zaczął czytać depezę, która drukowała się jakby cudem, na podłużnej białej ćwiartce papieru, wyłaniającej się z przyrządu.

– Tak, Wasza Świątobliwość – szepnął – to Jego Eminencja. Sam jest przy aparacie.

– Bardzo dobrze, a więc zaczynaj: „Otrzymaliśmy list Eminencji i przyjęliśmy do wiadomości nadesłane nowiny. Powinny jednak były nadejść drogą radiową. Dlaczego nie uczyniono tego?”

Papież zamilkł, a kapłan, nadawszy depezę prędzej, niż można by ją napisać, przeczytał po chwili nadesłaną odpowiedź:

„Nie sądziłem, że są pilne. Przypuszczałem, że to tylko jedna więcej napaść. Zamierzałem donieść więcej, jak tylko je otrzymam”.

„Oczywiście, że były pilne – odezwał się znów głos papieża, dobitnie i wolno, jak zwykle przy przesyłaniu depeż – proszę pamiętać, że wszystkie tego rodzaju nowiny są pilne”.

„Zapamiętam – czytał kapłan – i żałuję błędu”.

„Eminencja pisze – mówił dalej papież, trzymając wzrok utkwiony w arkuszu papieru – że środek ten zadecydowano, ale wymienia tylko nazwiska trzech zwierzchników. Proszę wymienić wszystkich, jeśli są już znani”.

Nastąpiła chwila przerwy, po czym kapłan zaczął czytać nazwiska:

„Oprócz trzech kardynałów, których nazwiska posłałem, także arcybiskupi: tybetański, kairski, kalkucki i sydnejski zwrócili się z zapytaniem, czy nowina jest prawdziwa i zażądali wskazówek. Poza tym, mogę jeszcze wymienić inne nazwiska, jeżeli otrzymam pozwolenie wstania na chwilę od aparatu”.

„Proszę to uczynić” – odparł papież.

I znów nastąpiła przerwa, a po niej posypały się tytuły:

„Biskupi: bukareszteński, wysp Markezów i nowofunlandzki, Franciszkanie japońscy, marokańscy Bracia Biedni, arcybiskupi: manitobski i portlandzki i kardynał arcybiskup pekiński. Wyprawiłem dwóch członków Zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego do Londynu”.

„Proszę opowiedzieć, kiedy i jak nadeszła wiadomość”.

„Zawezwano mnie do aparatu wczoraj wieczorem, około dwudziestej. Arcybiskup sydneyjski pytał się, za pośrednictwem naszej stacji w Bombaju, czy nowina jest prawdziwa. Odpowiedziałem, że nic o niej nie wiem. W ciągu dziesięciu minut po tym pierwszym pytaniu nadeszły jeszcze cztery inne w tym samym przedmiocie, a w trzy minuty potem kardynał Ruspoli nadesłał mi z Turynu stanowcze potwierdzenie wiadomości. Równolegle nadeszła taka sama wiadomość od ojca Petrowskiego z Moskwy. Wówczas...”.

„Przepraszam. Ale dlaczego nie nadesłał jej kardynał Dołgorowski?”.

„Nadesłał ją w trzy godziny później”.

„Dlaczego nie zaraz?”.

„Jego Eminencja nie słyszał o niej”.

„Proszę sprawdzić – nie teraz, lecz później – kiedy otrzymano wiadomość w Moskwie”.

„Spełnię rozkaz”.

„A teraz proszę mówić dalej”.

„Kardynał Matpas zawiadomił mnie o nowinie w przeciągu pięciu minut po kardynale Ruspolim, reszta zaś zapytań nadeszła przed północą. Chiny nadesłały zawiadomienie o dwudziestej trzeciej”.

„Jak przypuszcza Eminencja, kiedy nowina doszła do wiadomości ogółu?”.

„Rzecz postanowiono najpierw na tajnej konferencji w Londynie, która odbyła się wczoraj około szesnastej według naszego czasu. Podobno właśnie o tej godzinie pełnomocnicy podpisali uchwałę, po czym zakomunikowano ją ogółowi. Tutaj ogłoszono ją na pół godziny przed północą”.

„A więc Felsenburgh był w Londynie?”

„Nie jestem tego jeszcze pewien. Kardynał Matpas powiada mi, że Felsenburgh dał przyzwolenie tymczasowe jeszcze dnia poprzedniego”.

„Dobrze. Czy to wszystko, co Eminencja wie?”.

„Przed godziną kardynał Ruspoli ponownie wezwał mnie do aparatu. Powiada, że obawia się wybuchu zaburzeń we Florencji. Jego zdaniem będzie to początek licznych rewolucji”.

„Czy żądał przy tym czego?”.

„Tylko wskazówek”.

„Proszę mu powiedzieć, że przesyłamy mu błogosławieństwo apostolskie i że nadeślemy wskazówki w ciągu dwóch godzin. Proszę wybrać dwunastu członków zakonu do natychmiastowego rozporządzenia”.

„Dobrze”.

„Proszę także zawiadomić jak tylko skończymy, o tym, co powiedziałem, całe Kolegium Święte, polecając zakomunikować wiadomość, z całą ostrożnością, wszystkim arcybiskupom i biskupom, aby księża i lud wiedzieli, że sercem jesteśmy z nimi”.

„Uczynię to, Wasza Świątobliwość”.

„Proszę im także powiedzieć, iż dawno już to przewidzieliśmy, że polecamy ich Ojcu Przedwiecznemu, bez woli którego nikomu najmniejsza krzywda się nie stanie. Zleć im, aby zachowali spokój i ufność; aby nie dopuszczali się niczego, prócz wyznania wiary, jeżeli będą o to pytani. Wszelkie inne wskazówki zaraz będą wysłane do ich pasterzy”.

„Uczynię to, Wasza Świątobliwość”.

I znów nastąpiła przerwa.

Papież przemawiał z najzupełniejszym spokojem, jakby we śnie. Oczy jego utkwione były w papier, ciało nieruchome jak posąg. Niemniej kapłanowi, który słuchał, wysyłał w języku łacińskim depeche i odczytywał głośno odpowiedzi, zdawało się, jakkolwiek tak mało zdołał z depech tych wyrozumieć, że światu zagraża coś bardzo dziwnego i wielkiego.

Kapłan jakby czuł jakieś dziwne napięcie w atmosferze i choć nie bardzo zastanawiał się nad faktem rozpaczliwego domagania się, najwidoczniej przez cały świat katolicki, porozumienia się z Damaszkiem, to jednak przypomniał sobie swoje myśli z poprzedniego wieczora, gdy oczekiwał na posłańca. Zdawało mu się, że moce tego świata zamierzają uczynić nowy krok. Ale w jakim kierunku? Nie bardzo dbał o to.

Papież znowu przemówił spokojnym głosem.

– Ojczy, co powiem teraz, będzie to jak na spowiedzi. Pojmujesz? To dobrze. A teraz zaczynaj.

Znów odezwał się dzwonek aparatu.

„Eminencjo – dyktował papież – za godzinę odprawimy mszę do Ducha Świętego. Proszę postarać się, aby całe Kolegium Święte było duchem z wami i czekało na Nasze rozkazy. Postanowienie, które mamy powziąć, będzie się całkowicie różnić od wszystkich poprzednich. Bez wątplenia Eminencja pojmuje to teraz. Kilka projektów tkwi w naszym umyśle, ale nie wiemy jeszcze, który z nich Pan nasz wskaże Nam, jako zgodny z Jego wolą. Prosimy o odprawienie mszy świętej na Naszą intencję. Cokolwiek ma być zrobione, musi być zrobione szybko. Sprawę kardynała Dołgorowskiego możecie odłożyć na później. Pragniemy jednak wiedzieć o wyniku waszych badań, zwłaszcza w Londynie, jeszcze przed południem. *BENEDICAT TE OMNIPOTENS*

DEUS PATER ET FILIUS ET SPIRITUS SANCTUS”.

„AMEN!” – szepnął kapłan, powtarzając depeszę.

* * *

Maleńka kaplica w domku na dole nie wiele różniła się od innych izdebek. Ozdób nie posiadała żadnych, prócz niezbędnych koniecznych do liturgii i nabożeństwa. W gipsie, pokrywającym ściany, odtworzono w płaskorzeźbie czternaście stacji Drogi Krzyżowej; w kącie stał mały kamienny posąg Matki Boskiej, a przed nim wykuty z żelaza świecznik, na masywnym zaś, nieociosanym kamiennym ołtarzu, wzniesionym o jeden stopień nad podłogą, widniało jeszcze sześć takich świeczników i żelazny krzyż. Tabernakulum, również żelazne, zasłonięte płóciennymi firankami, stało pod krzyżem, mała wreszcie, kamienna płyta, wystająca ze ściany, służyła za kredens. W kapliczce znajdowało się jedno tylko okno i to wychodzące na podwórze tak, że obce oczy nie mogły do niej zajrzeć.

Kapłanowi syryjskiemu, który jak zwykle zabrał się do rozkładania szat w maleńkiej zakrystii, dotykającej do ołtarza, przygotowania ampulek i obciążania obrusa na ołtarzu, nawet ta lekka praca wydawała się dziś uciążliwa. W powietrzu czuć było niezwykłą ciężkość. O ile uczucie to przypisywać należało nagłej przerwie w odpoczynku – nie wiedział; obawiał się jednak, aby ciężkość owa nie była groźną zapowiedzią suchego pustynnego wichru. Istotnie, żółta barwa świtu nie rozplynęła się ze wschodem słońca.

Nawet teraz, gdy stapał bez szelestu bosymi stopami pomiędzy predellą a klęcznikiem, gdzie widniała cicha, biała postać bez ruchu, spostrzegał od czasu do czasu przez okno, ponad dachami z przeciwnej strony podwórka, płat nieba jasnopiaskowej barwy, zapowiadającej upał.

Skończył wreszcie pracę, zapalił świece, przyklęknął, po czym stanął z pochyloną głową, oczekując aż Ojciec Święty powstanie z klęcznika. Na podwórku rozległy się kroki służącego, który podchodził, aby wysłuchać mszy świętej. W tej chwili papież powstał i udał się do zakrystii, gdzie leżał przygotowany do ofiary świętej czerwony ornat Boga, który objawił się płomieniem.

Zachowanie się Sylwestra podczas mszy zaznaczało się dziwnym brakiem ostentacji. Poruszał się tak szybko, jak pierwszy lepszy kapłan, przemawiał głosem równym i cichym, bez pośpiechu ani też ociągania. Zgodnie z tradycją, zajął pół godziny *AB AMICTU AD AMICTUM* i nawet w tej małej, pustej kaplicy starał się mieć zawsze spuszczone oczy. A jednak kapłan syryjski nigdy nie usługiwał mu do mszy bez pewnego uczucia strachu, i to nie tylko skutkiem tego, że wiedział o wzbudzającej najwyższą cześć godności tego skromnego celebransa, ile – choć nie mógł tego wyrazić – skutkiem nieokreślonej atmosfery wzruszenia, otaczającej tę postać w ornamencie

i odczuwanej niemal fizycznie; skutkiem zupełnego braku świadomości samego siebie, a natomiast świadomości, że ktoś inny jest tu obecny; wreszcie, skutkiem takiej doskonałości zachowania celebransa w najdrobniejszych nawet szczegółach, która mogła być tylko wynikiem absolutnego opanowania idei. Już nawet dawnymi czasy, jedną z rzeczy godnych widzenia w Rzymie była msza święta odprawiana przez ojca Franklina. Posyłano uczniów z seminarium przed samym ich wyświęceniem, aby przypatrywali się tej doskonałości zachowania się i metody.

Dziś odbywało się wszystko jak zwykle, ale podczas Komunii kapłan syryjski spojrzął nagle w górę pod wrażeniem, że ktoś zniewala go do tego ruchem lub dźwiękiem, a w miarę jak patrzył, serce zaczęło mu bić tak szybko i konwulsyjnie, że tętno podchodziło do gardła. A jednak dla oczu postronnych nie było tu nic nadzwyczajnego. Przy ołtarzu stała postać z pochyloną głową, podbródkiem opartym na końcach długich palców, z ciałem zupełnie wyprostowanym w pozie tak lekkiej, jak gdyby nogi wcale nie unosiły ciężaru. Lecz dla umysłu wewnętrznego coś się tu ujawniło. Syryjczyk nie mógł sformułować tego w żaden sposób, gdy jednak później zastanawiał się nad odniesionymi wrażeniami, doszedł do przeświadczenia, że spojrzął w górę z uczuciem objawienia się czegoś widzialnego lub słyszalnego. Było to uczucie, które można by opisać wyrażeniami, odnoszącymi się albo do światła, albo do dźwięku. Lada chwila ta delikatna, żyjąca siła, płonąca dla oczu duszy pod szkarłatnym ornatem i białą albą, mogłaby nagle wyłonić się na zewnątrz pod postacią promieniejącego światła, które uczyniłoby jaśniejącym nie tylko brunatne ciało, widne spod siwych włosów, ale i każdą tkankę szorstkich, martwych, barwionych materii, okrywających resztę postaci. Albo mogłaby też ujawnić się przeciągłym chórem na strunach wiatru, jak gdyby związek mistyczny pomiędzy poświęconą duszą a niewysłowionym bóstwem i ludzkością Jezusa Chrystusa rodził dźwięki, płynące bez przerwy razem z rzeką życia od Tronu Baranka.

Chwile upływały w tej ciszy czystej i spokojnej. Na zewnątrz dźwięki powstawały i zamierały: to daleki turkot wozu; to pierwsze odgłosy cykad w szorstkiej trawie za murem; to służący, klęczący za kapłanem, westchnął głęboko, jakby pod wpływem niezwykłego wzruszenia. A jednak postać papieża stała przed ołtarzem cicho, bez ruchu, w posągowych fałdach alby. Gdy schylał się, aby odkryć drogocenną krew, położyć ręce na ołtarzu lub wzniesić je do góry, rzekłbyś posąg ożył na chwilę. Dla kapłana, służącego do mszy, każdy taki ruch był niemal wstrząśnieniem.

I znów, gdy kielich został wypróżniony, wzmogło się to pierwsze uczucie, że wszystko, co ludzkie i zewnętrzne, zamiera w objęciu boskiego i niewidzialnego, i znów płonąca cisza... i znów, gdy energia duchowa cofnęła się ku swoim początkom, Sylwester podniósł kielich.

Kapłan syryjski powstał z drżącymi kolanami i oczyma szeroko rozwartymi w oczekiwaniu, skłonił się i skierował ku kamiennej półce.

Było zwyczajem, że po mszy papieskiej kapłan syryjski odprawiał drugą w obecności papieża, dzisiaj jednak, z chwilą gdy szaty mszalne zniknęły jedna po drugiej w grubo ciosanej skrzyni, Sylwester zwrócił się do Syryjczyka:

– A teraz – rzekł cicho – idź ojciec na dach i zawiadom kardynała, aby był w pogotowiu. Za pięć minut przyjdę do ciebie.

„Istotnie – pomyślał kapłan, znalazłszy się na płaskim dachu – nadchodzi *sirocco*”.

Nad ziemią rozpościerało się niebo nie barwy niebieskiej, jak zwykle o tej godzinie, lecz bladożółtej, przechodząc na widnokręgu w barwę niemal brunatną. Z dala widniał Tabor, jak cień w powietrzu pełnym drobnego pyłu, z drugiej zaś strony równiny nie było widać nic prócz niewyraźnych zarysów pagórków na tle nieba. Pomimo wczesnej jeszcze godziny powietrze było ciężkie i pałące. Od czasu do czasu powstawał ciężki, duszący powiew, który przebywszy nieskończone mile piaszczystych pustyń, zbierał po drodze upał olbrzymiego, bezwodnego kontynentu i rzucał go na ten biedny skrawek ziemi. Także Karmel, gdy kapłan zwrócił się w tę stronę, widniał otoczony u podnóża mgłą, wyłaniając nad nią swój szczyt, spoglądający ku niebiosom. Nawet stół aparatu radiotelegraficznego był suchy i gorący. Zanim nadejdzie południe, nie sposób będzie dotknąć się jego stalowych części.

Kapłan nacisnął lewarek i czekał, nacisnął ponownie i znów czekał. Nagle odezwał się w odpowiedzi dźwięk dzwonka. Wówczas posłał depezę, że natychmiastowa obecność kardynała przy aparacie jest konieczna. Minęło kilka minut i znów zadźwięczał dzwonek, a na białej ćwiartce papieru, wysuwającej się z aparatu, pojawiły się stopniowo słowa:

„Jestem tutaj. Czy to Jego Świątobliwość?”.

W tejże chwili kapłan uczuł na ramieniu dotknięcie ręki i ujrzał papieża w białej szacie i kapturze na głowie.

– Powiedz mu, że to ja, i spytaj, czy nie ma więcej nowin.

Papież podszedł do krzesła i usiadł, po upływie minuty kapłan odczytał z rosnącym wzruszeniem następującą odpowiedź:

„Zapytania nadchodzą ze wszystkich stron. Wielu spodziewa się, że Wasza Świątobliwość odpowie wyzwaniem. Sekretarze moi są od czwartej zajęci. Panuje niepokój nie do opisania. Niektórzy powiadają, że chyba nie ma papieża. Należy natychmiast coś przedsięwziąć”.

„Czy to wszystko?” – spytał papież.

I znów, po chwili przerwy, kapłan przeczytał odpowiedź:

„Tak i nie. Wiadomość jest na pewno prawdziwa. Uchwała będzie zaraz wprowadzona w życie. Jeżeli nie będą natychmiast przedsięwzięte odpowiednie kroki, to apostazja rozszerzy się gwałtownie i ostatecznie”.

„Bardzo dobrze – odpowiedział papież głosem urzędowym – a teraz, Eminencjo, proszę słuchać uważnie”.

Zamilkł na chwilę, złożywszy dłonie i dotykając końcami palców podbródka, jak przed chwilą podczas mszy świętej, po czym zaczął dyktować:

„Zamierzamy powierzyć się bez zastrzeżeń rękóm Boga. Przezorność ludzka nie powinna dłużej powstrzymywać Nas od tego. Rozkazujemy wam zatem, abyście, stosując możliwą ostrożność, zakomunikowali te Nasze życzenia, w największej tajemnicy, następującym osobom i nikomu więcej. Dla dokonania zaś tego użyjcie posłańców, wziętych z Zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego, po dwóch do każdego poselstwa, które nie powinno być powierzone pismu pod jakąkolwiek postacią. A więc: dwunastu członkom Kolegium Świętego, dwudziestu dwóm arcybiskupom i patriarchom na całym świecie, czterem generałom zakonów: Towarzystwa Jezusowego, Braci Biednych, zakonników regularnych i kontemplacyjnych, razem trzydzieści osiem osób. Poza tym, kapelan Waszej Eminencji, mający sprawować urząd notariusza, kapelan Nasz, mający mu pomagać i wreszcie My sami – ogółem czterdzieści jeden osób – ma zebrać się tu, w naszym domu w Nazarecie, nie później niż w wigilię Zielonych Świąt. Niechętnie odnosimy się do przedsięwzięcia koniecznych kroków w sprawie nowego dekretu, nie wysłuchawszy uprzednio rady Naszych doradców i bez dania im sposobności swobodnego porozumienia się między sobą. Powyższe słowa winny być przekazane tak, jak je tutaj podajemy, wszystkim wyżej wymienionym osobom. Prócz tego, Eminencja powiadomi ich, że narady nasze nie będą trwały dłużej, niż cztery dni.

Co się zaś tyczy zaprowiantowania konsylium oraz załatwienia wszelkich, związanych z tym spraw, to Wasza Eminencja wyśle dzisiaj swego kapelana, aby razem z Naszym rozpoczęli odpowiednie przygotowania. Eminencja przybędzie tu po nim, nie później niż w ciągu czterech dni, mianując ojca Marabouta swoim zastępcą.

Wreszcie, wszystkim tym, którzy wobec nowego dekretu żądali wyraźnych wskazówek, proszę zakomunikować tylko to jedno i nic więcej: Nie traćcie nadziei, którą czeka wielka nagroda. Gdyż jeszcze chwila, a Ten, który ma nadejść, nadejdzie bez zwłoki.

Sylwester biskup, sługa sług bożych”.

Rozdział 3

Oliver Brand wyszedł z sali obrad w Westminsterze w piątek wieczorem, jak tylko skończyła się praca i pełnomocnicy wstali od stołu, bardziej zajęty wrażeniem, jakie wywrze nowina na jego żonie, niż tym, co powie o niej cały świat.

Zdaniem jego, początek zmiany datował się od dnia, w którym prezydent świata zapowiedział rozwój swojej polityki i jakkolwiek Oliver sam uległ temu rozwojowi i broniąc go publicznie, przekonał się stopniowo o jego potrzebie, Mabel, po raz pierwszy w życiu, okazała względem potrzeby tego rozwoju zacięty opór. Toteż posądzał ją, że popadła w pewien rodzaj obłądu.

Deklaracja Felsenburgha pojawiła się w tydzień lub dwa po uznaniu go w Westminsterze za władcę świata, Mabel jednak w pierwszej chwili przyjęła tę wiadomość z zupełnym niedowierzaniem. Gdy wreszcie nie ulegało już żadnej wątpliwości, że deklaracja zapowiada możliwość konieczności wytrzebienia wierzących w nadnaturalność – przyszło pomiędzy mężem i żoną do burzliwej sceny. Mabel oświadczyła wręcz, że jest oszukana, że zadrwiono potwornie z nadziei świata, że królestwo powszechnego pokoju stało się tak dalekim, jak nigdy przedtem, że Felsenburgh sprzeniewierzył się pokładanej w nim ufności i złamał dane słowo. Scena była wręcz przerażająca, nie dziw więc, że Oliver nie lubił nawet wspominać o niej. Stopniowo Mabel uspokoila się cokolwiek, niemniej najwymowniejsze jego argumenty, wyłożone jej z nieskończoną cierpliwością, odniosły skutek bardzo mały. Zacięła się w milczeniu, prawie nie odpowiadając na jego pytania. Jedno tylko zdawało się ją nieco wzruszać, a to, gdy Oliver mówił o osobowości Felsenburgha. Wobec tego zaczynał on pojmować, że bądź co bądź była tylko kobietą, podlegającą wpływowi silnej indywidualności, ale nie podlegającą wpływowi logiki. Odkrycie to bardzo go rozczarowało, pomimo to jednak wierzył jeszcze, że czas uleczy jego ukochaną.

Rząd angielski przedsięwziął szybkie i sprytnie obmyślane środki dla przywrócenia pewności siebie tym, którzy – jak Mabel – wzdragali się przed nieuniknionym, logicznym wynikiem nowej polityki. Armia mówców rozproszyła się po kraju, tłumacząc deklarację i broniąc jej przed zarzutami. Prasą kierowano z nadzwyczajną zręcznością i można śmiało powiedzieć, że nie było osoby wśród mieszkańców Anglii, do której nie dotarłaby rządowa obrona deklaracji.

Krótko mówiąc, bez zwrotów retorycznych, argumenty obrony przedstawiały się jak następuje i nie ulega wątpliwości, że potrafiły uspokoić pełen zdumienia bunt umysłów bardziej sentymentalnych.

Pokój – opiewała obrona – stał się po raz pierwszy w dziejach świata faktem

powszechnym. Nie było już państwa, choćby najmniejszego, posiadającego interesy sprzeczne z interesami jednej z trzech wielkich dzielnic świata, której część stanowiło. A ten pierwszy stopień osiągnięto przed pięćdziesięciu blisko laty. Drugi stopień zjednoczenia tych trzech dzielnic pod jedną ręką – czyn nieskończenie donioślejszy, niż poprzedni, gdyż ścierały się tu interesy nierównie ważniejsze – osiągnięto przez jedną, jedyną osobę, która wyłoniła się z ludzkości właśnie w tej chwili, gdy osoby takiej świat potrzebował najbardziej. Oczywiście zatem nie jest wygórowanym żądanie, aby korzystający z dobrodziejstw godzili się na życzenia i zdanie tego, za którego pośrednictwem dobrodziejstwa te osiągnęli. Było to więc odwołanie się do wiary.

Drugi argument zwracał się do rozsądku. Prześladowanie – na co zgodzi się każda oświecona osoba – to metoda dzikiej większości, pragnącej zmusić mniejszość do uznania pewnych opinii, nie przyjmowanych przez nią dobrowolnie. Otóż szczególna złośliwość prześladowań pochodziła dawnymi czasy nie z użycia siły, lecz z jej nadużycia. Dyktowanie opinii religijnej przez państwo stanowiło nieznośną tyranie, ani jedno bowiem państwo nie posiadało prawa tworzenia powszechnych zasad tak, aby w państwie sąsiednim nie mogły istnieć zasady zupełnie odwrotne. To jednak było w rzeczywistości niczym innym, jak tylko indywidualizmem narodów, herezją, bardziej nawet szkodliwą dla społeczeństwa świata, niż indywidualizm jednostek. Wszelako, z nastaniem wspólnoty interesów całego świata, sytuacja zmienia się zupełnie. Jedność osobista rasy ludzkiej nastąpiła po bezładzie jednostek rozbitych, a z dokonaniem tego, co można by porównać z osiągnięciem dojrzałości, wszedł w życie zupełnie nowy zbiór praw. Społeczeństwo ludzkie stało się teraz jedną istotą, z najwyższą odpowiedzialnością względem siebie, przestały zupełnie istnieć prawa prywatne, przedtem oczywiście istniejące. Człowiek osiągnął teraz panowanie nad każdą komórką tworzącą jego mistyczny organizm, gdzie zaś komórka taka rościła sobie prawa ku szkodzie innym, tam prawa całości stawały się zachwiane.

Nie było zaś oprócz religii katolickiej żadnej innej, która by rościła sobie takie same prawa powszechnej jurysdykcji. Sekty Wschodu, pomimo że każda zachowała cechy charakterystyczne, znalazły w Nowym Człowieku wcielenie swoich ideałów, toteż wyraziły poddanie się władzy całego organizmu, którego on był głową. Tymczasem już treść religii katolickiej stanowiła zdradę samej idei człowieka. Chrześcijanie hołowali jakiejś wymarzonej istocie nadnaturalnej, znajdującej się – jak twierdzili – nie tylko poza światem, ale świat przewyższającej. A zatem chrześcijanie, już nie zwracając nawet uwagi na ich nedorzeczną bajkę o Wcieleniu – którą można by bardzo dobrze znosić, musi bowiem sama przez się wygasnąć, jako oparta na nedorzecznosci – odłączali się rozmyślnie od tego organizmu, którego byli członkami skutkiem należenia do rodu ludzkiego. Byli podobni do odrętwiałych kończyn, poddających się działaniu siły zewnętrznej, nie mającej nic wspólnego z siłą, stanowiącą jedyne źródło ich życia, przez to samo więc narażali na niebezpieczeństwo całe organizm. Szaleństwo takie, to

jedyny czyn, zasługujący jeszcze na miano zbrodni. Morderstwo, złodziejstwo, gwałt, a nawet anarchia, stawały się małymi błędami w porównaniu do tego potwornego grzechu, choć bowiem raziły istotnie cały organizm, to jednak nie sięgały do jego serca. Cierpiały skutkiem nich istoty pojedyncze, przestępcy więc ci pośledniejszego znaczenia zasługiwali na ujęcie ich w karby, lecz bądź co bądź, czyny ich nie uderzały w samo życie. Chrześcijaństwo natomiast stanowiło truciznę istotnie zabijającą. Każda komórka, dotknięta przez chrześcijaństwo, podlegała zarazie właśnie w tych miejscach, które łączyły ją ze sprężynami życia. A właśnie to jedynie stanowiło najwyższą zbrodnię, bo zbrodnię zdrady człowieka i nic innego, jak tylko zupełne wytrzebiecie jej z powierzchni świata mogło być skutecznym środkiem.

Tak przedstawiały się główne argumenty, z jakimi zwracano się do tej części ludzkości, która wzdragała się jeszcze uznać powyższą deklarację Felsenburgha i trzeba przyznać, że osiągały skutek nadzwyczajny. Oczywiście, te logiczne wywody, już same przez się nie podlegające zaprzeczeniu, jeszcze przybrane były w retoryczne złocenia, namiętne zwroty i tak doskonale spełniły swą misję, że gdy nadeszła wiosna, Felsenburgh oświadczył prywatnie, iż zamierza przedstawić projekt prawa, mający doprowadzić do logicznego wyniku politykę, o której wspominał.

Obecnie zaś i ta jego śmiała zapowiedź stała się faktem dokonany.

* * *

Wszedłszy do swego domu, Oliver skierował się wprost na górę ku pokojowi Mabel, nie chciał bowiem pozwolić, aby usłyszała nowinę z innych ust niż jego. Nie zastał jej wszelako i dowiedział się, że wyszła przed godziną.

Stropiło go to bardzo. Dekret był już podpisany od pół godziny i w odpowiedzi na zapytanie lorda Pembertona rząd oświadczył, że nie ma już powodu do tajemnicy, uchwała więc mogła być zakomunikowana prasie lada chwila. Oliver pospieszył zatem, aby żona dowiedziała się o nowinie z jego ust, a oto wyszła i bez wątpienia afisze, rozwieszane po mieście, zawiadomią ją o tym, co zaszło.

Trapiło go to niewymownie, jednak z godzinę wahał się jeszcze, co uczynić. Wreszcie podszedł do tuby, łączącej pokoje z kuchnią i spytał służącej, czy nie wie, dokąd Mabel poszła, służąca jednak nie miała o tym pojęcia, wyrażając jednocześnie przypuszczenie, że pani może udała się do pobliskiej świątyni, czasami bowiem chodziła tam o tej porze. Oliver więc posłał tam służącą, sam zaś usiadł w oknie pokoju żony, spoglądając roztargnionym wzrokiem na ogromne morze dachów, kąpiących się w promieniach zachodzącego słońca. Widok ten wydał mu się tego wieczora niezwykle pięknym. Niebo nie posiadało tej barwy czysto złotej, jak w ciągu całego ubiegłego tygodnia, lecz odcień różowawy, rozciągający się na całym widnokręgu, jak oko mogło

sięgnąć, od wschodu do zachodu. Zastanowiło go to, przypomniał więc sobie, że czytał niedawno w jakiejś starej książce o wpływie usunięcia dymu z kominów na zmianę barwy nieba. A może jest to też skutek kilku silnych wybuchów wulkanicznych, które zdarzyły się ostatnimi czasy w Ameryce... Po tych refleksjach myśl jego powróciła do Mabel...

Upłynęło jeszcze dziesięć minut zanim usłyszał jej kroki na schodach, wstał więc na powitanie.

Na twarzy wchodzącej osiadł wyraz tak dziwny, że Oliver poznał natychmiast, iż Mabel wie o wszystkim. Serce przy tym ścisnęło mu się boleśnie, gdy dostrzegł jej bladość i nieruchomość. Twarz ta nie wyrażała gniewu ani oburzenia. Nic, prócz beznadziejności rozpacz i zupełnej determinacji. Usta jej tworzyły niemal linię prostą, spod białego zaś letniego kapelusza wyglądały oczy, których źrenice nie były większe od łebka szpilki. Mabel stanęła w progu, zamykając machinalnie drzwi za sobą i nie podchodziła ku mężowi.

– Czy to prawda? – spytała.

Oliver westchnął głęboko i usiadł z powrotem na krześle.

– Co, ukochana? – spytał.

– Czy to prawda – powtórzyła – że wszyscy mają być pytani, czy wierzą w Boga, kto by zaś przyznał się, że wierzy, ten ma być zabity?

Oliver zwilżył językiem zeschnięte wargi.

– Zbyt ostro – odrzekł – osądzasz sprawę, chodzi bowiem o to, czy świat ma właściwie prawo...

Mabel uczyniła szybko ruch głową.

– A więc to prawda. I tyś to podpisał?

– Moja droga, proszę cię, nie rób mi scen. Jestem zmęczony i nie odpowiem ci na pytanie, dopóki nie wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia.

– A więc mów.

– W takim razie siadaj.

Poruszyła głową odmownie.

– Niech tak będzie... Sprawa przedstawia się jak następuje: świat stanowi obecnie jedną zwartą całość, nie zaś rozproszone cząstki. Indywidualizm zamarł, przestał istnieć z chwilą, gdy Felsenburgha mianowano prezydentem świata. Pojmujesz zapewne, że obecnie zapanowały stosunki bezwzględnie nowe, takie, jakich nigdy jeszcze nie bywało. Bez wątplenia odczuwasz to nie gorzej ode mnie.

Mabel poruszyła głową.

– Proszę cię – mówił Oliver zmęczonym głosem – wysłuchaj mnie do końca. Otóż, skutkiem zmiany stosunków, wyłoniła się nowa moralność. Zupełnie jak u dziecka, gdy dojdzie do rozumu. Jest więc naszym obowiązkiem dbać o to, aby taki stan rzeczy trwał nadal, abyśmy nie cofali się, nie trapiли, aby wszystkie członki były zdrowe. „Jeżeli ręka

twoja zgrzeszy – utnij ją” mówił Jezus Chrystus. I my mówimy to samo ... Ktokolwiek zaś dzisiaj powie, że wierzy w Boga, bardzo zresztą wątpię, aby dzisiaj istniał człowiek, istotnie wierzący i pojmujący, co to w ogóle znaczy, ktokolwiek by więc dzisiaj powiedział tylko, że wierzy w Boga, popełniłby zbrodnię najgorszą ze wszystkich, bo zbrodnię zdrady świata. Nie myśl wszelako, abyśmy uciekali się do gwałtów. Wszystko będzie przeprowadzone spokojnie i miłosiernie. Wszak zawsze, razem z nami wszystkimi, pochwalając instytucję eutanazji. Otóż, zastosujemy tę instytucję i...

Mabel raz jeszcze niecierpliwie ruszyła głową. Reszta jej postaci zachowała nieruchomość posągu.

– I co z tego? – spytała.

Oliver powstał z krzesła. Twardość jej głosu była nie do zniesienia.

– Mabel – szepnął – ukochana Mabel...

Przez chwilę usta jej drżały, po czym spojrzała na męża lodowatym wzrokiem.

– Nie potrzeba mi takich słów... są one zbyt... czy podpisałeś?

Oliver czuł, podniósłszy oczy na żonę, jak wobec niej marnie i rozpaczliwie wygląda. O ileż by wolał, by się burzyła i płakała.

– Mabel – zawołał prosząco.

– A więc podpisałeś?

– Tak, podpisałem – wymówił nareszcie.

Mabel odwróciła się i mszyła ku drzwiom. Skoczył za nią.

– Mabel, dokąd idziesz?

Wówczas, po raz pierwszy w życiu, skłamała mężowi.

– Idę – rzekła – odpocząć. Zobaczymy się przy kolacji.

Wahał się jeszcze, spojrzała jednak na niego wzrokiem, pomimo wszystko tak pocziwym, że uwierzył.

– Dobrze, ukochana... i staraj się, Mabel, zrozumieć to, co powiedziałem.

W pół godziny potem, ugruntowany przez logikę, a nawet podniesiony wzruszeniem, zszedł na kolację. Wszak argumenty, które przedłożył żonie, wydawały mu się tak przekonujące! Wziąwszy pod uwagę przesłanki, przyjęte przez oboje i zastosowane w życiu, wynik musiał być taki, a nie inny.

Poczekawszy kilka minut przy stole, podszedł do tuby, łączącej mieszkanie z kuchnią.

– Gdzie jest pani Brand? – spytał.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym z tuby odezwał się głos:

– Pani wyszła przed pół godziną. Sądziałam, że pan o tym wie.

* * *

Tego samego wieczora Francis był bardzo zajęty w swym biurze szczegółami święta Życia, które miało być obchodzone po raz pierwszy dnia pierwszego lipca, chodziło mu więc o to, aby udało się nie gorzej od poprzednich, a ponieważ różniło się od nich nieco, musiał więc opracować szczegółowe instrukcje dla mistrzów ceremonii.

Mając zatem przed sobą dokładny model wnętrza opactwa oraz małe figurki na podstawkach, którymi mógł dowoli przesuwając, skrzętnie notował swą drobną ręką duchownego uwagi w zeszycie, zawierającym opis ceremonii.

Toteż, gdy około dwudziestej pierwszej odźwierny zadzwonił i zawiadomił go, że jakaś pani pragnie się z nim widzieć, odpowiedział krótko przez tubę, iż nie ma czasu. Dzwonek jednak odezwał się powtórnie, a na niecierpliwie zapytanie nadeszła odpowiedź, że osoba, oczekująca na dole, jest panią Brand, która prosi tylko o dziesięć minut rozmowy. Jeżeli tak, to co innego. Wszak Oliver Brand był wybitną osobistością, dlatego i jego żona też coś znaczyła. Francis kazał więc przeprosić czekającą i wpuścić ją do przedsionka, sam zaś powstał i spojrzał z westchnieniem na model opactwa i figurki oficjantów.

Mabel wydawała się bardzo spokojna, gdy po upływie minuty uściśnął jej rękę. Spuściła co prawda woalę, tak, że niezupełnie wyraźnie widział rysy jej twarzy, głosowi wszelako brakło zwykłej żywotności.

– Przepraszam bardzo – rzekła – że niepokoję pana, ale pragnęłabym zadać kilka pytań.

Francis uśmiechnął się zachęcająco.

– Bez wątpienia – zaczął – pan Brand...

– Nie – przerwała – pan Brand nie przysłał mnie tutaj. Jest to moja osobista sprawa. Zaraz dowie się pan, o co chodzi. Natychmiast przystąpię do rzeczy, bo wiem, że nie należy zabierać panu czasu.

Te dziwne słowa zastanowiły Francisa, ale pocieszał się, że dowie się wkrótce, o co chodzi.

– Przede wszystkim – spytała Mabel – znał pan ojca Franklina! Jeżeli się nie mylę, mianowano go kardynałem. Czy nie tak?

– Tak jest – odparł z uśmiechem Francis.

– Nie wie pan, czy żyje?

– Nie. Zginął. Był, jak pani wie, w Rzymie podczas niszczenia tego miasta.

– Ach, czy jest pan tego pewny?

– Najzupełniej. Jeden tylko kardynał ocalał, mianowicie Steinmann. Powieszono go jednak w Berlinie, a patriarcha jerozolimski zmarł w kilka tygodni później.

– Ach, tak? A teraz nieco dziwne pytanie. Zadaję je ze względów szczególnych, których wyjawic nie mogę, ale wkrótce je pan zrozumie... Oto, chciałabym wiedzieć: dlaczego katolicy wierzą w Boga?

Pytanie to zaskoczyło Francisa tak zniecierpliwiona, że przez chwilę stał oniemiały.

– Tak – ciągnęła Mabel spokojnie – pytanie jest dziwne. Ale – tu zawahała się – zresztą powiem panu otwarcie. Mam przyjaciółkę, której... której zagrażają skutki nowego prawa. Otóż, chciałabym wszcząć z nią dyskusję, dlatego jednak muszę poznać jej zapatrywania, pan zaś jest jedynym księdzem... chciałam powiedzieć, jedyną osobą, która była księdzem... znaną mi, oprócz ojca Franklina. Pomyślałam więc sobie, że nie odmówi mi pan wyjaśnień.

Głos jej brzmiał zupełnie naturalnie. Nie znać w nim było najmniejszego wahania się lub drżenia.

Francis uśmiechnął się domyślnie, zacierając rękę.

– Ach – odparł – o to chodzi? Rozumiem, ale, widzi pani, trudno objaśnić tę kwestię w kilku słowach. Czy nie lepiej byłoby może jutro?...

– Chciałabym prosić – przerwała mu szybko – o odpowiedź jak najkrótszą, bo zależy mi bardzo na otrzymaniu informacji natychmiast. Nowe prawo wchodzi w życie...

Francis skinął głową.

– A zatem – rzekł – krótko mówiąc, rzecz tak się przedstawia: katolicy twierdzą, że Bóg może być poznany rozumem, że z urzędu świata mogą wnioskować o istnieniu siły rządzącej, nazwę ją Myślą, rozumie pani? Twierdzą także, że mogą wnioskować i o innych właściwościach Boga, że jest na przykład Miłością z powodu szczęścia...

– A cierpienie? – wtrąciła Mabel.

Francis ponownie się uśmiechnął.

– W tym właśnie rzecz, tu jest słaby punkt...

– Ale jak to pojmują?

– Otóż, krótko mówiąc, powiadają, że cierpienie jest skutkiem grzechu...

– A grzech? Jak pan widzi, panie Francis, nie mam o tych rzeczach pojęcia.

– Grzech to bunt woli człowieka przeciwko Bogu.

– Co oni przez to rozumieją?

– Widzi pani, twierdzą, że Bóg chciał być kochany przez tych, których stworzył, obdarzył ich zatem wolną wolą. Inaczej nie mogliby kochać naprawdę. Jeżeli jednak są wolni, to wolno mi, skoro zechcą, nie kochać i nie słuchać Boga, i to właśnie katolicy nazywają grzechem. Pojmuje pani, co to jest za nonsens...

Mabel wstrząsnęła lekko głową.

– Tak, tak! – odparła – ale, doprawdy, chciałabym tylko wiedzieć, co ONI myślą. A więc to już wszystko?

Francis ściągnął wargi.

– Bynajmniej – odparł. – To, co powiedziałem, stanowi nie więcej, jak tylko tak zwaną przez nich religię naturalną. Katolicy wierzą w wiele innych jeszcze rzeczy.

– A mianowicie?

– Kochana pani Brand. Nie sposób jest zawrzeć to w kilku słowach. Mogę tylko powiedzieć, że wierzą, jakoby Chrystus był Bogiem, jakoby uczynił on to, aby zbawić

ich od grzechu przez śmierć swoją...

– To jest, chciał pan powiedzieć, przez cierpienie?

– Tak, przez śmierć. Słowem, to, co nazywają Wcieleniem, stanowi istotę rzeczy, z której wszystko wypływa. Gdy człowiek raz w to uwierzy, to muszę przyznać, że wszystko inne, aż do szkaplerzy i wody święconej, jest już tylko wynikiem tej wiary.

– Panie Francis, nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi.

Francis uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Oczywiście – rzekł – bo też wszystko to jest nonsensem nie do uwierzenia, choć, jak pani wiadomo, istotnie wierzyłem niegdyś w to wszystko.

– Ależ to nierozumne! – zawołała Mabel.

– Tak – mruknął były kapłan niechętnie – pod pewnym względem najzupełniej nierozumne, pod innym jednak...

Mabel nachyliła się nagle ku niemu, a oczy błysnęły jej spod białej woalki.

– Ach – zawołała niemal jednym tchem – to właśnie chciałam wiedzieć, proszę pana, niech mi pan powie, czym oni to usprawiedliwiają?

– Otóż – rzekł z wolna, po chwili zastanowienia – o ile przypominam sobie, powiadają, że istnieją inne władze poza rozumem. Powiadają, na przykład, że serce odkrywa czasem rzeczy, których rozum odkryć nie może... intuicja, pojmuje pani? Oto, na przykład, twierdzą, że takie rzeczy jak poświęcenie, rycerskość, nawet sztuka, pochodzą z serca, i choć rozum objawia się równocześnie z nimi, choćby pod postacią reguł techniki, wykonania, to jednak nie może ich dowieść, bo one mu po prostu nie podlegają.

– Zdaje mi się, że rozumiem.

– Otóż, twierdzą, że religia jest właśnie taką rzeczą, czyli innymi słowy, po prostu przyznają, że jest ona sprawą wzruszenia.

Tu zawahał się, usiłując zdać sobie sprawę, czy wyraził się dokładnie.

– Hm – rzekł wreszcie – może by się tak nie wyrazili, choć tak jest w istocie... W każdym razie...

– Co?

– W każdym razie twierdzą, że jest rzecz, nazywają ją wiarą, pewnego rodzaju głębokie przekonanie, nie dające się z czymkolwiek porównać, nadnaturalne, którego Bóg ma rzekomo udzielać ludziom pożądanym go, ludziom proszącym o nie, prowadzącym życie przykładne, i tak dalej...

– A wiara ta?

– Wiara ta, działając za pomocą tak zwanych przez nich świadectw, wiara ta daje im zupełną pewność, że Bóg istnieje, że stał się człowiekiem, i tak dalej, włącznie z Kościołem i resztą. Twierdzą również, że dowodzi tego skutek, jaki religia ich wywarła w świecie i, nawiasem mówiąc, że tłumaczy człowiekowi jego naturę. Jak pani widzi, po prostu mamy tu do czynienia z autosugestią.

Mabel westchnęła, zatrzymał się więc na chwilę.

– Czy teraz – spytał wreszcie – rozumie pani lepiej?

– Bardzo dziękuję panu. Istotnie sprawa przedstawia mi się teraz jaśniej... A czy to prawda, że chrześcijanie umierali za tę swoją wiarę bez względu na to, czym jest w istocie?

– Och, tak! Umierały ich tysiące tysięcy! Zupełnie tak, jak mahometanie umierali za swoją.

– A mahometanie wierzą również w Boga, nieprawdaż?

– Tak, wierzyli, i jak przypuszczam, trochę ich jeszcze wierzy. Ale bardzo mało. Wszyscy inni stali się ezoteryczni, jak powiadają.

– A którzy... którzy ludzie, jak pan sądzi, stanęli na wyższym stopniu rozwoju? Ludzie Wschodu czy też Zachodu?

– Och, bezwarunkowo ludzie Zachodu. Wschód rozmyśla dużo, ale działa mało. A to zawsze doprowadza do zamieszania, a nawet stagnacji myśli.

– A chrześcijaństwo było istotnie religią Zachodu do ubiegłego wieku?

– Ma się rozumieć!

Mabel zamilkła, co dało Francisowi czas zastanowić się jeszcze nad jej dziwnym postępowaniem.

„Bez wątpienia – myślał – musi być bardzo przywiązana do swej przyjaciółki, chrześcijanki”.

Po chwili wstała, więc i on również wstał.

– Dziękuję panu bardzo, panie Francis... Wszak to, co mi pan powiedział, stanowi już niejako zarys chrześcijaństwa.

– Hm, o tyle, o ile to jest możliwe w tak krótkich słowach.

– Dziękuję panu, nie mogę dłużej zajmować panu czasu.

Ruszył za nią ku drzwiom, zatrzymała się jednak.

– A pan, panie Francis? Wszak był pan w tym wszystkim wychowany. I nigdy to panu nie powraca?

Francis uśmiechnął się.

– Nigdy – odparł – chyba we śnie.

– Więc jak to pan tłumaczy? Jeżeli to wszystko autosugestia, to pan znajdował się pod jej wpływem w ciągu lat trzydziestu.

Zamilkła, a on zawahał się, co odpowiedzieć.

– Jak zapatrywaliby się na to wszystko pańscy współwyznawcy, katolicy?

– Powiedzieliby, że wyrzekłem się światła, że odjęto mi wiarę.

– A pan?

Znów zawahał się.

– Ja – odparł w końcu – powiedziałbym, że uległem autosugestii w innym kierunku.

– Rozumiem... Dobranoc panu, panie Francis.

Nie pozwoliła, aby towarzyszył jej aż na dół, toteż, gdy wytworna winda zapadła się cicho pod powierzchnię podłogi, powrócił do modelu opactwa i figurek oficjantów. Zanim jednak zaczął ponownie je ustawiać, siedział przez pewien czas zamyślony, ze ściśniętymi wargami.

Rozdział 4

W tydzień później Mabel obudziła się o świcie i przez chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Wymówiła nawet głośno imię Olivera, rozglądając się po obcym sobie pokoju i zastanawiając się, co tu w ogóle robi. Nagle przypomniała sobie i umilkła...

Już ósmy dzień spędzała w tym domu. Czas próby się skończył; dziś mogła uczynić to, po co tu przyjechała. W sobotę ubiegłego tygodnia odbyła poufny egzamin przed urzędnikiem, wyjawivszy, pod zwykłym warunkiem zachowania tajemnicy, swoje nazwisko, wiek, adres oraz przyczyny skłaniające ją do zakończenia rachunków z życiem za pośrednictwem eutanazji. Wszystko to odbyło się dobrze. Wybrała sobie Manchester, jako miejscowość dostatecznie odległą i dość wielką, aby zabezpieczyć się przed poszukiwaniem jej przez Olivera i rzeczywiście tajemnicę jej w pełni zachowano. Nie było najmniejszej oznaki, aby mążnek jej cokolwiek wiedział o zamiarach żony. W takich razach bowiem policja miała obowiązek pomagać uciekającym od życia. Pod tym przynajmniej względem uszanowano indywidualność, pozostawiając ludziom, zmęczonym życiem, swobodę wyrzeczenia się go.

Trudno osądzić, czy Mabel zdawała sobie sprawę, dlaczego obrała ten właśnie sposób popełnienia samobójstwa. Jedynie chyba przeświadczenie, że nie będzie zdolna użyć innego, skłoniło ją do obrania tej właśnie drogi. Nóż wymagał wprawy i zdecydowania, o użyciu broni palnej nie miała pojęcia, co zaś się tyczy trucizny, to według nowych, bardzo surowych przepisów otrzymanie jej było połączone z wielu trudnościami. Poza tym pragnęła poważnie się zastanowić nad swoim zamiarem oraz upewnić się jeszcze ostatecznie, czy nie ma innej drogi wyjścia.

I oto obecnie jest pewniejsza niż kiedykolwiek, że obrała właściwą drogę. Myśl o tym przyszła jej po raz pierwszy, przy poczuciu własnej bezsilności wobec szalonego wybuchu gwałtów w ostatnim dniu ubiegłego roku. Następnie jednak zamilkła pod wpływem argumentu, że człowiek podlega jeszcze recydywom dawnych nawyków i dzikich instynktów.

Po raz drugi zjawiała się ta myśl w biały dzień, jako widmo zimne i przekonywujące, gdy ogłoszono deklarację Felsenburgha. Mabel wszelako zapanowała nad nią i tym razem spodziewając się, wbrew nadziei, że deklaracja nie będzie urzeczywistniona oraz buntując się od czasu do czasu przeciwko nurtującemu jej duszę postanowieniu. Niemniej, postanowienie to wciąż tkwiło w niej i wreszcie, gdy deklaracja Felsenburgha stała się prawem obowiązującym, Mabel ostatecznie poddała się temu postanowieniu. Działo się to przed ośmiu dniami i od tej chwili nie doznała ani razu uczucia wahania.

Przestała tylko potępiać. Zamilkła wobec logiki. Czuła jedynie, że nie zniesie tego, że źle zrozumiała nową wiarę, że dla niej, bez względu na to, co myślą inni, nie ma już nadziei...

Te osiem dni, wymagane przez prawo, minęły bardzo spokojnie. Zabrała ze sobą dość pieniędzy, aby wynająć oddzielny apartament umeblowany z dostatecznym komfortem, oszczędzającym zbyt wielu nieprzyjemności osobom przywykłym do życia wygodnego. Przy tym pielęgniarki były tu miłe i współczujące – słowem, nie miała powodu do jakichkolwiek skarg.

Cierpiała oczywiście, do pewnego stopnia, pod wpływem reakcji. Tak na przykład druga noc, spędzona w tym zakładzie, była dla niej wprost straszna, Mabel bowiem czuła, że cała jej istota walczy i protestuje przeciwko losowi, na jaki skazuje ją jej wola. Istota owa domagała się rzeczy tak naturalnych: pożywienia, oddechu, towarzystwa ludzi, wzdrygała się wobec tego z przerażenia w obliczu ciemności bez miary, do której nieuniknienie dążyła, a w agonii tej uspokajała ją tylko niewyraźna obietnica jakiegoś głębszego głosu, że jednak nie wszystko kończy się z chwilą śmierci. Gdy wreszcie nadszedł poranek, razem z nim powróciła trzeźwość umysłu. Wola objęła znów panowanie, a z jej nadejściem wyraźnie cofnęła się nadzieja ciągłości istnienia.

Innym razem męczył Mabel, w ciągu kilku godzin, strach bardziej konkretny. Oto przypomniała sobie uczynione przed dziesięciu laty odkrycie, które wywarło w Anglii wstrząsające wrażenie i zniewoliło rząd do objęcia ścisłej kontroli nad domami eutanazji, mianowicie, że niektóre z tych domów stały się pracowniami wiwisekcyjnymi, gdzie dokonywano doświadczeń na ludziach, na osobach, tak jak ona, odcinających się dobrowolnie od świata, a którym dostarczano gazu, nie przerywającego nici życia, lecz tylko odurzającego. I ten strach jednak minął z powrotem dziennego światła. Przecież takie rzeczy, wobec nowych porządków, stały się niemożliwe, przynajmniej w Anglii.

Powstrzymała się od podróży na Kontynent, aby się tam pozbawić życia. Tam, gdzie sentyment był słabszy, a logika faktów bardziej nakazująca, materializm stawał się bardziej wymagający. Ponieważ zaś człowiek był tylko zwierzęciem, łatwo odgadnąć nieunikniony wynik.

Jedno tylko stawało się nieznośnym pod względem fizycznym, mianowicie nadzwyczajny upał, panujący w dzień i w nocy. Jak powiadali uczeni, wytworzyła się całkiem niespodziewana fala gorąca, co zaś do pochodzenia tego upału, to istniało z tuzin teorii, najzupełniej sprzecznych.

„Doprawdy – myślała Mabel – że to poniżające, aby ludzie, uznający się za panów ziemi, byli wobec tego zagadnienia tak bezsilni”.

Temu niezwykle stanowi atmosfery towarzyszyły żywiołowe katastrofy. Odczuto trzęsienia ziemi o niezwyklej sile. Jedno z nich zniszczyło w Ameryce co najmniej dwadzieścia pięć miast. Kilka wysp zniknęło z powierzchni morza, zaś straszny

Wezuwiusz wznowił działalność tak gwałtownie, jakby chciał wyrzucić z siebie całą lawę. Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić tych zjawisk. Ktoś nawet posunął się do fantastycznego twierdzenia, że jakiś kataklizm musiał nawiedzić wnętrze ziemi...

Tak przynajmniej Mabel usłyszała od jednej z pielęgniarek, chociaż nie bardzo się tym interesowała. Jedno tylko sprawiało jej przykrość, mianowicie, że skutkiem upału nie mogła przechadzać się po ogrodzie i musiała ograniczyć się do przebywania w swym chłodnym, cienistym pokoju na piętrze.

O jedną jeszcze rzecz spytała pielęgniarki, a to o skutek nowego prawa, lecz pielęgniarka niewiele o nim wiedziała. Zdarzyło się podobno kilka wybryków, na ogół jednak nie stosowano prawa zbyt usilnie. Zresztą minął dopiero tydzień od chwili, gdy je ogłoszono i jakkolwiek wchodziło w życie natychmiast, urzędnicy jednak rozpoczęli dopiero przepisane badania ludności.

W tej chwili, leżąc jeszcze w łóżku i rozglądając się po malowanym pułapie oraz umeblowaniu niewielkiego pokoju, uczuła gorąco większe, niż kiedykolwiek. Przez pewien czas zdawało się jej, że musi być już bardzo późno, gdy wszakże nacisnęła śrubkę repetiera, zegarek wydzwonił, ku jej wielkiemu zdziwieniu, godzinę czwartą. Ha, niedługo już będzie cierpieć. O godzinie ósmej skończy ze wszystkim. Wystarczy jeszcze czasu na napisanie listu do Olivera i rozdysponowanie ostatnich rozporządzeń.

Co się tyczy moralności swego postępku, mianowicie stosunku tego postępku do zwykłego życia ludzkiego – to pod tym względem nie czuła żadnych wątpliwości, wierzyła bowiem, jak cały świat humanitarystyczny, że jeśli czasem ból fizyczny usprawiedliwia konieczność przyspieszenia końca życia, to tak samo ból moralny może tę konieczność wywołać. Rozpacz może osiągnąć pewnego szczytu, na którym człowiek staje się niepotrzebny samemu sobie lub światu. W takiej chwili skrócenie życia to czyn najmiłosierniejszy. Dawnymi wszelako czasy nigdy nie myślała, że sama może dojść do tego stanu. Życie było dla niej wówczas zanadto interesujące. Ale doszło do tego, nie ma więc o czym mówić.

Może z tuzin razy rozpamiętywała, w ciągu tego tygodnia, swą rozmowę z Francisem. Gdy szła do niego, wiodło ją tam coś więcej, niż instynkt. Chciała wiedzieć, jak wygląda strona przeciwna, czy rzeczywiście chrześcijaństwo jest tak śmieszne, jak zawsze myślała. A oto zdaje się jej teraz, że nie jest bynajmniej śmieszne, lecz bardzo patetyczne, że jest przyjemnym snem, ślicznym poetyckim utworem. Jakże byłoby dobrze uwierzyć w to wszystko! Lecz ona uwierzyć nie może. Nie! Bóg transcendentalny, to rzecz zgoła niemożliwa do wyobrażenia jej sobie, jakkolwiek znów nie tak niemożliwa, jak człowiek nieograniczony. A owo Wcielenie? Co o nim sądzić?

Wprost nie było z tego wyjścia. Religia ludzkości, to religia jedyna. Człowiek jest bogiem, a przynajmniej najwyższym jego przejawem. Bogiem, z którym nie chciała mieć więcej do czynienia. Te nowe zaś i słabe instynkty, wyłaniające się teraz z jej duszy, poza intelektem lub wzruszeniem, są – wiedziała doskonale – tylko

wyrafinowaniem tego samego wzruszenia.

Myślała już często o Felsenburghu i zdziwiła się uczuciom, jakich przedtem doznawała. Bez wątpienia był to człowiek sprawiający największe wrażenie ze wszystkich znanych jej ludzi. Bardzo prawdopodobne, że był istotnie tym, za co się uważał, to jest uosobieniem człowieka idealnego, pierwszym doskonałym wytworem ludzkości. Ale logiczność jego stanowiska przewyższała jej pojęcia. Wiedziała teraz, że był doskonale logiczny, że nie postępował nierozumnie, piętnując zniszczenie Rzymu, a wkrótce potem ogłaszając swą deklarację. Piętnował bowiem wybuch namiętności człowieka przeciwko człowiekowi, królestwa przeciw królestwu, sekty przeciw sekcie, gdyż wybuchy takie równały się samobójstwu ludzkości. Potępiał namiętności, lecz nie działanie usprawiedliwione. Dlatego też nowe jego prawo było tak logiczne jak on sam – było usprawiedliwionym czynem zjednoczonego świata przeciw drobnej mniejszości zagrażającej życiu i wierze, a przy tym miano je wykonywać z najwyższym miłosierdziem. Nie było w nim, od początku do końca, uczucia zemsty, namiętności lub ducha partyjnego. Człowiek, amputujący chorą kończynę, nie żywi mniej mściwości lub roznamiętnienia. Oliver przekonał ją o tym.

Tak, to było logiczne i zdrowe. I właśnie dlatego, że było takim jak było, ona znieść tego nie mogła... Ale co się tyczy samego Felsenburgha, co to za niezwykły człowiek! Już sama myśl o jego mowach i osobowości sprawia prawdziwą radość. Chciałaby zobaczyć go jeszcze. Lecz po co? Lepiej rozstać się z tym pragnieniem spokojnie... A świat bez niej pójdzie naprzód swoją drogą... Oh, zmęczyły ją po prostu fakty.

Zdrzemnęła się i zdawało się jej, że nie upłynęło nawet pięciu minut, gdy, otworzywszy oczy, ujrzała pochyloną nad sobą, uśmiechniętą twarz pielęgniarki w białym czepeczku.

– Już około szóstej, kochana pani. Miałam obudzić panią o tej godzinie. Czy przynieść śniadanie?

Mabel westchnęła mocno i nagle, odrzucając kołdrę, siadła na łóżku.

Mały zegar, umieszczony na kominku, wybił dwa kwadranse po szóstej, gdy Mabel odłożyła pióro, po czym, wzięwszy do ręki ściśle zapisany arkusz, przechyliła się w tył na głębokim fotelu i zaczęła czytać:

*Dom odpoczynku Nr. 3, Manchester West
Kochany Oliverze!*

Bardzo mi przykro, ale znów to nadeszło. Doprawdy, nie mogą żyć dłużej, uciekam więc jedyną, pozostałą mi drogą, zgodnie z tym, co ci niegdyś mówiłam. Spędziłam tu czas bardzo spokojnie i szczęśliwie. Całe otoczenie było dla mnie pełne uprzejmości i względów. Z nagłówka tego listu pojmiesz oczywiście, co przez to rozumiem...

Zawsze byłeś mi bardzo drogi. Jesteś nim jeszcze nawet w tej chwili. Masz więc prawo dowiedzieć się o przyczynach mego kroku, o ile ja sama wiem o nich, bo bardzo

mi trudno samą siebie zrozumieć. Zdaje mi się wszelako, że główną przyczyną to brak siły do życia. Wszystko szło dobrze, dopóki byłam zadowolona i podniecona, zwłaszcza gdy on się zjawił. Sądzę jednak, że spodziewałam się czegoś innego. Nie rozumiałam, jak to teraz rozumiem, że musiało stać się tak a nie inaczej, że wszystko to jest logiczne i słuszne. I mogłam to znosić, dopóki myślałam, że zostało wywołane przez roznamiętnienie, teraz jednak widzę, że to wynik chłodnej rozwagi. Nie zdawałam sobie sprawy, że i pokój posiadać musi prawa i stawać w swojej obronie. A przy tym ten pokój nie jest tym, czego mi potrzeba. W ogóle, żyć jest według mnie błędem.

Poza tym zachodzi trudność taka: wiem jak całkowicie zgadzasz się z nowym stanem rzeczy i uważasz to za całkiem naturalne, bo jesteś o wiele logiczniejszy i mocniejszy ode mnie. Jeżeli jednak masz żonę, to ona powinna być jednomyślną z tobą. A ja nią nie jestem, przynajmniej sercem, choć rozumiem, że masz słuszość... Czy pojmujesz mnie, mój drogi?

Gdybyśmy mieli dzieci może stałoby się inaczej. Może zechciałabym żyć dla ich dobra. Ale ludzkość... nie, Oliverze!... Jakoś nie mogę... nie mogę! Wiem, że błędzę i że ty masz słuszość, ale cóż robić! Nie mogę zmienić sama siebie. Toteż jestem przeświadczona, że muszę odejść.

Chciałabym ci jeszcze powiedzieć, że strachu wcale nie czuję. Nie rozumiem w ogóle, jak ludzie mogą taki strach odczuwać... chyba że są chrześcijanami. Gdybym ja należała do nich, to bałabym się okropnie. Wszak wiemy oboje, że poza śmiercią nic nie ma. Ja boję się życia, nie śmierci. Ma się rozumieć, czułabym obawę, gdyby to było połączone z cierpieniem, ale doktorzy twierdzą, że nie ma przy tym absolutnie żadnego bólu. Ot, po prostu człowiek zasypia. Nerwy zamierają przed mózgiem. Sama to sobie zaaplikuję. Nie chcę, aby ktokolwiek inny był jeszcze w pokoju. Za kilka minut pielęgniarka, siostra Anna, z którą zaprzyjaźniłam się tu bardzo, przyniesie przyrząd i pozostawi mnie z nim samą.

A co potem nastąpi, o tym wcale nie myślę. Proszę cię, rób co ci się tylko podoba. Kremacja mego ciała nastąpi jutro w południe, jeżeli więc chcesz, to możesz być o tym czasie tutaj. Albo możesz przesłać wskazówki, oni zaś prześlą urnę z moimi popiołami pod twój adres. Wiem, że urnę z popiołami matki umieściłeś w swym ogrodzie, może więc zechcesz tam mieć i moją. Proszę cię raz jeszcze, nie krępuj się, rób co ci się podoba. I rzeczami moimi rozporządź, jak uznasz za stosowne. Oczywiście zapisują je tobie.

A teraz, drogi mój, pragnę powiedzieć ci, co następuje: doprawdy żałują mocno, że byłam tak nieznośna i głupia. Zdaje mi się, że istotnie wierzyłam wszystkim twoim argumentom, ale nie chciałam im wierzyć. Rozumiesz teraz, dlaczego byłam tak nieznośna...

Oliverze ukochany, byłeś nadzwyczaj dobry dla mnie... Widzę, że płaczę, niemniej jestem bardzo szczęśliwa. Taki to przyjemny koniec. Wolałabym nie narażać cię na

niepokój w ciągu ostatniego tygodnia. Ale nie mogłam uczynić inaczej.

Czuję, że gdybyś mnie znalazł, to odwiódłbyś mnie od tego kroku, a wówczas cierpiałabym więcej, niż kiedykolwiek. Przepraszam cię też za to kłamstwo przy rozstaniu. Doprawdy, po raz pierwszy cię okłamałam.

Oto, zdaje mi się, już wszystko co miałam ci powiedzieć. Żegnaj, drogi Oliverze. Przyjmij wyrazy miłości z całego serca twojej

Mabel

Przeczytawszy swój list, siedziała cicho, bez ruchu, a łzy błyszczały w jej oczach. Pomimo to jednak, wszystko co napisała, było szczerą prawdą. Czuła się szczęśliwsza, niż gdyby miała możliwość cofnięcia swego postanowienia. Życie zdawało się jej tak pustym, a śmierć wybawieniem tak oczywistym. Dusza jej tęskniła do śmierci, jak ciało do snu.

Zaadresowała kopertę ręką wciąż zupełnie pewną, położyła list na stole i przechyliła się jeszcze raz w fotelu, spoglądając na nietknięte śniadanie.

I znów przypomniła sobie rozmowę z Francisem, a następnie przez dziwne skojarzenie wyobrażeń upadek szybowca w Brighton, postać kapłana udzielającego abszolucji umierającym i ludzi podążających z przyrządami do eutanazji.

* * *

Gdy pielęgniarka Anna weszła w kilka chwil potem do pokoju, zdziwił ją widok, który ujrzała. Oto Mabel, przykucnąwszy u okna i oparłszy ręce o parapet, spoglądała ku niebu oczyma pełnymi przerażenia.

Pielęgniarka przeszła szybko przez pokój i postawiwszy coś na stole dotknęła ramienia Mabel.

– Pani droga – spytała – co się pani stało?

Z piersi klęczącej wyrwało się łkające westchnienie, po czym Mabel obróciła się, powstając w tym ruchu, chwyciła drżącą ręką za dłoń pielęgniarki, drugą zaś ręką wskazała na niebo.

– Tam! – szepnęła – proszę spojrzeć tam!

– Ależ, kochana pani, ja nic tam nie widzę prócz niewielkiej ciemnej chmurki.

– Ciemnej? – odparła Mabel. – Siostra nazywa to ciemną? Nie, nie! Chmura to czarna, czarna!

Pielęgniarka odsunęła lekko Mabel ku fotelowi, odwracając ją od okna, spostrzegła w niej bowiem nerwowy strach, lecz nic poza tym. Mabel wszakże wyrwała się i zwróciła ku oknu.

– Nazywasz to, siostrze, ciemną chmurką? Ależ patrz tylko, patrz!

I tym razem siostra Anna nie ujrzała nic szczególnego. Przed oknem wznosił się pierzasty szczyt wiązu, dalej zaś, z drugiej strony podwórza, widniały okna z opuszczonymi żaluzjami i dachy, ponad nimi zaś poranne niebo, nieco chmurne i zaćmione jak przed burzą, ale poza tym nic więcej.

– Nic tu nie ma szczególnego, droga pani. Co pani tu widzi?

– Jak to co? Patrz tylko siostró, patrz i... słuchaj!

Z daleka nadleciał odgłos grzmotu, podobny do turkotu powozu, ale tak lekki, że zdawał się raczej złudzeniem słuchu. Niemniej Mabel zakryła uszy rękami, twarz jej pobladła, oczy zaś rozwarły się szeroko. Czyniła wrażenie maski, wyrażającej przestrasz.

Pielęgniarka objęła ją ramieniem.

– Droga pani, niech się pani uspokoi. To przecież nic więcej, jak zwykła burza spowodowana nieznośnym upałem. Niech pani spokojnie usiądzie.

Mówiąc to, czuła pod ręką drżące ciało Mabel, nie napotykała jednak oporu.

– Światła – łkała Mabel – światła!

– Dobrze. Ale niech mi pani obieca, bardzo proszę, że będzie siedzieć spokojnie.

Mabel skinęła głową. Wówczas pielęgniarka ruszyła ku drzwiom, uśmiechając się czule. Nieraz już była świadkiem takich scen! Po chwili, gdy zakręciła rączką umieszczoną przy drzwiach, pokój zajaśniał pięknym, słonecznym światłem. Zwróciwszy się następnie ku Mabel, ujrzała ją w krześle, obróconym ku oknu, ze złożonymi rękami i zapatrzoną znów w niebo nad dachami, ale znacznie już spokojniejszą.

– Droga pani – szepnęła, kładąc jej rękę na ramieniu – niech pani zapanuje nad sobą. Nie ma powodu do obawy. Uległa pani po prostu wzruszeniu. Czy mam zapuścić żaluzje?

Mabel zwróciła wzrok ku mówiącej. Tak, istotnie, światło przywróciło jej pewność siebie. Na twarzy jej widniała, co prawda, bladość i oszołomienie, oczy jednak odzyskiwały stopniowo wyraz pewności, jakkolwiek, gdy mówiła, zwracały się jeszcze od czasu do czasu ku oknu.

– Siostró – szepnęła już spokojniej – proszę wyjrzeć i powiedzieć mi, czy nic nie widać. Jeżeli powiesz, że istotnie nic nie widać, to chyba dowód, że ja zupełnie od zmysłów odchodzę. A proszę żaluzji nie opuszczać.

Nie, nic nie było widać. Niebo pociemniało trochę, zachodząc jakby rdzą, chmury jednak osnuwały je bardzo lekką zasłoną, rzucając zaledwie cień na ziemię. Ot, zwykły stan nieba przed burzą.

Pielęgniarka powiedziała to głosem jasnym i stanowczym.

Mabel uspokoiła się jeszcze bardziej.

– Dziękuję, siostró – rzekła – i proszę w takim razie...

Przy tych słowach zwróciła się ku stolikowi, na który siostra Anna, wchodząc,

postawiła przyniesiony przedmiot.

– ... W takim razie proszę mi pokazać, jak się tego używa.

Pielęgniarka wahała się jeszcze.

– A może droga pani jest jeszcze zbyt przerażona. Może pani czego potrzebuje?

– Nie potrzeba mi nic więcej – odparła Mabel stanowczym głosem. – Proszę pokazać.

Siostra Anna zwróciła się wtedy zdecydowanym ruchem ku stolikowi.

Stało na nim białe emaliowane pudełko z delikatnie namalowanymi na emalii kwiatami. Z pudełka wystawała giętka rurka, zaopatrzona u końca w ustnik i stalowe, okryte skórą, sprężynowe klamry. U boku pudełka, ze strony najbliższej krzesła, porcelanowa rączka.

– A więc, kochana pani – zaczęła spokojnie pielęgniarka, spoglądając na Mabel, wciąż zwracając oczy to na nią, to na okno – a więc, kochana pani, należy sięść tak, jak pani teraz siedzi, głowę przechylić nieco w tył, a następnie założyć ustnik na usta, klamry zaś na tył głowy. Ot, tak... Bardzo łatwo... Dokonawszy tego, pokręci pani porcelanową rączką w tę stronę, póki się rączka nie zatrzyma. I to wszystko.

Mabel skinęła głową. Zapanowała już zupełnie nad sobą i zrozumiała dokładnie objaśnienia siostry Anny, mimo że oczy jej nie przestawały zwracać się ku oknu.

– To wszystko? – rzekła – a potem?

Pielęgniarka milczała przez chwilę, zwracając na pytającą niepewny wzrok.

– Rozumiem to doskonale – powtórzyła Mabel – i pytam, co potem?

– Potem... nic. Proszę oddychać swobodnie. Prawie natychmiast uczuje pani senność. Wówczas niech pani zamknie oczy i nic więcej.

Mabel położyła rurkę na stoliku i powstała. Przyszła już zupełnie do siebie.

– Pocałuj mnie, siostró – rzekła.

Siostra Anna spełniła żądanie, skinęła głową i jeszcze raz uśmiechnęła się do niej u progu. Ale Mabel zaledwie widziała już ten uśmiech, gdyż znów patrzyła w okno.

– Powrócę za pół godziny – mówiła w drzwiach pielęgniarka. Nagle oczy jej padły na list, leżący na stole.

– Ach, list! – zawołała.

– Tak – odparła Mabel zamyślona – proszę go zabrać.

Siostra Anna wzięła list, spojrzała na adres, potem na Mabel i zawahała się jeszcze.

– Powrócę za pół godziny – powtórzyła wolno – nie ma co się spieszyć... Cała sprawa nie trwa nawet pięciu minut... Żegnam drogą panią...

Lecz Mabel nie odpowiedziała, zapatrzona w okno. Pozostała bez ruchu, dopóki nie usłyszała trzasku zamykanych drzwi i dźwięku klucza, wyjmowanego z zamka. Wówczas podeszła do okna i ujęła rękami za parapet.

Z miejsca, w którym stała, widoczne było podwórko z trawnikiem pośrodku i kilku rosnącymi tam drzewami, jasno oświetlonymi przez jaskrawe promienie, padające teraz

z okna jej pokoju, a powyżej, nad dachami, ogromny, ciemnorudy całun niebios, tym straszniejszy, że tworzył tak gwałtowny kontrast. Rzekłbyś: ziemia jest teraz w mocy wydawać światło, zaś niebiosą zamarły.

Dziwna rzecz – zdawało się – cisza panowała w powietrzu. Jakkolwiek dom był zwykle spokojny o tej porze, bo mieszkańcy jego nie byli usposobieni do gwaru, to jednak teraz wydawał się więcej, niż spokojny. Zalegała go prawie śmiertelna cisza, cisza taka poprzedza nagły wybuch artylerii niebios. Chwile jednak mijały a wybuch nie nadchodził. Raz tylko jeszcze rozległ się grzmot, podobny do odległego turkotu ciężkiego wozu. Mabel miała wrażenie, że słyszy w nim nieludzkie krzyki, pomieszane z oklaskami. Po grzmocie cisza znów okryła wszystko, jakby pokładem waty.

Mabel zaczęła teraz pojmować. Wrażenie tej ciszy i dźwięków nie doznawały wszystkie oczy i uszy. Pielęgniarka nie widziała i nie słyszała nic niezwykłego. I reszta ludzi też nic nie widziała, ani nie słyszała. Dla nich wszystko to stanowiło tylko znak nadchodzącej burzy.

Mabel nie starała się rozróżniać wrażeń podmiotowych i przedmiotowych. Dla niej stało się całkiem obojętnym, czy to, co widziała i słyszała było wytworem własnego jej mózgu, czy też chwytala je jakimś nowym, dotychczas nieznanym zmysłem. Miała wrażenie, jakoby znajdowała się już poza znanym sobie światem; oddalał się bowiem od niej, a raczej, stojąc na zwykłym miejscu, topniał, zmieniał się, przechodził w inny stan istnienia. Osobliwość tego przestała być dla niej osobliwością większą, niż cokolwiek innego, niż na przykład, ot... to małe malowane pudełko na stoliku.

I nagle, za ledwie wiedząc co mówi, zaczęła mówić, wpatrzona w straszne niebiosy:

– O Boże... jeżeli tam jesteś istotnie... Jesteś istotnie...

Głos jej załamał się, ścisnęła mocniej parapet okienny dla nabrania siły. Powstało w niej nieokreślone zdziwienie, dlaczego tak mówi, bo ani intelekt, ani też wzruszenie nie natchnęły jej, niemniej mówiła w dalszym ciągu:

– O Boże, wiem, że Ciebie tam nie ma, oczywiście że nie ma. Gdybyś jednak tam istniał, to wiem, co powiedziałabym Tobie. Powiedziałabym Ci jak stroskana i zmęczona jestem. Nie... nie... tego nie potrzebowałabym Ci mówić, gdyż Sam wiedziałbyś o tym. Ale powiedziałabym Ci, jak mnie to wszystko smuci. Och, nie... bo i to byłoby Ci znanym. Nie potrzebowałabym zatem o niczym Ci mówić Panie, Panie, ja nie wiem, co chciałabym powiedzieć. Ach, tak, wiem! Prosiłabym Ciebie, abyś opiekował się Oliverem i wszystkimi Twoimi chrześcijanami... Takie bowiem straszne nadchodzą dla nich czasy... o Boże! Boże, wszak zrozumiałbyś te prośby moje?

Znów rozległ się turkot i szum tysięcy głosów już nieco bliżej... nigdy nie lubiła grzmotów i okrzyków ciżby... Przyprawiały ją o ból głowy...

– Trudno... trudno – szepnęła – żegnajcie mi wszyscy.

I oto zasiadła w fotelu przed stolikiem, twarzą do okna, ujęła rurkę, przyłożyła ją do ust...

Gniewało ją, że ręce drżą jej tak mocno. Dwukrotnie sprężyny klamer ześlizgiwały się po giętkich zwojach jej włosów... Nareszcie umocniła klamry i nagle, jakby pod wpływem świeżego powietrza, odzyskała zupełną pewność siebie.

Pomimo ustnika na ustach, oddychała zupełnie swobodnie, nie czując żadnych trudności. I to stanowiło ulgę: nie będzie się przynajmniej dusiła... Wyciągnęła rękę i ujęła porcelanową rączkę korbki, mniej świadoma tego dotknięcia, niż nieznośnego upału, który, jak się jej zdawało, napełnił nagle pokój. W uszach dudniły jej uderzenia pulsu, szumiała wrzawa głosów... Puściła rączkę i obu rękami szarpnęła biały, luźny szlafroczek, który nałożyła tego ranka... Tak, teraz lepiej... Teraz może oddychać swobodniej. Znow więc poszukała palcami i dotknęła wreszcie porcelanowej rączki przyrządu, pot jednak zwilżył jej palce tak, że przez chwilę nie mogła zakręcić korbki. W końcu jednak sprężyna korbki uległa naciskowi...

Na mgnienie oka słodki, odurzający zapach, dobywający się z pudełka, uderzył w jej świadomość jak obuchem, pojmowała bowiem, że to tchnienie śmierci; ale siła woli, która doprowadziła ją aż tutaj, przemogła. Złożyła więc spokojnie ręce na kolanach, oddychając głęboko i lekko.

W chwili gdy korbka uległa naciskowi, zamknęła oczy, teraz jednak otworzyła je ponownie, ciekawa widoku zanikającego świata. Już tydzień temu postanowiła sobie, że tak postąpi, pragnąc nie stracić nic z tej jedynej i ostatniej próby.

W pierwszej chwili zdawało się jej, że nie widzi zmiany. Oto pierzasty szczyt wiązu, oto ołowiane dachy naprzeciwko, oto straszne niebiosy nad nimi. Zauważyła białego gołębia na czarnym tle nieba, jak przeleciał i natychmiast zniknął...

* * *

...Wówczas stało się co następuje...

Ogarnęło ją nagle uczucie ekstatycznej lekkości. Próbowła unieść rękę i spostrzegła, że to niemożliwe... ręka nie należała już do niej. Próbowła następnie spuścić oczy, zapatrzone w ciemne niebiosy, ale i to już stało się niemożliwym.

Mabel pojęła wówczas, że wola straciła łączność z ciałem, że zawalający się świat cofnął się w nieskończoną dal. Tego się spodziewała, co jednak zastanawiało ją jeszcze, to poczucie działalności umysłu. Prawda, że świat, który znała, usunął się spod panowania świadomości, tak, jak jej ciało z wyjątkiem zmysłu słuchu, wciąż dziwnie czułego. Niemniej, pozostawało jej jeszcze dość pamięci, aby wiedzieć, że świat taki istnieje, że istnieją też inne na nim osoby, że ludzie krzątają się jak zwykle przy swoich zajęciach, nie wiedząc, co się zdarzyło; ale twarze, nazwiska, miejscowości – wszystko to już znikło. W rzeczywistości świadoma była sobie tak, jak nigdy poprzednio.

Zdawało się, że nareszcie dotarła do takiego zakątka własnej istoty, do którego dotychczas zaglądała tylko przez przyćmione szkło. Uczucie to było osobliwe, a jednocześnie jakby nie obce. Zdawało jej się, że stanęła w środku koła, po którego obwodzie kręciło się życie całe, a środek ten nie był jedynie punktem, lecz wyraźną przestrzenią, otoczoną wałem, ograniczoną. W tejże chwili uczuła, że słuch opuszcza ją także...

Wówczas stała się rzecz zdumiewająca... Choć zdawało się jej, że zawsze wiedziała, iż rzecz ta nastąpić musi, jakkolwiek umysł jej nigdy tego nie wymówił. Oto, co się stało:

Wał topniał z szumem rozpadania się na cząstki i ukazała się dokoła nieograniczona przestrzeń, niepodobna do czegokolwiek innego, ożywiona i pełna ruchu. Ożywiona, jak oddychające ciało, szybko dyszące, sama przez się oczywista i dominująca; jedyna a jednak mnoga, niematerialna, a jednak bezwzględnie rzeczywista; rzeczywista w takim znaczeniu, w jakim nawet nigdy rzeczywistości nie wyobrażała sobie.

A jednak i przestrzeń wydała się jej znana, jak znane wydają się miejsca widziane w snach; po czym, bez ostrzeżenia, coś podobnego do dźwięku i światła, coś, co natychmiast poznała, że jest jedynym, przecięło przestwór...

Wówczas – ujrzała.

I pojęła...

Rozdział 5

Od chwili zniknięcia Mabel Oliver spędzał dni w nieopisanym niepokoju. Uczynił wszystko, co tylko było możliwe. Dowiedział się wreszcie, że widziano ją na stacji Wiktorija, tam jednak znikły wszelkie ślady. Skomunikował się też z policją, ale urzędowa odpowiedź, którą od niej otrzymał, nie przyniosła nic nowego. Dopiero we wtorek, po zniknięciu Mabel, Francis, dowiedziawszy się przypadkowo o zmartwieniu Olivera, zawiadomił go, że rozmawiał z Mabel w piątek wieczorem. Oliver jednak niewiele zyskał na tym, a raczej zmartwił się jeszcze bardziej, niż pocieszył, bo mogły go chyba doprowadzić tylko do rozpaczyny szczegóły rozmowy Francis z Mabel, jakkolwiek były ksiądz zaręczał, że pani Brand nie okazywała bynajmniej chęci bronienia chrześcijaństwa.

W końcu dwie teorie rozwinęły się stopniowo w umyśle Olivera: albo Mabel udała się pod opiekę jakiegoś katolika, albo też – i myśl ta przejmowała go dreszczem – zgłosiła się do jakiejś instytucji eutanazji, czym raz już groziła, a w takim razie znajduje się pod opieką prawa, bo zdarzało się to dość często od chwili przeprowadzenia prawa o wyzwoleniu. Oliverowi zdawało się wprost straszne, że nie mógł dziś prawa tego potępić.

We wtorek wieczorem, gdy siedział zamyślony w swoim gabinecie, usiłując po raz setny wytyczyć jakąś logiczną linię wśród płataniny stosunku swego do żony w ciągu ostatnich kilku miesięcy, dzwonek telefonu zadzwieczał nagle i na aparacie ukazała się czerwona etykieta Whitehall.

Serce Olivera zakołatało nadzieją pomyślniej nowiny, ale już pierwsze słowa rozmowy przyniosły rozczarowanie.

– Brand – mówił ostry, wyraźny głos – czy to ty?

– Tak, to ja, Snowford.

– Potrzebujemy cię zaraz, rozumiesz, natychmiast. O dwudziestej zbiera się nadzwyczajne posiedzenie Rady. Prezydent będzie na nim obecny. Pojmujesz, że zaszło coś ważnego. Nie mam czasu na dłuższą rozmowę. Przyjdź natychmiast do mego pokoju.

Nawet i ta wiadomość nie zajęła go bardzo. Razem z całym światem przestał się dziwić nagłym pojawianiom się prezydenta. Felsenburgh pojawiał się i znikał bez uprzedzenia, gdzie chciał i kiedy chciał, podróżując i pracując z energią nie do wiary, przy czym zachował niezmiennie, przynajmniej na pozór, swój zwykły spokój.

Była już dziewiętnasta, toteż Oliver spożył natychmiast wieczerzę i na kwadrans przed oznaczoną godziną stanął w pokoju Snowforda, gdzie zebrało się już z pół tuzina

jego kolegów.

Minister podszedł ku niemu z wyrazem niezwykłego podniecenia na twarzy i odprowadził go na stronę.

– Słuchaj, Brand, żądają, abys przemówił pierwszy, zaraz po sekretarzu prezydenta, który otworzy posiedzenie. Przybędą tu zaraz z Paryża. Chodzi o sprawę całkiem nową. Otrzymałem wiadomość o miejscu pobytu papieża. Bo, jak się zdaje, papież istnieje. Zaraz dowiesz się o wszystkim. A przy sposobności – tu rzucił ciekawe spojrzenie na zafrasowaną twarz Olivera – przyjmij wyrazy współczucia. Przed chwilą dowiedziałem się od Pembertona o twoim zmartwieniu.

Oliver uczynił niecierpliwy ruch ręką.

– Proszę cię – przerwał – o czym mam mówić?

– Hm, prezydent wystąpi zapewne z jakąś propozycją, ty zaś znasz dobrze nasz sposób myślenia, otóż chodzi po prostu, abys wyłożył mu nasze stanowisko względem katolików.

Oczy Olivera nagle tak się zwęziły, że przedstawiały tylko dwie błyszczące linijki pod powiekami. Skinął głową potakująco.

W tej chwili pojawił się Cartwright, olbrzymi, pochylony mężczyzna, o twarzy pergaminowej, jak przystało najwyższemu przedstawicielowi sądownictwa.

– Ach, dobrze, że pana widzę, panie Brand – odezwał się do Olivera – czy zna pan niejakiego Philipsa? Słyszałem, że powoływał się na pana.

– Był moim sekretarzem – odparł wolno Oliver – co się z nim stało?

– Przypuszczam, że oszalał. Proszę sobie wyobrazić, że zgłosił się do sędziego, błagając, aby go natychmiast wysłuchano. Sędzia zgłosił się do mnie po instrukcje, gdyż prawo o wierzących zaledwie zaczyna być stosowane.

– Co uczynił ów Philips?

– W tym trudność. Powiada oto, że nie może ani zaprzeczyć Bogu, ani Go też uznawać!... Więc był pańskim sekretarzem?

– Tak. A ponieważ dowiedziałem się, że skłania się ku chrześcijaństwu, musiałem się z nim rozstać.

– Sędzia odłożył jego sprawę na tydzień. Może się przez ten czas namyśli.

I znów rozmowa urwała się, bo kilka jeszcze osób weszło do pokoju, spoglądając na Olivera z pewną ciekawością, ponieważ rozeszła się już wieść o ucieczce Mabel. Każdego więc ciekawiło, jak Oliver znosi ten cios.

Na pięć minut przed oznaczoną godziną zadźwięczał dzwonek i otworzyły się na oścież drzwi, wiodące do korytarza.

– Proszę panów – rzekł prezes ministrów.

Sala posiedzeń Rady, wysoka i długa, znajdowała się na pierwszym piętrze. Ściany jej, od podłogi do pułapu, okrywały półki z książkami. Podłogę wyścielał gumowy dywan, tłumiący kroki. Okien sala nie posiadała. Oświetlało ją sztuczne światło. Po

środku stał długi stół, a przy nim fotele, po osiem z każdej strony. Fotel prezydialny znajdował się na podwyższeniu u końca stołu.

Każdy z zebranych ruszył do swego krzesła i stał tam, czekając w milczeniu.

W sali panował, pomimo braku okien, przyjemny chłód, co było przyjemne zwłaszcza wobec upału, panującego na dworze. Każdy z zebranych dziwił się nadzwyczajnemu stanowi atmosfery i rad by o tym pomówić, teraz jednak wszyscy zapomnieli o tym, bo przybycie prezydenta było zdarzeniem, które zawsze zamykało usta nawet najbardziej gadatliwym. Wiedzieli poza tym, że tym razem chodzi o sprawę jeszcze ważniejszą, niż zwykle.

Na minutę przed oznaczoną godziną znów zadźwięczał dzwonek, tym razem czterokrotnie i zamilkł, a wszyscy obecni zwrócili się instynktownie na ten sygnał ku wysokim rozsuwanym drzwiom, znajdującym się poza prezydialnym fotelem. Panowała śmiertelna cisza. Ogromne biura rządowe były hojnie zaopatrzone w przyrządy do tłumienia dźwięków i nawet ruch potężnych maszyn, toczących się w oddaleniu jakichś stu jardów, nie był w stanie wywołać wibracji poprzez grube warstwy gumy, na których spoczywały mury. Jeden tylko dźwięk mógł przedrzeć się do wnętrza, a to huk grzmotów; tego jednak rzeczoznawcy nie zdołali dotychczas przezwyciężyć.

Cisza zdawała się zapuszczać jeszcze gęstsza zasłonę, gdy rozsunięły się drzwi i pojawiła się w nich postać, za którą podążała inna w czerni i szkarłacie.

* * *

Postać ta podeszła wprost do prezydialnego fotela, mając za sobą dwóch sekretarzy, skłoniła się lekko w prawo i w lewo, siadła i uczyniła szybki ruch ręką. Wówczas wszyscy usiedli także, wyprostowani i uważni.

Może po raz setny w życiu, spoglądając na prezydenta, Oliver nie mógł oprzeć się uczuciu podziwu wobec spokoju i zadziwiającego uroku tego człowieka. Prezydent miał na sobie strój sędziów angielskich, który przetrwał wieki: czarno-szkarłatny, z szerokimi rękawami, obramowanymi białym futrem i z karmazynową szarfą. Strój ten był niedawno uznany za strój prezydenta Anglii przez tego, który stanął na czele jej prawodawstwa. Ale nie w stroju tym, lecz w osobie samego prezydenta, w atmosferze otaczającej go spoczywał ten urok. Atmosfera ta sprawiała na naturze fizycznej wrażenie morskiego powietrza: rozweselała, oczyszczała, podniecała, upajała. Była tak niewysłowienie pociągająca, jak sad wiśniowy na wiosnę, tak przejmująca, jak płacz instrumentów strunowych, tak zniewalająca, jak burza. W ten sposób przynajmniej wyrażali się pisarze. Porównywali ją oni do potoku czystej wody, do połysku drogocennego kamienia, do miłości kobiecej. W porównaniach tych tracili nawet czasem miarę przyzwoitości. Powiadali też, że stosuje się do wszelkich usposobień jak

szum licznych wód, wynajdywali wciąż nowe jej określenia jak najwyrazistsze, aż wreszcie doszli do uznania jej za naturę boską, doskonale wcieloną.

Po chwili wszakże refleksje Olivera opadły, gdyż prezydent, przymknąwszy oczy i przechyliwszy w tył głowę, dał znak sekretarzowi, stojącemu przy nim; człowiek zaś ten, nie poruszywszy się nawet, zaczął mówić, jak aktor bez nazwiska, powtarzający swą rolę.

– Panowie – mówił głosem równym, dźwięcznym – prezydent przybył tu wprost z Paryża. Po południu był w Berlinie, dziś wczesnym rankiem w Moskwie, wczoraj w Nowym Yorku. Jeszcze dzisiejszej nocy musi podążyć do Turynu, a jutro przez Hiszpanię i Afrykę północną do Grecji oraz państw południowo-wschodnich.

Była to zwykła formuła przemówień tego rodzaju. Prezydent obecnie rzadko sam przemawiał, ale dbał, aby poddani jego byli przy sposobności powiadomieni o jego pracy. Sekretarzy swoich wyszkolił pod tym względem nadzwyczajnie, nie raziło więc obecnych, że i tym razem Felsenburgh przemawia przez usta sekretarza.

Po chwilowej przerwie sekretarz mówił dalej:

– Oto, na czym polega sprawa, panowie: ubiegłego czwartku pełnomocnicy podpisali w tym pokoju prawo o sprawdzaniu wyznania obywateli, a natychmiast potem powiadomiono o nim cały świat. O szesnastej tego dnia prezydent otrzymał depeszę od niejakiego Dołgorowskiego, który ma być jednym z kardynałów Kościoła katolickiego. Tak sam twierdził, a po sprawdzeniu tego twierdzenia okazało się, że jest ono prawdziwe. Informacje, przez niego udzielone, potwierdziły to, co już dawniej podejrzewano, mianowicie, że istnieje człowiek mianujący się papieżem, który mianował (tak brzmi depesza) innych kardynałów wkrótce po zburzeniu Rzymu, gdy obrano go na papieża w Jerozolimie. Okazuje się dalej, że ów papież postanowił, bardzo dyplomatycznie, zachować w tajemnicy swoje imię i miejsce pobytu, nawet wobec swoich zwolenników, z wyjątkiem dwunastu kardynałów; że uczynił bardzo wiele dla reorganizacji Kościoła katolickiego, zwłaszcza za pośrednictwem jednego z owych kardynałów i nowego zakonu; wreszcie, że żyje obecnie z dala od świata w miejscu zupełnie bezpiecznym.

– Prezydent wyrzuca sobie, że podejrzewał tylko istnienie czegoś podobnego, wprowadzony, jak sądzi, w błąd pod tym względem przez mniemanie, iż gdyby papież istniał, to wiadomość o tym musiałaby ujawnić się z rozlicznych stron, jak bowiem dobrze wiadomo, cały ustrój Kościoła katolickiego spoczywa na papieżu jak na opoce. Poza tym, prezydent sądzi, że powinno było być przeprowadzone śledztwo w miejscu, w którym, jak powiadają, papież ów mieszka obecnie...

– Człowiek ten, panowie, nazywa się Percy Franklin...

Oliver drgnął mimo woli na te słowa, znów jednak wpatrzył się uważnie w mówiącego, bowiem wzrok prezydenta przesunął się na chwilę po obecnych...

– ...Franklin – powtórzył sekretarz – a mieszka w Nazarecie, gdzie, jak powiadają,

założyciel chrześcijaństwa spędził swoją młodość.

– Oto, co prezydent dowiedział się w czwartek ubiegłego tygodnia. Nakazał więc przeprowadzić śledztwo, a w piątek rano znów otrzymał depezę od Dołgorowskiego, zawiadamiającą, że ów papież zwołał do Nazaretu zjazd kardynałów oraz innych dostojników z całego świata, aby zastanowić się, jakie kroki należy przedsięwziąć wobec nowego prawa o sprawdzaniu wyznania. Postanowienie to prezydent uważa za dowód nadzwyczajnego braku przezorności dyplomatycznej, zupełnie niezgodnej z poprzednią działalnością tego człowieka. Wyżej wspomniane osoby, zawiadomione przez specjalnych wysłańców, mają zjechać się w przyszłą sobotę i rozpocząć obrady, po pewnych ceremoniach chrześcijańskich, w niedzielę rano.

– Bez wątpienia chcielibyście, panowie, wiedzieć, co zniewoliło Dołgorowskiego do ujawnienia tego wszystkiego. Prezydent sądzi, że podane powody są uzasadnione. Oto Dołgorowski zaczął tracić wiarę w swoją religię, a nawet pojął, że religia stanowi najwyższą przeszkodę do zjednoczenia ludzkości. Uważał tedy za swój obowiązek donieść o wszystkim prezydentowi. Przy sposobności warto przypomnieć, że zajście tego rodzaju zaznaczyło już powstanie chrześcijaństwa i że w ten sposób zaznaczy się, jak się zdaje, jego ostateczny zanik, to znaczy, że jeden z przywódców chrześcijaństwa donosi o miejscu pobytu naczelnego wodza, tudzież o sposobie, w jaki go można ująć. Oczywiście zatem, bardzo wymowna jest okoliczność, że scena zaniku chrześcijaństwa staje się identyczną z jego powstaniem.

– Otóż, panowie, prezydent proponuje, zgodnie z deklaracją, na którą zgodziliście się wszyscy, co następuje: oddział płatowców ma się udać do Palestyny w nocy z soboty na niedzielę, zaś w niedzielę rano, gdy wszyscy ci ludzie będą zebrani razem, ma dokonać szybko i miłosiernie dzieła, do którego państwa przyłożyły rękę. Jak dotychczas, wszystkie rządy, których radzono się w tej sprawie, wyraziły jednomyślnie zgodę i nie ulega wątpiwości, że reszta postąpi tak samo. Prezydent czuł, że w tak ważnej sprawie nie może działać na własną odpowiedzialność, bo nie jest to sprawa lokalna, lecz stanowi powszechny wymiar sprawiedliwości, a wyniki jego będą rozleglejsze, niż można by obecnie przewidzieć.

– Nie ma potrzeby analizować poglądów prezydenta. Znacie je, panowie, bardzo dobrze. Zanim jednak zapyta o wasze zdanie, chciałby wskazać, jaki, jego zdaniem, w razie otrzymania zgody z waszej strony, powinien być sposób działania.

– A zatem proponuje, aby każdy z rządów brał udział w tej ostatniej scenie, ma ona bowiem pewną symboliczną cechę. W tym celu byłoby dobrze, aby każda z dzielnic świata wysłała pewną liczbę płatowców, odpowiednią do liczby składających ją państw, ogółem sto dwadzieścia dwa płatowce, dla dokonania tego dzieła. Płatowce te nie powinny mieć oznaczonego punktu zbiórki, gdyż wieść o tym mogłaby dotrzeć do Nazaretu za pośrednictwem członków zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego, który posiada podobno doskonale zorganizowany system szpiegowski. Miejszem więc spotkania

powinien być tylko sam Nazaret i to nie wcześniej, jak w niedzielę, o dziesiątej, według czasu palestyńskiego. Wszelako szczegóły te mogą być jeszcze omówione i zakomunikowane po zdecydowaniu się na sam plan.

– Co się tyczy sposobu wykonania uchwalonego dzieła, to prezydent skłania się do zapatrywania, że będzie bardziej miłosiernym, jeżeli uniknie się jakichkolwiek rokowań z zainteresowanymi osobami. Należy tylko dać mieszkańcom wioski czas do jej opuszczenia, jeżeliby tego pragnęli, po czym sprawa może być załatwiona niemal momentalnie, przy pomocy materiałów wybuchowych, które płatowce zabiorą ze sobą.

– Dalej, prezydent sądzi, że powinien być tam osobiście i że materiały wybuchowe powinny być rzucone przede wszystkim z jego płatowca. Słusznym jest bowiem, aby świat, który raczył obrać go na prezydenta, działał za pośrednictwem jego ręki. A także będzie to przynajmniej słabym dowodem szacunku dla przesądu, co prawda haniebnego, niemniej stanowiącego jedyną siłę, zdolną oprzeć się prawdziwemu postępowi człowieka.

– Prezydent obiecuje wam, panowie – ciągnął tym samym, wciąż równym, miarowym głosem sekretarz – że w razie urzeczywistnienia tego projektu, nie będzie już nigdy mieć kłopotów z chrześcijaństwem. Już sam moralny skutek prawa o sprawdzaniu wyznania okazał się wprost cudowny. Jak słyhać bowiem, w ciągu tych kilku dni dziesiątki tysięcy katolików, a wśród nich nawet członkowie nowego zakonu, wyrzekli się swoich szaleństw, ostateczny zaś cios wymierzony teraz w głowę i serce Kościoła katolickiego uniemożliwi jego zmartwychwstanie. Fakt to dobrze znany, że w razie zaniku ciągłości papieży, razem z tymi, którzy mogą tę ciągłość utrzymać, nawet najbardziej nieświadomi będą musieli przyznać, iż roszczenia Jezusa przestały być słuszne i nie są możliwe. Dlatego i zakon, który wytworzył potęgę nowego ruchu, musi przestać istnieć.

– Trudność jeszcze stanowi w tej sprawie istnienie Dołgorowskiego, nie wiadomo bowiem na pewno, czy jeden kardynał, pozostawiony przy życiu, nie wystarczy dla utrzymania ciągłości. Dlatego też prezydent czuje się w obowiązku podać, jakkolwiek niechętnie, myśl, aby po załatwieniu się ze wszystkimi usunięto miłosiernie i Dołgorowskiego, który, oczywiście, nie będzie się znajdował z innymi w Nazarecie, a przez to zapobieżono możliwemu niebezpieczeństwu powrotu tego kardynała do dawnych błędów.

– A zatem, panowie, prezydent prosi was o możliwie najtreściwsze wyrażenie swoich zapatrywań na sprawy, o których miałem właśnie zaszczyt przemawiać.

Po tych słowach ustał spokojny, urzędowy głos.

Przez cały czas przemowy sekretarz ani na chwilę nie zmienił brzmienia głosu. Spuścił przy tym oczy, a słowa wychodziły mu z ust spokojnie i powściągliwie. W ogóle zachowywał się bez zarzutu.

Przez chwilę panowało milczenie, a wzrok wszystkich obecnych uporczywie

spoczywał na nieruchomej postaci w czarno-szkarłatnych szatach i o twarzy jakby z kości słoniowej.

Wówczas powstał Oliver. Twarz miał bladą jak papier, oczy połyskujące i rozszerzone.

– Panie – rzekł – nie wątpię, że jesteśmy jednomyślni. O ile przemawiam w imieniu moich kolegów, mogę oświadczyć tylko jedno, mianowicie, że zgadzamy się na propozycje pana, a wszelkie szczegóły powierzamy jego rękom.

Prezydent podniósł oczy i szybko powiódł nimi po zwróconych ku sobie sztywnych twarzach, po czym wśród ciszy, której nie przerywał nawet szelest oddechu, przemówił po raz pierwszy, swym głosem dziwnym i tak beznamiętnym, jak rzeka ścięta lodem:

– Czy ktoś ma coś jeszcze do powiedzenia?

W odpowiedzi rozległ się zgodny szept i wszyscy obecni powstali ze swoich miejsc.

– Dziękuję panom – rzekł sekretarz.

Dochodziła siódma, gdy Oliver, wysiadłszy w sobotę rano z samochodu, który przywiózł go na pole Wimbledonu, zaczął wspinać się po schodach dawnej stacji pługowców, od pięciu lat opuszczonej.

Zdawało się stosownym, aby wobec ścisłej tajemnicy, którą należało zachować, przedstawiciele Anglii w wyprawie do Nazaretu ruszyli w podróż z miejscowości stosunkowo nieznannej i dlatego wybrano tę starą stację, używaną obecnie tylko od czasu do czasu, podczas próbowania nowych rządowych pługowców. Nawet windę usunięto, tak że trzeba było przejść sto pięćdziesiąt schodów.

Z pewną niechęcią Oliver przyjął z początku misję należenia do liczby czterech przedstawicieli Anglii, nic jeszcze bowiem nie wiedział o żonie, okropnym więc było dla niego opuszczać Londyn w niepewności o los ukochanej. A przy tym, teraz mniej niż kiedykolwiek, skłaniał się do uwierzenia w możliwość samobójstwa, rozmawiał bowiem z kilku przyjaciółkami Mabel i wszystkie one oświadczyły, że nigdy nie wspominała nawet o takim zamiarze. Z drugiej zaś strony, jakkolwiek dobrze wiedział, że prawo wymaga od kandydatów do samobójstwa za pośrednictwem instytutu eutanazji ośmiu dni do namysłu, nic nie wskazywało, aby Mabel znajdowała się dotychczas w Anglii, gdyż istotnie, jeżeli powzięła myśl pozbawienia się życia, to wygodniej byłoby dla niej udać się na kontynent, gdzie warunki nie były tak uciążliwe. Toteż po dłuższym namyśle osądził, że nic nie zyska, pozostając w Anglii. Wreszcie skrupuły jego przemogło zdanie kolegów; dalej, nigdy nie opuszczające go obecnie dziwne uczucie, że za to, co postanowił Felsenburgh, warto jest umrzeć w razie potrzeby i na koniec chęć uczestniczenia w ostatnim akcie wymiaru sprawiedliwości na Wschodzie, akcie, przez który zmieceni będą z powierzchni ziemi pośredni sprawcy jego tragedii, wśród nich także ów Franklin, ta parodia Pana Świata! Pozostawił więc tylko w domu sekretarza z poleceniem, aby nie szczędził kosztów dla skomunikowania się z nim w razie, gdyby podczas jego nieobecności nadeszła jakakolwiek wieść

o Mabel.

Okropny upał panował tego poranka. Doszedłszy do szczytu schodów, Oliver ujrzał olbrzymi płatowiec leżący już na siatce drucianej w swej białej, glinowej powłoce, wewnątrz zaś na korytarzu i w salonie działały już elektryczne wiatraki, ochładzające powietrze. Zająwszy miejsce w salonie i położywszy walizkę, dowiedział się od konduktora, nie wiedzącego oczywiście o celu wyprawy, że jego koledzy nie przybyli jeszcze, wyszedł więc na platformę płatowca dla ochłodzenia się po zmęczeniu i by podumać w samotności.

Londyn wyglądał dziwnie tego poranka. Tuż pod stacją rozpościerało się pole, spieczone przez niezwykle upał, panujący już od tygodnia. Pole ciągnęło się pochyło na przestrzeni jakiej pół mili, gładkimi smugami murawy i kępami drzew aż do pierwszych dachów miejskich, tonących także jakby w altanach z liści. Dalej już widniały tylko szeregi domów, linia za linią, przzerwana w jednym miejscu przez połysk rzeki i znów ciągnące się poza zasięg wzroku. Nie ten jednak widok zdziwił Olivera, lecz ciężkość powietrza, przypominająca mu z opisów w starych księgach dni panowania dymu. I teraz brak było temu powietrzu świeżości oraz przejrzystości i nie wiadomo, gdzie zaczynał się ten mrok, czyniący wrażenie zasłony, na wszystkie bowiem strony rozpościerał się jednakowo. Nawet niebu nad głową brakło zwykłego błękitu. Wydawało się pomalowane brudnym pędzlem, a słońce nadawało mu ten sam czerwony odcień.

– Tak – szepnął zmęczonym głosem – tak musiało wówczas wyglądać. Rzekłbyś: niezręczny szkic.

Istotnie, nie było w tym krajobrazie nastroju tajemniczości, jak w osłoniętym mieście. Dawał się raczej odczuwać brak prawdy. Cienie zdawały się nie posiadać wyrazistości, zarysy zaś przedmiotów i ugrupowanie ich – łączności.

„Potrzeba by burzy – pomyślał – a może by nawet zdało się, na drugiej stronie świata, trzęsienie ziemi, które, wykazując cudownie równowagę, panującą na naszym globie, zmniejszyłoby ciśnienie z tej strony. Bądź co bądź, podróż będzie ciekawa i z tego względu, że pozwoli obserwować zmiany klimatyczne, choć, prawdę powiedziawszy, upał będzie zapewne nieznośny, gdy dotrzemy do południowej Francji”.

Po tych uwagach myśl jego znów powróciła do przeżuwania trapiącej go troski.

Upłynęło jeszcze z dziesięć minut, zanim nareszcie dojrzał szkarłatny samochód rządowy z rozpostartą zasłoną od słońca, pędzący drogą od strony Fulham, po pięciu zaś minutach ukazali się trzej jego towarzysze podróży: Maxwell, Snowford i Cartwright ze służącymi – wszyscy w białych flanelowych ubraniach.

Żaden z nich nie wymówił ani słowa o właściwym celu podróży, urzędnicy bowiem kręcili się tu i ówdzie po platformie, należało zaś strzec się najmniejszej sposobności do zdrady. Konduktor wiedział tylko tyle, że płatowiec wyrusza w trzydniową podróż,

należy więc zabrać odpowiednie zapasy żywności; że lecieć ma przede wszystkim w kierunku South Downs i wreszcie, że nie zatrzyma się co najmniej w ciągu dnia i nocy.

Poprzedniego poranka prezydent przysłał delegatom dalsze wskazówki, do tego bowiem czasu ukończył swą podróż do stolic i otrzymał od komitetu ważnych spraw świata ostateczne przyzwolenie. Snowford zawiadomił o tym po cichu swoich towarzyszy, gdy wszyscy czterej stali razem, spoglądając na miasto i dodał jeszcze nieco szczegółów o planie wyprawy.

Krótko mówiąc, plan przedstawiał się następująco, przynajmniej co do udziału Anglii: płatowiec miał zbliżyć się do Palestyny od morza Śródziemnego, bacząc, aby w odległości dziesięciu mniej więcej mil od wschodniego krańca Cypru być w kontakcie z płatowcem francuskim na lewo, hiszpańskim zaś na prawo. Miało to nastąpić około dwudziestej trzeciej czasu wschodniego. O tej godzinie płatowiec wywiesi nocny sygnał: czerwoną linię na białej tarczy, gdyby zaś nie spostrzegli wyżej wymienionych towarzyszy, to powinien pozostać na wysokości ośmiuset stóp, krążąc dokoła, dopóki nie ujrzy któregoś z nich lub też nie otrzyma dalszych wskazówek. Na wszelki zaś wypadek płatowcowi własnemu prezydenta świata towarzyszyć będzie drugi płatowiec o niezwykłej szybkości lotu. Sygnały tego płatowca mają być uznawane za bezpośrednie sygnały Felsenburgha.

Jak tylko płatowce wszystkich państw świata utworzą koło, którego środek stanowić będzie równina Ezdrelonu, a promień wyniesie pięćset czterdzieści mil, każdy z nich ma się posuwać ruchem dośrodkowym, opadając stopniowo do wysokości pięciuset stóp nad powierzchnią morza i zbliżając się do swoich sąsiadów.

Posuwając się w ten sposób z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, od chwili utworzenia koła, wszystkie płatowce znajdą się w pobliżu Nazaretu w niedzielę około dziesiątej rano.

Gdy wysłuchawszy tego planu wszyscy czterej stali w milczeniu, zbliżył się do nich konduktor.

– Panowie – rzekł – jesteśmy gotowi do drogi.

– A co z dzisiejszą pogodą? – spytał nagle Snowford.

Konduktor ścisnął wargi.

– Przypuszczam, a nawet mam pewność – odparł – że będziemy mieli trochę grzmotów.

Oliver spojrział na niego ciekawie.

– Tylko tyle? – spytał.

– Możemy spotkać i burze! – odpowiedział krótko zapytany.

Na te słowa Snowford zwrócił się ku kładce, wiodącej do płatowca.

– A zatem – rzekł – odlatujemy. Możemy namyślać się dłużej, jeśli chcemy, w czasie drogi.

Minęło jeszcze z pięć minut zanim wszystko było gotowe. Z przodu pługowca dolatywała woń potraw, śniadanie bowiem miało być zaraz podane, z okienka kuchennego wychylił głowę kucharz w białej czapce, pytając o coś konduktora. Wszyscy czterej podróżni zasiedli we wspianym salonie pośrodku statku. Oliver sam jeden, milczący, trzej zaś inni razem, rozmawiając cicho. Jeszcze raz konduktor przeszedł do swego przedziału na przodzie, sprawdzając, czy wszyscy już siedzą, w chwilę zaś później rozległ się dźwięk sygnału, po czym przez całą długość pługowca – był to jeden z największych angielskich statków napowietrznych – przebiegło dygotanie rozpędzającej się powietrznej śruby. Jednocześnie Oliver, spojrzawszy bokiem w okno o lustrzanych szybach, spostrzegł zapadającą się w głębi sylwetkę stacji i wyłaniającą się nagle przed jego oczyma długą linię domów Londynu, bladych w przyciemnionym świetle nieba. Na mgnienie oka wzrok jego padł na niewielką grupę osób, spoglądających z dołu ku pługowcowi, ale i one jakby zapadły się w wirze i znikły. Następnie, błysnąwszy zielenią, znikło także pole, a natomiast zaczął przesuwać się pod pługowcem bruk dachów, długie linie ulic, skręcające się jakby szprychy olbrzymiego koła. Po pewnym jednak czasie dachy zrzedły, obnażając tu i ówdzie zielone płyty, rzekłbyś murawę pomiędzy z rzadka ułożonymi kamieniami, lecz i one wnet znikły i rozpostarła się u dołu szczerza wieś.

Snowford powstał, chwiejąc się z lekka na nogach.

– Chyba już powiem konduktorowi – rzekł – dokąd zdążamy, nie będzie nam później przeszkadzał.

Następnie zwrócił się do Olivera i dał mu dyskretnie znak. Oliver natychmiast powstał i obaj ruszyli razem przez niewielki korytarz, biegnący wzdłuż pługowca.

– Mam dla pana wiadomość! – powiedział Snowford, wyjmując z kieszeni depeszę. – Jest pan zaproszony na pokład pługowca prezydenta, gdy przybędziemy na Cypr.

Oliver poczerwieniał z radości pomimo ogromnego ciężaru smutku przygniatającego mu piersi.

– Jego dostojność słyszał – mówił dalej Snowford, usiłując ukryć trawiącą go zazdrość – o mężnym zachowaniu się pana w zajściu z żoną.

Oliver przebiegł oczyma małą żółtą kartkę, podaną mu przez kolegę, po czym podniósł ją do ust i ucałował.

– Doprawdy – rzekł – spotyka mnie wielka nagroda!

Po wydaniu instrukcji konduktorowi obaj ministrowie skierowali się do małego przedziału obok kabiny sterowniczej, gdzie złożono materiał wybuchowy. Fabrykanci przysłali na statek poprzedniego jeszcze wieczoru paczkę i oto leżało przed wchodzącymi metalowe pudełko, objętości paru stóp kwadratowych, starannie opakowane w warstwę waty.

Snowford ukląkł przy pudełku, odczepił od łańcuszka zegarka kluczyk, otworzył nim trzy zamki i nie mówiąc ani słowa, z uśmiechem podniósł wieko.

W aksamitnym opakowaniu spoczywała niewielka kula, na razie nieszkodliwa jak kula z gliny, z boku jednak wystawał mały kurek metalowy, przeznaczony do wywołania wybuchu.

Oliver przykląkł także, zahipnotyzowany tym widokiem.

Myślał o smutku, jaki wywoła za kilka godzin ta mała nieznacząca kula. Zdawało mu się, że słyszy już cichy szelest jej upadku i że następnie, po kilku zaledwie sekundach, jest świadkiem katastrofy: rozdarłej ziemi, skruszonych skał, powietrza napełnionego odłamkami kamieni, szczapami drzew, poszarpanymi członkami ludzkimi!

I przypomniał sobie, z nowym przypiływem dumy, że ujrzy i usłyszy to wszystko z pokładu płatowca samego Felsenburgha.

Niejednokrotnie jeszcze w ciągu tego długiego i upalnego dnia Oliver odwiedzał mały przedział, pod wpływem obrazów tak strasznych, a tak pociągających, które miejsce to w nim wywoływało. Nie tylko miał wrażenie, że to pudełko metalowe odegra rolę w historii, ale uprzytamniał sobie, że z całej powierzchni kuli ziemskiej takie same statki napowietrzne, mając na celu ten sam czyn ważności i niesłychanego znaczenia – kierują się ku tej samej miejscowości i że każdy z nich wiezie w swym łonie taką samą małą zabójczą kulę. Tam, pod tą jednolitą stalową powłoką, tkwił, jeżeli można tak powiedzieć, triumfujący pan całej intelektualnej i moralnej cywilizacji świata. Nadzieje, obawy, całe życie tysięcy ludzi – na łasce niewielkiej paczki prochu z pięciu kroplami płynu! A jednak, pomimo tego widocznego tryumfu materii, istnieli jeszcze ludzie wierzący w Boga! Istnieli jeszcze – co prawda w bardzo małej już liczbie – ludzie, wyobrażający sobie, że życie duszy wymaga sił wyższych, niż siła materii wymaga świata, którego cała moc tych wybuchowych pocisków nie zdołałaby osiągnąć!

Gdy noc zaczęła już zapadać, zresztą prawie niewidoczna w tym dniu ciężkim i chmurnym, Oliver powrócił nagle do swych kolegów.

– Widać – rzekł – trzy płatowce!

Ministrowie skierowali się ku oknu.

Istotnie, odcinając się słabo wśród mroku, widniały jakby potworne ćmy: dwie z jednej strony, a trzecia z drugiej – dążąc w tym samym kierunku co płatowiec angielski.

Rozdział 6

Syryjski kapłan ocknął się ze snu, w którym zdawało mu się, że mnóstwo twarzy ciekawych, pożądlivych i strasznych spogląda w jego twarz, toteż podniósł się spocony, siadł w kącie płaskiego dachu, na którym spoczywał i odetchnął głęboko. Przez chwilę sądził, że istotnie umiera i że widzi dokoła siebie świat duchów. Otrząsnąwszy się jednak z oszołomienia, stopniowo odzyskał przytomność umysłu i powstał, wciągając w płuca duszne nocne powietrze.

Nad nim rozpościerało się niebo jak studnia, czarne i bez życia. Najmniejszego promyka nie było widać, choć księżyc musiał znajdować się już wysoko. Cztery godziny temu widział jego czerwony sierp, wyłaniający się spoza Taboru. I równina, gdy spojrział przez parapet, nikła w ciemności. Tylko w odległości kilku jardów od domku leżał na nierównym gruncie pokrzywiony promień światła, przedzierającego się przez niedomkniętą okiennicę. A dalej – nic. W kierunku północnym – także nic. Ku zachodowi – połysk, tak blady, jak skrzydło nocnej ćmy, bijący od domów Nazaretu, na wschodzie – znowu nic. Mogłoby mu się zdawać, że stoi na szczycie wieży w przestworzach, gdyby nie ten promień światła na ziemi i ten szary, prawie nieuchwytny dla oczu brzask w oddali.

Na dachu przynajmniej rozeznac można było zarysy, drzwi bowiem, wiodące w głąb domu, pozostawiono otwarte, przez nie zaś przekradało się z głębi nieco odbitego światła.

Oto w jednym z kątów dachu widnieje biały kłębek: zapewne poduszka opata Benedyktynów. Syryjczyk widział go tam niedawno, układającego się do snu. Mogło to być równie dobrze przed czterema godzinami jak i przed czterema wiekami. Przy parapecie majaczy szara postać. Zapewne zakonnik. Dalej inne jeszcze zarysy leżących postaci.

Bardzo ostrożnie, z uwagi na śpiących, przesunął się po kamiennej posadzce dachu do przeciwległego parapetu i wyjrzał, chcąc się przekonać, czy istotnie znajduje się wśród istot żyjących. Tak, rzeczywiście, jest jeszcze na ziemi, bo oto tam, wśród skalnych wałów, połyskuje prawdziwe, wyraźne światełko, a obok niego widnieje delikatna, jak na miniaturze, głowa oraz ramiona piszącego człowieka.

W obrębie zaś światła rozeznac można inne jeszcze blade zarysy. Oto wypukłości gruntu, na których spoczywają ludzie; tu kilka żerdzi, zapowiedź namiotu, który ma być rozpięty; ówdzie stos bagażu, a na nim rzucona kołdra; dalej inne jeszcze postacie ledwie widoczne w ciemności.

Nagle piszący człowiek poruszył głową i długi cień przesunął się po ziemi.

Jednocześnie niemal jęk, jak duszonego psa, rozległ się tuż za Syryjczykiem, obejrzał się więc i ujrzał postać siedzącą na płytach dachu i łkającą przez sen. Na odgłos poruszyła się i inna ze śpiących postaci, łkający jednak opadł znów ciężko na płyty, kapłan więc powrócił na dawne miejsce, wciąż wątpiąc, czy to wszystko, co widzi, jest prawdziwe i znów cisza zapadła dokoła.

Obudziła go ze snu bez marzeń nowa zmiana. Z kąta, w którym leżał, ujrzał sennymi oczyma światłość, pozornie trudną do zniesienia. Światłość ta, w miarę jak patrzył, zamieniała się w płomień świecy, za nią zaś widniał rękaw, a wyżej biała twarz. Zrozumiał i wstał, zataczając się na nogach. Sługa przychodził po niego, jak było umówione.

Idąc po płaszczyźnie dachu, obejrzał się jeszcze dokoła i pomyślał, że świt musiał już nadejść, gdyż przerażające niebiosa stały się nareszcie widoczne. Olbrzymie sklepienie, dymne i nieprzezroczyste, zdawało się zaginać w dali ku widmowemu widnokręgowi, gdzie odległe, wyniosłe wzgórza wznosiły się ostrymi zarysami, jakby wyciętymi z papieru. Przed nim widniał Karmel – a przynajmniej zdawało mu się, że to ta góra – łeb i kark byka, wysuwającego się naprzód, zakończone stromym zboczem, za nim zaś znów niewyraźne niebiosa. Ani jedna chmurka, ani jeden cień nie przerywał jednostajności tego ciężkiego sklepienia, pod którego środkiem, rzekłbyś, spoczywa ten dach małego domku. Za parapetem, spojrzawszy na prawo, przed zejściem w głąb domu, ujrzał równinę Ezdrelonu, szarą i ciemną, rozciągającą się w kruszcową dal. A wszystko to tak nieprawdziwe jak fantastyczny obraz, malowany przez osobę, która nigdy nie widziała czystego, słonecznego blasku. Cisza przy tym panowała zupełna, głęboka, straszna.

Idąc za postacią w białym kapturze i habicie, zszedł szybko wśród ruchomych cieni, wywoływanych przez płomień świecy w ręku służącego, wprost na dół i wzdłuż małego korytarzyka, potknąwszy się raz o nogę śpiącego człowieka. Minąwszy sługę, który usunął się na bok, wszedł do izby.

Zebranych tam było ze dwudziestu mężczyzn: cichych, białych postaci, Wszyscy uklękli, gdy w drzwiach przeciwległych ukazał się papież. Kapłan rzucił na nich okiem, stanąwszy za krzesłem swego pana. Dwóch z nich rozpoznał, gdyż widział ich już poprzedniego wieczora, mianowicie śniadego kardynała Ruspolę, o wielkich, zapadłych oczach oraz smukłego kardynała Australii, poza tym dawnego znajomego, kardynała Corkrana, stojącego właśnie u papieskiego stołu, założonego papierami.

Sylwester usiadł i lekkim ruchem ręki wskazał innym, by uczynili to samo, po czym głosem powolnym, jakby zmęczonym, tak dobrze znanym syryjskiemu kapłanowi, przemówił:

– Eminencje – zdaje się, że jesteśmy już wszyscy. Nie traćmy więc czasu... Kardynał Corkran ma coś do powiedzenia.

Po tych słowach zwrócił się do kapłana syryjskiego.

– Usiądźcie – rzekł – ojcie, bo to zajmie sporo czasu.

Syryjczyk przeszedł przez izbę ku kamiennemu siedzeniu w okiennej wnęcie, skąd mógł widzieć twarz papieża w świetle dwóch świec, stojących pomiędzy nim a kardynałem sekretarzem.

Kardynał Corkran podniósł wzrok od papierów i zwrócił oczy ku papieżowi.

– Wasza Świątobliwość – rzekł – niech mi wolno będzie cofnąć się nieco wstecz, bo Ich Eminencje nie znają dokładnie szczegółów...

– W piątek – mówił dalej – minął tydzień, jak otrzymałem od różnych dostojników kościelnych, ze wszystkich stron świata, zapytanie: co należy uczynić wobec nowej polityki prześladowań? Z początku nie mogłem odpowiedzieć nic stanowczego, nie wcześniej bowiem, jak o dwunastej, kardynał Ruspoli z Turynu zawiadomił mnie o faktach. Kardynał Matpas potwierdził to w kilka minut później, a kardynał arcybiskup pekiński o dwudziestej trzeciej. Wreszcie w sobotę przed południem otrzymałem ostateczne ich potwierdzenie od mych posłańców w Londynie.

– Zdziwiło mnie zaraz z początku to, że kardynał Dołgorowski nie zwrócił się do mnie z zapytaniem, gdyż prawie równocześnie z depezą turyńską nadeszła taka sama z Moskwy od jednego z kapłanów, należących do zakonu Chrystusa Ukrzyżowanego, lecz nie zwróciłem na nią uwagi, gdyż z zasady postępujemy w ten sposób z wiadomościami otrzymanymi od osób nieupoważnionych. Wszelako Jego Świątobliwość poleciła mi zbadać tę sprawę, dowiedziałem się zatem od ojca Petrowskiego i innych, że ogłoszenia rządowe o sprawdzaniu wyznania rozpowszechnione były w Moskwie już o dwudziestej naszego czasu. Dziwnym wobec tego musiało się wydawać, że kardynał Dołgorowski ich nie widział, bo gdyby je ujrzał, to, ma się rozumieć, obowiązkiem jego byłoby zawiadomić mnie o nich.

– Od tej jednakże chwili ujawniły się fakty następujące: stwierdzono niewątpliwie, że kardynał Dołgorowski miał tego wieczoru gościa. Własny jego kapelan, bardzo czynny, jak zapewne Waszym Eminencjom wiadomo, dla sprawy Kościoła w Rosji, doniósł mi o tym prywatnie. Pomimo to, dla uzasadnienia swego milczenia, kardynał twierdzi, że godziny te spędził w samotności, oraz że wydał jakoby rozkaz, aby nie wpuszczano do niego nikogo bez gwałtownej potrzeby. Sprzeczność taka potwierdziła, oczywiście, opinię Jego Świątobliwości w tej sprawie, niemniej otrzymałem od Jego Świątobliwości polecenie działania w dalszym ciągu, jak gdyby nic nie zaszło i powołania go, aby stawił się tu z resztą Świętego Kolegium. W odpowiedzi na to otrzymałem od niego zawiadomienie, że przybędzie. Wszelako wczoraj, tuż przed południem, nadeszła druga depeza, zawiadamiająca, że Jego Eminencja uległ drobnemu wypadkowi, spodziewa się jednak przybyć tu na czas, aby wziąć udział w obradach. Od tej chwili nie otrzymałem już żadnej dalszej wiadomości.

Zapanowało grobowe milczenie. Wówczas papież zwrócił się do syryjskiego kapłana.

– Ojciec – rzekł – przez wasze ręce przechodziły depeche kardynała. Czy macie jeszcze coś do dodania w tej sprawie?

– Nie, Wasza Świątobliwość.

Na te słowa papież zwrócił się w inną stronę.

– Synu – przemówił – powtórz Nam publicznie to, o czym zawiadomiłeś Nas już prywatnie.

Drobny człowiek, o połyskujących oczach, wyłonił się cicho z cienia.

– Wasza Świątobliwość, mnie to wysłano do kardynała Dołgorowskiego. Z początku nie chciał mnie przyjąć, a gdy wreszcie dotarłem do niego i zawiadomiłem o rozkazie, milczał. Potem uśmiechnął się i polecił mi oświadczyć Eminencji z Damaszku, że będzie posłuszny rozkazowi.

Po wygłoszeniu przez posłańca powyższych słów izbę znów zaległo milczenie.

Nagle powstał wysmukły Australijczyk.

– Wasza Świątobliwość – zawołał – niegdyś byłem przyjacielem tego człowieka. Za moją to, po części, sprawą prosił, aby go przyjęto na łono Kościoła katolickiego. Stało się to nie mniej jak przed czternastu laty, gdy zdawało się, że losy Kościoła wchodzi na drogę pomyślności... Ale dwa lata temu nasz przyjacielski stosunek przerwał się i sądząc z tego co wiem o nim, nie trudno mi jest uwierzyć, że...

Głos mówiącego, wstrząsany gniewem, załamał się, lecz w tej chwili Sylwester podniósł rękę.

– Nie chcemy – rzekł – oskarżeń wzajemnych. Nawet dowody są już zbyt liczne, bo stało się to, co się stać miało. Co do nas samych, nie wątpimy o naturze faktu, dokonanego przez tego człowieka. Jemu to dał Chrystus kęs chleba, mówiąc: *QUOD FACIS, FAC CITIUS. CUM ERGO ACCEPISSET ILLE BUCCELLAM, EXIVIT CONTINUO. ERAT AUTEM NOX.*

Znów zapadła cisza. Z zewnątrz tylko, spoza drzwi, doleciało długie westchnienie. I westchnienia takie ponawiały się bez przerwy, gdy budził się jeden z wycieńczonych podróżnych, śpiących w korytarzu. A westchnienia te podobne były do westchnień człowieka, co wyszedłszy z ciemności, wpadł znów w ciemność zamiast w światło, którego oczekiwał.

Wówczas Sylwester ponownie przemówił, a mówiąc, darł, jakby machinalnie, długi papier pokryty wykazem nazwisk, który wziął ze stołu.

– Eminencje, musicie wiedzieć o tym! Musicie wiedzieć, że, przynajmniej tak wierzę, nadszedł ten koniec świata, o którym mówił nasz Zbawiciel, ta ostatnia chwila świata, której żaden człowiek nie wiedział dnia ani godziny. A nasz Zbawiciel powiedział jeszcze: „GDY PRZYJDZIE SYN CZŁOWIECZY, CZY ZNAJDZIE WIARĘ NA ZIEMI?”.

Przerwał czynność swych rąk i, pokazując słuchaczom resztki papieru, mówił:

– Oto jedna ze spraw, którą mieliśmy omówić. Był to wykaz biskupów, których

mieliśmy zawiadomić o postanowieniach powziętych przez nasze zgromadzenie. Obecnie jednak wykaz ten nie przyda się już na nic... Synowie moi, czy pojmujecie? „NIECH TEN – powiedział nasz Zbawiciel – KTÓRY BĘDZIE NA DACHU DOMU SWEGO, STRZEŻE SIĘ SCHODZIĆ DLA URATOWANIA CZEGOKOLWIEK Z DOMU SWEGO; NIECH TEN, KTÓRY BĘDZIE W POLU STRZEŻE SIĘ WRACAĆ DO SIEBIE DLA ZABRANIA PŁASZCZA SWEGO!”.

I Sylwester uśmiechnął się słodko, po ojcowsku, do skupionych twarzy, które go otaczały.

– Niewiele pozostało nam już teraz do zrobienia... Słuchajcie, synowie moi!

I mówił im o wielkim końcu, o łodzi Piotrowej, która błąkała się wśród dwudziestowiekowej nocy, i o Mistrzu, który spał w łodzi, i o wielkim przebudzeniu. A gdy tak mówił, kapłan syryjski, wciąż śledzący go z natężoną uwagą, spostrzegł ujawniającą się w jego twarzy dziwną zmianę. Syryjczyk kilkakrotnie zamykał i otwierał oczy, sądząc, że złudzenie zniknie. Lecz nie! Za każdym otwarciem oczu wzmagala się w nim pewność, że ma przed oczyma coś, na co nigdy jeszcze nie patrzył. Spojrzał wtedy po reszcie zgromadzenia i przekonał się, że wszystkie te twarze patrzyły z podziwem na zmianę, która zaszła na twarzy Chrystusowego Wikariusza.

A twarz ta?

Kapłan syryjski miał wrażenie, że wewnątrz jej płonie światło tak widoczne, tak materialne, jak światło świec, które się w niej odbijało. Zupełnie tak, jak błyszczała wśród płomieni Hostia na ołtarzu, święta promienną białością, przewyższającą wszystko, co ją otacza: i bladeść płócien, i połysk złota, i klejnotów, i nieskalaną czystość lilii... Tak samo błyszczała teraz twarz Sylwestra w tych chwilach ekstazy. I jego spokojne ręce, spoczywające na stole, również ogarnęła ta nadnaturalna przejrzystość; i białe jego szaty stały się – jak szaty Tego, wówczas na górze Tabor – nieskończenie bielsze od wszelkiej ziemskiej białości. I głos jego różnił się teraz od akcentów zwykłych ust ludzkich tak, jak różniła się vibracje szkła od grzmotu trąb i huku bębnow.

I żaden głos nie odzywał się z reszty pokoju, gdyż wszyscy w nim obecni patrzyli i słuchali bez ruchu. I zdawało się kapłanowi, że każdy z nich miał również swoją część tego cichego, wzniosłego cudu. Małeńki pokój, pobielony wapnem, stare stoły, świece, cały w ogóle świat, w którym ludzie ci przez kilka chwil jeszcze żyli, zmienił się i przeobraził.

– Patrzcie – zawołał Sylwester – patrzcie, jak wszystko oczekuje Sędziego, który nadchodzi. Z bardzo daleka nadlatują orły, o których mówił, prowadzone przez księcia NIE MAJĄCEGO NIC W SOBIE!

Rozłożył ręce ruchem gwałtownym i szerokim.

– Czy nie widzicie ich? – zawołał – Czy nie widzicie?

I wówczas, na krótką chwilę, słuchający go kapłan syryjski miał widzenie, szybkie

jak błyskawica.

Niezmierzone morze rozciągało się pod nim, czarne pod bezgwiezdnym niebem, poznaczone tylko tu i ówdzie białą plamą, zdradzającą jego niekończący się ruch. A nad nim, na wprost oczu Syryjczyka, otwierała się oświetlona kajuta napowietrznego statku. Siedziało w niej, na wysokości przeszło tysiąca stóp nad powierzchnią fal, dwóch ludzi naprzeciw siebie, pomiędzy nimi stał stolik, cały okryty papierami. Jeden z tych ludzi wskazywał palcem pewien punkt na mapie, a obaj uśmiechali się i widział na ich twarzach wyraz oczekiwania i radości. Najdrobniejsze szczegóły tej sceny uwydatniały się z cudowną wyrazistością: łagodne światła lamp, grube, miękkie kobierce, kryształowe drzwi. I twarze tych dwóch ludzi, których kapłan syryjski nigdy w życiu nie widział, odcinały się przed nim nie mniej wyraziście: siwe włosy, rysy młodzieńcze, oczy głębokie i pięknie zarysowane usta, wymowne u jednego, twarz zaś zmęczona ale w tej chwili opromieniona nadzieją – u drugiego.

Oto, co widział kapłan i nie tak, jak widzą oczy, lecz tak jak widzi umysł. Widział to, czego oczy nie potrafiłyby dojrzeć, gdyż wszystko zjawilo się przed nim w jednej płaszczyźnie: morze u spodu, lecący nad nim biały płatowiec, wewnątrz tego statku, najdrobniejsze szczegóły twarzy i mapy geograficzne rozłożone na stole. Jednak widział daleko jeszcze więcej, natychmiast bowiem pojął, kim są ci ludzie, co myśleli, do czego się przygotowywali, a równocześnie przejmowało go bardzo wyraźne uczucie marnego niepowodzenia ich przedsięwzięcia. Widział ich lecących ku wiecznej śmierci, w chwili, gdy sądzili, że nareszcie osiągną zwycięstwo. Wiedział, dlaczego ci ludzie tam siedzą; dlaczego statek ten leci z całą szybkością poprzez świat; dlaczego ta gromada orłów zlatuje się z czterech stron kuli ziemskiej, uzbrojona w nieprzezwykłą moc. Wiedział, że to, co dostrzegał, jest sumą wszelkich sił świata, zebraną dla odniesienia ostatecznego zwycięstwa nad ostatnimi podporami wiary Chrystusowej. Wiedział to wszystko, a jednak nie było w nim ani cienia strachu.

W tym samym bowiem ekstatycznym widzeniu odkrywał także świat inny, transcendentalny, wyższy ponad wszelką wyobraźnię ludzką, świat pragnień i ducha, w porównaniu z którym cały świat ziemski był tylko drobnym, przemijającym prochem. To, do czego jako kapłan chrześcijański zawsze wzdychał; to, czym zawsze żył, nie widząc tego – to właśnie, w co dotychczas wierzył, miało stać się teraz widome. Teraz, w tej sekundzie bez końca, dusza jego nie potrzebowała już żadnego wysiłku, aby się wzniesć do owego wyższego świata, gdyż świat ten stawał się rzeczywistością, gdy tymczasem dawna rzeczywistość rozpraszała się jak sen.

A gdy skończyła się ta sekunda objawienia – minęła zaś gdy tylko papież opuścił ręce – świadomość tego wszystkiego pozostała w głębi serca kapłana syryjskiego nadal pewna i niewzruszona. Znał tę nadprzyrodzoną rzeczywistość tak dobrze, jak się zna twarz przyjaciela; uprzytomniał ją sobie tak wiernie, jak wiernie odtwarza pamięć widok ogrodu, oświeconego nagle przez błyskawicę.

A gdy następnie głos Sylwestra przemawiał dalej, w cudownym uniesieniu entuzjazmu, kapłan słyszał już tylko brzmienie wyrazów, gdyż cała dusza jego trwała w oglądaniu tego, co dane jej było widzieć, usiłowała – jak to czasem robimy, ocknąwszy się z bardzo mocnego snu – ująć raz jeszcze i wytłumaczyć sobie owo cudowne widowisko, które mu się objawiło: kajutę napowietrznego statku, twarze obu siedzących w niej ludzi, ich złe zamiary i próżne nadzieje...

Zwrócił wzrok ku Sylwestrowi i znów usłyszał spokojny głos swego mistrza, zwracający się tym razem ku niemu:

– Ojczy, trzeba natychmiast wystawić w kaplicy Przenajświętszy Sakrament!

* * *

W godzinę później kapłan wyszedł na podwórze, pchany przez tę samą potrzebę ruchu, która już przedtem zmusiła go do błądzenia po ulicach wioski, jak lunatyka, nie wiedzącego gdzie idzie i po co, a który mimo to nie może się zatrzymać.

Na wszystko padł urok taki, jakiemu sam podlegał. Żaden z ludzi, do których Sylwester przemawiał dopiero co w swym pokoju, nie wymówił ani słowa. Wszyscy wyszli natychmiast, milcząco. Niektórzy przeszli przez podwórze jednocześnie z kapłanem, udając się do kaplicy i padłszy tam na posadzkę, leżeli bez ruchu na kamiennych płytach; inni usunęli się na bok, aby się wyspowiadać jeden przed drugim. Widział ich właśnie, gdy był zajęty przygotowaniem ołtarza do przepisanej nabożeństwa. Inny jeszcze, zwiesiwszy ręce, chodził przed domem tam i z powrotem, mając oczy szeroko otwarte, ale nic nie widząc. Wreszcie jeden, ogarnięty tak jak i on machinalną potrzebą ruchu, przemierzał również ulice wioski, głośno do siebie mówiąc, podczas gdy w niepewnym świetle podwójnej mgły zdziwione twarze spoglądały na niego ze wszystkich domostw.

Słowa Sylwestra wywołały ten skutek, że, pod pewnym względem, zamknęły nagle byt ziemski słuchaczy i że wszyscy oni zrzucili natychmiast z siebie, jak ciężki, niepotrzebny już płaszcz, wszystkie myśli i troski tego świata.

Co się tyczy samego Syryjczyka, to w istocie nie byłby on w stanie zdać sobie sprawy ze stanu, w jakim się znajdował. Zdawało mu się, że czas już nie upływa, jak również, że on sam się nie porusza, lecz że ziemia rusza się pod jego stopami. I wciąż zmieniając miejsce, podnosił oczy ku niebu, w stronę wschodu, czekając na to, co miało przyjść, z uczuciem najzupełniej wolnym od strachu.

* * *

Od godziny nic się nie zmieniło w stanie niebios, chyba, że pojaśniały nieco w miarę, jak słońce podnosiło się za ich nieprzejrzaną zasłoną. Pagórki, ludzie, trawa – wszystko przybierało kształty nierzeczywiste, stawało się podobne do rzeczy widzianych sennymi oczyma spoza powiek, ciężących jak ołów. Nawet inne zmysły odczuwały tę nierzeczywistość, przyszedł mu więc raz jeszcze na myśl sen, który miał niedawno i uczył zadowolenie, że przynajmniej nie odczuwa strachu. Wszakże panująca cisza zdawała się czymś innym, niż przeciwieństwem dźwięku, stawała się niejako rzeczą samą w sobie, afirmacją, której nie naruszało echo kroków, odległe szczekanie psów i szept głosów.

Rzekłbyś, cisza wieczności zeszła na świat i objęła wszelkie jego czynności, a świat ten, w rozpaczliwym wysiłku stwierdzenia swej rzeczywistości, zmagął się, wstrzymawszy w sobie ruch, dźwięk i oddech, dla utrzymania się przy bycie.

To, co Sylwester powiedział, zaczynało stawać się prawdziwym i dla tego człowieka. Dotknięcie piaszczystego gruntu i rozgrzanych kamieni pod nogami zdawało się czymś odrębnym od świadomości, uważającej zwykle rzeczy zmysłowe za coś bardziej rzeczywistego i znanego, niż rzeczy duchowe. Materia posiadała rzeczywistość, zajmowała jeszcze miejsce, ale była natury podmiotowej, wynikiem raczej sił wewnętrznych niż zewnętrznych. Sam sobie wydawał się już bodaj czymś więcej, niż tylko duszą pilną i stateczną, połączoną już cienką nitką z ciałem i światłem, z którym miała jeszcze związek. Wiedział, że istnieje przerażający upał; raz nawet kawałek ubitej ziemi popękał i zasyczał jak woda dotknięta gorącym żelazem, gdy go przygniótł nogą. Czuł upał na czole i rękach, całe jego ciało przesiąkło nim, nurzało się w gorącu, lecz traktował je jakby z punktu zewnętrznego, jak człowiek cierpiący na neuropatię, któremu zdaje się czasem, że ból znajduje się nie w ręce, lecz w poduszce, podpierającej rękę. Tak samo rzecz się miała z tym, na co patrzyły jego oczy, czemu uszy jego się przysłuchiwały, to samo było z lekkim gorzkim smakiem, odczuwanym przez wargi i nozdrza. Nie czuł już w sobie ani strachu, ani nawet nadziei, uważał siebie, świat, a nawet ogarniającą i wzbudzającą cześć istność ducha za fakty, z którymi mało ma związku. Niewiele już obchodziło go wszystko, a tym mniej trapiło. Oto znajdował się przed nim Tabor, a przynajmniej to, co było Taborem, bo teraz góra przedstawiała mu się jako kształt ogromny, przyćmiony, odbijający się na siatkówce oka, a przez to zawiadamiający bierny mózg o swym istnieniu i zarysie, w istocie jednak wydawało się nie lepszym, niż istnienie rozplywającego się widma.

Wobec tego uważał za naturalne – a przynajmniej o tyle naturalne, o ile było nim wszystko inne – że gdy minął korytarz i otworzył drzwi kaplicy, podłogę jej zaścielały rozciągnięte na niej postacie bez ruchu. Wszystkie leżały tam, podobne do siebie w białych burnusach, które rozdał wczoraj. Z czołem zaś opartym na dłoniach, jak przy śpiewaniu litanii do Świętych, podczas obrzędu wyświęcenia, leżała postać, którą znał najlepiej i kochał ponad wszystko na świecie, obiałych włosach i z ramionami lekko

wzniesionymi. Powyżej, na skromnym ołtarzu, płonęło sześć wysokich świec, a pośrodku, na swym prostym, maleńkim tronie, wznosiła się monstrancja z białego metalu z Ośrodkiem Białym.

Wówczas ukląkł i tak pozostał.

Ile czasu minęło – nie wiedział, zanim tocząca się kołem świadomość, leniwy potok obrazów, drganie oddzielnych myśli, ustaliły się i uspokoiły, jak uspakaja się powoli powierzchnia strumienia, do którego wrzucono kamień. Dość, że nadeszła w końcu ta chwila rozkosznego spokoju, którym Bóg nagradza duszę wierną i ufającą, ta chwila odpoczynku bezwzględne, która będzie kiedyś nagrodą wieczną dzieci Boga.

Już teraz nie było w nim żadnego pragnienia analizowania swego ja lub zastanawiania się nad kim innym. Przekroczył koło, w którym dusza spogląda w głąb siebie, aby się wznieść do Tego, którego widzi Chwałę wyniosłą, i pierwszą oznaką zwiastującą mu, że czas upływa, był nagły szmer głosów, w którym mógł wyraźnie dosłyszeć i zrozumieć oddzielne słowa i przyłączyć się do ich powtarzania, choć wszystko to jeszcze wydawało mu się jak gdyby przykryte zasłoną, spoza której dochodziła do niego tylko czysta treść słów i rzeczy:

– *SPIRITUS DOMINI REPLEVIT ORBEM TERRARUM... DUCH PAŃSKI NAPEŁNIŁ OKRĄG ZIEMI, ALLELUJA; I TEN, KTÓRY OGARNIA WSZYSTKO, MA TEŻ ZNAJOMOŚĆ WSZELKIEJ MOWY, ALLELUJA, ALLELUJA, ALLELUJA.*

Po czym głos, który wymawiał łacińskie wyrazy, zdawał się z wolna podnosić:

EXSURGAT DEUS... NIECH POWSTANIE BÓG I NIECH SIĘ ROZPROSZĄ WROGOWIE JEGO I NIECH CI, KTÓRZY GO NIENAWIDZĄ, UCIEKNĄ PRZED OBLICZEM JEGO! GLORIA PATRI!

Syryjczyk miał głowę ociężałą. Widmowa postać stała przy ołtarzu. Wysoka, biała postać, zdająca się raczej unosić w powietrzu, niż stać na ziemi, z rozłożonymi rękami i o białych włosach, połyskująca w promieniach świec.

KYRIE ELEISON... GLORIA IN EXCELSIS DEO!

Kapłan słyszał i powtarzał te modły, ale jego bierna dusza nie wysilała się na jakiegokolwiek refleksje do chwili, w której słowa mniej zwykłe nagle go uderzyły:

– *CUM COMPLEVENTUR DIES PENTECOSTES...*

A GDY NADESZŁY DNI ZIELONYCH ŚWIĄT BYLI WSZYSCY UCZNIOWIE RAZEM NA TYM SAMYM MIEJSCU. I STAŁ SIĘ Z NAGŁĄ Z NIEBA SZUM JAKBY NADCHODZĄCEGO WICHRU GWAŁTOWNEGO I NAPEŁNIŁ CAŁY DOM...!

Wówczas przypomniał sobie wszystko i zrozumiał. Wszak to Zielone Świątki! A razem z pamięcią powrócił też cień refleksji. Gdzie jest ów wiatr, ów płomień, owo wstrząśnienie ziemi, ów głos tajemny? Ziemia przecież milczy, zeszytywniała w ostatnim wysiłku obrony własnego bytu. Nie było drzenia, zwiastującego, że Bóg pamięta; nie

było iskiereki rzeczywistej światła, która, przerwawszy straszną jednostajność sklepienia ciemności, leżącego nad ziemią i morzem, zwiastowała, że On tam płonie panujący, w wieczności, transcendentalny; nie było nawet głosu!

Zdawszy sobie z tego sprawę, zrozumiał jeszcze więcej. Zrozumiał, że świat, którego potworną parodię przyniósł mu sen ubiegłej nocy, nie był tym światem strasznym, jaki sobie wyobrażał. Był słodkim, nie okropnym; przyjacielskim, nie wrogiem; czystym, nie duszącym; ogniskiem domowym, nie miejscem wygnania. Znajdowały się na nim istoty, lecz nie żarłoczne, pożądliwe, które patrzyły na niego ubiegłej nocy...

Opuścił więc głowę na ręce, jednocześnie zawstydzony i radosny i znów pogрузił się w głębiny brzasku pokoju wewnętrznego...

I znów przez chwilę nie wiedział co robi, o czym myśli lub co się dzieje o pięć kroków od niego, na niskim stopniu ołtarza. Raz tylko fala przebiegła po tym szklanym morzu, fala ognia i dźwięku, która rzuca nagle pasmo światła poprzez śpiące jezioro, jak cieniutki wątek drżenia, wypływający ze struny drgającej wśród głębokiej nocy – i pojął na mgnienie oka, jak w bezkształtnym zwierciadle, że natura niższa wzniosła się do istnienia...

A potem znów tylko ta wielka cisza, ogarniająca odczucie rzeczywistości przez najtajniejsze głębiny serca, aż wreszcie znalazł się klęczącym u ołtarza i uczył, że Ten, który jedynie prawdziwie istnieje na ziemi, zbliża się ku niemu z szybkością myśli i żarem Miłości Bożej...

W chwili jednak, gdy Msza się kończyła i wznosił bierną, szczęśliwą duszę ku Bogu, aby otrzymać ostatni jeszcze dar od Niego, rozległ się krzyk i nagła wrzawa na korytarzu, a w progu drzwi stanął człowiek, bełkocząc po arabsku:

– Prędko, prędko, wszyscy na dwór!... Statki powietrzne zbliżają się do Nazaretu!... Domy Europejczyków są zagrożone, skazane na zniszczenie!

* * *

Wrzawa ta jednak, a nawet sam widok, zaledwie że wywołały w duszy syryjskiego kapłana drżenia tej nici niezmiernie subtelnej, która łączyła go jeszcze ze światem zmysłów. Widział i słyszał wielkie zamieszanie w korytarzu, rozognione oczy i krzyczące usta, a jako zadziwiającą sprzeczność blade twarze w ekstazie, tych kardynałów, którzy zwrócili się machinalnie ku drzwiom. Ale to wszystko wydawało mu się tak oddzielonym od niego, jak scena teatru i dramat, który się na niej rozgrywa są oddzielone od widza na galerii. W świecie materialnym, zredukowanym obecnie do złudzenia mirażu, rozgrywały się zajścia, lecz w duszy jego, skupionej w oczekiwaniu zajść bardziej realnych, wszystko to było tylko snem dalekim i pogmatwanym.

I znów zwrócił się ku ołtarzowi, a tam, jak z góry wiedział, tam, wśród promiennego światła świec panował spokój zupełny. Pokornie, w szeptach wolnym i skupionym, celebrians wielbił tajemnicę Słowa ucieleśnionego i wkrótce Syryjczyk ujrzał go raz jeszcze, padającego na kolana przed Sakramentem.

I oto uczuł, że przez nieprzemyślany impuls własne jego wargi zaczynają śpiewać słowa, które w miarę wyłaniania się, rozwierały się tak, jak kwiaty rozwierają się w słońcu.

*O SALUTARIS HOSTIA,
QUAE CAELI PANDIS OSTIUM...*

Wszyscy obecni śpiewali. Nawet ten katechumen mahometański, który przed chwilą wpadł z okrzykiem przerażenia na ustach, śpiewał jak inni, pochyliwszy małą, szczupłą głowę i skrzyżowawszy ręce na piersi. Ciasna kaplica rozbrzmiewała mieszaniną głosów, a na zewnątrz cały wielki świat drżał i dźwięczał tym cudownym śpiewem.

Nie przestając śpiewać, kapłan ujrzał, że ktoś kładzie welon na ramiona Sylwestra, po czym wszczął się ruch, przesunęły się postacie, wyglądające teraz, w tym omdleniu ziemskich pozorów, jak odległe cienie.

UNI TRINOQUE DOMINO...

I papież wyprostował się – bladeść olśniewająca wśród promieni światła – fałdy jedwabiu opadały mu z ramion, ręce spowite były tymi fałdami, a twarz ukryta za metalową monstrancją, wśród której lśniła białość wspaniała.

*OUI VITAM SINE TERMINO
NOBIS DONET IN PATRIA.*

Obecni ruszyli się teraz i świat życia w nich się odradzał. Oto, co Syryjczykowi stało się zrozumiałe! I on sam wkrótce znalazł się w korytarzu, wśród twarzy bladych i przerażonych, spoglądających z otwartymi ustami na to widowisko czterdziestu kapłanów, obojętnych wobec bliskiej katastrofy i zagłębionych w głośnym śpiewie *PANGE LINGUA...*

Doszedłszy do rogu korytarza, odwrócił się na chwilę i ujrzał sześć drżących promieni, które połyskiwały jak ostrza ognistych włóczyń otaczających króla, a wśród nich srebrne promienie monstrancji i białe serce Boga.

Wreszcie znalazł się na dworze, w tej przestrzeni wolnej, gdzie przygotowywała się bitwa.

Barwa niebios przeszła teraz z ponurej ciemności w niemniej przerażające światło, czerwone jak krew, która zdawała się rozpląwać nad światem.

Od Taboru, na lewo, do Karmelu, u granicy widnokregu, na prawo, ponad wszystkimi okolicznymi wyżynami, rozciągało się olbrzymie, krwawe sklepienie. Żadnego odcienia w tej czerwieni, żadnego stopniowania od zenitu do widnokregu, wszystko posiadało ten sam głęboki kolor, jak prawdziwa krew, płynąca falami. I widział też słońce, blade jak przed chwilą Hostia, wznoszące się nad górą

Przemienienia, gdy tam na dole, daleko na zachodzie, gdzie niegdyś ludzie na próżno wzywali Baala, zawisł sierp księżyca, tak samo zupełnie biały.

IN SUPREMAE NOCTE COENAE

brzmiało teraz już nie czterdzieści głosów, lecz tysiące – serce olbrzymie, zdające się zapełniać całą nieskończoność nieba.

RECUMBENS CUM FRATRIBUS

OBSERVATA LEGE PLENE

CIBIS IN LEGALIBUS

CIBUM TURBAE DUODENAE

SEDAT SUIS MANIBUS...

Widział też krążące jak ćmy w świetle to koło dziwnych istot o kształcie olbrzymich ryb, białych jak mleko, prócz tych części, w których gniewna łuna niebios odbijała się zarzewiem; istot, opatrzonych też w skrzydła, jak ćmy, widzianych od drobnej sylwetki hen, na południu, aż do olbrzyma, krążącego w pobliżu, o pięćset metrów zaledwie. W miarę zaś jak patrzył, śpiewając, zauważył, że zwarło się koło płatowców i zrozumiał, że ludzie znajdujący się na tych statkach wciąż jeszcze nic nie widzą i nic nie wiedzą...

VERBUM CARO, PANEM VERUM

VERBO CARNEM EFFICIT...

...podleciały bliżej jeszcze, tak blisko, że nawet u stóp jego przesunął się cień jednego z tych potwornych ptaków, blady i nieokreślony, gdy ptak ten, znajdujący się przed chwilą jeszcze tam, nad pagórkami, zakrył nagle swym cielskiem wyblakłe słońce, po czym znów cofnął się i czekał...

...ET SI SENSUS DEFICIT

AD FIRMANDUM COR SINCERUM

SOLA FIDES SUFFICIT...

...Zatrzymał się i zawrócił do środka procesji, słysząc, jak sądził, dźwięk strun harfy i huk bębnow niebieskich, tam zaś w przestrzeni posuwało się wciąż sześć płomieni gromnic, tak prostych w tej zdumiewającej równowadze niebios i ziemi, jakby wykute były ze stali, a pomiędzy nimi srebrnopromienna aureola i Biel Boga, który stał się Człowiekiem...

...Nagle zahuczały grzmoty, tocząc się kręgiem ponad kręgiem potężnych Obecności–Tronów–Mocy, które będąc względem świata tym, czym materia względem cienia, same stanowią tylko cień pod szczytem i wewnątrz koła Boskości Absolutnej...

Rozszalały się grzmoty, wstrząsając ziemią pełzającą teraz na skraju rozprzężenia...

TANTUM ERGO SACRAMENTUM

VENEREMUR CERNUI,

ET ANTIQUUM DOCUMENTUM

NOVO CEDAT RITUI...

Ach tak! To ten Człowiek Grzechu, na którego Bóg oczekuje teraz – ten, który tam wysoko, pod tym drżącym cieniem sklepienia, sam tylko marna komórka niewymarzonej wspaniałości, nadlatuje w szybkim wozie swoim, ślepy na wszystko, prócz tego, w czym od tak dawna utkwił oczy swoje, nie zważając, że jego świat psuje się dokoła. A cień jego ruchomy posuwał się jako chmura biała poprzez tę równinę okropną, gdzie Izrael walczył, a Sennacheryb się pysznił – równinę oświetloną teraz luną jeszcze gwałtowniejszą, gdy tymczasem niebo, podniecając do chwały ponad chwałę płomienie ducha, powstrzymuje wciąż jeszcze moc gromadzoną dla wsparcia ostatniego objawienia. I po raz ostatni zaśpiewały głosy...

*PRAESTET FIDES SUPPLEMENTUM
SENSUUM DEFECTUI...*

...I nadlatywał teraz wyraźniej, niż kiedykolwiek, ten spadkobierca wieków doczesnych i wygnaniec wieczności, ten ostateczny, godny politowania książę buntu, stworzenie przeciwko Bogu, bardziej ślepy niż słońce blednące i ta trzęsąca się ziemia. A dokoła niego poruszało się koło lotne ofiar jego, podobne do gromady owadów, które bezwiednie lecą po śmierć do światła płomienia... Nadlatywał, a ziemia, w chwili gdy sądził, że nareszcie cała już uległa jego panowaniu, rozdzierała się, jęcząc, w ostatnich walkach agonii!

Nadlatywał Antychryst dumny, Pan świata! Już cień jego padał na ziemię, a białe skrzydła statku poruszały się, aby doprowadzić go do miejsca, w którym miał uderzyć; i oto w tej chwili właśnie zabrzmiał dzwon ogromny, nadnaturalny, gdy tymczasem tysiące głosów śpiewało słodko w dalszym ciągu, a śpiew ten tworzył szmer delikatny w łoskocie burzy, szalejącej dokoła...

*...GENITORI GENITOQUE
LAUS ET JUBILATIO,
SALUS, HONOR, VIRTUS QUOQUE
SIT ET BENEDICTIO,
PROCEDENTI AB UTROQUE
COMPAR SIT LAUDATIO...*

Raz jeszcze
*PROCEDENTI AB UTROQUE
COMPAR SIT LAUDATIO...*

I przeminął ten świat, a z nim sława jego.

Post scriptum

WINCENTY ŁASZEWSKI

Ten, kto uważnie przeczytał *Władcę świata* wie, że ma za sobą dziwną, niepokojącą lekturę, budzącą w czytelnikach uśpione niepokoje i lęki – nagle nasze obawy o przyszłość zaczynają mieć konkretne imiona, a my wymawiamy je z przerażeniem: „Nowy Ład”, globalizacja ideologiczna, Antychryst jako zbawca ludzkości, ostateczna rozprawa z Kościołem, może koniec świata... Ten niepokój towarzyszył lekturze powieści od pierwszej chwili pojawienia się jej na rynku księgarskim w 1908 roku. Już wówczas kreślona przez Bensaona wizja przyszłości była dla ludzi skrajnie pesymistyczna – aż po chęć rezygnacji. „Wielokrotnie mi mówiono – skarżył się autor – iż wydźwięk *Władcy świata* jest niezwykle przygnębiający i zniechęcający”. Wspominana przez czytelników pokusa zubożenia sprawiła, że Benson podjął próbę opisanie alternatywnej drogi w przyszłość – uczynił to w powieści *Brzask wszechrzeczy*. Jednak proponowany w niej obraz jutra okazał się dla odbiorców zupełnie niewiarygodny. Jakby czuli, że przyszłość została opisana właściwie nie w *Brzasku...*, ale we *Władcy...*

Książka ma pesymistyczny wydźwięk, ale jeszcze bardziej przygnębia informacja, że istnieje grupa czytelników, coraz większa, dla której książka Bensaona – jeśli pominie się ostatnie kilka słowa powieści lub zinterpretuje się je po swojemu – jest inspirującą lekturą, a spełnienia się zawartych w niej wizji wyglądają z niecierpliwością. Są ludzie, którzy cieszą się na myśl, że pojawi się władca zdolny zaprowadzić na świecie ład i będzie to „Nowy Ład” – *New World Order*, że wreszcie skończy się epoka chrześcijańska i Kościół będzie mógł co najwyżej pełnić funkcję pozareligijną – nie będzie już dyktował, co wolno, a czego nie wolno, nie będzie straszył piekłem, nie będzie mówił o krzyżu, nie będzie moralizował. Będzie mógł jedynie głosić powszechne miłosierdzie i pomagać biednym (chorym, starym, uchodźcom). Eutanazja będzie wreszcie legalna, a moralność zostanie pozbawiona religijnego wędzidła.

Jak widać powieść Bensaona budzi w ludziach sprzeczne uczucia. Nic dziwnego, skoro jest to swoista księga prorocत्व. Pozostaje tylko pytanie, czy zawarte w niej zapowiedzi są rzeczywiście prawdziwe. Logika – jeśli można ją stosować do tego tematu – zdaje się to potwierdzać. Benson, opisując fakty, które „już” znamy, z taką samą pewnością opowiada o rzeczach, które „jeszcze” nie stały się naszym udziałem. Spełnienie się jego wszystkich wizjonerskich obrazów jest – logicznie – tylko kwestią czasu, i to wcale niezbyt odległego, a można powiedzieć i więcej – to kwestia chwili.

Przesłanki do takiego twierdzenia – i pewnie też na tym polega niezwykłość tej powieści – nie znajdują się w pozaracjonalnej rzeczywistości widzeń i głosów, czyli w świecie religii. Benson tak skonstruował swoją opowieść, że potwierdzenie jego intuicji znajduje się w świecie pragmatycznym – uzasadnia je nasza własna wiedza i własne doświadczenie. Jeżeli podejrzewamy *Władcę świata* o treści prorocze, to jednocześnie dostrzegamy, że wizjonerstwo autora wcale nie jest owocem religijnego natchnienia. Okazuje się, że aby być prorokiem wystarczy, by być „jak Benson”. Czyli kim? Człowiekiem doskonale wykształconym, świetnym obserwatorem tego, co dzieje się w świecie, chodzącym twardo po ziemi, realistą. I dodatkowo uważnym obserwatorem tego, co dzieje się „pod skórą” świata. Do tego ostatniego potrzebna jest nuta intuicji, jakaś umiejętność układania informacyjnych puzzli. U proroka zdolność ta pozwala nazywać przyszłość właściwymi imionami, jeśli – poza wykształceniem, obyciem ze światem itd. – prowadzi on prawdziwe życie duchowe. To ostatnie z pewnością było udziałem autora *Władcy świata*. Nikt, kto jest tylko znawcą teorii i nie doświadczył tego, czym jest modlitwa przechodząca w mistyczne widzenie Boga, nie opisałby w ten sposób rozmowy księdza Franklina z Bogiem, jak uczynił to nasz autor na stronie 51 i następnych. W tym miejscu Benson uwiarygodnił swoją wizję przyszłości. On czuł, co dzieje się „pod skórą” świata...

Warstw prorocstwa mamy u niego kilka. Zaczniemy od tej banalnej. Benson wiedział, że w niedalekiej przyszłości ludzkość wymyśli masowy transport lotniczy, a także broń masowej zagłady. Mniej banalna wiedza autora o przyszłości to przekonanie, że za chwilę chrześcijaństwo zacznie gubić element nadprzyrodzony i poda rękę ideom humanizmu. Wiedział, że takiemu Kościołowi grozi rozwarstwienie na wierzących i już-nie-wierzących, i że ten podział przebiegnie również przez hierarchię. Wiedział, że pojawi się „Kościół pogan, Kościół społeczników” (wiedział o tym również Benedykt XVI), i że Kościół wciąż wierny nauce Chrystusa stanie się prześladowaną mniejszością.

Robert Benson prorokuje nadejście epoki New Age, a po niej ery „Nowego Ładu Świata”, który będzie owocem wieloletnich zabiegów masonerii. W konsekwencji nastąpią zmiany w globalnej polityce i na świecie zapanuje tylko jedna, humanistyczna, ideologia.

W tym momencie wizja prorocza Bensaona zaczyna być szczegółowa. Mówi, że apokalipsa nadejdzie jako konsekwencja „racjonalnych” działań człowieka. Bóg, wyrzucony poza nawias, będzie w świecie *nieobecny*. W apokalipsie jest za to *obecny* nowy władca świata – Antychryst, którego Benson wydaje się znać po imieniu. Nazwisko, które mu nadał – „Felsenburgh” – składa się z dwóch germańskich słów: *die Felsen* – skała oraz *der Burg* – forteca, zamek, warownia. „Felsenburgh” kryje w sobie wzmiankę o potędze anty-Kościoła zbudowanego tak samo jak Kościół Chrystusowy na skale – tu jednak potęgą jest Szatan. Ideologia humanitaryzmu okazuje się przykrywką

dla działania osobowego zła, które nienawidzi człowieka i śni o jego kłesce, a także cierpieniu. Obok Kościoła opartego na mocy Boga pojawia się jak w lustrzanym odbiciu anty-Kościół zbudowany na skale piekła, obok mocy Boga staje moc anty-Boga, a obok papieża anty-papież, czyli papież „Kościół diabła”. Tyle znaczy „Felsenburgh”. W pesymistycznej wizji Bensona to on niebawem przejmie kontrolę nad światem.

Mamy jeszcze jedną warstwę prorocत्व, a jest ona związana z interpretacją powieści czytanej dziś – „tu i teraz”. Musi być jakiś powód, dla którego odwoływali się do niej papież-emeryt Benedykt XVI i obecny papież-sternik Franciszek. Ten pierwszy w naukowym wykładzie jednoznacznie ostrzegał przed zniszczeniem się prorocत्व z Bensonowskiego thrillera. Rzecz z papieżem Franciszkiem jest nieco bardziej skomplikowana...

Ograniczmy się do przywołania jednej z prób zrozumienia przesłania, na jakie chciał nam zwrócić uwagę papież Franciszek, dwukrotnie polecający nam tę lekturę. Już samo to, że chce, byśmy czytali tę dystopię, niesie z sobą oczywiste przesłanie: zdaniem Franciszka przyszłość jest dystopijna, a więc tragiczna. Oznacza to, że Franciszek nie jest optymistą i patrząc w przyszłość widzi nadciągającą wielką katastrofę, na miarę apokalipsy. Czyżby swój pontyfikat umieszczał na progu „czasów ostatnich”? Patrick Ryan Cooper z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven dostrzega w sympatyzowaniu Franciszka z Bensonowską powieścią próbę zdefiniowania przez obecnego papieża jego własnej apokaliptycznej misji:

„W powieści najbardziej demonicznie przedstawia się głębokie podobieństwo fizyczne łączące Felsenburgha i głównego bohatera powieści, angielskiego kapłana Percy’ego Franklina, który później, po całkowitym zniszczeniu Rzymu i [znajdującej się tam] hierarchii kościelnej, staje się kardynałem i papieżem Sylwestrem III. Podobnie jak w przypadku dość niejasnego Felsenburgha, ksiądz Percy, ten Bensonowski bohater znikąd, ma bardzo silny charakter, który zaprzęga do działania w samym środku wydarzeń, by po ogromnym zamieszeniu i prześladowaniu Rzymu wznieść się aż do tronu Piotra. Od razu ukazuje się kontrast [nowego stylu pontyfikatu] z poprzednim – wyniosłym i monarchistycznym. Benson wciąż podkreśla, że nowo wybrany Sylwester III jest pod każdym możliwym względem «modelem prostoty». Czy nie brzmi to znajomo? Powinno, bo być może wtedy będziemy mogli lepiej zrozumieć nie tylko dlaczego Franciszek ma taki sentyment do tej książki, ale co więcej możemy również spekulować, jak widzi on dzisiaj istotę urzędu Piotrowego, «Sługi sług», w jego własnym niezwykłym wywyższeniu – zgodnym z interpretacją tej apokaliptycznej hermeneutyki.

Odlóżmy na bok wszystkie popularne i heterodoksyjne opisy apokaliptycznej przepowiedni i zapytajmy, jakie w rzeczywistości może mieć teologiczne znaczenie opisywanie Franciszkowej wizji Kościoła jako apokaliptycznej, jako «szpitala polowego

po bitwie»? [...] W tej niebezpiecznej chwili, w której prześladowania religijne i przerażające obrazy męczeństwa pojawiają się prawie codziennie (to «ekumenizm krwi»), Franciszek rzeczywiście jest na wiele sposobów kształtowany przez ten imperatyw [apokaliptyczny]. Jego teologię i jego «wizję Boga» oraz rozumienie Kościoła możemy nazwać prawdziwie apokaliptycznymi, bo – jak sam sugeruje – dziś «istnieje o wiele więcej do zrobienia niż robić wystarczająco dużo; dziś wymagane jest świadectwo aż po męczeństwo»”.

Czy Franciszek kieruje się w swym działaniu „funkcją apokaliptyczną”? To nie jest do końca pytanie otwarte. Wiele z jego wypowiedzi, wiele jego decyzji i w ogóle styl jego pontyfikatu sugerują, że papież uważa siebie za sternika „przed katastrofą”, który ma uratować jak najwięcej ludzi. Co więcej, jego apokaliptyczne intuicje pokrywają się nie tylko z przekonaniem wielu z nas, ale w pełni odpowiadają treści najnowszych objawień i innych interwencji z Nieba. Bóg mówi dziś „jak Benson” i trudno temu zaprzeczyć. Co więcej, logika Jego orędzi – gdy analizujemy je z perspektywy kilkudziesięciu lat – jednoznacznie wskazuje na nadchodzenie czegoś na miarę apokalipsy. Czy będzie Bensonowska apokalipsa – z Nowym Ładem, z Antychrystem, ze zniszczeniem Kościoła? Tego nie wiemy, choć zdaniem niektórych odpowiedź na to pytanie została nam już dana – jest nią dotąd jeszcze niezrozumiały pontyfikat papieża Franciszka.

Od Wydawcy

Zainteresowanych dalszą lekturą, chcących dowiedzieć się więcej o apokaliptycznej interpretacji świata przez obecnego papieża, o kształcie i czasie tej apokalipsy i znakach czasu, które potwierdzają prawdziwość przepowiedni Bensona odsyłamy do nowej książki Wincentego Łaszewskiego: *Niewidzialna wojna. Wizja przyszłości według papieża Franciszka*, Fronda 2017.